

LEONARD CARPENTER

CONAN PAN CZARNEJ RZEKI

PRZEKŁAD ROBERT PRYLIŃSKI

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN LORD OF THE BLACK RIVER

PROLOG

Mała dziewczynka rzucała się niespokojnie w łożu, jęcząc przez sen. Jej ciało było mokre od potu, a dusza błądziła gdzieś wśród nocnych koszmarów niosących obłęd i strach. Dryfowała w nicłość, walcząc z całych sił o utrzymanie się na powierzchni rzeki... rzeki czarnego piasku, który, gorący i szorstki, parzył i ranił jej ciało, ciągnąc ją niestrudzenie ku nieznanemu celowi.

Co gorsze, nie była sama wśród tej czarnej powodzi – wokół majaczyły koszarne kształty, grube kłębiące się cielska węży, zarysy płetw i pazurów tajemniczych potworów, monstrualne paszcze ozdobione garniturem potężnych kłów, wynurzające się czasami spośród czarnego nurtu, i wreszcie wszechobecne oczy śledzące każdy jej ruch...

Poruszyła się słabo, jakby próbując uwolnić mokre od potu ciało z więzów cienkiej jedwabnej pościeli, a z jej ust wydobyły się ponownie ciche okrzyki, brzęące bardziej jak suchy kaszel z walczącej o haust powietrza krtani.

Jej niespokojny sen szybko zbudził czujną przełożoną pokojówek, która pospieszyła natychmiast ku łożu, tonącemu w łagodnym świetle padających przez okno promieni księżyca.

– Księżniczko! Ismaia, zbudź się, dziecko! To znowu ten sen. Co ci jest? Czy jesteś chora?

Ale ta, do której mówiono, słyszała tylko szum widmowej rzeki, niosącej ją posród rozgrzanych do czerwoności przez piekielny ogień skał. Ich strome szczyty ziały płomieniami i siarką, a bijący od nich żar parzył jej ciało. Pomiędzy wulkanami widniały głębokie wąwozy, w których spoczywał śnieg i lód... i jego chłód także czuła wyraźnie. Wstrząsały nią dreszcze...

– Ismaia, co się dzieje? Obudź się, dziecinko, powiedz coś!

Drżącymi z pośpiechu rękami ochmistrzyni zapaliła kaganek i wezwała resztę służby.

Oprócz posady nadwornego medyka w shemickim mieście-państwie Baalur Caspius piastował też stanowisko głównego doradcy ukochanego przez poddanych króla Aphratesa. Teraz, gdy zerwano go z łoża w jego położonych w zachodnim skrzydle zamku komnatach, narzucił na siebie szaty, wdział sandały i pospieszył na wezwanie królowej.

Pobieżnie przyjrzał się, wciąż pogrążonej w koszmarach, księżniczce, a wypytawszy następnie służbę o szczegóły jej diety, ostatnich podróży i zachowania, oraz przyjrząwszy się jej horoskopowi, zalecił owinięcie nieprzytomnej dziewczynki w wilgotne lniane tkaniny, pojenie chłodną wodą, o ile uda się rozchylić usta, i uważne przysłuchiwanie się wszystkim słowom, jakie wydobędą się spod jej warg. To wszystko. Żadnych egzorcyzmów czy specjalnych obrzędów, których być może oczekiwano, choć niezależnie od wydanych zaleceń udał się też do biblioteki, by przejrzeć tajemnicze, starożytne teksty.

Nad ranem stan dziecka poprawił się. Oddech stał się głębszy i równiejszy, księżniczka przestała też rzucać się przez sen. A gdy słońce pojawiło się na wschodnim widnokręgu, odzyskała świadomość i przemówiła do czuwającej przy łożu matki i służących. Natychmiast też wezwano Caspiusa.

– Czujesz się lepiej, księżniczko? – Medyk położył dłoń na czole dziecka, odgarniając mokre włosy, które były nieco tylko jaśniejszą wersją ogniście rudych warkoczy królowej Rufii. – Zdaje się, że męczyły cię nocne koszmary?

– Tak, doktorze – wyszeptwała słabo dziewczynka. – Porwał mnie nurt... rzeka gorącego, suchego piasku. I trwało to tak długo... i tak mną targało, powtarzał się wciąż ten sam widok... jakby rzeka płynęła wokoło... i była tam zła czarownica, i chciała mnie złapać...

– Widziałaś tę czarownicę... kobietę, o której mówisz?

– Tak, blada, czarnowłosa Stygijka, piękna, ale zła... składała ofiary przy dziwnym ołtarzu. Była ubrana w skóry, a w rękach trzymała pajęczce sieci. I miała przerażające włosy...

– Rozumiem... możesz być spokojna, Ismaia. – Caspius dostrzegł strach w oczach dziecka i podążył za jego wzrokiem ku dużej, oprawionej w brąz klepsydrze stojącej na brzegu stołu. Zdawało się, że strumień przesypującego się ciemnego piasku jest źródłem niepokoju księżniczki Sięgając dłonią, by pogłodzić uspokajająco policzek dziewczynki, medyk zasłonił jednocześnie klepsydrę swym, sporym skądinąd, ciałem.

– Już dobrze, dziecko. Teraz odpocznij!

– Za ołtarzem płonął ogień – mówiła dalej księżniczka – a z ciemności, z tego grobu, coś na mnie patrzyło... teraz, jak zamknę oczy, też to widzę...

– Grobu, mówisz – mruknął Caspius. Jeszcze raz pogłodził ją po włosach, próbując rozproszyć mroczne myśli.

– Wystarczy, Ismaia! Wypij ten chłodny napój!

– Tak, doktorze! – przytaknęło posłusznie dziecko. – Ale ten sen. – Próbowwała jeszcze raz powrócić do tematu. – Czy on powróci?

– Odpocznij. – Uśmiechnął się. – Zaśnij tak szybko, jak możesz, i nie bój się. Teraz będziesz miała tylko dobre sny – zapewnił ją.

Pochylił się, składając pocałunek na mokrym czole dziecka, jakby przypieczętowywał swą obietnicę, co do której był niemal pewien, że jest kłamstwem.

Odwrócił się i napotkał zmęczony wzrok królowej.

– Proszę o audiencję u króla, milady – zwrócił się doń, gdy wyszli na korytarz. – Tę sprawę należy przedyskutować w obecności twojego męża, pani.

I

KRWAWY SZTURM

Atak na zamek barona Raguly nastąpił o brzasku. Rebelianci wyszli z za wzgórz, porośniętych o tej porze roku naskalnymi kwiatami. I szli – odziani w skóry ponurzy mężczyźni, ich żony w grubych wełnianych odzieniach, dzikie podrostki, dorodne dziewczęta, wszyscy maszerowali z determinacją. Oprócz toporów i łuków zaopatrzeni byli też w ciężkie drabiny oblężnicze, wielkie tarcze z wołowej skóry i mnóstwo strzał.

Wodzowie klanów powstrzymali pierwszy szereg przed atakiem z marszu, gdyż pozostali nie zdążyli jeszcze zająć dogodnych pozycji. Potem jednak rozległ się dudniący dźwięk rogów i odziani w skóry napastnicy ruszyli do szturm.

– Naprzód, ludu Koth! Po wolność i zemstę! Łucznicy, oczyścić mi z wrogów te wały!

Ten, który wykrzykiwał komendy, stał na niewielkim wzgórzu. Był to ciemnowłosy olbrzym, a jego bystre oczy o błękitnej barwie i ostre rysy twarzy zdradzały, iż pochodził z północy. Wyglądał groźniej niż otaczający go chłopci i był ubrany jak prawdziwy wojownik. Jego długie, potargane włosy wieńczył stalowy hełm, zaostrowany u góry na wschodnią modłę, korpus zaś skrywała kolczuga, nosząca ślady wielu poprzednich kampanii. Nie zbywało mu też na uzbrojeniu – z za szerokiego pasa wystawały miecz, sztylet i topór, a rynsztunek uzupełniały metalowe nagolenniki i płyta chroniąca krocze.

Teraz jednak całą uwagę skupił na swym łuku. Drugie bossońskie drzewce niewiele było niższe od człowieka, a strzały, które wyciągał raz po raz z leżącego na pobliskiej skale kołczana, osiągały długość niemal jarda. Skłon, załadowanie, napięcie cięciwy, strzał – jego ruchy były płynne i najwyraźniej miał w tym dużą praktykę. A sądząc ze swobodnej postawy, był pewien, iż jego pociski osiągną cel.

– Już podchodzą pod mury – usłyszał jakiś zaniepokojony głos za plecami. – To całkiem dobra drużyna, ci kothyjscy chłopci i ich żony. Mam nadzieję, że dzisiaj się spiszą – to ich dzień! Ale co z nami, Conanie? Sądziłem, że razem poprowadzimy ten szturm...

– Stąd lepiej możemy im pomóc – odparł spokojnie zapytany, nie przerywając swego śmiercionośnego zajęcia. Po chwili jeden z okutych w żelazo obrońców przechylił się przez wały i poszybował w dół. Długa strzała przebiła na wylot jego pancerz. W następnym momencie kolejny został trafiony i zniknął za murami.

– Stąd mogę ostrzeliwać ich bardzo skutecznie, sam nie narażając się na trafienie. Więc lepiej zostań tu ze mną, Tethrun.

Tuzin innych łuczników ostrzeliwało zamek z otaczających go pozbawionych drzew wzgórz. Deszcz strzał przerzedzał szeregi obrońców, ale i łucznicy byli narażeni na odpowiedź z zamku. Ich krótkie, zakrzywione łuki niosły jednak dużo bliżej niż identyczna broń, z której strzelano z wysokości murów i baszt. Co chwilę jeden z napastników padał na ziemię; chłopscy łucznicy nie bardzo mogli opanować nerwy i mierzyć na zimno. Toteż większość strzał została zmarnowana, szybując pod niewłaściwym kątem. Miały też znacznie mniejszą moc przebicia niż długie bossońskie pociski.

– Drabiny poszły w górę! Teraz pokażą, ile są warci! – powiedział bezlitosny łucznik, strzelając ponownie. Pocisk dosięgnął piersi jednego z zamkowych oficerów, który właśnie zagrzewał swych ludzi do walki. Następny przebił gardło halabardnika, wychylającego się przez mury, by odepchnąć swą długą bronią drabinę oblężniczą. Pocisk kuszy, mającej jednak większy zasięg, stuknął o skały obok jego stopy. Zauważywszy to, posłał następną strzałę wprost w otwór strzelniczy na wieży.

Tethrun niepokoił się coraz bardziej: – Włóż na drabiny! Zobacz, Conanie! Powinienem być tam wraz z nimi! I ty też!

Stary wojownik o siwych, kędzierzawych włosach postąpił zniecierpliwiony krok naprzód z dłonią na rękojeści miecza, jednak nie pobiegł jeszcze ku zamkowi.

– Oszczędź swoje życie jeszcze przez moment, Tethrun. Bardziej będą cię potrzebowali, gdy zamek wreszcie upadnie... – Nagle przerwał. – Co za głupcy! Toż ta drabina jest za krótka!

Pośród sześciu drabin ta najbliższej głównej baszty została ustawiona pod zbyt płaskim kątem lub ześlizgnęła się ze stromej ściany. Kończyła się o wysokość człowieka poniżej blanku muru, który z kolei wyrastał jeszcze na cztery razy taką wysokość ponad krawędź. Mimo to oblegający tłoczyli się na niej jak banda ślepców, by ostatecznie dotrzeć do tej przestrzeni, która dzieliła ich od celu, i ujrzeć, że jest nie do przebycia. Zarówno ci na drabinie, jak i ci poniżej byli pod ciągłym ostrzałem kamieni i pocisków z kuszy, wystrzeliwanych z muru i z okrągłej baszty.

– Naprzód, wy kundle! Na Mannana! Włazić na górę i wyczyścić ten mur z robactwa! – Conan napiął ponownie łuk i strącił jednego ze stojących blisko baszty żołnierzy, który ciskał kamienie w oblegających. Pozostali schowali się za blankami. Jeden z chłopów kołysał się niebezpiecznie, stojąc na ostatnim szczeblu drabiny, i próbował sięgnąć krawędzi muru. Uzbrojona w buławę ręka wychyliła się, by go strącić. Conan przedziurawił ją na wylot strzałą, jednak trafiony sekundę wcześniej chłop runął w dół, pomiędzy swych towarzyszy.

– Na stado ogarów Croma! – zaklął Cymmerianin – Nie wejda! Jedna piąta naszego wojska stoi tam beczynnym i czeka, aż wytną ją w pień! A ci tchórze na szczycie nie chcą się wychylić!

W rzeczy samej, siedzący za murem obrońcy używali tylko długich pik i halabard, nie wystawiając się na cel łucznikom. W innych miejscach rebelianci wdarli się już na mury i toczyli ciężki bój z obrońcami, a skłębiony tłum czynił strzelanie z łuku niemożliwym. Conan odrzucił łuk i skoczył naprzód.

– Teraz, Tethrun! Chciałeś wziąć udział w bitwie, więc biegnij za mną! Zajmiemy się tym obcym tyranem i jego zdradziecką załogą!

Pobiegł przez pole bitwy, przeskakując nad rowami i ciałami poległych i wkrótce zostawił starszego mężczyznę daleko z tyłu. Jakiś zabłąkany pocisk obsypał mu buty piaskiem, ale generalnie obrońcy zajęci byli tym, co zagrażało im znacznie bliżej. Walka zmieniła się w jednostajne walenie żelazem o żelazo, czasami tylko przerywane krzykiem ranionego lub umierającego człowieka. Widziany z bliska, zamek prezentował się okazale na tle ośnieżonych południowych gór. Zaś z otworów strzelniczych wciąż sypała się na nich anonimowa śmierć.

– Z drogi, ciury! Z drogi! Zaraz zobaczycie, co należy robić! – Odepchnawszy brutalnie chłopów z wielkimi tarczami i przebiegłszy ponad powalonymi ciałami i kamieniami, Conan dopadł do podstawy ciężkiej drabiny oblężniczej. Stała w zagłębieniu gruntu, co najmniej

trzy duże kroki od muru. Na jej stopniach wciąż byli szturmujący, nie mogli jednak posunąć się dalej do góry. Nie mogli też zejść w dół, blokowani przez następną szereg – bronili się tylko rozpaczliwie w niewygodnej pozycji.

– Na dół! Na dół, ludzie – warknął Conan, chwytając jednego z nich za kostkę. – Złazić stamtąd! Wszyscy do mnie! Musimy ją dźwignąć i oprzeć bliżej o mur!

Schyliwszy się, olbrzymi Cymmerianin zaparł się nogami o podłoże i zaczął dźwigać drabinę. Szerokie podwójne kraty były potwornie ciężkie, zwłaszcza że na

górnym stopniach wciąż jeszcze wisiało pięciu, sześciu rebeliantów. Choć dołączyły doń teraz inne ręce, to głównie ciemnowłosy Cymmerianin, napiawszy swoje potężne mięśnie, uniósł drabinę, ze skrzypleniem drewna szorującego po kamiennym murze. Potem wydał jeszcze jedną grzmiącą komendę, by dźwignąć drabinę wyżej. Początkowo rozległy się niepewne okrzyki zdumienia, potem zaś wrzaski triumfu i odgłosy walenia toporów w zamkowe mury – przepaść między obrońcami a atakującymi zmniejszyła się. – Teraz na górę, psy! Po zwycięstwo! Brać szturmem tę ścianę! By dać przykład, Conan sam uchwycił szczeble drabiny i pognął naprzód, przebiegając także po tych, którzy jeszcze wisieli na górze. Wszedł się w górę po spryskanych świeżą krwią kamiennych murach, aż mógł sięgnąć samej krawędzi. Tuż powyżej niego, na drugim ramieniu drabiny walczyła jedna z rebeliantek – dorodna wiejska dziewczyna, twardo wywijająca siekierą. Conan pojawił się na krawędzi muru o ułamek sekundy za późno i dostrzegł tylko, jak jej pierś przeszywa długa włócznia. Z wrzaskiem bólu chwyciła obiema dłońmi za zakrwawione drzewce i runęła w dół wraz z bronią, która zadała jej śmierć. Conan wykorzystał ten krótki sprzyjający moment i przeskoczył krawędź muru, ładując po drugiej stronie. Z obu stron zaatakowali go żołnierze. Jednak nie przebijał się dalej, stał u szczytu drabiny, zasłaniając następnych wspinających się napastników. Miecz i topór w jego rękach były wprawdzie w obie strony, blokując długą i niezgrabną broń przeciwników. Tańczył i wirował w miejscu, wymachując okrwawioną stalą, aż poczuł za swoimi plecami chłopów i usłyszał ich ryki żądające krwi. Dopiero wtedy z kocią zręcznością skoczył pomiędzy groźne piki i halabardy. Jednego z obrońców przebił mieczem, drugiego posłał w dół z murów szerokim uderzeniem topora.

Stał teraz tuż przy okrągłej głównej baszcie, na samym rogu zamku. Z wałów prowadziła do jej wnętrza jedna niska brama, sięgająca olbrzymiemu Cymmerianinowi zaledwie do ramienia. Drzwi były zawarte głucho, ciężkie, drewniane i Conan natychmiast zaatakował je toporem. Stalowe zawiasy nie wytrzymały potężnych oburęcznych uderzeń. Conan zaś chwycił porzuconą pikę i podważył drzwi, próbując wyrwać je z metalowych obramowań.

– Conan, uważaj!!!

Reagując na krzyk, a może wiedziony szóstym zmysłem, Conan gwałtownym susem odskoczył od drzwi. Zaledwie to zrobił, runął tam olbrzymi głaz, wzbijając kłęby pyłu i rozbijając w kawałki kamienne podłoże. Był to jeden z gigantycznych kamiennych zębów wieńczących szczyt baszty, najwyraźniej obluzowany przez obrońców i ciśnięty w dół. Z uwagi na swój kształt głaz mógł być przydatny. Trzech muskularnych chłopów uniosło go i uderzyło jak taranem w naruszone już przez Conana drewniane drzwi.

Cymmerianin stanął obok siwobrodego Tethruna i schylił się, poszukując topora.

– Nie marnowałeś czasu, starcze. Szybko dostałeś się na górę. Niech Crom wynagrodzi ci twoje ostrzeżenie!

– Nie chciałem, żebyś stracił tu życie – zapewnił go Tethrun. – Zdaje się, że nasi wojownicy oczyścili już wały i baszty. Trzeba jeszcze zdobyć wnętrze zamku i uwolnić jeńców. Pamiętaj, że moja córka jest w rękach barona!

Gdy mówił te słowa, drzwi wiodące do baszty puściły wreszcie pod naporem tarana. Pierwszy z rebeliantów, który wbiegł do środka, został trafiony pociskiem z kuszy i padł martwy, ale pozostali przemknęli nad jego ciałem, a Conan nie pozostał daleko w tyle.

Bój wewnątrz zamku był krwawy, walczone o każde schody i każdy korytarz, zdobywano każde zablokowane drzwi i każdą komnatę, a we wszystkich tych miejscach lały się strumienie krwi.

Krwawy szlak wiódł na górę i wreszcie na zewnątrz, na szczyt najwyższej baszty, która tonęła teraz w promieniach porannego słońca. Tam właśnie, na tle żyznych dolin, stromych wzgórz i ośnieżonych górskich szczytów baron Raguly i jego pozostali jeszcze przy życiu towarzysze stanęli na swym ostatnim szańcu. Baron trzymał jednak przed sobą zakładnika, wybranego dokładnie spośród zamkowych więźniów – piękną Dagobrit, córkę przywódcy rebelii, Tethruna.

– No, buntownicy – ich niedawny władca przemówił w języku kothyjskim, choć z wyraźnym akcentem z Karpash – zdobyliście mój zamek i teraz pewnie zamierzacie mnie zabić albo zakuć w łańcuchy.

Odpiął zapinkę swego szkarłatego hełmu i wyrzucił bezużyteczny teraz kawał metalu za mury, odsłaniając krótko przystrzyżoną głowę o orlim nosie

– Czy sądzicie, że król Khorshemish puści płazem bunt przeciwko jego

lojalnemu wasalowi? Że nie wyśle tutaj armii i katapult i nie zrówna tego miejsca z ziemią?

– Szlachcic, który nie potrafi utrzymać w ryzach własnej dziedziny, niewielu ma przyjaciół na dworze – zauważył ponuro Conan. – Jego przyjaciele nie jest zwłaszcza król, który najwyraźniej pomylił się co do niego. Myślę, że twój władca ma tak samo dosyć pewnego rozpustnika i złodzieja, jak jego poddani.

– To prawda – potwierdził Tethrun zza pleców Conana. – Twój upadek nauczy króla Khoremish, by nie czynił panem swych lojalnych Kothyńczyków przybłądy zza granicy, z pozbawionej wszelkich praw tyranii Karpash!

Odpowiedzią na jego słowa był radosny krzyk rebeliantów na baszcie, jak i tych stojących poniżej na murach. Nienawiść doskonale słyszalna w ich głosie spowodowała, że ludzie barona mocniej zacisnęli dłonie na rękojeściach mieczy i zbili się w ciasniejszą grupę na wąskiej przestrzeni, która jeszcze im pozostała. Obie strony były gotowe do wznowienia rzezi, Conan zaś schylił się w międzyczasie po krótki kothyjski łuk i kołczan ze strzałami, które leżały przy klapie prowadzącej na szczyt baszty.

– Być może jeszcze usłyszycie, co ma w tej sprawie do powiedzenia król! – Ostry głos barona uciszył na moment tumult, mimo iż otwarta walka wisiała już na włosku.

Przyciągnął bliżej do siebie brankę.

– Jedno jest pewne – spojrzął na nich wyzywająco – zanim mnie dostaniecie, ta miła dziewczynka umrze! To zdaje się twoja córka, Tethrun?

Baron z Karpash trzymał zakładniczkę za jasne włosy, wykręciwszy jej okrutnie rękę do tyłu. Stali oboje na samej krawędzi muru. Oparłszy się dla bezpieczeństwa o brzeg drewnianej katapulty, baron wychrypiął:

– Jeśli nie zapewnisz mi bezpiecznego wyjścia z zamku, z bronią i końmi dla wszystkich moich ludzi, pchnę ją w dół! Chcesz tego?

– Jeśli dotrze do króla przed nami – usłyszał Tethrun jakiś głos za swymi plecami – w ciągu dwóch tygodni zobaczymy pod tymi murami armię imperium.

– Tak, sire – szepnął ktoś inny – Ten pies musi być uciszony! Tylko wtedy będziemy mieć jakąś szansę.

Raguly uśmiechnął się szeroko do swego przeciwnika. Blade, wąskie wargi odsłoniły żółte zepsute zęby.

– I co, giermku? Jaka jest twoja decyzja? Czy mam twoje słowo?

Tethrun wstrzymał oddech i stał bezradnie. Milczał.

– Zabić go i skończyć z tym wszystkim – zamruczał tłum. – Jeśli taka będzie wola Mitry, dziewczyna ocaleje.

– Tak! – powiedział inny głos – wyrzucić ich wszystkich przez wały!

– Tak, ojczu! Wysłuchaj ich, nie bacząc na moją śmierć! – Dagobrit walczyła zaciekle, by wyrwać się z uścisku barona, skoczyć w dół przez wały i pociągnąć za sobą swego prześladowcę. – Moja śmierć jest warta życia tych wszystkich ludzi! – błagała ze szlochem.

– A więc, giermku? – szydził baron Raguly ze zjadliwym uśmiechem. – Twój poddani wypowiedzieli już swą wolę, chyba chcą tej śmierci. Czy naprawdę jesteś wiernym sługą ludu? Czy mam ją zepchnąć w dół, czy będziemy walczyć jak mężczyźni?

Tethrun wciąż toczył wewnętrzną walkę. Nie mógł pozwolić sobie na błąd, to bowiem zaważyłoby na całym jego późniejszym panowaniu... Ale życie jego córki, jedyne dziecko i dziedziczki, było zbyt wielką ceną.

– Musisz podjąć decyzję – nalegał głos za jego plecami – a twój wybór musi służyć temu krajowi.

Nagle Conan, czekający w milczeniu, dostrzegł szansę. Gdy jeden z odzianych w zbroję żołnierzy barona poruszył się nerwowo, Cymmerianin uniósł błyskawicznym ruchem łuk i celując na wysokości piersi, zwolnił cięciwę. Strzała wbiła się w brzeg katapulty, o którą opierał się baron Raguly. Ten spojrzął w dół z irytacją, a potem ponownie uniósł wzrok... tylko po to, by ujrzeć drugą strzałę Conana, która wleciała pomiędzy zaciskających obronny szyk strażników. Uderzyła prosto w źle ogolone gardło barona, tuż powyżej brzegu jego żelaznego kołnierza. Siła uderzenia pchnęła go w tył i przerzuciła przez blanki, gdzie runął bez najmniejszego dźwięku. Dagobrit poleciała za nim, jednak zawiśła na swej grubej wełnianej spódnicy, którą Conan przyszpilił pierwszą strzałą do drewnianej katapulty. Gdy tak zwisała głową w dół, grupa żądnych krwi rebeliantów runęła naprzód, odpychając w mgnieniu oka zaskoczonych obrońców. Natychmiast też wyciągnęli Dagobrit, która szlochająca, znalazła się w ramionach ojca. Gdy ci

dwoje zajmowali się tylko sobą, wokół nich wśród szczęku stali kończyło się starcie. Ostatnimi jego odgłosami były przeciągłe, gasnące okrzyki spadających ludzi, tępe uderzenia zbroi o zamkowe mury i wrzaski triumfu żadnych zemsty rebeliantów.

– Wielkie dzięki, Conanie – powiedział Tethrun, gdy gwar wreszcie ucichł. – Pomogłeś nam wiele razy, odkąd ta rebelia się rozpoczęła, ale to było niewiarygodne. Będziemy ci wdzięczni na tym i na tamym świecie.

– Bardziej interesuje mnie wasza wdzięczność na tym świecie. Obiecałeś mi część skarbców starego barona. Mam nadzieję, że pamiętasz.

Mówiąc to, patrzył na Dagobrit. Dziewczyna podziękowała mu za uratowanie życia tylko ledwie zauważalnym mrugnięciem oczu, potem zaś zabrała ją między siebie grupa surowych chłopskich żon. Powiodły ją w dół.

– Myślę, że nadszedł czas na świętowanie zwycięstwa – zwrócił się Conan do Tethruna, gdy również zaczęli schodzić z baszty. – No i, oczywiście, na rozlokowanie się w tym zamku. Powiedz mi, bracie, czy raczej baronie, jak duże są tu piwnice z winem? Po zdobyciu Khorusun świętowaliśmy i piliśmy przez trzy dni i noce.

– Uroczystość... tak, oczywiście – Tethrun skinął przyzwalająco głową. – Ale będzie przy niej tyleż radości, co smutku. Wielu z tych ludzi straciło dzisiaj przyjaciół i krewnych.

Conan wzruszył ramionami.

– Stracili przyjaciół, to fakt. Ale zabili znacznie więcej wrogów. Moim zdaniem to zwycięstwo nie było okupione zbyt drogo.

– Nawet jeśli, najtrudniejsze jest jeszcze przed nami. Trzeba wysłać bogatą daninę królowi, aby zyskać jego zgodę na zmianę właściciela tej prowincji.

– Biorąc pod uwagę, jak wiele zagrabił Raguly, nie powinienes mieć z tym dużych problemów.

– Muszę zobaczyć, czy znaleźli pozostałych brańców – zasępił się Tethrun. – Oby Mitra i Isztar sprawili, iż oni wciąż żyją.

– Jeśli żyją, będzie dodatkowy powód do świętowania – powiedział z nadzieją Conan.

Podczas wędrówki przez zamek widzieli wiele rozradowanych, choć zmęczonych twarzy.

Rzeszłano kilku zaufanych ludzi, by powstrzymać ewentualne grabieże, niektórzy zaś tym czasem zaczęli już usuwanie ciał i zmywanie plam z krwi. Broń oraz zbroje zebrano w jednym miejscu i zinwentaryzowano, zaś przed zamkową bramą wzniesiono wielki stos, na którym mieli ostatecznie zakończyć swą ziemską wędrówkę stary baron i jego najemnicy.

W pomieszczeniach prywatnych samego lorda rebelianci spoglądali na siebie nawzajem podejrzliwie, oszołomieni przepychem. Jednak bogato zastawiony stół był nietknięty, również przysmaki, które się tam znajdowały. Oprócz tych, które nosiły ślady walki, wszystkie obrazy, srebrne lustra, połączone sztuce i wspaniałe posążki stały nienaruszone.

– Aż trudno uwierzyć w taką uczciwość twoich ludzi – powiedział Conan, przyglądając się temu bogactwu.

– Jesteśmy pobożnymi rolnikami – rzekł nowy baron – nie rabusiami. Przywódcy naszych klanów są mądrzy i cieszą się szacunkiem należnym ich wiekowi. Ich polecenia są wykonywane.

– A, jest wreszcie wino – powiedział Conan, podchodząc do stołu i napełniając pucharek z wysokiego dzbana. – Uhh, dobre! Jednak po walce zawsze ma się pragnienie. Ciekawe, czy skarbiec Raguly jest gdzieś niedaleko? Może te dziewczyny wiedzą.

Conan dopiero teraz dostrzegł dwie, odziane w jedwab kobiety, kulące się na sofie w rogu komnaty. Nie udało im się zyskać sympatii młodych rolników, którzy trzymali straż w tej izbie, więc siedziały cichutko, starając się nie rzucać za bardzo w oczy. Teraz jednak spojrzały z nadzieją na Conana, który był typem mężczyzny, do jakich były przyzwyczajone.

– To kobiety byłego barona – zauważył Tethrun. – Konkubiny. Płacił im zapewne, tak jak swoim najemnikom. Najprawdopodobniej wyrzekli się ich krewni. Nie będą bezpieczne, jeśli nasze uczciwe kobiety zobaczą je tutaj.

Conan przyglądał im się przez moment badawczo, zastanawiając się, czy zechcą się mścić na tym, który zabił ich poprzedniego pana. Ale kiedy zrelacjonowano im, co zaszło w zamku, nie rozpaczały specjalnie, nie były nawet zasmucone, martwiły się wyłącznie o swe dalsze losy. Conan spotkał już wiele takich kobiet

– były produktem warunków, w jakim przyszło im żyć.

– Na razie – powiedział – możesz oddać je pod moją opiekę. Chodźcie, moje panie, pokażecie mi kilka miejsc w tym zamku.

Zgodnie z poleceniem, konkubiny barona powiodły zdobywców do skarbcza, a potem także do ukrytej komnaty, gdzie trzymano jeńców. Wciąż żyli. Uroczystości z okazji zwycięstwa zapowiedziano na wieczór, a w kuchni zaczęto już warzenie wielkiego gulaszu. Na rozkaz Tethruna główną salę, gdzie miała się odbyć zabawa, opróżniono z mebli, przygotowując się na wesołe tańce ludowe.

Podano także wino, ale niezbyt wiele, toteż Conan szybko wymknął się na górę, gdzie Raguly miał prywatne zapasy napitków i wiktuałów, dotąd nietkniętych. Obie kurtyzany, Lilith i Thelia, chętnie poszły za nim, zwłaszcza że już zostały obrzucone wymyślnymi wyzwiskami przez kilka kobiet.

Nadszedł czas leniwego wypoczynku, więc cała trójka rozłożyła się wygodnie na szerokim łożu, racząc się smakołykami ze stołu i popijając wino. Wtedy Lilith zadała Conanowi pytanie:

– Powiedz mi, dlaczego nie usuniesz Tethruna i sam nie ogłosisz się baronem. Ktoś tak wyjątkowy jak ty z łatwością mógłby przejąć kontrolę nad zamkiem i uchronić go przed zakusami innych.

Conan potrząsnął leniwie głową.

– Nie, dziewczyno. To nie jest miejsce dla mnie. Oni nie ufają obcym, jak same miałyście okazję się przekonać. Nawet jeśli udałoby mi się na początku, cały czas groziłoby mi bunty i rebelie i w końcu usunęliby mnie, tak jak swego poprzedniego pana. A ja wolę szybką walkę niż długą tyranie i użeranie się z poddanymi.

– Ale czy oni wykorzystają swoją szansę? – spytała Thelia. – Czy Tethrun będzie wystarczająco sprawnym władcą?

– Któż to może wiedzieć – wzruszył ramionami Conan. Potem roześmiał się głośno – Jeśli on nie będzie wystarczająco silny, może jego córka, Dagobrit?

Wreszcie noc zastąpiła dzień krwawych walk i wieczór zabaw oraz tańców. Łoże w sypialni barona było szerokie i miękkie, co zapowiadało komfortowy wypoczynek. Mimo to Conan nie spał spokojnie. Czy zawdzięczał to zemście duchów, które nie zdały jeszcze opuścić zamku, gdzie wiele zwłok wciąż jeszcze leżało na dziedzińcu, czy posapywaniu dwóch śpiących obok kobiet, czy wreszcie dużej ilości alkoholu, który wypił dzisiejszego wieczora... dość, że tej nocy Cymmerianina dopadły koszmary.

Niektóre dotyczyły wydarzeń wczorajszego niespokojnego dnia – widział pospieszne przygotowania do bitwy, odbywające się w świetle pochodni, to znów gwałtowny atak na zamek o świcie, wykrzywione bólem twarze zabijanych ludzi, tryskająca krew, wreszcie ciemne kamienne korytarze... Potem dostrzegł obrazy odległej przeszłości – ośnieżone górskie szczyty i zielone doliny, krwawe pola bitew i wielkie miasta południa, otoczone kamiennymi murami. Dostrzegł też przyjaciół i wrogów – dobrze znane istoty z setek krajów, które przemierzył w swej burzliwej młodości.

Najczęściej jednak powracało jedno oblicze – urodziwa twarz kobiety, otoczona burzą ciemnoczerwonych włosów. Kurtyzana wystarczająco sprytna, by rządzić monarchiami i opróżniać królewskie skarbcze – Rufia, niewolnica shemickich królów i generałów. Jednak tej nocy nie pokazała się Conanowi odziana w królewskie szaty, ale taka, jaką ją ujrzał, gdy spotkali się po raz pierwszy – naga, walcząca o życie, chłostana i zagrożona torturami. Przy piersiach trzymała jakieś małe zawiniątko, ściskając je troskliwie. Za nią zaś w zacienionych zakamarkach poruszał się jakiś nieregularny kształt, czarna kobieta-demon trzymająca w ręku bicz a odziana w błyszczącą węzową skórę. Czy jej twarz też nie wydawała się znajoma?

Potem nagle, tak jak to bywa tylko we śnie, scena stała się niezwykle wyrazista. Czerwonowłosa kobieta znajdowała się na szerokim kamiennym ołtarzu, a teraz zwróciła twarz ku tej, która jej zagrażała. Mało zawiniątko było dzieckiem – dziewczynką, martwą lub nieprzytomną, spoczywała bowiem bezładnie na rękach kobiety, jak szmaciana lalka.

Kobieta przyglądała się rozszerzonymi z przerażenia oczami, jak z mroku przed nią wysuwa się łowca, przyczajony i gotów do uderzenia. Odrzuciwszy bicz, kobieta odziana w skórę węża sięgnęła po sztylet. W błysku światła, który teraz nastąpił, jakby ktoś rozpalili wszystkie piekielne ognie, Conan ujrzał wyraźnie i rozpoznał jej twarz – Zeriti, przeklęta stygijska królowa Asgalun, ta, która

torturowała Rufię w realnym świecie w przeszłości.

Zeriti!!! Ta suka już dawno powinna nie żyć. Czyżby jej magiczna moc była silniejsza niż stal miecza najemnika, który przeszył ją na wylot.

Rufia zachwiała się, przerażająco wolno w tym świecie snów, gdy rozpoznała tę, która nie żyła. Straciwszy równowagę, opadła na ciemną bryłę ołtarza, wznoszącego się tuż za nią, a mała dziewczynka wciąż znajdowała się w jej ramionach. Zeriti skoczyła naprzód gwałtownym susem, a jej sztylet wzniósł się nad ciałem ofiary. Obok całej trójki, za mrocznym kamieniem ołtarza poruszyło się coś przerażająco czarnego i wielkiego... coś, co czekało niecierpliwie i śmiało się... zaś ogromne, ciemne oczy spoglądały w dół.

Porwany w wir walczących ciał, Conan próbował odskoczyć i uderzyć. Jednak jego ciosy krępowała jakaś sieć lub tkanina, na której zacisnął kurczowo dłońe... wtedy poczuł na twarzy lekkie, ale powtarzające się z determinacją uderzenia małej pięści...

– Przestań, ty wielki brutalu!!! Z czymkolwiek walczyłeś przez sen to już odeszło, gdy zapaliłyśmy światło! Przestań! Omal nie udusiłeś biednej Lilith!

– Dziewczęta... Thelia, tak mi przykro, przepraszam... Lilith, nic ci się nie stało?

Odrzuciwszy kołdrę, Conan sięgnął ku kobiecie i odciągnął delikatnie jej rękę, którą trzymała się za gardło. Nie miała, na szczęście, żadnej szramy na szyi.

– Nie chciałem zrobić ci krzywdy – przeprosił raz jeszcze.

– Jesteś za wielki i za silny – poskarżyła się Lilith, a jej głos wciąż drżał lekko z emocji czy może na skutek duszenia. Dąsała się wyraźnie, choć z drugiej strony Conan dostrzegł, że nie robi nic, by ukryć swe kobiece wdzięki, odsłonięte przez rozerwaną koszulę nocną.

Teraz odwrócił się w stronę Thelii – ta również nie była szczęśliwa.

– Przepraszam, czasami każdego prześladują duchy... Thelia przerwała mu bezceremonialnie:

– Rozbiłam sobie dłońe na tej twojej twardej czaszce!

– Pozwól, że je pocałuję – powiedział Conan, ale dziewczyna cofnęła ręce ze złością.

– Jesteś naprawdę dobrym wojownikiem – zauważyła Lilith, wciąż jednak opryskliwym tonem, nakrywając się koszulą. – Na pewno nie chcesz tu zostać? Na przykład jako dowódca gwardii nowego barona?

– Nie, ci chłopci będą chcieli pozbyć się mnie tak szybko, jak to tylko możliwe. To są pokojowi ludzie, nie ufają wojownikom, chyba że jesteśmy potrzebni do roboty takiej jak ta. – Conan opadł ponownie w jedwabną pościel. – Tethrun wynajął mnie do poprowadzenia tego powstania, nie do rządzenia zamkiem.

– Czujesz się tu niepotrzebny... tak jak my – westchnęła Lilith. – Obawiam się, że nie zaznamy tu spokoju.

– Więc jedźcie ze mną – powiedział Conan, otaczając obie kobiety ramionami. – Powiedzcie, czy byliście kiedyś na południu, w miastach-państwach Shem?

Późnym rankiem następnego dnia Tethrun i jego porucznicy zapukali do drzwi Conana. Czuli pewne obawy, zważywszy na cel, z jakim tu przyszli. Conan powinien opuścić komnaty barona, wziąć swoją zapłatę i wyjechać, a wiedzieli, że jeśli obcy wojownik będzie miał w tej sprawie inne zdanie, zmuszenie go do tego może kosztować ich bardzo wiele.

Chłopcy kuchenni poinformowali ich jednak, że Cymmerianin już wstał – przed świtem, jeśli chodzi o ścisłość. Zjadł śniadanie w kuchni wraz z dwoma nałożnicami barona, a potem wszyscy troje odjechali o pierwszym blasku słońca.

Słyszając to, Tethrun i jego oficerowie wściekli się, ale tylko do momentu, gdy ustalili, że uciekający zabrali ze sobą jedynie trzy pary koni, zapasy żywności i przewidzianą za usługi Conana sumę ze skarbca barona. Po tym odkryciu ich jedyną reakcją było już tylko westchnienie ulgi.

II

ZERITI

Czarodziejka ukończyła misterium i dopiero odwróciwszy się od ołtarza, poczuła jak bardzo jest wyczerpana.

Kamienna platforma za jej plecami, o splamionej i przeżartej nieznanymi substancjami powierzchni, wciąż jeszcze tonęła w kłębach dymu. Ten mieniący się

wieloma barwami i drażniący oczy i gardło obłok wypełniał każdy zakamarek ciasnej, mrocznej, oświetlanej jedynie słabym płomieniem świec, krypty. Rozchodził się leniwie pomiędzy masywnymi kolumnami, a znajdujący się w tyglach tajemniczy proszek, który był jego pokarmem, powoli zmieniał się w popiół. Tylko tyle pozostało z wielogodzinnej pracy, z potężnych zaklęć przyzywania – tym razem wciąż jeszcze nie zakończonych sukcesem, ale Zeriti czuła, że postęp dokonał się. Już wkrótce jej nieugięta wola skruszy niewidzialne bariery, a starożytne więzy i strzegące zaklęcia pękną... wówczas jej wielki plan zbliży się ku spełnieniu.

Schodząc po kamiennych stopniach prowadzących do ołtarza, czarodziejka potknęła się i niemal upadła na twardą podłogę. Utrzymała równowagę, opierając się ciężko o półkę ze starymi zwojami. Ich pergaminowa powierzchnia pożółkła już dawno ze starości, ale i tak były ciemniejsze niż blady tors, z którym się zetknęły. Skóra Zeriti miała niegdyś brązowy odcień, ale długie przebywanie w podziemnej krypcie nadało jej niezdrową ziemistą barwę. Jak dawno nie widziała już promieni słonecznych...

Była osłabiona. Długie godziny koncentracji i magicznych inkantacji wysały z niej niemal całą życiową energię, a w głowie wciąż wirowało od przebywania w duszącym dymie kadzideł. Musi odzyskać siły, przewyciężyć słabość ciała, teraz, zanim pozwoli sobie na sen...

Pracowała wszak bez wytchnienia. We dnie wędrowała niezliczonymi labiryntami innych sfer egzystencji, zawierając konieczne sojusze z nieznanymi mocami, przygotowując kanały przepływu mocy, jak stygijski chłop kopiący irygacje, by użyźnić swe spieczone słońcem grunty. A w nocy – o ile tu, w krypcie, można było dzielić czas na dnie i noce – w nocy spała jak inni... jak prości chłopci, dworacy czy rzemieślnicy... choć bardziej jak starożytni kapłani i faraonowie w jej ojczystej Stygii – w przejmujących chłodem ciemnościach katakumb, czy jak inne, jeszcze starsze istoty, spoczywające przez lata, wieki, eony, nim ktoś wreszcie odważy się jej zbudzić.

Jej spoczynek był jednak inny – Zeriti śniła... śniła wiele snów w tym samym czasie, śniła sny, które, przeraźliwie realne, wzbijały się na skrzydłach nocnego wiatru jak nietoperze lub ćmy i znajdowały wrota do świata na jawie, by tak jak ćmy złożyć swe jajeczka w umysłach zwykłych śmiertelników. Tam miały wykluć się i dojrzeć jak białe larwy i odbyć dalszą drogę ku pewnemu miastu i pewnej dynastii, na której ciąży klątwa. Ku małemu, nieszczęsnemu bękartowi, który, choć z nieprawego łoża, pojawił się na tym świecie z bardzo konkretnym piętnem przeznaczenia.

Teraz jednak odpoczynek. Za wszelką cenę musi odzyskać utraconą energię. Ledwie powłócząc nogami, podeszła ze świecą w dłoni ku ciemnemu zakamarkowi krypty, oświetlając skałę z wyraźnie widocznymi żyłami saletry, podobnymi do siwej brody, po których spływały migoczące w blasku ognia krople gorzkiej wody. Tam gnieździły się nietoperze. Ponad stosem cuchnących czerwono-brązowych odchodów zwiślało spore stado małych ostrouchych istot, niczym kiść dziwnych, pokrytych futrem owoców.

Moji mali posłańcy – pomyślała – źródło mojego życia.

Zeriti sięgnęła w górę i oderwała od sufitu najtłustszego z nietoperzy. Pozostałe poruszyły się nerwowo, z pewnym niepokojem, ten zaś, którego chwyciła, trzepotał się z przerażeniem w jej dłoniach, wydając wibrujące, przenikliwe dźwięki. Uciszyła go, tłumiąc jednocześnie próby oporu, gdy zacisnęła mocniej pięść więżąc jego głowę. Poczwała tylko drobne kły raniące jej dłoń.

Drżąc ze zniecierpliwienia, uniosła swego więźnia ku ustom i wbiła chciwie zęby w pokryte futrem ciało. Poczwała wpierw słony smak potu zwierzęcia, które odbyło wszak długą nocną podróż, potem zaś słodki smak jego krwi. Chłonęła życiodajną energię, ssąc i połykając zachłannie, aż poczuła się syta, a jej ofiara przypominała pusty worek choć wciąż żywy, przynajmniej w tym momencie. Odrzucony precz, nietoperz poczołgał się ku swym pobratymcom, próbując resztką sił ukryć się pomiędzy nimi. Przeżyje czy nie – to nie było istotne. Jeśli tak, usadowi się gdzieś w głębi stada i znów kiedyś posłuży za pokarm, gdy nadejdzie ponownie jego kolej. Jeśli nie – były przecież inne... i jeśli nie ten, to one zanoszą jej moc w uśpiony nocny świat. Bo ich krew była jej krwią, była jednością z całym stadem, a jej wola wraz z mistycznymi więzami krwi była niesiona dalej i dalej. Jeśli któryś z tych małych posłańców ukąsi drapieżnego ptaka, on również znajdzie się pod jej panowaniem, jego wzrok stanie się jej wzrokiem, a jego szpony będą służyć jej woli.

Ogarniało ją przyjemne poczucie senności, skierowała więc kroki ku przeciwległej ścianie krypty, ku znajdującemu się tam kamiennemu sarkofagowi. Był typowym grobowcem z jej ojczyzny – pokrytym jaskrawymi wzorami, płaskorzeźbami i złotem. Tylko gdzieś tam z blaskiem tego bogactwa kontrastowały ciemniejsze pasma, a wieko zdobiła kamienna głowa kota. Zeriti wstąpiła weń i wpasowała swe ciało w miękki materiał całunu. Dopiero teraz, skrzyżowawszy ręce na piersiach, zamknęła oczy i pogrążyła się w świecie snów.

III

PLAGA ZŁYCH SNÓW

Otoczone murami miasto Baalur, leżące pomiędzy pyrrhenieński – mi wzgórzami, wyglądało jak ośmiokątny amulet spoczywający na piersiach kobiety odzianej w zieloną suknię. Żyzne doliny i zbocza wzgórz, bogato nawadniane przez deszcze oraz topiący się śnieg z leżących dalej gór, czyniły ziemię podległą Baalur najbardziej urodzajnym zakątkiem Shem. A należało też dodać do tego bogactwo czerpane z handlu dzięki karawanom podążającym z południa, od gór stanowiących naszyjnik z pereł na szyi kobiety. Pieniądze z potężnych imperiów południa przepływały wartkim strumieniem przez miasto ku północy, a drugi podobny strumień płynął w przeciwnym kierunku.

Mimo to Baalur, gdy Conan dotarł wreszcie do jego granic, zdawało się dotknięte jakimś ponurym czarem. Wielka północna brama była zawarta głucho, a opryskliwe, podejrzliwe straże zadawały mnóstwo pytań, nim wreszcie niechętnie wpuściły podróżnika i towarzyszące mu kobiety do środka.

Wąskie uliczki miasta były zatłoczone przez ludzi o smutnych, wynędzniałych twarzach i w ponurych nastrojach. Całe miasto wydawało się pogrążone w jakimś trudnym do zdefiniowania mroku.

Conan spodziewał się tego. Ta ponura i smutna podróż na południe została mu już jednak przepowiedziana. Teraz nie miał już najmniejszych wątpliwości, że przeznaczone było mu przybyć do tego miasta, źródła prześladowających go przeczuć... a przynajmniej pierwszego stopnia na drodze, którą musiał przebyć.

Sceptyczny Cymmerianin raczej nie wierzył w sny i prorocze wizje. Na ogół najmniejszy nawet objaw nadnaturalnej mocy powodował u niego przemożną chęć odwrócenia się na pięcie i podążenia w przeciwnym kierunku. Ale te ostatnie nocne wizje, dotyczące bądź co bądź jego byłej kochanki, dotyczyły też poniekąd jego, a dokładniej pewnej nie zamkniętej do końca sprawy.

Nie był więc specjalnie zaskoczony, nie zamierzał też na razie zawracać, nawet gdy ujrzał czarne sępy krążące nad centrum miasta, wysoko nad samym królewskim pałacem.

Lilith i Thelia zupełnie nie przejmowały się panującą tutaj atmosferą przygnębienia, zachwycając się bogactwem miasta i pogodą. Nastroje dziewczyn poprawiały się z każdym dniem, z którym oddalali się od Koth. Północne królestwa były dla nich najwyraźniej za chłodne, zarówno jeśli chodzi o klimat, jak i temperament ludzi. Teraz zaś z entuzjazmem przyglądały się bogato odzianym mieszkańcom Baalur, minaretom o złoconych kopułach oraz wysadzonym klejnotami oknom świątyń. A ich wesołe okrzyki i śmiechy dochodzące z końskich grzbietów, jak również niezwykła skwapliwość, z jaką pozbywały się zbędnych fragmentów odzieży, przyczyniały się nieco do rozproszenia panującego wokół mroku, przynajmniej w najbliższej okolicy.

O ile dość energicznie poganiały Conana, kiedy przejeżdżali przez targ niewolników, o tyle gdy dotarli do dzielnicy rozrywki, musieli zatrzymać się na dłuższy postój. Ulice pełne fakirów, sztukmistrzów i przekupniów, choć dziś nieco mniej gwarne i wesołe, odzyskały część swego blasku przy ich obecności.

Conan pożegnał się z kobietami w pełnej gości karczmie, darując im sporo grosza i obietnicę rychłych odwiedzin. W ramach przyszłego posagu dorzucił też konie, na których tu przyjechały. Pozostawiwszy w bezpiecznej stajni własnego wierzchowca, wyszedł na miasto, by ocenić sytuację.

Od karczmarza w następnej dość popularnej gospodzie, gdzie często stawali przejeżdżający przez miasto kupcy – podpitego nieco Shemity, który doprowadził się do tego stanu, sącząc swoje własne trunki – Conan dowiedział się nieco o wydarzeniach ostatnich dni. Krążyły plotki, że w mieście pojawiła się jakaś dziwna zaraza – plaga złych snów. Zaczęło się, jak mówiono, od choroby księżniczki Ismai, ukochanej przez mieszkańców przyszłej legalnej dziedziczki tronu. Pierwszym wieściom o chorobie dziecka od razu towarzyszyły plotki o

truciźnie albo złych urokach. Potem zaś choroba zaczęła się rozprzestrzeniać, dotykając najpierw tych, którzy osobiście stykali się z księżniczką i byli w łaskach rodziny panującej. Chorzy krzyczeli i rzucali się w łóżach przez całe noce, trapieni bez ustanku przez najgorsze z możliwych koszmarów. W dzień odyskiwali przytomność, ale byli coraz bardziej wyczerpani i otumanieni brakiem snu. W miarę upływu kolejnych dni stan chorych pogarszał się, dochodziło nawet do napadów szaleństwa podczas straszliwych nocy i niemal całkowitej utraty świadomości w dzień. Cierpiący szukali wypoczynku i snu, a zarazem resztkami sił bronili się przed nim, gdyż każde zamknięcie oczu przynosiło kolejne tortury dla ich umysłów. Teraz zaś, jak wyjaśnił Conanowi pijany oberżysta, choroba przechodziła z najwyższych kręgów arystokracji Baalur ku niższym grupom społecznym, dotykając na przykład młodszych oficerów gwardii. Na pewno dotknęła też królową Rufie i króla Aphratesa, którzy ostatnimi czasy nie opuszczali pałacu. Chociaż urzędnikom dworskim zakazano mówić komukolwiek o zarazie, zaczęli na nią chorować także zwykli ludzie, a sny, jaki mieli, wystarczały, by być pewnym, że jej pochodzenie jest demoniczne. Zresztą zaraza była tylko jednym z szeregu złowróżbnych znaków, takich jak na przykład czarne ptaki krążące nad miastem. Mówiono, że księżniczka jest pogrążona w głębokim delirium, a jej umysł przeżywa tortury w nocy i za dnia. W mieście nikt nie sprawował teraz władzy, a Baalur, w zależności od tego, komu wierzyć, stało na skraju upadku lub wojny domowej.

– O czym oni wszyscy śnią? – spytał Conan.

– Och, to zależy kto? – Karczmarz dotknął wskazującym palcem po kolei obu uszu, aby odpedzić zły omen. – Ja osobiście tylko raz ujrzałem jakby cień jakiejś demonicznej krainy, dzięki za to Mardurowi. Gdybym ujrzał coś więcej, nie opowiadałbym o tym wszystkim tak beztrąsko. – Ściszył głos do szeptu. – Ale wszyscy wspominają o jednym, o odzianej w skórę diabelskiej wiedźmie, która kusi ich i znieważa w snach, o jakiejś nekromantce. – Pokręcił z zadumą łysą głową. – Uliczni prorocy mówią, że to zemsta, mroczne przeznaczenie, które sprowadziła na siebie i nasze miasto królowa Rufia, kara za grzechy jej przeszłości. – Rozejrzał się po pustej gospodzie i dokończył konspiracyjnie: – Widzisz, cudzoziemcze, nim poślubiła naszego króla i została wyniesiona ponad harem, nikt nie wie, co robiła.

– Hmmm – Conan był zaskoczony, że ten człowiek tak wiele mówi o swych władcach cudzoziemcowi. Zdaje się, że podobne rzeczy plotły teraz wszystkie języki w Baalur, teraz, w godzinie próby Cymmerianin przemógł chęć oblania łysej głowy oberżysty zawartością swojego pucharu – Opróżnił go jednak jednym haustem i podziękował, rzucając srebrną szklę. Wyszedł.

Niedługo zajęło mu znalezienie drogi do dzielnicy rządowej i otoczonego niskim murem pałacu. Tutaj uliczki były niemal zupełnie opustoszałe, więc miejsce wydawało się spokojne, prawie beztrąskie. Jednak aby popatrzeć na krążące wysoko sępy, wystarczyło zadrzeć głowę. Conan nie miał pewności, czy pozwoli mu wejść do pałacu. Zewnętrzna brama wyglądała solidnie – sporządzona z połączanego żelaza, ozdobiona płaskorzeźbami ziejących ogniem smoków. Podszedł ku niej, stąpając po szerokich stopniach schodów i przytknął twarz do znajdującego się na wysokości oczu otworu. Z drugiej strony pojawiło się zmęczone, ozdobione hełmem oblicze. Zanim zdołał otworzyć usta, wrota uchyliły się, a okryta złotym odzieniem ręka zaprosiła go gestem do środka.

– Ty jesteś tym, którego zwą Conan, czy tak? – spytał go uzbrojony kapitan gwardii, gdy tylko wkroczył na wyłożony marmurem dziedziniec.

– Dlaczego pytasz? – spojrzał czujnie na trzech stojących obok żołnierzy, kiedy brama zatrzasnęła się za nim. – Przecież doskonale znasz odpowiedź.

– Chodź za mną, barbarzyńco. – Oficer uprzejmie pochylił głowę. – Zawiadomię Jej Wysokość o twoim przybyciu.

Z ozdobionego winoroślą dziedzińca Conan wkroczył w labirynt korytarzy i komnat pałacowych. W samym centrum pałacu zaskoczył go inny, wewnętrzny ogród, daleko bardziej nasłoneczniony i znacznie piękniejszy niż ten na dziedzińcu zewnętrznym. Stał pomiędzy obsypanymi kwieciami krzewami i marmurowymi fontannami. Natychmiast podbiegły doń dwie młode dziewczyny odziane w luźne przezroczyste szaty i powiodły go ku zacienionej ławce obok jednego z pełnych wody basenów. Zadały o gościa, przynosząc chleb, ser i wino. Były młode, uległe, przygotowane do dawania mężczyznom rozrywki i rozkoszy, ale nawet one nie mogły ukryć aury zmartwienia i niepokoju, którą Conan natychmiast wyczuł. Gdy wróciły ze złotymi tacami i posrebrzаныmi pucharami, siadły obok niego i

śmiejąc się radośnie próbowały karmić go i poić winem, wlewając je wprost w jego usta. Ledwie jednak zaczęły tę zabawę, ich wesoły chichot nagle ucichł. Do ogrodu wkroczyła wysoka, dostojna postać, a kobiecy głos przemówił rozkazująco:

– Wystarczy, dziewczęta, możecie już wrócić do haremu. Dziękuję za umilenie czasu naszemu gościowi.

Królowa Rufia podeszła bliżej. Ophirskie rysy jej twarzy wyglądały jak zwykle pociągająco.

– Witaj, Conanie. Dawno się nie widzieliśmy.

W tym czasie Rufia nabrała dostojności i manier prawdziwie królewskich. Jej ozdabiana złotymi haftami togę okrywał jedwabny płaszcz, a rude włosy były wysoko upięte i związane złotą wstążką. Stroju dopełniały złote trzewiki ozdobione rubinami. Zaprawdę emanowała z niej królewska potęga i dostojność. Kiedy wyciągnęła ku niemu rękę, Conan w pierwszej chwili nie wiedział, co zrobić. Nie wstając z ławy, ucałował ją, choć nie w zewnętrzną część, ale w miękkie, pachnące wnętrze. Nie cofnęła dłoni. Usiadła na ławie obok.

– Wciąż masz dużo tupetu, włóczęgo. – Przeciągnęła koniuszkami palców po jego twarzy – I niewiele się zmieniłeś, nie licząc kilku nowych blizn.

– Twoja gwardia pałacowa poznała mnie od razu – odparł, puszczając jej dłoń. – Od dawna mnie szukasz?

– Dopiero wczoraj wydałam rozkaz kapitanowi Furio, aby cię odnalazł – wyjaśniła Rufia. – Powiedziałam, by wysłał ludzi na wschód do Khorai, bo plotki głosiły, że tam można cię zastać. Podobno dowodziłeś tam armią i odniosłeś zwycięstwo pod Shamla Pass.

Conan zmarszczył brwi, jakby szukając w pamięci tego wydarzenia, a potem roześmiał się.

– To było ponad rok temu! Dawno już o tym zapomniałem. Byłem generałem w Khorai przez jakiś czas.

Rufia spojrzała nań badawczo.

– Yasmela, tamtejsza królowa, była wielce zadowolona z twoich usług... jak mi powiedziano.

Conan uśmiechnął się.

– Tak, to prawda, ale jej łaski nie były wieczne. Dużo potem podróżowałem – do Turami, Hyrkanii, żeglowałem przez Vilayet. I dalej na wschód do Vendhii. Potem byłem też na pustyniach Stygii i w Czarnych Królestwach południa.

Teraz z kolei Rufia uniosła swe piękne brwi, ze zdziwieniem... lub niedowierzaniem.

– Czy to znaczy, że zostałeś handlarzem niewolników? Straż miejska doniosła mi, że przybyłeś tu w towarzystwie dwóch kobiet.

– Masz na myśli Lilith i Theli, moje wesołe przyjaciółki z Koth. – Conan roześmiał się beztrudno. – Nie, one po prostu zachwyciły się twoim miastem i postanowiły tu osiedzieć. Gwarantuję, że w ciągu miesiąca opętają dwóch tłustych kupców i wkrótce będą miały ich pod sandałem razem z ich haremami i wielbłędami. – Wytrzymał bez mrugnienia spojrzenie Rufii. – To mi przypomina dawne czasy...

– Jesteś taki sam, jak zawsze – powiedziała wreszcie królowa. – Jak zawsze gonisz za kobietami.

– A jak się miewa nasz stary przyjaciel Mazdak? – przypomniał sobie Conan – Słyszałem, że jest teraz królem w Asgalun, tam, gdzie go zostawiliśmy zbierającego resztki posiekanych najemników.

– A tak – powiedziała Rufia. – Jest zresztą wiernym sojusznikiem mojego męża, chociaż nie widziałam go ani razu od tamtej chwili. Ponoć przekopał kanał od rzeki i otworzył port dla morskiego handlu. – Rufia potrząsnęła głową, jakby odganiając natrętne wspomnienia. Po krótkiej chwili milczenia odezwała się znowu. – Czy to tylko szczęśliwy przypadek, że znów zawitałeś w te strony? – Tak, przypadek... i sny – powiedział Conan, obserwując ją. – Nie tylko wy, tu w Baalur, macie kłopoty ze snaniem.

Spuściła oczy.

– A więc to nie jest zbieg okoliczności, że pojawiałeś się w moich ostatnich snach. Prawdopodobnie istnieje jakiś cel... – Chwyciła jego dłoń. – Conanie, modliłam się, abyś tu przybył! Wraz z Caspiusem, mędrcom, złożyłam ofiary w świątyni!

– Mam nadzieję, że Mitrze, a nie któremuś z tych shemickich bogów o rybich twarzach... albo Cromowi... chociaż jego świątyniami są góry. – Conan kiwnął głową w kierunku ośnieżonych szczytów na północy. – Ale ty nigdy nie byłaś przesadnie

pobożna, o ile pamiętam. Zaiste, potrzeba musi być wielka.

Rufia spojrzała nań z niemym błaganiem w oczach.

– Moja córka Ismaia! Nasze jedyne dziecko. – Zawiesiła głos niemal niezauważalnie – Moja i Aphratesa. Obawiam się, że ona umiera, Conanie, a wraz z nią prawdopodobnie cały zamek, całe nasze miasto!

– Słyszałem plotki o pladze koszmarów – powiedział Conan. – Sam nawet śniłem w Koth. Widziałem cię w dużych kłopotach. Ale nie rozumiem wszystkiego, co pojawia się w tych snach.

– Ja też nie – przyznała gorzko Rufia – ale, jak możesz sobie wyobrazić, jestem zrozpaczona i mój mąż król również. Nasze dziecko powoli usycha, a my spędzamy bezsenne noce, obserwując jej cierpienia, i słuchamy przerażających, mrozących krew w żyłach opowieści innych chorych, wyobrażając sobie, co ona widzi, co jej grozi. Moja bezsenność jest zupełnie naturalna – niepokój matki. Cóż za diabelskie okrucieństwo dotyka tego dziecka! – Z jej ciemnego oka wypłynęła łza, wolna, wahająca się, jakby pochodziła z dawno wyczerpanego już źródła.

– Ale jedną rzecz widziałem na pewno. – Conan położył dłoń na drżącym ramieniu królowej – Widziałem tę nieśmiertelną wiedźmę Zeriti. I nie wątpię, że ona jest tego częścią.

– Słyszałam o tym – przyznała Rufia drżąc, tym razem nie z powodu płaczu. – Czy wyglądała tak jak wtedy?

– Tak. Jak demon prosto z Sheol... albo jakiegokolwiek otchłani, gdzie teraz przebywa. Nie wiem, czy miecz Imbalayo zostawił bliznę na jej ciele. Była cała odziana w skórę, jak kat w stygijskim więzieniu.

Rufia zamyśliła się głęboko.

– Któż by pomyślał, że wiedźmę tak trudno będzie zabić?

– Myślisz, że udała się na południe i tam przygotowała te zaklęcia? – spytał Conan.

– Możliwe... o ile wciąż jeszcze stąpa po ziemi. Pochodzi z pradawnej rasy, Stygijczycy zawsze mieli konszachty z demonami i wielką wiedzę. Jeśli zmieniła się w półboga albo chociaż została kapłanką Seta, jej moc jest znaczna. O ile dobrze rozumiem te rzeczy, ona może nie przebywać tu, w naszym świecie.

Conan skrzywił się, niezadowolony z tematu rozmowy.

– Jeśli chcesz zabić ją ponownie, radzę ci, znajdź sobie jakiego kapłana... albo maga, jeżeli odważysz się jakiemuś zaufać. Ja nie umiem czarować i nie mogę zabić czarownicy.

– Ale mimo wszystko, Conanie, możesz pomóc nam w inny sposób. – Piękna twarz Rufii ponownie przybrała błagalny wyraz. – Jeśli zechcesz. Medyk mojego męża, Caspius, dokładnie przestudiował ten problem. Proszę, spotkaj się z nim. – Wstała z ławki, trzymając go za rękę. – Chodź, muszę wracać do mojej córki. Teraz jest przy niej Aphrates, więc spotkasz się także z nim. Jedno z nas albo medyk jest zawsze przy łożu dziecka.

Powiodła go przez ogród, a potem przez korytarz z marmurowymi kolumnami. Przebyli długie spiralne schody, jedne z wielu, jakie Conan widział w tym wielkim pałacu, a potem, po przejściu przez zwieńczoną hakiem bramę, wkroczyli na jeden z krużganków we wschodnim skrzydle pałacu. Strażnicy stojący w niedbałych pozach na posterunku natychmiast wyprostowali się na widok królowej, pobrzękując bronią i zbrojami.

– Jak w tak piękny, jasny dzień – spytała Rufia – może oddziaływać mroczna magia?

Przysłoniła oczy przed blaskiem słońca, spojrzała w górę i wskazała czarne punkty krążące nad ich głowami.

– Te ptaki nie są istotami z tego świata. Nigdy nie lądują, przynajmniej za dnia, nigdy nawet nie zniżają się na tyle, by można im się dokładnie przyjrzeć.

– Może nie ma w nich życia i nawet nie są materialne? – powiedział Conan.

Podszedł do jednego ze strażników i nim ten zdołał zareagować, ściągnął drzewce łuku z kołczana na jego plecach..

– Wasza Wysokość... – zawahał się mężczyzna, jednak gdy królowa skinęła głową, opuścił pikę. Z sakwy przy boku wyciągnął posłusznie cięciwę łuku i ochraniacz na rękę. Po założeniu naramiennika Conan wyprostował cięciwę i starannie przymocował ją do niższego krańca łuku. Przystąpiwszy przez tak stworzone V, zgiął drzewce, jednym potężnym pociągnięciem opierając je o swój tors. Sprawdził napięcie założonej cięciwy i wziął strzałę podaną przez strażnika.

– Uważaj chociaż, gdzie spadnie twoja strzała – powiedział ten wyniośle. – To

jest niemożliwy strzał. Nawet bym nie próbował na twoim miejscu.

– Bo ty byś nie trafił, nawet gdybyś był wypoczęty i miał jasny umysł.

Conan wycelował prosto w górę i lekko naciągnawszy cięciwę na całą długość strzały, puścił ją. Szybujący pocisk zniknął w blasku słońca. Kilka chwil później do ich uszu dotarł wysoki, wibrujący skrzek, a w polu widzenia pojawił się spadający czarny kształt. Uderzył w czerwony dach jednego z pałacowych budynków. Z miejsca, w którym stali, mogli mu się dokładnie przyjrzeć, a chwilę później także poczuć jego smród – zgniłe, poszarpane ciało, przebite przez strzałę, naga, czerwona głowa padlinożercy, biały dziób, kości wystające z rozkładającego się, dawno już martwego ciała. A teraz, kiedy zwłoki uderzyły o ziemię, wraz ze zgniłymi wnętrznościami wysunęły się z nich małe wijące się robaki – białe larwy... śmierć zjadająca śmierć.

– Ohyda! – Rufia odwróciła twarz z najwyższym obrzydzeniem i podażyła w stronę otwartych drzwi przed nimi. – Czy był martwy już wcześniej, czy zgnił spadając na dół? – zastanawiała się – To jakby pokaz specjalnie dla nas. Cóż za nieludzkie paskudztwo!

– Może Zeriti nigdy nie była w pełni człowiekiem – mruknął Conan pod nosem.

Oddał łuk strażnikowi i podażył za królową.

Po następnych spiralnych schodach zeszli pół piętra, mijając obronne otwory w ścianach. Wreszcie stanęli przed kolejnymi drzwiami, prowadzącymi do sypialni. Pośrodku tej komnaty stało zasłonięte firanami łóżko, na które, przez szerokie okno, wychodzące na wewnętrzny dziedziniec padały jasne promienie słońca.

– Moja malutka, czy coś się zmieniło? – Królowa pospiesznie podażyła do łóża, przechodząc obok siwobrodego człowieka o zmęczoną twarz, odzianego w białe szaty medyka. Otoczył ją opiekuńczo ramieniem i razem podeszli, by przyjrzeć się maleńkiej figurce spoczywającej w pościeli.

– Żadnej zmiany. Jest tak, jak przedtem – wyszeptał siwobrody. – Teraz odpoczywa. Chwilami budzi się z transu. Raz byłem pewien, że wiedziała, gdzie się znajduje, ale nie przemówiła ani słowa.

– Na Mitrę, a mnie tu nie było! Ale dziękuje ci, Caspiusie. – Delikatnie uścisnęła rękę medyka. – To jest Conan – dodała. – Pomógł mi już w przeszłości. Może nasze modlitwy przyniosły skutek. Wie też co nieco o snach.

Starzec odwrócił się i wyciągnął dłoń ku Conanowi. Jego ręka była sucha i pomarszczona, ale uścisk mocny, zdecydowany.

– Widzę, że jesteś mężczyzną o znacznej sile i silnej woli... wypoczętym i czujnym. Teraz to cenne zdolności.

– Caspius i mój mąż, król Aphrates. A to jest Conan z Cymerii. – Rufia skłoniła się lekko, zwracając się z szacunkiem do wysokiego, smagłego mężczyzny o starannie przyciętej brodzie, który właśnie powstał ze znajdującego się w zacięzionym rogu pokoju krzesła. Jego strój, choć starannie skrojony, był nieco wymięty, a składał się nań zielony kaftan wyszywany złotymi ściegami, także spodnie i bawełniane pantofle. Czarne, przyprószone siwizną włosy ozdobione były prostym złotym diademem ze szmaragdem wielkości laskowego orzecha.

– Witaj przybyszu z północy. – Król podszedł bliżej, a jego twarz miała poważny wyraz. – Dobrze wyglądasz, w odróżnieniu od większości moich oficerów. Moja żona twierdzi, że można ci ufać. Jeśli Caspius stwierdzi, że możesz być dla nas pomocny, i zgodzisz się tego dokonać, zostaniesz hojnie wynagrodzony. – Aphrates skinął głową, nie zatrzymał się jednak ani nie wyciągnął dłoni. Minał bez dalszych słów całą trójkę i opuścił komnatę.

– Jest nieugiętym władcą – powiedziała Rufia, bardziej do siebie niż do któregoś z mężczyzn – również w tej godzinie próby. A to... to jest nasza córka, Ismaia.

Conan podażył za Rufią w stronę łóżka i spojrział na jasnowłose dziecko, piękne, ale przerażająco kruche i wątłe. Przez przezroczyste firany jej twarz zdawała się niemal przezroczysta, a kiedy je odsłonili, nie wyglądała dużo lepiej. Spomiędzy bladych warg wydobywał się płytki oddech, a nieprzytomne, półprzymknięte oczy błędziły teraz po świetle niedostępnym dla śmiertelników. Szczipłymi rękami dziecka, ukrytymi pod cienką jedwabną kołdrą, wstrząsały dreszcze.

Ukradkowo, jakby z poczuciem winy, królowa chwyciła tę małą dłoń i ścisnęła ją kurczowo. Twarz dziewczynki obróciła się słabo w stronę matki. Oczy dziecka odnalazły oblicze królowej, potem spoczęły na twarzy Conana. Przez moment spojrzała przytomniej, jakby znów odnalazła drogę do realnego świata, ale zaraz jej oczy znów rozszerzyły się w przerażeniu – jakiś nowy lewiatan wpłynął na

czarny ocean jej snów.

Westchnienie, czy może raczej szloch, wyrwał się ze ściśniętego gardła królowej.

– Widzisz, jak ona cierpi? – Przywarła do ciała córki, klęcząc na jedwabnym dywaniku u wezglowia łóżka. Spojrzała błagalnie na Cymmerianina. – Jeśli możesz nam pomóc, Conanie... to będzie większe zwycięstwo... większe niż jakikolwiek militarny sukces na górskiej przełęczy. I bardziej je wynagrodzimy. – Przeniosła wzrok z jego twarzy na bladą twarzyczkę dziecka. – Ja muszę zostać tu, przy Ismai. Powinniście teraz wyjść obaj z Caspiusem i porozmawiać. Ona jest bardzo niespokojna. Boję się, że jeśli dotrze do niej coś z waszej rozmowy, może przerazić się jeszcze bardziej.

– Chodź! – Caspius odwrócił się w stronę wyjścia, wskazując je gestem Conanowi. Gdy wyszli na korytarz, zwrócił ku Cymmerianinowi zmęczone spojrzenie.

– Co za tragedia. Mała księżniczka jest naszym skarbem. To jest takie bystre dziecko i takie wesołe... było, aż do czasu tej choroby. – Potrząsnął głową, walcząc z całych sił z sennością. – Przyjemnie było na nią spojrzeć – dodał, patrząc badawczo na Conana – chociaż niektóre szczegóły jej urody są doprawdy niezwykle, na przykład te błękitne oczy, których nie ma żadne z jej rodziców.

– Jej matka jest prawdziwą pięknoscią – odparł Conan, podążając przez hol za swym przewodnikiem.

– O, tak – zgodził się Caspius, oglądając się przez ramię. – Znałeś królową Rufie, nim przybyła do Baalur, nim znalazła się w królewskim haremie. Niecały rok później urodziła naszemu bezdzielnemu królowi dziedziczkę i to dało jej koronę.

– Ona widziała tutaj dla siebie wielkie perspektywy – przytaknął Conan. – Dla mnie osobiście było tu za tłoczno, więc się stąd wyniosłem.

– Oboje przybyliście tu z Asgalun, uciekając przed wojną domową. – Caspius doszedł do spiralnych schodów i wskazał gościowi drogę w dół.

– To prawda, w Asgalun było wtedy gorąco – zgodził się Conan. – Większość szlachty i oficerów najemników poległo w boju, a miasto stanęło w płomieniach. – Conan nie wiedział, do jakiego stopnia może sobie pozwolić na szczerość z Caspiusem. Nawet nie miał zamiaru mu wspominać, że w każdym nadmorskim mieście ryzykuje głową, jeśli ktoś rozpozna w nim krwawego pirata Amrę.

– Ale Mazdak, który teraz rządzi w Asgalun, był twoim przyjacielem – kontynuował Caspius. – On i nasz król są ostatnimi czasami sojusznikami.

Tak – pomyślał Conan – i Mazdak wciąż prawdopodobnie pożąda żony swego sąsiada. Zastanawiał się, czy ktokolwiek wie, że Rufia była kiedyś własnością Mazdaka. Ale głośno odpowiedział:

– Zabrałem stamtąd Rufię dla jej bezpieczeństwa.

– Zostawiając czarownicę Zeriti – uzupełnił Caspius. – Martwą, ale wciąż pełną zazdrości.

Doszedłszy do końca kręconych schodów, siwobrody starzec wskazał Conanowi nachylony w dół korytarz. Cymmerianin musiał pochylić głowę z uwagi na niski strop.

– Zdaje się, że z nią też cię coś wcześniej łączyło...

– Zrozum mnie dobrze, Caspiusie – zwrócił się Conan do zmęczonego może, ale wciąż czujnie obserwującego go mędrca. – Ta wiedźma nie jest zazdrosna o mnie. Mam zwyczaj nie zadawać się z takimi jak ona, jeżeli to ode mnie zależy. Nigdy zresztą jej nie widziałem, dopiero w godzinie jej śmierci, albo raczej czego innego... jak wnioskuje z twoich pytań. I wciąż nie cierpię czarodziejów oraz magii – powiedział z niezadowoleniem w głosie, gdy wkroczyli do ciemnego, pozbawionego okien pomieszczenia, pełnego półek ze zwojami papirusu, starymi księgami oraz różnymi alchemicznymi składnikami i przyrządami, słowem, typowej nory czarnoksiężnika

– Zatem – uzupełnił Conan swój wywód – jeśli Zeriti zżera jakąś zazdrość, nawet teraz, po śmierci, uczucie to dotyczy Akhiroma – szalonego króla Asgalun, który w szczytowym momencie swego szaleństwa przeniósł swe łaski z niej na Rufię. A potem, po śmierci, mogła obserwować, jak jej znienawidzona rywalka zdobyła bogactwo, poważanie i władzę, podczas gdy to, co ona zdobywała przez lata, przepadło w zapomnieniu. Caspius przytaknął.

– Na podstawie rozmów z królową doszedłem do tych samych wniosków. A w dodatku królowa urodziła spadkobierczynię – niewinne dziecko, ukochane przez wszystkich, które teraz jest głównym obiektem nienawiści i gniewu Zeriti. Obsesyjna zazdrość, co do tego nie ma wątpliwości.

Poruszając się powoli w półmroku pokoju, jakby lunatycznym krokiem, mędrzec usiadł na sofie, na której spoczywał w nieładzie wełniany koc.

– Usiądź, Cymmerianinie, zapraszam. Przepraszam za nieporządek. Kiedy to się zaczęło, przeniosłem się tu ze spaniem, aby być bliżej antycznych zwojów, które tutaj, w chłodnej i suchej piwnicy, mniej się niszczą.

– Znalazłeś coś wartościowego w tych rozpadających się papirusach? – Conan spojrział z powątpiewaniem na półki majaczące w ciemnościach. Sięgnął po jedną z ksiąg i przewrócił jej kartki, które zaszeleściły sucho, jak trzcina na wietrze.

– Oczywiście. Proszę cię, uważaj! – Pochylając się do przodu, Caspius podniósł z półki jeden ze zwojów takim ruchem, jakim młodszy i kształcony w walce człowiek wyciągnąłby miecz. – Nasze archiwa są zaprawdę antyczne i dobrze utrzymane. Znalazłem dokładny opis choroby, która dręczy nasze miasto, jak również opis skutecznego, choć bardzo trudnego, sposobu jej wyleczenia.

Siedzący na wysokim drewnianym taborecie Conan zdecydował się na szczere wyznanie.

– Zdarzało mi się już zetknąć z magią tego typu... z białą magią, która ma zwalczać skutki złych czarów. Ale cena płacona za magiczną moc, nawet tak życzliwą, jest zawsze wysoka. Radziłbym być ostrożnym.

– Chętnie słucham twoich opinii, gdyż w tym wypadku masz pewną potrzebną nam wiedzę. Jeszcze bardziej będzie potrzebna nam twoja pomoc, bo przygotowujemy się do bardzo trudnego zadania.

Conan podniósł się niecierpliwie ze stołka.

– Ostrzegam, Caspiusie, nie jestem ani adeptem magii, ani nawet uczniem czarnoksiężnika! Cokolwiek planujecie dla zniszczenia tej nieśmiertelnej wiedzy, lepiej poszukajcie sobie kogoś innego. Ja jestem wojownikiem, mały ze mnie pożytek w wojnie magów.

– Nie, Conanie, nie zrozumiałeś mnie. – Caspius potrząsnął siwą głową, zachęcając gestem dłoni, by Cymmerianin ponownie usiadł. – Wcale nie oczekuję, że stoczysz z Zeriti jakiś magiczny bój. Masz rację, to by było bez sensu. Potrzebujemy twojej pomocy tu i teraz, ale w naszej materialnej sferze. To ma związek z uzyskaniem leku, który pokona zarazę, trzymającą nasze miasto w bezlitosnym uścisku. – Nie mógł powstrzymać się od ziewnięcia. – I mnie także.

Przeciągnął się, próbując zmusić swoje zmęczone stare ciało do dalszego czuwania.

– Męczą cię złe sny? – zapytał Conan. – Nawet ciebie, medyka?

– Zwłaszcza mnie... znacznie gorsze niż cokolwiek, co możesz sobie wyobrazić – odpowiedział Caspius. – Mam przynajmniej taką nadzieję, dla twego dobra.

– Ale mówiłeś przecież, że znasz na nie lekarstwo, niezależne od mocy i woli Zeriti. Czy nie możesz wypróbować go na sobie i złagodzić swych cierpień?

– Znalazłem lekarstwo, to prawda – Caspius rozwinął na sofie zwój papirusu, który wcześniej zdjął z półki. – Plaga snów nie jest czymś zupełnie nowym. Zdarzała się już w przeszłości i starożytne teksty o niej wspominają.

Wyglądził delikatnie zwój, odkrywając litery przypominające alfabet Pelishti, choć zawierał też znaki i symbole, których Conan nigdy przedtem nie widział.

– Koszmary wywołuje czyjaś zła wola – wyjaśnił Caspius. – To jest jak zatruty oddech, przechodzi z jednej osoby na drugą. Może być wynikiem zatrucia albo zaklęcia rzuconego przez biegłego nekromantę, z czym niewątpliwie mamy do czynienia teraz. – Potrząsnął siwą głową – Raz rozpętana, epidemia taka rozwija się dalej poza kontrolą, otwierając umysły śpiących i czyniąc je nieodpornymi na każdy rodzaj mentalnego ataku. – Przesuwając palcami po tekście, Caspius zaznaczał gestem kolejne fragmenty ozdobnego papirusu – Przekleństwa tego typu bywały już w przeszłości używane przez magów, także dla zemsty... o proszę, tutaj. Istnieje tylko jedno lekarstwo, a jest to zioło, którego nie widziano w naszych zbiorach od ponad stu lat. Medykament należy wykonać z płatków srebrnego lotosu.

– Z płatków lotosu? – zapytał Conan z niedowierzaniem. – Przecież wystarczy wyjść na zewnątrz, a znajdzie się tyle lotosu, i to w każdym kolorze, że można by napoić wszystkich w tym mieście. – Roześmiał się głośno. – A zresztą, cokolwiek to jest, można to znaleźć na targu, choćby u przemytników.

Caspius pokręcił przecząco głową, uśmiechając się ze smutkiem.

– Nie myśl, że nie próbowaliśmy. Ci sami agenci, którzy rozesłani po wszystkich wschodnich królestwach, szukali ciebie, mieli też pytać na wszystkich targowiskach i bazarach o lek, o którym mówię. Chociaż szansa była niewielka.

Mędrzec spojrział na ostatni fragment papirusu, wskazując miejsce, gdzie nakreślono prostą mapę, której centralnym punktem była długa niebieska linia,

ostro skręcająca w prawo.

– Według dostępnej nam wiedzy, srebrny lotos jest bardzo rzadkim kwiatem i zbyt delikatnym, by można go hodować sztucznie. Od wielu lat nie pojawił się w handlu w naszych stronach. Jedyne miejsce, gdzie rośnie, leży daleko na południu, w okolicach, których nazwy brzmią przerażająco dla naszych cywilizowanych uszu. – Mędrzec wskazał palcem mapę, i spojrzał wprost w oczy Conana. – A mówiąc dokładnie, Cymmerianinie, kwiat ten rośnie wyłącznie u najdalszych źródeł Styksu!

IV

MISJA

Zaledwie przebrzmiały słowa Caspiusa, Conan wykrzyknął:

– Źródła Styksu! Człowieku, czy ty wiesz, co mówisz? Toż to podróż poza zasięg wszelkich map, ba, nawet legend! I to żeby zrywać kwiatki!

Po raz pierwszy od wkroczenia w mury tego dotkniętego złym urokiem miasta Conan roześmiał się, głośno, gwałtownie, a jego czarne, długie włosy opadły swobodnie na twarz. Medyk przyglądał się ze spokojem temu napadowi wesołości.

– Dlaczego, Caspiusie? – Cymmerianin złapał w końcu oddech. – Żaden człowiek ani nawet legion nie zdoła tam dotrzeć, a tym bardziej powrócić. Na to nie starczy ludzkiego życia! Jeśli twoje starożytne zwoje twierdzą, że lekarstwo można znaleźć tylko u źródeł Czarnej Rzeki, to znaczy, iż mówią, że ono po prostu nie istnieje ... nie w świecie żywych!

Stary medyk w dalszym ciągu zachowywał spokój, przeczekując wybuch swego gościa.

– Tak – odezwał się w końcu – to, co mówisz, może być prawdą. – Rozłożył bezradnie ręce. – Ale i tak postanowiliśmy złożyć ci tę propozycję. Krażą plotki, że dotarłeś niegdyś daleko na południe ... czy nie do górnego biegu Styksu?

Zachmurzywszy się nagle, Conan uderzył dłonią o swe potężnie umięśnione kolano.

– Tak, byłem tam, starcze, dalej niż większość ludzi, wystarczająco daleko, by wiedzieć, że źródła tej rzeki są nieosiągalne dla śmiertelników. – Potrząsnął głową – Byłem nad Styksem ... w dzikich ostępach Puntu i Keshan, w nienazwanych Czarnych Królestwach, które zmieniają co roku swoje granice. Przeprowałem się przez tę przeklętą rzekę, a jest ona szeroka, głęboka i czarna, o tak wartkim nurcie, że nawet najsilniejszy mężczyzna nie zdołałaby przepłynąć jej wpraw. A po tym, co widziałem, sądzę, że źródła, o ile Styks ma takowe, leżą co najmniej o tysiąc mil dalej na południe ... wschód lub zachód... o ile, starcze, ta fontanna bogów nie opada wprost z księżyca. – Conan zmrużył oczy, tknięty jakimiś ponurymi wspomnieniami. – Tam, gdzie przekraczałem Styks, rosło mnóstwo główek lotosu, całe dzungle, ale srebrnych nie widziałem.

Caspus przytaknął, wyraźnie nie był zaskoczony.

– Zatem znasz teren lepiej niż inni, choć nie byłeś tak daleko, jak myślałem ... Ale jeśli chodzi o trudy tej ekspedycji... trochę przesadzasz. Styks to mimo wszystko tylko rzeka... szeroka, głęboka, tym łatwiejszy stanowi drogowskaz, dzięki któremu nie sposób się zgubić. W dolnym odcinku, tam, gdzie płynie na zachód, jest jednym z najczęściej używanych szlaków handlowych, To tylko kwestia odległości.

– Odległości, ha! – przerwał mu Conan. – Mówisz o odległości, siedząc sobie bezpiecznie za tymi grubym murami. Co możesz wiedzieć o odległości mierzonej krokami poprzez kolczaste krzewy pełne jadowitych węży, poprzez pustynie z ich piaskowymi burzami i ruchomymi piaskami? – Potrząsnął niecierpliwie głową. – To ja będę ryzykował życiem w południowych regionach, taki mieszcuch jak ty nie zdołałby nawet dotrzeć bezpiecznie do granic poznanego świata, a za dzunglami i pustyniami są jeszcze większe przeszkody – bagna, katarakty, góry i bogowie jedni wiedzą, jakie potwory lub wojownicze plemiona.

Ciężka pięść Conana opadła na stół dla podkreślenia słów, a moździerz, tłuczki i alembiki zadźwięczały ostrzegawczo.

– Nie, to szaleństwo. Mówię ci, niebezpieczne wariactwo, tak jak urok gnębiący twoje miasto. Jeżeli ta myśl naprawdę tobą owładnie, przyniesie tylko cierpienie i śmierć. Jeśli dysponujesz jakimiś magicznymi sposobami, które umożliwią ci przeniesienie się nad źródła Styksu bez odbywania tej podróży, zrób to, daję ci swe błogosławieństwo, ale nawet wtedy bądź ostrożny. Jeśli zaś nie

dysponujesz taką mocą, lepiej zapomnij o tym pomyśle.

– Cierpienie, mówisz. – Caspius przerwał mu cicho, ale stanowczo. – Obawiasz się cierpienia? Powiedz mi, czy przespałeś kiedyś noc w objęciach koszmaru Zeriti? Takiego, w którym teraz pogrążona jest nasza księżniczka? – Stary medyk uśmiechnął się gorzko. – Bo ja myślę, że większość żołnierzy i oficerów z Baalur zgodziłoby się chętnie popłynąć wpław pod prąd Styksu aż do źródła, jak łoś w czasie tarła, byle nigdy nie doświadczyć czegoś podobnego... I wcale im się nie dziwię. – Przetarł zmęczone oczy. – A jeśli idzie o ciebie – kontynuował – ty znasz tamte rejony prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek. Królowa Rufia zaręczyła za ciebie, a twoja sława jako dowódcy i awanturnika przekonuje mnie, że z trudem oparłbyś się pokusie, by podjąć się takiego przedsięwzięcia, które oprócz sławy przyniesie ci też wielkie bogactwo za usługi oddane naszemu miastu. Zdaje mi się więc, przyjacielu, że ślepy los już rzucił za ciebie monetę.

Conan spojrział na niego bystro, odgarniając z czoła swą ciemną czuprynę. Jego wzrok był teraz czujny i nieco zawzięty.

– Więc powiedz, Caspiusie, dlaczego mi ufasz, dlaczego królowa mi ufa? Bo widzisz, mam stanąć na czele ekspedycji, a tych ludzi, złota i ekwipunku, jakie na nią dostanę, starczyłoby na stworzenie całkiem przyzwoitego małego imperium. Jeśli będę rozporządzał taką władzą, skąd pewność, że w ogóle jeszcze mnie ujrzysz?

Caspius spokojnie wytrzymał spojrzenie Cymmerianina, choć i w jego oczach czaiło się coś na kształt badawczej czujności.

– Zdaje się, że zdarzyło ci się już pomagać królowej i wtedy dotrzymałeś danego jej słowa. Biorąc pod uwagę, że to ona i jej miasto teraz cierpią, a zwłaszcza, że chodzi o jej chore dziecko, które, jeśli przeżyje, założy kiedyś koronę Baalur... – Mędrzec pochylił siwą głowę. – Więzy krwi są silne, a przynajmniej powinny być takie...

Conan poczuł się osaczony, obrzucił medyka nieco mniej przyjaznym spojrzeniem.

– Widzę, że nie musimy bawić się w półsłówka, Caspiusie... Wyłóżmy więc karty na stół. – Rozejrzał się uważnie po tonących w mroku rogach pokoju i ściszył głos niemal do szeptu. – Wiem, co to poczucie odpowiedzialności, nie lubię też patrzeć na cierpienie dziecka... zwłaszcza mojego dziecka. Ale powiedz mi, nawet jeśli to mój dzieciak i kiedyś przypadnie mu tron, czy jej spokojne sny są warte życia setki albo i tysiąca dobrych wojowników? Warte ogołocenia skarbcza grodu? Bo tyle pochłonie twoja szalona wyprawa, i ty o tym wiesz!

Caspius przytaknął ze zmęczonym uśmiechem na twarzy.

– Masz swoje racje. Chociaż złoto nie stanowi problemu. Baalur to bogate miasto. Czerpie duże zyski z handlu i opłat celnych. Król Aphrates jest dość skromny, więc może na zewnątrz nie widać tego bogactwa. Ale zapewniam cię, że jest gotów oddać ostatnią szklę ze swej szkatuły, aby ocalić miasto i trwanie dynastii. I posłałby całą swą armię na spotkanie śmierci.

Podczas tej przemowy starzec ostrożnie nawijał starożytny pergamin na dwie rolki z kości słoniowej.

– A co do wartości Ismai i jej spokojnych snów... oprócz pewnych sentymentów, które powinieneś czuć, i próśb jej matki, pamiętaj, że w ten sposób budujesz przeszkodę na drodze wiedzy Zeriti. Ona rzuciła klątwę na nasz kraj i obrała to niewinne dziecko na cel swych mrocznych czarów, ale nie sądzisz chyba, że na tym kończą się jej plany? Znajac nieco czarodziejów, sądzę, że ma coś znacznie gorszego w zanadrzu, gorszego dla królowej a może i dla ciebie...

Conan przytaknął słowom starca.

– Możesz mieć rację. – Starzał się nie wyglądać na zaniepokojonego. – Powstrzymanie jej zaklęć tu i teraz może zapobiec gorszym cierpieniom i obmierzłej czarnej magii w przyszłości. Tylko czy jesteś pewien, że lotos z legend jest tym właściwym środkiem? – Westchnął z rezygnacją. – Sięgnąłeś po mocne argumenty, Caspiusie.

Wsunawszy pod ramię zwinięty pergamin, medyk powstał ciężko.

– To dlatego, byś starał się przekonać sam siebie, Conanie. Jeśli wyprawa ma się powieść, nie widzę lepszego wodza. Takiego, który miałby większe doświadczenie oraz lepiej rozumiał i doceniał niebezpieczeństwa, jakie spotka na swej drodze.

Podszedł ku drzwiom.

– Czy możemy teraz pójść na górę? Czeka nas audyencja u króla.

– Więc powiedziano ci, barbarzyńco, o szczegółach ekspedycji ratunkowej, której celem jest dostarczenie rośliny leczniczej potrzebnej naszemu nadwornemu medykwowi?

Pytającym był generał Shalmanezer, mężczyzna o twarzy starego capa, odziany w wyszywane złotem szaty, jakie nosili tylko najwyżsi rangą oficerowie Baalur. Był najwyraźniej jedną z ważniejszych postaci pośród zebranych w sali tronowej dostojników.

– Powiedziano mi – Conan zignorował pobrzmiwającą w głosie pytającego pogardę – i moim zdaniem plany jej przeprowadzenia są głupie. To po prostu hazardowa gra, bez szans na sukces.

Generał chrząknął i zwrócił się ponownie w stronę swego rozmówcy.

– Mimo wszystko zdecydowaliśmy się spróbować. Grupa zbrojnych uda się na południe, by zdobyć zioło tam, gdzie ono rośnie, lub kupić je gdziekolwiek indziej – jeśli będą pewni, że jest prawdziwe. Potrzebują jednak przewodnika, kogoś, kto zna te strony. Czy dobrze zrozumiałeś, że ty właśnie nim będziesz?

Conan nie miał zamiaru powtarzać całej dyskusji.

– Jeśli pozwolisz, generale, ilu ludzi zamierzasz tam posłać? Czy zdajesz sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwa są związane z wyprawą?

Shalmanezer nie wyglądał na zadowolonego z faktu, iż mu przerwano.

– Myślałem o dwudziestu, trzydziestu pikinierach, z wierzchowcami i taborem oczywiście. Transport wodny zorganizuje się w którymś z południowych portów, a wielbłądy w razie potrzeby kupi się jeszcze dalej na południu.

– Jeśli ja mam poprowadzić tę ekspedycję – zaznaczył Conan – potrzebuję nie mniej niż pięciuset mężczyzn.

Uwaga wszystkich skierowała się na niego. Nie zmieszał się tym zupełnie.

– Lepiej byłoby, oczywiście, tysiąc. Uzbrojonych po zęby i dokładnie wykwapowanych, aby byli w stanie zapewnić skuteczną ochronę złota i zapasom w razie ataku piratów lub pustynnych rabusiów. Chociaż nawet wtedy ryzyko będzie duże. Będę też potrzebował specjalnych narzędzi, broni oraz cennych towarów na łapówki i handel wymienny. Wodzowie południowych plemion często żądają okupu.

– O czym on bredzi? – Shalmanezer wyglądał na zaskoczonego, taki też wyraz miało jego spojrzenie, którym potoczył po zebranych, nim ponownie skupił wzrok na Conanie. – Proponowałem ci przyjęcie roli przewodnika lub zwiadowcy, ale nie dowódcy wyprawy. Mamy zdolnych oficerów, takich jak kapitan Furio, zdolnych poprowadzić wyprawę handlową. I wcale nie takiej liczną, jak opisałeś. – Wskazał ręką na wąsatego kapitana, stojącego opodal, którego złote szaty bardzo przypominały jego własne. – Kilka tuzinów mężczyzn, kilku dobrych oficerów, w ten sposób najłatwiej osiągniemy cel.

– Jeśli ja mam tam jechać – przerwał mu ponownie Conan – muszę dowodzić, nic innego nie wchodzi w rachubę. Twój oficerowie mogą jechać, ale dowodzę ja! A ekspedycja ma wyglądać tak, jak sobie zażyczę. I nie mówię tu o karawanie handlowej!

– Co? Obcy przybędą, jakiś najemnik miałby dowodzić regularnymi wojskami Baalur? – Shalmanezer wykrzywił usta z nieukrywanym obrzydzeniem. – Czy mamy powierzyć majątek i legion żołnierzy obcemu, który nie ma najmniejszych powodów, by dbać o nasze cele, i któremu brak odpowiedniego doświadczenia? – Zwrócił się ku królowi, jakby chciał uzyskać potwierdzenie. Wciągnął jednocześnie haust powietrza, by przemawiać dalej.

– Dowodziłem już całymi armiami – Conan ponownie wpadł mu w słowo – i byłem już w stronach, w których zamierzacie szukać swojego lotosu. Czy pośród wszystkich podróżników, jacy przebywają teraz w Baalur, znajdziecie takiego, który tam był?

– Zawsze możemy szukać – upierał się Shalmanezer. – Każdy doświadczony podróżnik mógłby poprowadzić...

– Jeśli ktokolwiek może tego dokonać, to tylko ja – oświadczył dobitnie Conan. – Ale muszę mieć niekwestionowane dowództwo i całkowitą swobodę w prowadzeniu misji.

– Zgoda – słowo padło tak nieoczekiwanie a jednocześnie tak cicho, że niemal zostało przeoczone w trakcie kłótni. Jednak już po chwili wśród zebranych zapadła cisza, gdyż tym, który je wypowiedział, był sam król, więc rzecz nie podlegała dalszej dyskusji.

Mimo to generał Shalmanezer spróbował jeszcze raz.

– Sir, byłbym ostrożny przy zawieraniu umów z tym człowiekiem. Taki obcy awanturnik, zwykły włóczęga, może źle użyć władzy i bogactwa, które mu

powierzamy. Czy naprawdę chcemy, aby przysporzył Baalur wrogów w południowych krainach? – Generał podszedł do tronu, wciąż jednak wpatrując się w Conana. – Co gorsza, on może po prostu obrabować i opuścić ekspedycję lub narazić naszych żołnierzy na zbędne niebezpieczeństwa. On nas sprzeda przy pierwszej nadarzającej się sposobności, ręczę za to. Albo zmieni naszych ludzi w piratów i bandytów.

– Wystarczy, generale – przerwał miękko król. – Chyba nie chcesz obrazić człowieka, którego uczyniłem swoim oficerem. Caspius za niego zaręczył, zgadza się, medyku? – Zwrócił się ku starcowi, który potwierdził to uprzejmym ukłonem. – Reputacja i sława Conana jest zadziwiająca i z pewnością wie on, jak dowodzić w takiej sytuacji. Poprowadzi ekspedycję nie gorzej, niż ja prowadzę sprawę tu, w Baalur. A teraz przejdźmy do rzeczy i ustalmy szczegóły!

Conan przestąpił z nogi na nogę.

– Ostrzegam, Wasza Wysokość, ta wyprawa może potrwać miesiące, nawet lata. Lekarstwo, o ile w ogóle je znajdziemy, może dotrzeć tu za późno.

– W tak długim czasie morale i dyscyplina są szczególnie ważne – włączył się bezceremonialnie Shalmanezer – dlatego też nalegam, aby kapitan Furio był zastępcą dowódcy i zadbał o to, oraz aby wszyscy pozostali oficerowie pochodzili z legionu stolicy.

– Dobrze – zdecydował po krótkiej chwili Aphrates. – Pamiętajcie, że szybkość jest najważniejsza, ale dyskrecja jest nie mniej istotna. Niezależnie od zdrowia naszej córki chodzi też o dobrobyt naszych poddanych. Jeśli stanie się powszechnie wiadomym, że w Baalur panuje jakaś zaraza albo że dotknęła je klątwa, karawany będą omijać to miasto i zmniejszą się wpływy z handlu.

– Najbardziej optymistycznym wariantem – powiedział Conan – byłby powrót w dół rzeki przed przesileniem zimowym, nim powódzie uczynią Styks zbyt niebezpiecznym dla żeglugi. – Usiadł na ławie przy tronie, popierając swe słowa gestami, tym gwałtowniejszymi, im dalej zagłębiał się w swe plany. – Moim zdaniem, najlepszym miejscem na zaokrętowanie się będzie Asgalun, niedaleko ujścia Styksu. Władcą jest tam Mazdak, mój stary druh – najemnik.

Wreszcie zaczęli słuchać uważnie. Szczegóły dotyczące kosztów i zaopatrzenia wymagały długiej dyskusji, która przeciągnęła się do późnej nocy. Aphrates był jednak cierpliwy. Uważał Conana za godnego zaufania przywódcę, chociaż ten był niemal pewien, że niewielu oficerów podziela zdanie swego władcy. W ich opinii król popełniał błąd.

Po późnej kolacji, również poświęconej rozmowom, służący powiedli Cymmerianina do pokoi gościnnych, których okna wychodziły na wewnętrzny ogród. Tam oczekiwała go Rufia. Miała na sobie cienką, bardzo nieformalną togę, tak jak to było w jej zwyczaju, gdy odwiedzała pokoje córki.

Kiedy wszedł, natychmiast rzuciła się w jego ramiona, choć Conan wyczuł w jej zachowaniu bardziej troskę o dziecko niż prawdziwe pożądanie.

– Ismaia śpi na razie spokojnie – powiedziała, siadając na łożu u jego boku. – Być może pomogliśmy jej, podejmując działanie. Zgodziłeś się, prawda? – Przytuliła się doń, szepcząc gorączkowo wprost do jego ucha. – Plan Caspiusa jest naszą jedyną nadzieją. Musi się powieść.

Conan spojrział na zamknięte drzwi, zastanawiając się, jakie opowieści już krążą wśród dworaków na temat jego zażyłych stosunków z królową i jakie mogą być tego ewentualne następstwa. Nie odesłał jej jednak.

– Jeśli chodzi o różne kapłańskie czy magiczne sztuczki – powiedział – nie mnie je oceniać. Ale twój mąż i jego oficerowie wybrali działanie, które opiera się na dobrych żołnierzach i porządnej broni. Włączyłem się w to... choć może to głupie.

– Niech błogosławią cię wszyscy bogowie, Conanie. – Królowa zaczęła pokrywać pocałunkami jego okryte jedwabiem ramiona – Mitra, Dagon, Mardur, twój Crom i odlegli władcy wysokiego nieba... bój z taką magią przysparza im chwały.

– Nie kieruj swych nadziei zbyt wysoko, Rufio – Conan otoczył ją ramionami, hamując nieco religijny zapał. – Labirynty umysłów mrocznych bóstw i magów są nieodgadnione, niebezpieczne i mogą przynieść śmierć. Crom i jego boscy bracia rzadko chronią śmiertelników, nawet najwierniejszych swych wyznawców, przed ich własną głupotą.

– Ach, Conanie, tobie się powiedzie. Ty nigdy nie ugiąłeś się przed niebezpieczeństwem i wiem, że zdołasz tego dokonać, dla mnie, dla Aphratesa... i aby ocalić naszą córkę. – Zbliżając się ku Conanowi, uniosła nieco głowę, by złożyć na jego ustach namiętny pocałunek.

Dwa tygodnie później główną ulicą Baalur wyruszyła sprzed pałacu królewskiego niezwykła procesja. W złoto – czerwonych barwach wschodzącego słońca, podkreślanych dodatkowo żółtymi płomieniami pochodni, rozpoczęły wędrowkę trzy tuziny wyładowanych wozów ciągniętych przez parskające woły. Otaczało je ośmuset pieszych żołnierzy maszerujących w równym szyku, a za nimi podążały dwie setki jezdnych. Mimo wczesnej pory na okolicznych bulwarach i alejach zebrały się tłumy mieszkańców miasta entuzjastycznie żegnających wyprawę. Wreszcie zdarzyło się coś, na co można było zareagować radością. – Ostatnie tygodnie przynosiły tylko strach i cierpienie, przerażająca plaga koszmarów nocnych rozszerzała się po całym mieście – od szlachty i oficerów, aż po najprostszych kuchcików i pomocników stajennych. Koszmary nawiedzające najbiedniejszych nie były może tak boleśnie realne i tak nasyczone klątwą jak te, które dręczyły arystokratów, ale były wystarczająco straszne, by ludzie budzili się z krzykiem i nie mogli już ponownie zasnąć. Sny prostych ludzi też niosły ze sobą znaki przekleństwa, a kusząca wiedźma Zeriti, która częstokroć pojawiała się w nich we własnej postaci, stanowiła ich demoniczne źródło. Tak przynajmniej głosiły plotki. Tak więc w ciągu ostatnich kilku ciężkich dni i nocy mieszkańcy Baalur ciężko pracowali, dostarczając niezbędnego ekwipunku i pomagając w przygotowaniach do wielkiej ekspedycji. I czynili to z dużą energią, jako że wyprawa miała pomóc także im. Ponadto praca, choć wyczerpywała, odciążała także myśli od obaw. Tego więc uroczystego poranka, gdy najwyżsi dostojnicy miasta pozdrawiali zebrany tłum, twarze ludzi po raz pierwszy od wielu smutnych dni rozświetlały uśmiechy, prawdziwie radosne uśmiechy. Po tym poranku nastąpił jeszcze trwający cały dzień i noc spontaniczny festyn, gdyż spać i tak nikt nie miał ochoty.

Conan przyglądał się paradzie z pałacowej galeryjki, ciesząc się w duchu, że wkrótce zostawi za sobą miasto wraz z ciężącym nad nim przekleństwem. Miał nadzieję, iż z dala od grodu jego żołnierze odzyskają wewnętrzny spokój i wigor. Jeśli coś go martwiło, to tylko ewentualne zagrożenie Baalur, teraz, gdy najlepsze oddziały wojska i gwardii opuszczały miasto wraz z nim. Miasto nawiedził czyjś gniew, co do tego nie było wątpliwości, a teraz osłabiał je jeszcze, wystawiał na niebezpieczeństwa grożące ze wszystkich stron.

No, przynajmniej nie mógł mieć zastrzeżeń co do wyekwipowania swej ekspedycji – król Aphrates, tak jak zapowiadał, głęboko sięgnął dłonią do swej królewskiej szkatuły, by zapewnić broń, żywność, transport i niezbędne fundusze. Dzieła miejscowych płatnerzy, kowali, garbarzy, kartografów i powroźników nie pozostawiały nic do życzenia. Ponadto, co najważniejsze, szybka wymiana konnych posłańców przyniosła zgodę króla Asgalun, Mazdaka, na zaopatrzenie wyprawy w statki wraz z załogami i niezbędnym sprzętem na drugą, wodną część podróży. Władca Asgalun przyjął bardzo niską zapłatę, z szacunku dla swego starego przyjaciela Aphratesa, a może bardziej z uwagi na swą dawną miłość, Rufię – jak przypuszczał Conan. Jeśli można było polegać na słowach Mazdaka, mała flotylla miała oczekiwać na nich, gdy tylko dotrą do Asgalun. Statki miały być przygotowane zarówno na krótką podróż morską do ujścia Styksu, jak i długą wyprawę w górę rzeki. Conan znał Mazdaka z dawnych lat jako twardego i sprytnego wodza najemników, energicznego oficera, chociaż także krętacza. Czy nie będzie sabotował poczynań ekspedycji lub też, korzystając z wymarszu wojsk, nie wprowadzi w życie jakichś swoich planów co do Baalur lub tylko Rufii – tego Conan nie mógł być pewien. Na razie musiał wierzyć dawnemu towarzyszuwowi broni na słowo.

W atmosferze gorączkowości i pośpiechu awanturka Conana miał wspaniałą okazję zdobycia majątku i sławy, ale także nawiązania korzystnych kontaktów, które mogły przynieść owoce w przyszłości – reprezentował bądź co bądź znaczącego władcę. Wielu najemników oddałoby sporo za taką okazję, a ona wpadła właśnie w ręce Cymmerianina. Zwykle szczęście, chociaż trochę też zasługa sławy zdobytej w wielu wcześniejszych przygodach. Były też pewne minusy – jak zwykle przy takich wyprawach ryzyko utraty życia... tym razem, niestety, spore. Podstawowa reguła najemników mówiła, że nie należy zbyt mocno angażować się w żadne zadanie. Najemnik nie mógł dopuścić do tego, by osobiste sentymenty trzymały go przy misji, gdy jasne już jest, że musi ona zakończyć się fiaskiem.

Conan miał nadzieję, że kiedy nadejdzie taki moment, będzie pamiętał o tej regule mimo łez Rufii i jej nocnych wizyt.

Jedno przynajmniej go nie trapiło – podczas pobytu w mieście nie męczyły go złe sny, a jeśli nawet jakiś się pojawił, nie był na tyle wyrazisty i straszny, by można go przypisać kłątwie Zeriti. Tylko w jednym ze swych snów dostrzegł zła czarodziejkę, kuszącą swymi wdziękami, tańczącą półnago przy kamiennym ołtarzu, za którym w ciemnościach czuł czającą się moc, jakiej oddawała cześć. A przed nią, niczym srebrne morze u stóp ołtarza, otaczające go jak czarna wyspę, błyszczwały kwiaty kołyszące się łagodnie i migoczące w świetle sierpu księżyca. Ta wizja jednak paradoksalnie pokrzepiła Conana – upewniła go, że srebrny lotos, o którym mówił Caspius, rzeczywiście istnieje a może nawet jest potrzebnym lekarstwem. Może zatem ta podróż miała sens...

Gdy Conan pogrążył się w ponurej zadumie, król Aphrates postąpił naprzód ku balustradzie i zwrócił się do rozentuzjzmowanego tłumu.

– Dziś, moi poddani – zabrzmiały jego słowa w pełnej szacunku ciszy – najlepsi i najodważniejsi z nas wyruszają, by położyć kres dręczącej nas mrocznej niepewności jutra. Wraz z nimi podążą nasze nadzieje, a także ostrza, które tak pracowicie wykuwaliście, oraz namioty, które wyszywaliście w pocie czoła... Jeśli taka będzie wola bogów, śmiałkowie ci powrócą i ocalą naszą ukochaną księżniczkę i całe miasto. Nam pozostaje tylko wierzyć w ich szczęśliwy powrót. Dlatego też oddajcie cześć bohaterom i wznóście modły do bogów... modły o zwycięstwo naszego legionu, za Conana i jego oficerów. Niech bogowie mają w opiece Baalur! – Ostatnie słowa króla wywołały żywą reakcję tłumu.

Conan prześlizgnął się wzrokiem po wiwatujących ludziach i uważnie przyjrzał się dostojnikom, których pozdrawiali wiwatujący. U boku męża stała królowa, pełna dostojeństwa; oboje przyjmowali hołdy tłumu. Dalej generał, kapłani z ogolonymi głowami, medyk Caspius i zastępca Conana – Furio, wreszcie pomniejszy szlachcice i dygnitarze pałacowi... wszyscy z zaciętym wyrazem twarzy. Inna sprawa, że wielu nosiło też na obliczach ślady pudru, który miał ukrywać zmęczenie i strach po nocnych torturach.

– A więc wyruszamy – przemówił donośnie Conan, przekrzykując wiwaty i mając nadzieję, że tak lakoniczne postawienie sprawy powstrzyma dygnitarzy przed wygłaszaniem dalszych uroczystych przemówień. – Musimy być w drodze, nim słońce wszędzie na dobre. Do Asgalun i morza jest wiele dni marszu, a i tam czeka nas wiele pracy.

– Jedźcie zatem. Będziemy wznosić modły za wasz bezpieczny powrót przed zimą – Aphrates klepnął Conana w okute w metal ramię.

– Tak, jedź i mknij jak na skrzydłach – Rufia powiedziała tylko tyle, Conan zaś skłonił głowę, pamiętając, że poprzedniej nocy ofiarowała mu znacznie cieplejsze pożegnanie.

Wśród ogólnego aplauzu i z towarzyszeniem salutu wojska zszedł po szerokich schodach. W drodze ku czołu kolumny marszowej przeszedł obok Caspiusa.

– Powiedz, medyku, czy wciąż aktualny jest twój szalony pomysł, by nam towarzyszyć? – zwrócił się doń, poufale mijając starca z pewnym pośpiechem. – Jeszcze nie jest za późno, by się wycofać.

Caspius, wyraźnie zmęczony i strapiony, jak niemal wszyscy dworzanie, szedł jednak uparcie naprzód.

– Nie, dowódco, mój ekwipunek już załadowany a plany pozostały nie zmienione. Idę z wami!

– Jesteś pewien? – Conan nie miał ochoty doświadczyć dodatkowych problemów. – Wciąż tego nie rozumiem. A co z twoją służbą dla króla, królowej, dla księżniczki Ismaii? Czy twoje lekarstwa i wiedza nie przydadzą się bardziej tu, na dworze?

Mędrzec wciąż podążał przed siebie niespiesznie, choć zdecydowanym krokiem.

– Mówiłem już, że kilku moich pomocników zna się na sztuce medycznej nie gorzej niż ja. Jeśli chodzi o księżniczkę, pozostawiłem zalecenia, które złagodzą jej cierpienia i utrzymają ją przy życiu tak długo, jak to tylko możliwe. Nawet gdybym rozmyślał nad tą sprawą cały następny rok, niewiele więcej mógłbym jej pomóc. Ona potrzebuje innego lekarstwa.

– A co z twoim, zaawansowanym wszak, wiekiem i niepewnym już zdrowiem? – naciskał Conan. – Czy przeżyjesz tak długą podróż?

Caspius uśmiechnął się smutno.

– Powinieneś raczej zapytać, jak długo wytrzymam w Baalur, nękany nocnym koszmarem. – Potrząsnął siwą głową. – Podróżowałem kiedyś wiele, chociaż nigdy

nie dotarłem tak daleko na południe, na bezdroża Stygii. Mam sporą wiedzę medyczną i środki, które pozwolą mi skutecznie chronić nie tylko moje życie, ale być może także twoje, dowódco. Mam dociekliwy umysł, dużą wiedzę o świecie i znam się na astronomii, a to może ułatwić nam zadanie. Zarówno król, jak i królowa zgodzili się, że moja wiedza z botaniki może bardzo pomóc przy znalezieniu i późniejszym transporcie tego, czego szukamy. Pozwolili mi pójść z tobą. – Pochylił głowę, okazując Conanowi szacunek jako swemu dowódcy. – Jeśli, jak sądzę, efekt klątwy będzie słabnąć wraz z oddalaniem się od miasta, podróż przyniesie mi raczej ulgę. Mogę poczuć się młodszy i zdrowszy po jej odbyciu.

Conan widział, że Caspius jest zdeterminowany. Wiedział też, że jego wiedza medyczna będzie niezwykle przydatna, toteż w końcu pogodził się z nieuniknionym.

– Dobrze, mędrco. Jeżeli chcesz postawić na szali lata, które jeszcze ci pozostały, chodź! Gwarantuję ci, że jeżeli będziesz miał oczy i uszy otwarte, ta podróż znacznie wzbogaci twoją wiedzę.

Dotarłszy wreszcie na czoło kolumny, Conan wskoczył do swego rydwanu, Caspius zaś wybrał następny pojazd, na który pomogło mu wsiąść dwóch woźniców.

– Karawana gotowa! – wrzasnął Conan. – Oficerowie, wymarsz oddziałami! Naprzód!

Odgłosy piszczałek i walenie bębnow po bokach kolumny było jedyną odpowiedzią. Potem dołączyły jeszcze melodyjne fanfary z zamkowych murów. Zadudniły kopyta, zadźwięczały upręże, zabrzmiały donośne rozkazy i czoło kolumny ruszyło, żegnane okrzykami gapiów, oklaskami i pozdrowieniami, nakryciami głowy rzuconymi w powietrze na kształt wzbijających się ptaków... Zalane łzami kobiety żegnały swych synów i kochanków, a uliczne kundły podążały całymi stadami za odjeżdżającymi.

Król Aphrates uniósł dłoń w pożegnalnym geście. Królowej nie było już u jego boku, niewątpliwie trzymała straż u łoża swej chorej córki.

W chwilę potem, gdy kolumna wozów wydostała się wreszcie na otwartą przestrzeń, Conan wziął bat z ręki swego woźnicy i strzelił nim energicznie nad głową, nakłaniając cztery srokate wałachy do szybszego biegu.

Marsz przez miasto poszedł sprawnie, gdyż tego dnia zakazano ruchu ulicznego. Główna ulica Baalur, wiodąca ku południowej bramie, została szybko oczyszczona z gapiów przez konne straże. Brukowana nawierzchnia była pełna nierówności po przejściu tylu koni, co groziło zsuwaniem się z wyładowanych wozów pak z towarami. Przewidując to, Conan nakazał swym kwatermistrzom przenosić się w czasie jazdy z wozu na wozie zabezpieczać w razie potrzeby ładunek dodatkowymi linami.

Zauważył jeszcze inną rzecz – zdawało się, że sępy, które dotąd krążyły wysoko nad pałacowymi wieżami, teraz podążały za ekspedycją.

Kiedy przejechali przez zwieńczoną wysokim rakiem południową bramę, żegnali ich ostatni już dostojnicy, ostatnie kobiety rzucały w ich kierunku bukiety kwiatów i po raz ostatni zabrzmiały brązowe trąby.

Droga stała się równiejsza, ale było wczesne lato, nie najlepsza pora na dalekie podróże. Główny trakt, zwany Szlakiem Kadzideł, tonął w błocie, miejscami wręcz przypominał bagno. Zaprzęg mułów czy wielbłądów mógłby jakoś przejść, ale wielka kolumna marszowa...

Po kilku związanych z tym przestojach Conan wysunął się ze swym rydwanem daleko przed czoło pochodu. Mógł obserwować z daleka całą kolumnę i nie tracić jednocześnie czasu podczas przerw spowodowanych przez utknięcie w błocie któregoś wozów. Ekspedycja składała się z jazdy, piechoty, wozów zaprzężonych w woły... oraz kilku nieszczęsnych żołnierzy, których oddelegowano do wyciągania pojazdów z bagna, gdy robota ta stawała się za trudna dla wołów. Pochód zamykała konna ariergarda.

Patrząc w kierunku Baalur, wyraźnie widocznego na płaskiej równinie na tle mającego w oddali masywu górskiego, Conan dostrzegał drugą, równie liczną armię wozów i pieszych. Nie byli to bynajmniej spóźnieni odprowadzający. Karawany handlowe specjalnie opóźniły swój wyjazd, by podróżować pod osłoną jego armii. Jeśli doliczyć do tego podążających zawsze za wojskiem awanturników, włóczęgów, hazardzistów, obozowe dziewczki, a nawet małe dzieci, był to spory tłum i Conan sądził, że nie pozbędzie się ich aż do wybrzeża morskiego.

Z przodu zaś rozciągały się niezmiernie równiny Shem. Obszar ten był gęsto zaludniony. Mijali wiele farm i pastwisk, nominalnie zresztą podległych Baalur. Mieszkańcy równin płacili miastu podatki i pełnili służbę wojskową, ale poza tym

nie bardzo interesowało ich życie grodu wraz z dręczącą go plagą, która nie sięgała aż tak daleko poza mury. W swej sakwie Conan miał królewskie listy, nakazujące wszystkim lokalnym wielmożom i posiadaczom ziemskim udzielić ekspedycji wszelkiej pomocy. Na razie jechali przez kraj przyjazny. Cymmerianin jednak doskonale wiedział, iż nie cała droga do Asgalun będzie całkiem bezpieczna. A niebezpieczeństwa zagrażające w Shem są niczym wobec tych, które czyhały dalej na wschodzie i południu, nad Styksem.

Na popołudniowy popas stanęli w miejscu, gdzie trakt biegł wzdłuż strumienia. Tutaj mogli wypocząć, nie rujnując jednocześnie szyku marszowego. Conan przejechał na wierzchołku ku tyłowi kolumny, obserwując żołnierzy pluszczących się w wodzie i objadających delicjami zabranymi z domów. Wielu legło w chłodnym cieniu drzew. Dyscyplina nieco się rozluźniła, ale ludzie nie wyglądali na wyczerpanych. Zdawało się, że zapomnieli o nocnych koszmarach i czarnej magii. Nie wprowadzał więc nadmiernego rygoru – na to jeszcze przyjdzie czas. Nie zwracał też za bardzo uwagi na krążące wysoko nad nimi czarne sępy.

Dojechawszy do ariergardy, rozkazał tworzącym ją żołnierzom pozostać w szyku i oddzielić ekspedycję od podążających za nią cywilów. Mieli chronić ich w razie potrzeby i jednocześnie mieć na nich oko. Nie chciał, aby pod jego boki rabusie napadali kupców, ale nie chciał też, by całe to towarzystwo mieszało się z jego legionem.

Po dłuższym odpoczynku wznowiono podróż, która tym razem miała trwać aż do zachodu słońca. Późnym wieczorem patrol konnych podążył naprzód, by znaleźć odpowiednie miejsce na obóz, kwaterymistrzowie zaś rozjechali się po okolicy w poszukiwaniu żywności oraz paszy na kolację i śniadanie. Conan rozkazał oficerom zdobywać zaopatrzenie bez grabieży, chociaż tu, w kraju podległym Baalur, nie płacono za żywność. Ufał, że żołnierze nie będą zbyt łupili swoich pobratymców.

Szmery ściszonych głosów, dymy ognisk, ciche pobrzękiwanie uprzęży przywodziło na myśl tak wiele wcześniejszych kampanii. Conan, Caspius i kilku oficerów przysiadło na rozkładanych stołkach. Siedząc wokół stołu, pili wino i rozważali szczegóły dalszej podróży.

– Nasi ludzie maszerują niestrudzenie, mimo że wcześniej dręczyła ich plaga złych snów – zauważył Caspius. – Szybki marsz, który im zaaplikowałeś, podziałał znakomicie.

Gdy Conan przytaknął, skinieniem głowy, odezwał się jego pierwszy oficer Furio:

– Nasze doborowe oddziały zawsze utrzymują najwyższą sprawność, bez dodatkowych zachęt. – Furio był młodym, pełnym wigoru mężczyzną o kręconych włosach i starannie przyciętych wąsach. W jego oczach czaiło się jednak zmęczenie spowodowane bezsennością. – Maszerują niestrudzenie, bo są lojalnymi poddanymi króla Baalur.

Conan opuścił nieco kubek i spojrzał w twarz Furio.

– Mimo to potrzebują dowódcy! Jednego dowódcy, którego głosu będą słuchać bez pytań i wahań. To będzie mój głos, kapitanie!

Furio skinął głową, a na jego wargach zagrał lekki uśmiech.

– To prawda, komendancie, na razie. Ludzie pozostaną ci posłuszni, dopóki będziesz im dobrze przewodził.

Conan mógł cisnąć nim o ziemię, nawet go zabić – w to nikt z zebranych, nawet Caspius, nie mógł powątpiewać. Uzbrojony czy nie, Cymmerianin miał przewagę wzrostu, masy, szybkości i doświadczenia i mógł dać swemu oficerowi lekcję posłuszeństwa. Jednak z uwagi na szacunek do Aphratesa przemówił tylko ponurym głosem:

– Jesteś uszami i oczami generała Shalmanezera. Nie wątpię więc, że mi nie ufasz i liczysz na objęcie przywództwa, gdy nadejdzie właściwy czas.

Furio skłonił się po rycersku.

– Wierz mi – rzekł – że są inni, którzy myślą podobnie i zajmą moje miejsce, gdy coś mi się przytrafi. Chcemy zakończyć tę misję tak szybko, jak to możliwe.

– Być może, kapitanie. – Conan spojrzał na otaczającą ich grupę oficerów, nie studiując jednak zbyt uważnie wyrazów ich twarzy. – Ale ostrzegam cię: tam, gdzie idziemy, częściowe posłuszeństwo nie wystarczy. Twój generał nic nie pomoże i gołębie, które zaniosą mu wieści, również. – Wskazał gestem wóz, gdzie trzymano ptaki. – Twoje życie i życie nas wszystkich będzie zależać od mojego rozkazu i jego szybkiego wykonania.

– Może tak być – odparł Furio – gdy tam dotrzemy. A teraz, dowódco, jeśli mi wybaczysz, oddalę się, by zrobić obchód wart.

Zasalutował, odwrócił się na pięcie i zniknął w mroku nocy.

Obóz pogrążył się w ciszy, jeśli nie liczyć szmerów skrzydeł nietoperzy przelatujących od czasu do czasu. Potem zaś, kiedy pojawił się księżyc, można było usłyszeć tylko dobiegające z namiotów pochrapywania i czasem jakiś jęk lub cichy krzyk, gdy kogoś jednak nawiedziły koszmary. Conan spał czujnie, ale bez snów. I on, i większość jego żołnierzy wreszcie wypoczęli tej nocy.

VI

SZAMAN

W swym śnie księżniczka Ismaia szła przez gęstą dżunglę. Szukała ścieżki przez zarośla; wokół jej twarzy brzęczały natrętne owady, a nad głową świergotały różnobarwne ptaki. Z grubych, mięsistych liści kapała woda, która szybko przemoczyła jej lekką nocną tunikę. Ku dziewczynce nachylały się kielichy egzotycznych kwiatów, o wszelkich możliwych do wyobrażenia kształtach, większe często niż głowa człowieka; były piękne, ale ich wąskie łodygi lub kolce zawierały śmiertcioną truciznę. W górze zaś Ismaia widziała niesamowitą plataninę zielonych lian.

Przebijając się przez tę kipiącą życiem dżunglę, księżniczka stanęła nagle na skraju otwartej polany i dostrzegła malutką chatkę. Z komina unosiła się blada smużka dymu, a z ciemnego otworu wejściowego dobiegał śpiew. Tuż przy chacie rosło przedziwne bezlistne drzewo, przypominające kształtem ludzki szkielec pozbawiony czaszki. Chociaż na widok złowieszczonego drzewa Ismaia wstrzymała oddech ze strachu, tajemniczy domek przyciągał ją nieodparcie. Podczołgała się do chatki i zajrzała do środka.

Wnętrze ciasnej izdebki rozświetlał ogień, którego paliwem były kości i cienkie gałązki, przy nim zaś siedziała wiedźma z jej snów, sypiąc w płomienie mieniające się różnymi barwami proszki. Była prawie naga, jedynie na ramiona zarzuciła poszarpaną, łuskowatą skórę jakiegoś nieznanego zwierzęcia. Jej czarne włosy, pozlepiane i ubrudzone żółtą gliną, opadały w bezładzie, zaś szyję i przedramiona zdobiły bransolety ze zwierzęcych kłów i pazurów.

Zeriti pozdrowiła księżniczkę skinieniem głowy, najwyraźniej dobrze rozpoznając swego gościa.

– A więc znowu mnie odwiedziłaś, moje dziecko. To wielki zaszczyt dla mnie. Wasza Wysokość jest tu zawsze mile widziana. – Uśmiechnęła się szeroko a jej zęby błysnęły drapieźnie w blasku ognia – mam ci wiele do pokazania i wiele możesz się ode mnie nauczyć, nawet tu w tak nędznej chacie – wskazała szerokim gestem wnętrze i palenisko, nad którym suszyły się nieznanne zioła jak również kawałki mięsa.

– Nnie... nie chciałam tu przyjść... – powiedziała Ismaia, starając się powstrzymać drżenie głosu. Choć unikała spojrzenia czarodziejki, dostrzegła wielką, bladą bliznę na ciele kobiety, tuż pod zielonkawą węzową skórą, która opadała z jej ramion. – Ja... ja tylko zabłądziłam w dżungli, szukając drogi do domu – dokończyła szeptem.

– Och, dziecko, to dlatego, że jeszcze nie umiesz poruszać się w świecie snów. – Wiedźma pogroziła Ismai brudnym palcem. – Gdy jesteś tu ze mną, przypatruj się wszystkiemu uważnie i ucz się. Wtedy będziesz władać tym miejscem jak ja, a może kiedyś zawładniesz całym światem snów.

– Nie chcę być tu panią i władać tym światem. Chcę do domu, do mojej mamy! – Mimo wysiłków Ismaia nie mogła oderwać oczu od szerokiej, siennej blizny na ciele Zeriti. To musiała być okropna rana, ktoś po prostu przeciął w poprzek jej korpus.

– Nonsens – odparła wiedźma. – W całym tym swoim nudnym pałacowym życiu nie nauczysz się niczego, nawet podstaw magii. Przepowiadanie przyszłości, na przykład, to najprymitywniejsza forma sztuki, praktykowana nawet przez leśnych szamanów. – Mówiąc to, sięgnęła do otwartej sakwy stojącej obok i dobyła garść proszku, który cisnęła w ogień.

Płomień gwałtownie buchnął w górę, oszałamiając Ismaię blaskiem i obłądnym tańcem wszelkich możliwych barw. Proszek miał woń podobną nieco do kapłańskich kadzideł i dziewczynka nagle poczuła zawroty głowy. Dym zaś nie unosił się i nie wydobywał się przez otwór w dachu, tylko formował się w mglisty obłok tuż przed jej oczami. Powstała szara poruszająca się ściana, przez którą ledwo mogła

dostrzec twarz czarownicy. Potem w dymie pojawiły się inne kształty.

– Widzisz jakie to proste? – Usłyszała śmiech Zeriti spoza poruszającego się obłoku. – Oczywiście pierwsze pytanie, jakie zadaje każda młoda dziewczyna, brzmi: „kogo poślubię?” Patrz na dym! Ja widzę w nim odpowiedź i ty też zobaczysz, choć niektóre znaki mogą być dla ciebie niezrozumiałe. A one mówią mi, że będzie to ktoś potężny... o tak, ktoś znacznie ważniejszy niż możesz to sobie wyobrazić. Wysoki, bardzo wysoki i przystojny. Będzie młody, młodszy niż ty, bo jeszcze się nie narodził, a raczej nie narodził się ponownie. Ale pokaże się jako mężczyzna, bo jest i stary, i młody równocześnie. Znacznie starszy niż świat, w którym żyjesz. Jak sądzisz, czy to nie podniecająca zagadka?

Gdy czarownica uśmiechała się szeroko, Ismaia dostrzegła, że kabalistyczne symbole utworzone z dymu zmieniają się w realny obraz. Widziała głęboką jaskinię, a może ciemny szyb kopalni albo grób o kamiennym dnie. Na jej oczach dno to zaczęło się otwierać i poniżej dojrzała pustkę ciemniejszą nawet niż węgiel na obrzeżach ogniska. Jednak coś poruszało się w tym mroku, podchodziło coraz bliżej, przybierało coraz wyraźniejszy kształt.

– On się zbliża. Widzisz go? – spytała Zeriti, wstrzymując oddech. – Byłby kimś wyjątkowym dla każdej dziewczyny, tak jak ty jesteś wyjątkowa spośród wszystkich, które mogłyby być mu ofiarowane. Dziewica królewskiej krwi to jedyny podarunek godny kogoś tak potężnego. Spójrz, czyż nie jest piękny? Ale nie trap się, dziecko, wkrótce będziesz za nim tęsknić. Nie minie nawet rok, gdy będziesz do niego należeć. Już niedługo!

Spoglądając w dym, Ismaia dostrzegła, jak maleńka postać zbliża się i powiększa. Zaczynała już rozróżniać rysy przybysza i chwilę później krzyknęła przeraźliwie, szukając na ślepo dłonią czegoś, co dałoby jej oparcie – może sukni matki, która przecież siedziała na brzegu jej łoża.

Domek, ogień i wiedźma rozpląnęły się gdzieś, a ona wciąż krzyczała i chwyciła rękami powietrze, by wydobyć się z krainy snu.

VII POTYCZKA

Conan narzucił ostre tempo marszu, nie chcąc zostawić żołnierzom czasu na zbędne rozmyślenia i starając się ich nieco zmęczyć. Wstawali o pierwszym brzasku słońca i nie zważając na zmieniającą się pogodę, maszerowali niestrudzenie, czy to w upale, czy w strugach deszczu, z krótkimi tylko przerwami na posiłek w najgorętszą porę południa.

Rozumiejąc potrzebą pośpiechu, żołnierze nie skarżyli się zbyt wiele, a nawet jeśli robili to po cichu, ich pomrukiwania i klątwy były lepsze niż puste rozważania na temat magii i nieznanych niebezpieczeństw, które znajdowały się przed nimi. Podczas późnych, rozbijanych naprędce nocnych postojów wszyscy, z wyjątkiem strażników spali mocnym zdrowym snem, co było znaczną i przyjemną odmianą.

– Zdaje mi się, że ciężka praca jest dla nich najlepszym narkotykiem. – Zadowolenie żołnierzy nie uszło uwagi Caspiusa, który zwrócił na to uwagę Conana.

Trakt był na szczęście przejezdny. Szlak Kadzideł był główną drogą handlową przecinającą północne Shem. Jak głosiła legenda, nazwano go tak, gdyż piasek tutaj wydzielał silny aromat przypraw i korzeni wiezionych przez ciągnące na północ karawany. Inna sprawa, że jedyną wonią, jaką czuli, był smród rozdeptanych zwierzęcych odchodów.

Ruch był niewielki, ekspedycja spotykała jedną, dwie karawany dziennie, czasem zaś mniejsze grupy podróżników. Wszystkie takie grupy musiały ustępować z drogi, korzystać z przymusowego odpoczynku w czasie, gdy wojsko Conana, wzbijając kłęby pyłu, miało ich przez co najmniej godzinę. Większość cywilów ciągnących za ich kolumną marszową uznało narzucone tempo za zbyt mordercze i pozostali gdzieś z tyłu, by potem wrócić na północ z którąś z mijanych karawan. Mniejsza grupa wciąż jednak pozostawała pod osłoną wojska Cymmerianina. Z bandytami nie mieli kłopotu, przede wszystkim ze względu na liczebność i wyposażenie armii. Ponadto nadal podróżowali przez tereny podległe królowi Aphratesowi.

W końcu jednak wkroczyli w obszary rzadziej zaludnione, pozbawione niemal zupełnie uprawnych ziem. Droga zwęziła się znacznie, do obu jej brzegów zbliżył się gęsty las. Trzeba było znacznie wydłużyć i przeformować kolumnę marszową, a

łączność pomiędzy oboma jej krańcami stała się bardzo utrudniona. W takich przewężeniach Conan zawsze trzymał tuż obok swego rydwanu osiodłanego ogiera i często cofał się na jego grzbiecie ku centrum kolumny, pomiędzy główne oddziały piechoty, gdzie znajdowały się wozy wiozące broń i złoto. Stamtąd mógł w razie czego błyskawicznie zareagować na potencjalne niebezpieczeństwo.

Rzadko jednak zdarzał się jakiś alarm, pomijając złamany od czasu do czasu dyszel czy poturbowanie któregoś z koni przez niedźwiedzia. Ponieważ zdobywanie żywności stało się teraz trudniejsze, w przypadku takim jak te ostatnie ich zapasy zwiększały się zazwyczaj o mięso i konia, i niedźwiedzia. Ubywało też żywności wiezionej w taborach, ale dzięki temu wozy stawały się lżejsze i mogły podróżować szybciej.

Po kilku dniach marszu przez te dzikie tereny las zaczął się przerzedzać. Caspius, jadący na czele kolumny w tym samym rydwanie co Conan, narzekał nieco na dzikość okolicy. Nagle jednak aż krzyknął ze zdziwienia na widok, jaki pojawił się przed nimi.

– Na Mitrę, zamek! I to duży, porządny. Więc jednak na tych bezdrożach są jakieś ośrodki cywilizacji i kultury.

Conan, słysząc uwagę medyka, roześmiał się gromko.

– Tak, kultura. Nie spotkałem nigdy większych złodziei niż ci tu. Nakazał zatrzymać pochód, sam zaś wjechał rydwanem na szczyt wzgórza wznoszącego się obok traktu.

To jest najdalszy fort miasta – państwa Nedrezzar – powiedział, spoglądając na mapę. – Aby uniknąć zdzieranego przez nich myta, większość karawan udaje się jakieś trzy, cztery mile na wschód, do brodu. Ale z naszymi taborami przeprawa przez bród może być trudna.

Bastion przed nimi stał na niewielkim kamiennym wzniesieniu, na przeciwległym brzegu rzeki. Tam, gdzie woda omywała podnóże wzgórza, droga biegła groblą przez porośnięte trzcina płycizny, a potem skręcała, wspinając się na most o trzech kamiennych filarach, który zaczynał się tu pod murami zamku.

– Nie powinniśmy mieć tu problemów – orzekł Caspius, przyjrząwszy się umocnieniom. – Baalur nie toczyło wojny z Nedrezzar od co najmniej stulecia, a i opłatami drogowymi nie musimy się martwić. Jesteśmy przygotowani na takie wydatki.

– Nie powinniśmy mieć problemów – zgodził się Conan – o ile nie zażądamy jako zapłaty połowy naszych wozów wraz ładunkiem. Nedrezzimowie cieszą się sławą dobrych kupców, a taka reputacja daje do myślenia.

Przywołał gestem dwóch oficerów, którzy podjechali na wzgórze i stanęli obok jego rydwanu.

– Kapitanie Furio, przygotować ciężką katapultę tam, gdzie stoi pierwszy wóz. Przygotować też kuszników na wypadek konfliktu.

– Czy to na pewno konieczne, komendancie? – Furio, co nie uszło uwagi pozostałych oficerów, nie zwrócił natychmiast swego wierzchowca, by wykonać rozkaz. – Taka demonstracja siły może sprowokować niepotrzebną walkę.

– To słabość prowokuje walkę, kapitanie – warknął Conan. – Wykonać rozkaz!

Nie czekając na dalsze uwagi oficerów, skierował rydwan w dół, z powrotem na drogę. Szybka komenda poderwał do marszu pierwszy szereg piechoty. Rydwan toczył się przed nimi, co tworzyło imponujący widok.

Wkrótce znaleźli się na grobli. Zamek zajmował sporą przestrzeń za rzeką, ozdobioną pływającymi po powierzchni jaskrawozielonymi liśćmi lilii. Zabrzmiał dźwięk trąbki sygnałowej i mury zamku zaroily się ludźmi, zwłaszcza na wałach wysokiej okrągłej baszty, wznoszącej się mniej więcej pośrodku. Głównej bramy zamku nie mogli dostrzec, prawdopodobnie wychodziła na trakt dalej, tam, gdzie skręcał ostro za zabudowaniami zamkowymi. Dostrzegli natomiast gorączkowy ruch na przeciwległym końcu mostu. Stał tam budynek służący do pobierania myta i kontroli przejeżdżających, chociaż sam w sobie nie był na tyle ufortyfikowany, by stawić czoło uzbrojonemu oddziałowi.

– Jak na płatną drogę, ta nie jest zbyt dobrze utrzymana – zauważył Caspius.

To była prawda. Gdy tylko wjechali na groblę, koła rydwanu zaczęły podskakiwać na nierównościach gruntu i dziurach w kamiennym trakcie.

– Kiepska droga, tak, wystarczająco kiepska, by być niebezpieczna. – Conan wskazał na trzciny poniżej, po obu stronach grobli. Leżały tam resztki połamanych kół i nawet cały, na wpół zatopiony w bagnie wóz. Dał sygnał oficerowi, który wiódł podążający za nim oddział.

– Piechota stać! Ale być w pogotowiu! – krzyknął doń przez ramię.

Kiedy wjechali na kamienny most, nieregularne wstrząsy zostały zastąpione stukotaniem metalowych kół rydwanu o twarde podłoże. Gdy osiągnęli pierwsze przęsło, z drugiej strony wyjechało ośmiu jeźdźców. Podążali ku nim.

– Zatrzymać się natychmiast, w imieniu miasta – państwa Nedrezzar! – zawołał z pewnej odległości wiodący ich człowiek, a wezwanie to było aroganckie. Był arystokratą – młodym wprawdzie, ale z racji swego pochodzenia mógł dowodzić fortem. Jego zbroja wyróżniała się spośród pozostałych purpurowym czubem na hełmie, złotym napierśnikiem i wypolerowanymi, również złotymi symbolami rombów na podbitym metalu kilcie. W dłoni trzymał buławę o rękojeści w kształcie lwiej głowy; był to bardziej symbol jego rangi niż broń. Pozostali zostali jeźdźcy uzbrojeni byli w zwykłe lance i tarcze, a przy ich bokach wisiały długie szable.

– Jestem Erskar, komendant północnego pogranicza! Powstrzymaj natychmiast swoje oddziały!

Prawdę rzekłszy, Conan zatrzymał swój rydwan, gdy tylko jeźdźcy pojawili się na moście.

– Jeśli chcesz pobrać opłatę drogową – zaczął – musisz wiedzieć, że nas się to nie tyczy.

Z podróżnej sakwy przewieszanej przez poręcz rydwanu Caspius wydobyl zwinęty papirus, ozdobiony czerwoną woskową pieczęcią, i podał swemu dowódcy.

– Jestem Conan Cymmerianin, uczyniony komendantem ekspedycji Baalur. Moi ludzie podróżują na zachód ku morzu, ze specjalną misją zleconą przez króla Aphratesa, twego sąsiada i sojusznika. Król upoważnił mnie do powołania się na prawo gościnności obowiązujące we wszystkich braterskich państwach Unii Shemickiej.

Spoglądając na swych jeźdźców, którzy uformowali wokół niego falangę, Erskar przemówił w odpowiedzi:

– Nie zostanie pobrana od ciebie żadna opłata – machnął lekceważąco buławą, wskazując zwój w rękach Conana – ponieważ nie otrzymasz pozwolenia przejścia przez most. Zawróćcie i nie próbujcie naruszać granic Nedrezzar!

– A więc, komendancie. – Caspius zareagował pierwszy, gdyż Conan zaniemówił na moment zaskoczony. Z tej samej sakwy, w której znajdował się pergamin, medyk wyciągnął ciężką sakiewkę, która zabrzączała sugestywnie. – Jeśli jakaś opłata, powiedzmy na utrzymanie mostu, jest jednak niezbędna, nie będziemy się o to spierać. Chcemy jedynie przejść na zachód bez kłopotów i opuścimy twoje państwo tak szybko jak to tylko możliwe.

– Nie możecie przejść! – Erskar potrząsnął purpurowym czubem na swym hełmie – Ani tu, ani nigdzie indziej. Ani teraz, ani kiedykolwiek! – Wskazał buławą baalurską piechotę stojącą w gotowości na grobli. – Czy myślicie, że jestem głupcem i za garść złota wpuszczę do swego państwa wojsko, które może spustoszyć je całkowicie. Ten most służy celom handlowym, a nie inwazjom wojskowym!

Conan, odzyskawszy wreszcie mowę, przemówił ponuro, lecz wciąż jeszcze spokojnie.

– Nasze wojsko jest zdyscyplinowane, Erskarze. A nasze zamiary pokojowe. Jeśli pozwolisz nam przejść, nie będziemy niepokoić twoich żołnierzy ani zabierać żywności twoim chłopom, chyba że za uczciwą zapłatą. Podążamy do Asgalun, na spotkanie z królem Mazdakiem, a nasza misja jest powodowana litością i chęcią niesienia pomocy.

– Wasza misja jest powodowana złym losem – odparł komendant, spoglądając w górę na krążące tam ptaki – Czy wasza obecność tutaj nie ma nic wspólnego z plagą, jaka nawiedziła Baalur? Z tą tajemniczą zarazą, przed którą wszyscy uciekają?

– My nie uciekamy – zaprotestował Caspius. – Wyruszyliśmy w poszukiwaniu leku...

– Ale choroba dotknęła już waszych szeregów, czyż nie? – przerwał mu Erskar. – Wygląd twoich ludzi nie podoba mi się nawet stąd. Chcesz, żebym otworzył granicę dla nosicieli tajemniczej zarazy? Aby roznieśli ją po całym kraju? Wyoście się do Baalur ze swymi dzumami i ospami! – Ściągnął wodze wierzchowca i zatoczył buławą szerokie koło nad głową, dając jakiś sygnał swym ludziom na basztach.

– Precz, powiedziałem! – powtórzył. – I nie wracajcie albo spotkacie się z tym!

Rozległ się wysoki narastający świst. Sekundę później usłyszeli go nad swymi głowami, a po chwili gdzieś z tyłu. Gdy się odwrócili, ujrzeli fontannę wody, która wystrzeliła z bajorka obok grobli. Ponieważ wiał lekki wiaterek, woda

zmoczyła doszczętnie stojący najbliżej szereg piechurów. Ciężki pocisk wyleciał niewątpliwie z zamkowej wieży. Czy miał trafić żołnierzy, czy był tylko demonstracją – trudno było powiedzieć.

– Widzieliście – chełpił się Erskar, nakazując odwrót swym konnym – przejście przez groblę oznacza dla was śmierć. A mam jeszcze wystarczającą ilość kusz i płonącego oleju, które również tam sięgną, więc nawet nie próbujcie!

Pognał z powrotem wraz z towarzyszami, ale Conan również nie czekał i wycofał swój rydwan z mostu. Podczas tego odwrotu Caspius zwrócił się doń:

– Nie wyglądało na to, by chciał wytargować większą sumkę.

– Nie – zgodził się Conan. – Jego obawa przed zarazą może być pewnym powodem. Nie wie, tak jak my, że jest ona wynikiem lokalnej klątwy. Ale raczej bardziej obawia się, iż knujemy coś przeciw niemu... może wspólne zdradzieckie uderzenie wraz z Asgalun z zachodu. Dlatego myślę, że zaraza jest tylko wymówką, za którą ukrywa swą słabość.

– Nie wyglądał mi na słabego – zauważył Caspius.

– Tak – powiedział Conan – ale nawet siedząc w tym zamku na granicy jest izolowany. Jego władcy w Nedrezzar nie mogli przegapić ostatniej wymiany posłańców między naszymi grodami i pospiesznych przygotowań naszych władców, które mogą uważać za przygotowania do inwazji. Erskar, jak każdy dobry oficer, próbuje nas zniechęcić.

– Cóż więc zrobimy, by go przekonać? Czy naprawdę nie damy rady pójść w górę rzeki?

– Nie ma potrzeby. Przynajmniej na razie. – Powożąc tak, by uniknąć dziur na drodze, Conan wzruszył ramionami. – Cóż, postaramy się uspokoić jego obawy – dodał.

Przed nimi wycofywał się też oddział piechoty, starając się zejść z grobli. Mijając ich, Conan polecił oficerom, by poprowadzili żołnierzy ku linii drzew na brzegu i tam oczekiwali na dalsze rozkazy. Przynajmniej nie byli tam dobrze widoczni z zamku, gdyby zaś nieprzyjaciel próbował uderzyć jazdą, mogli go skutecznie powstrzymać. Kiedy rydwan zbliżył się do taboru, odgłosy młotów i siekier na dobre już rozbrzmiewały w pobliskim lasku. Obok drogi powstawała ciężka konstrukcja. Metalowe i drewniane jej części, wiezione nawozach, były właśnie łączone ze sobą, zaś z pobliskiego strumienia za pomocą wołów i koni wyciągano ciężkie głazy, które miały posłużyć za pociski.

– Doskonale. – Conan przyglądał się, jak zgrabna, przypominająca nieco żuraw konstrukcja dosłownie rośnie w oczach. – Zamontujcie też osie i koła, żebyśmy mogli przetoczyć ją na drogę.

Wkrótce piłowanie i walenie zastąpiło donośne parskanie i tupot końskich kopyt. Tuzin konnych przymocowało liny do sześciokołowej platformy i zaczęło jej holowanie, zaś resztę zwierząt przywiązano z tyłu, aby ciężka katapulta nie stoczyła się w dół zbocza. Dalej podążał wóz wyładowany ciężkimi głazami, a wreszcie jazda. Conan wraz z Caspiusem wciąż na rydwanie, przesunęli się na czoło pochodu, udzieliwszy tylko przedtem instrukcji oficerowi odpowiedzialnemu za kuszników.

– Rozstaw swoich ludzi w pewnej odległości jeden od drugiego, co najmniej kilka kroków. Mają się ukryć na brzegu grobli i za mostem. Ale niech nie będą zbyt blisko siebie. Głównym celem są blanki murów, zwłaszcza ta okrągła baszta.

Gdy wielka platforma z katapultą wytoczyła się spomiędzy drzew na brzeg rzeki, kilku piechurów skoczyło doń, by przesunąć ją z drogi. Conan wskazał płaskie miejsce, dobre do ostrzału zamku.

– Tam – powiedział – odwróćcie ją i zablokujcie koła. Dzieło naszych kuźni i to świeże drewno powinno dać nam większy zasięg, niż ma wszystko, czym mogą dysponować w tamtej wieży.

W czasie gdy mówił, ciężka katapulta stanęła na swym miejscu wśród zieleni. Teraz należało podciągnąć tam kamienie. Najcięższe z nich umieszczono w sieci splecionej z wielu lin – miały obciążać ramię katapulty. Mniejsze głazy – wielkości ludzkiej głowy – miały posłużyć za amunicję. Odciągnięto olbrzymie ramię, a sieć z głazami uniosła się w górę. W tym czasie kusznicy usadowili się wzdłuż grobli.

– Jeszcze nie zaczęli ostrzału. – Conan zwrócił się do Caspiusa, stając koło rydwanu. – To dlatego, że nie mogą tu dosięgnąć. Widzisz, dziury na drodze i rozbite wozy kończą się spory kawałek stąd. Chyba że mają w rezerwie cięższą katapultę.

– Patrz tam, starają się spędzić z mostu naszych ludzi.

Gdy szyjące w nich strzały opadały na groblę lub obok w bagno wzdłuż linii kuszników, małe fontanny piasku i wody zaczęły wystrzeliwać w górę. Conan nie zauważył, aby choć jeden z jego ludzi został trafiony. Dotarli do samego brzegu trzcin, tuż przy krawędzi drogi, gdzie padli na głośny rozkaz oficera, poprzedzony dźwiękiem trąbki sygnałowej. Najdalej wysunięci kusznicy zgodnie z rozkazem siedzieli przy moście. Teraz musieli radzić sobie sami, wybierając najwłaściwszy moment do ostrzału. Ciężkie kusze zostały przygotowane, napięto potężne cięciwy, cel został wybrany. Ostry dźwięk odzywał się nieregularnie. Nie można było stąd dostrzec śladów ostrzału na murach, ale sądząc po nagłym opustoszeniu blanków, pociski trafiały.

– Dobrze, katapulta też jest już gotowa – powiedział Conan. – Strzał!!!

Reagując na głośny trzask i skrzypienie drewna, większość znajdujących się przy katapulcie żołnierzy przypadła do ziemi, obawiając się, iż machina rozleci się w kawałki. Długie ramię wystrzeliło w powietrze, zaś ledwie widoczny pocisk pomknął w stronę zamku.

Patrzyli... i nie zobaczyli nic więcej. Dopiero po chwili zrozumieli, że kamień zniknął im z oczu daleko za zamkiem, przelatując wysoko nad nim. Rozległy się krzyki radości.

– Nie, nie zmieniajcie ustawienia ramienia! – rozkazał Conan – Załadujcie cięższy kamień!

Następny strzał dosięgnął narożnika zamku z głośnym huknięciem, wzbijając chmurę pyłu z zamkowego muru. Nie dojrzeli śladów znacznych zniszczeń, ale na pewno dało to do myślenia obrońcom.

– Przesuną katapultę nieco w prawo – wydał Conan kolejną komendę. A jego ludzie dokonali tego za pomocą dźwigni, bloczków i lin.

W międzyczasie przemówiła katapulta zamkowa. Pocisk uderzył w groblę, tuż obok siedzących w ukryciu kuszników. Po krótkiej chwili następny pocisk huknął w bagno za groblą, obryzgując najbliższej stojące woły strugami błota.

– Mają dobrze wyszkoloną załogę – stwierdził z uznaniem Conan – ale to musi być lekka katapulta, jeśli mogą załadować ją tak szybko. Nie sądzę, by mogli trafić dużo dalej.

Gdy mówił, ponownie strzeliła ich własna katapulta. Pocisk uderzył w zamkowy mur, nieco poniżej i trochę z boku od okrągłej wieży. Olbrzymi kawał muru, wraz z wieńczącym go zębem blanku, runął w dół. Żołnierze zareagowali głośnym rykiem triumfu.

– Wystarczy tej zabawy, rzezimieszki! – rozkazał Conan – Z powrotem do pracy! Wybierzcie okrągły, ładny pocisk na ten strzał.

Pocisk z wieży, wystrzelony tym razem po dłuższej chwili, plusnął w wodę, nie czyniąc żadnych szkód. Następny zaś plasnął głucho w muł i przetoczył się na piaszczysty brzeg.

– Zdaje się, że to maksymalny zasięg – powiedział Conan do Caspiusa. – Na grobli ta katapulta jest śmiertelnie groźna, ale tutaj nic nie może nam zrobić.

Z głośnym dźwiękiem ich własny pocisk poszybował w kierunku zamku. Zniknął im z oczu, ale moment jego upadku poznali dokładnie – towarzyszył mu piekielny trzask i ludzkie krzyki na szczycie wieży.

– Trafienie, bezpośrednie trafienie! – wrzasnął Caspius z entuzjazmem. – Czy zniszczyliśmy ich katapultę?

Wspinając się na rydwan, Conan uśmiechnął się szeroko – o tym można się przekonać tylko w jeden sposób. Uniósł bicz i pognął konie naprzód.

– Wy tam, trzymać ich pod ostrzałem, dopóki nie przejdziemy.

Gdy kopyta koni zadudniły na drodze, zwrócił się ku oficerom.

– Jazda przodem! Furio prowadzi! Potem piechota i tabor. Jeśli nie wycofam się przed mostem, możecie szarżować!

Gnali ku grobli, uważnie bacząc na każdy otwór strzelniczy, ale zamkowa katapulta milczała. Najlepszy znak, że została zniszczona lub uszkodzona. Upadło tylko kilka strzał. Jedna lub dwie otarły się o skórzane osłony na bokach koni, ale pociskom brakowało siły, a łuczników trzymały w szachu dużo dalej bijące kusze, które ostrzeliwały blanki.

– Jeśli Crom będzie łaskawy, przejdziemy most – zawołał Conan grzmiącym głosem. – Ale co dalej? – Spojrzał na Caspiusa, który stał z pobladłą twarzą, trzymając się kurczowo brzegu rydwanu – Niedobrze, staruszk. Jeśli nie czujesz się tu pewnie, powinieneś zostać przy taborach.

Jazda Furia, pełna zapału, nie czekała długo. Gdy tylko rydwan Conana wtoczył się na most, rozległo się za nim dudnienie końskich kopyt. Poszli za wcześniej,

ale ten brak dyscypliny okazał się szczęśliwy, gdyż jeźdźcy byli znacznie bardziej kuszącym celem dla łuczników. Jeden czy dwóch z nich pochyliło się niżej w siodłach, ale galopowali w niepowstrzymanej szarży. Za nimi biegli kusznicy, korzystając z chmury pyłu, by zająć dogodniejsze pozycje, a dalej ciemne szeregi piechoty.

Zza ich pleców katapulta wciąż kontynuowała swą niszczycielską robotę na murach zamku. Marny bastion, jakim był posterunek kontrolny na moście, już został opuszczony. Wjechałszy tam, Conan zostawił Caspiusa i rydwan w bezpiecznym ukryciu za murami, sam zaś uzbroił się w łuk i strzały i wysunął się, by pokierować jeźdźcami, którzy właśnie się doń zbliżali. Wszyscy jezdni mieli łuki. Wielu dobyło ich jeszcze przed szarżą. Teraz, gdy wstrzymali galop, strzały lecące w górę znacznie przewyższyły liczbą te opadające z otworów strzelniczych.

– Na razie dość. Wstrzymać ostrzał i stać w pogotowiu!

Rozkaz został wykonany, również przez kuszników, a potem załogę katapulty. Teraz Conan czekał, aż obrońcy również zaprzestaną strzelaniny. Wkrótce usłyszał odgłos trąbki, który najwyraźniej był właśnie tym właściwym rozkazem.

– Radziłbym ci się poddać i zaoszczędzić rzezi! – Znad blanków rozległ się głos Erskara i sam komendant pokazał się na murach. – Na razie udało ci się zdobyć most, ale fort wciąż jest nie do ruszenia i wciąż kontrolujemy drogę. Kiedy spróbują przejść tędy ciężkie wozy – wskazał za plecy piechoty, która zbliżała się do mostu – z łatwością powystrzelamy te woły. Nigdy nie przejdiesz!

– Spróbuj! Stracisz więcej łuczników niż ja wołów! – Conanze swej strony wskazał kuszników, którzy zajęli dobrze kryte pozycje przy moście. – Posłuchaj mnie, Erskarze! Mam ważniejsze sprawy niż stanie tutaj i kłócenie się z tobą... albo budowanie sprzętu oblężniczego, który załatwi twój fort. Chcę tylko skorzystać ze szlaku. Pozwól nam przejść, a opuścimy twój kraj w ciągu dwóch dni. Powiedz swoim władcom, że zaskarbiają sobie wdzięczność króla Aphratesa. Docenią twój mądry wybór.

– Ostrzegam, dowódco – odparł Erskar – jeśli knujesz jakąś zdradę... – Jego głos zadrżał nieznacznie.

Komendant zniknął z blanków. Wrócił po dłuższej chwili.

– Dobrze zatem – oznajmił znów zdecydowanie aroganckim tonem. – Niech ta, i tak przeznaczona na żer dla sępów banda zniknie mi z oczu do południa. – Wskazał buławą krążące w górze ptaki. – Inaczej poszybują za wami nasze strzały.

– Zgoda. – Conan uniósł wysoko drzewce swego łuku w geście przypieczonej umowy. Ten oślizgły nedrezzański pies i tak nigdy nie zaufałby mu na tyle, by zejść tu dla uściśnięcia dłoni. – Ale pamiętaj, te karawany za mną i wszyscy ci ludzie są pod moją opieką. Nie będzie opłat ani rabunków!

Jeśli nawet Erskar coś odpowiedział, nie usłyszeli tego. Skinawszy tylko niedbale głową, zniknął ponownie z murów. Conan rozkazał jeździe zostawić konie poza zasięgiem łuczników z zamku i powrócić tu z łukami. W międzyczasie piechota a za nią tabory przekroczyły rzekę. Bez przeszkód. Jako ostatnia na most wtoczyła się katapulta, częściowo już rozmontowana i ciągnięta przez konie pociągowe. Potem, kiedy przeszły też luźne grupy ciągnące za główną armią, Conan stopniowo wycofał kawalerię. Gdy oddalali się od zamku, z potężną jednakowoż ariergardą, rozradowani żołnierze zaintonowali pieśń zwycięstwa. Nie było niemal żadnych strat – ot, kilka lekkich ran – a marsz nie opóźnił się zapytano. Furio dzięki pięknej szarży utrzymał wysoką reputację, ale początkowy spór z Conanem nieco osłabił jego pozycję. Cymmerianin zaś ugruntował swoją – legion zaczął uważać go za niekwestionowanego przywódcę.

Dwa dni później minęli posterunek graniczny na południowym krańcu Nedrezzar. Była to źle utrzymana cylindryczna wieża na przełęczy. Kiedy maszerowali obok, nie dostrzegli tam najmniejszego nawet śladu życia. Nie żądano żadnych opłat, nie uchyliło się żadne okno ani drzwi. I gdyby nie wąska wstążka dymu unosząca się nad dachem zamku, można by uznać, iż jest on zupełnie opuszczony.

VIII

ASGALUN

Kiedy ekspedycja przebyła wreszcie wzgórze Linbun i dotarła do Oceanu Zachodniego, zdało im się, że dotarli na sam kraniec świata. Niewielu ludziom z Baalur było dane kiedykolwiek oglądać taki widok. Dopiero teraz zrozumieli,

jakie zadanie mają wykonać, i poczuli lekki tylko przedsmak trudów, które ich czekały. Szybko jednak zapomnieli o podziwianiu bezkresnego widoku, gdyż ciężkie wozy musiały być sprowadzone w dół stromego zbocza. Conan trzymał się z tyłu i poganiał maruderów. Oczekiwał również niecierpliwie, kiedy wreszcie pojawi się na horyzoncie zarys portu Asgalun. Zastanawiał się tylko, czy znowu przyjdzie nałożyć strzały na cięciwy i skierować katapulty przeciwko murom, czy także tę twierdzę będzie musiał zdobywać szturmem.

Miasto jednak przyjęło ich otwartymi bramami i powitanie to wydawało się szczere. Od momentu, kiedy kolumna wkroczyła w śmierzące rybami przedmieścia, leżące zresztą poza obrębem murów, wyszła im na powitanie honorowa eskorta, którą tworzyła doborowa królewska jazda. Conan rozpoznał nawet prowadzącego ją oficera. Niegdyś był jednym z poruczników Mazdaka, teraz jednak miał na sobie piękny mundur kapitana gwardii pałacowej. Brama była szeroko otwarta, a wewnątrz kłębił się gęsty tłum. Piesi żołnierze musieli utworzyć kordon, aby oddzielić zebranych mieszkańców, krzyczących wszelkimi językami świata, od gości, których przybyli powitać. Conan miał nadzieję, że okrzyki, jakie słyszy, są okrzykami powitania. Nie przebywał w mieście jeszcze na tyle długo, aby być tego pewnym.

Wiedział natomiast, że mieszkańcy Asgalun to niekarny tłum, zawsze skory do bójek i buntów. Gdyby nagle rozniosła się plotka o zarazie, którą podobno ciągną ze sobą jego ludzie, mogłoby to się stać bardzo niebezpieczne... albo przynieść pewne korzyści. Na razie jednak zdawało mu się, że prędzej jego żołnierze złapią tutaj jakąś zarazę...

Musiał zadbać, aby jego ludzie otrzymali wygodne kwatery w mieście i aby unikali nadmiernych kontaktów z lokalną społecznością podczas pobytu, który – niezależnie od serdecznego, jak się zdawało, przyjęcia – musiał być krótki.

Miasto najwyraźniej miało się dobrze. Z wcześniejszych czasów pamiętał je jako zbiorowisko walących się ruin oraz nadgryzionych zębem czasu lub pożarami pozostałości po wspaniałych pałacach. Teraz jednak, po raz pierwszy od długiego czasu, Asgalun mógł się cieszyć kilkoma latami stabilnych rządów. Większość zdewastowanych budynków odbudowano. Gdzieś tam pojawiły się nawet nowe sklepy i świątynie. Stare miasto zewnętrzne zostało otoczone murami, podobnie miasto wewnętrzne. Natomiast poza drugim pierścieniem murów pojawiły się nowe slumsy. Wyremontowano także rzeczne kanały, którymi napływały nieprzerwanym strumieniem zyski z pośredniczenia w morskim handlu.

Sam król Mazdak przywitał ekspedycję na placu Adenisa, teraz oczyszczonym z ruin i wyłożonym nowym marmurem. Wysoki Hyrkańczyk nie utył od czasu, gdy obaj byli najemnikami, choć miał na sobie nową, znacznie bogatszą zbroję, której wypolerowana jak lustro stal była ozdobiona klejnotami. Wyglądał godnie dosiadając czarnego rumaka i stojąc na czele sporej kompanii. Jego drapieżne hyrkańskie rysy twarzy, której główną ozdobą był wielki, zakrzywiony nos, dobrze komponowały się z połączanym hełmem. Przy boku miał bułat, a na jego szerokie ramiona narzucony był biały jedwabny płaszcz. Żołnierz i król – dobry władca dla miasta leżącego na niespokojnym shemickim pograniczu.

– Conan, ty wieczny włóczęgo! – Pochyliwszy się lekko w siodło, Mazdak zbliżył się do rydwanu, w którym znajdował się Cymmerianin w towarzystwie Caspiusa – Jakież to zadanie jest teraz przed tobą?

– Poszukiwanie lotosu, Mazdaku, zresztą dobrze o tym wiesz – odparł Conan – Niełatwe zadanie, które zmusza nas do opuszczenia domów, a może i granic naszego świata.

– Lotos, no tak. – Mazdak sięgnął do sakiewki, najwyraźniej jak to było tutaj w zwyczaju, i rozrzucił trochę monet wśród wiwatującego tłumu. – Ja nigdy nie uganiałem się za nieznanymi ziołami, bo dobrze wiem, co one mogą zrobić z człowiekiem. Pamiętam za to czasy, kiedy obaj ganialiśmy za prawdziwymi skarbami, złotem, chwałą... zemstą. To były dni, czyż nie?

– Tak, odległe dzieje, ale ciągle żyją w pamięci. – Conan wyjął z dłoni króla jedną ze srebrnych monet, uniósł ją w górę i przyjrzał jej się dokładnie w świetle słońca. – To było w czasach, zanim twoja twarz pojawiła się na monetach. Mazdak roześmiał się wesoło.

– No i Rufia – powiedział, zmieniając gwałtownie temat. – Przyszedłeś tutaj na jej prośbę, tak przynajmniej wieść niesie. Zdaje się, że jest teraz królową, czyż nie? Czy wciąż jest tak piękna, jak kiedyś? Przeklinam swoją głupotę, że przegrałem taką dziewczynę w kości. Mogłaby być teraz królową Asgalun i siedzieć na tronie u mojego boku.

– Raczej rządzić twoim tronem, bo tak właśnie postępuje ze wszystkimi

władcami. – Conan rzucił badawcze spojrzenie na medyka Caspiusa, który był wystarczająco blisko, by dokładnie śledzić tę wymianę zdań.

– Pozwolic ci odjechać wraz z nią, cóż to był za błąd. Ale tak czy inaczej – dodał Mazdak – pozdrów ją ode mnie, kiedy znowu się spotkacie. Jeżeli, oczywiście, wrócisz żywy po wykonaniu twego ambitnego zadania.

W czasie ich rozmowy rydwan wjechał na kamienny most nad kanałem oddzielającym zewnętrzne miasto od wewnętrznego i przejechał przez bramę położoną dokładnie naprzeciwko tej, którą wkroczyli w mury miasta. Przywitały ich dźwięki trąb i krzyki rozentuzjzmowanego tłumu, jako że u boku Conana jechał sam król Asgalun, a dostojnicy i kapłani, mieszkający w wewnętrznym grodzie, nie omieszkali wykorzystać sposobności, by okazać oddanie swemu władcy. Znajdowali się pomiędzy bogatymi pałacami, spichlerzami i budynkami świątyń, w miejscu, z którego z poprzednich lat Conan pamiętał tylko pożary, rzezie i drzewa obwieszane jak liśćmi wiszącymi na nich ciałami. Kontynuowali triumfalny wjazd.

– Więc tak dziś wygląda życie wodza najemników – zauważył z lekką zazdrością Conan. – Teraz nie musimy się przekradać do bogatszej dzielnicy przez ukryte przejścia, otworzono dla nas główną bramę, a witają nas rozweselone sługusy i tancerki świątynne. Jak to się stało, że Asgaluńczycy pozwolili tu władać Hyrkańczykowi?

Mazdak roześmiał się.

– Dla nich to lepiej, niż gdybym był członkiem jednego z tutejszych klanów. Zdaje się, że sądzą, iż cudzoziemiec jest najlepszym sędzią w ich codziennych kłótniach. Marionetkowy król Ezreth, którego najpierw osadziłem na tronie, zmarł bardzo szybko przez opilstwo. Był on nawiasem mówiąc siostrzeńcem byłego króla Uriaza. A potem pozwolili mnie osiąść na tronie, bez większych protestów – Hyrkańczyk wzruszył ramionami. – Nie tak trudno jest zająć tron, wierz mi. Nie jeśli jesteś dobrym graczem i dobrze robisz mieczem. – Uderzył dłonią w okrytą pancerzem pierś. – Musisz sam kiedyś spróbować.

Pomiędzy nowymi budowlami Conan dostrzegł jednak znajome miejsce – wysoką, wąską wieżę, która zdawała mu się teraz nieco pochylona, tak jakby w każdej chwili groziła zwaleniem.

– Czy nie tutaj zginął szalony król Akhirom?

– A tak – przytaknął Mazdak – właśnie stąd próbował odfrunąć jak ptak w lunatycznym śnie, starając się przekonać zebrany u dołu rozwścieczony tłum o swym boskim pochodzeniu. To było po tym, jak Zeriti zatrzymała go i doprowadziła do szaleństwa. Zostawiłem tę wieżę jako pamiątkę, jako przypomnienie Asgaluńczykom, jacy królowie rządzą tu przede mną. Chociaż jest w tym pewne ryzyko... może powinna zniknąć, tak jak jej poprzedni właściciel...

Mazdak poprowadził ich obok głównego pałacu, aby mogli ujrzeć port. Gwardia pałacowa wyglądała solidnie, nie była bynajmniej wystrojona jak na paradę. I więcej uwagi zwracali na swoje uzbrojenie niż na uroczyste sztandary powiewające nad głowami. Bystrym oczom byłego najemnika nie uszły też obsadzone fortyfikacje portowe. Conan nie odebrał tego jako zagrożenia, raczej jako objaw przeczności. Najwyraźniej Mazdak obawiał się nieco i jego, i licznej kompanii, którą wiódł. Pod kołami rydwanu zazgrzytał nadbrzeżny piasek. Po chwili rydwan Conana stanął jako pierwszy z długiego szeregu, na szerokiej alei wiodącej od zamku.

– Dobrze, przywiodłeś nas więc prosto do statków. – Conan spojrział na las masztów ciągnący się wzdłuż wybrzeża. – Które należą do nas?

– Zaraz, przyjacielu, miałem nadzieję, że zabawisz tutaj chociaż dzień lub dwa. Nie chciałbyś wpierw złożyć wizyty w moim haremie? Poważne sprawy mogą poczekać.

– Problem polega na tym, Mazdaku, że czas jest naszym największym wrogiem. Chciałbym dzisiaj zaszałować statki, a jutro odpłyniemy z samego rana, gdy tylko pojawi się jakiś sprzyjający podmuch wiatru. Choć oczywiście wszystko zależy od tego, czy twoje statki i załogi są gotowe.

– Bez obaw, Conanie. Wszystko jest w najlepszym porządku. Czy nie możemy chociaż zjeść razem obiadu? Gdy tylko doniesiono mi o zbliżaniu się twojego wojska, rozkazałem nakryć do stołu w Szmaragdowej Sali – Mazdak wskazał pałac szerokim ruchem ręki i zachęcił Conana do podążenia w tamtym kierunku. – Aha, musisz poznać Guliazara, mojego ministra do spraw handlu morskiego i przy okazji najlepszego pilota, jakiego posiadam. Będzie też twoim przewodnikiem w pierwszym etapie podróży, kiedy rzeka płynie jeszcze na wschód, i zapewniam cię, że dobrze poradzi sobie ze wszystkimi trudnościami, jakie mogą czynić urzędnicy stygijscy.

– Bądź pozdrowiony, Wasza Wysokość, i ty, lordzie Conanie. Mam nadzieję, że okaże się przydatny. – Minister Guliazar pospieszył ku nim, schylając uniżenie głowę. Był mężczyzną niskiego wzrostu, ale krępy i potężnie umięśnionym. Odziany był w jedwabną bluzę i pantalone, a egzotyki jego stroju dopełniały turban i zakończone ostrymi, uniesionym w górę czubami pantofle.

– Proszę się nie obawiać – zapewnił Conana – znam wszystkie wiry i prądy Styksu, jak żyły na mej własnej ręce. – Podciągnął bogato zdobiony rękaw i zademonstrował swą zadbaną, o długich paznokciach, dłoń. – Powiodę was tak daleko w górę rzeki, jak to tylko możliwe.

Był to początek dłuższej konwersacji, na temat nawigacji i polityki. Rozmowie towarzyszył wyszukany posiłek. Zadbano też o nakarmienie całej armii, choć żołnierze, oczywiście, jedli na zewnątrz. Mimo gościnnego przyjęcia Conan nie zaniedbał pozostawienia uzbrojonych strażników przy wozach i wydał stosowne rozkazy, ograniczające znacznie spożycie wina z piwnic Mazdaka. Zadbano także o paszę oraz odpoczynek dla zwierząt, a pałacowe łaźnie zostały udostępnione uczestnikom wyprawy, dla kąpieli i przepierki.

Później Mazdak i Guliazar zaprosili Conana na pokład ośmiowiosłowej łodzi w celu odbycia przejażdżki po wewnętrznych wodach portowych.

– Przygotowałem dla ciebie cztery dahabije jako główne transportowce – powiedział Mazdak, siedzący przy sterze. – Są przeznaczone do żeglugi rzecznej, ale spisują się na morzu wystarczająco dobrze, by dotrzeć wzdłuż wybrzeża do ujścia Styksu, niezależnie od pogody. Dodatkowo mogę zaopatrzyć cię w kilka mniejszych łódek, dla prowadzenia handlu z nadrzecznymi osadami, ewentualnie wypraw zwiadowczych w górę rzeki lub w jej dopływy, i co tam jeszcze dla nich wymyślisz.

– Czy tymi statkami można bezpiecznie przewieźć konie? – spytał Conan, stojący na dziobie łódki – Będę potrzebował jazdy w czasie lądowego etapu wyprawy.

Uważnie przyjrzał się masywnym dahabijom. Cztery szerokie barki z budzącymi zaufanie wysokimi dziobami i kwadratowymi kabinami na rufie, każda o dwóch masztach z długimi bomami. Trwał właśnie załadunek, a ubrana w brązowe turbany załoga uśmiechała się i machała im z pokładu.

– Ależ tak, lordzie – zapewnił Guliazar – każdy z tych okrętów może zabrać na pokład trzy setki pasażerów razem z towarem, ale z ładowni z łatwością można zrobić pomieszczenia dla koni. Jak przypuszczam, nie zabieramy wołów? W południowych krainach można bez problemu nabyć wielbłądy.

– W rzeczy samej – zgodził się Conan, wątpiąc nieco, by dahabija, nawet szerokopokładowa, pomieściła na pokładzie trzy setki ludzi w znośnych warunkach. Ale było ich cztery a to powinno wystarczyć dla tysiąca ludzi.

– Mazdaku, zatrzymaj nasze wozy i woły jako część zapłaty za twoją pomoc. Ale co z okrętami wojennymi? Potrzebuję szybkiej jednostki dla ochrony przeciwko piratom. Takiej na co najmniej osiemdziesiąt wiosł.

Mazdak przytaknął.

– Myślę, że spodoba ci się mój wybór – rzekł.

W tym właśnie momencie ich łódka przepłynęła koło wysokiego dziobu czwartej barki i król Asgalun wskazał Conanowi piątą jednostkę o sporym tonażu, kołyszącą się na falach. Przypominała argossański pentekonter, długi i o prostym kadłubie. Wolna burta nie wystawała nad wodę więcej niż na wysokość człowieka. Statek był dwumasztowy, jednak drzewca masztów nie sterczały pionowo, lecz leżały wzdłuż burt w pozycji bojowej, zaś zwinięte żagle zalegały na śródkręciu. Na dziobie i rufie znajdowały się najwyżej położone części statku – pokłady bojowe o trójkątnym kształcie. Dziób dodatkowo ozdobił galion w formie smoka, poniżej zaś uzbrojonej w potężne kły głowy bestii znajdował się solidny brązowy taran, omywany przez błękitne morskie fale.

– To barachański okręt wojenny. Ma setkę wiosł, ale starczy siedemdziesięciu, by osiągnął pełną prędkość bojową. Pozostali mogą wtedy walczyć.

– Doskonale, Mazdaku – zwrócił się Conan do swego gospodarza – Myślę, że da sobie radę z każdym stygijskim kutrem. A ponadto – spojrzawszy ponownie na statek – może nawet udawać jeden z nich... z lekką charakteryzacją. Przyda się też do ściągania statków z mielizny i do opędzania się przed piratami.

Mazdak roześmiał się.

– Jeśli spotkasz piratów, przede wszystkim będą chcieli zdobyć właśnie ten okręt, ale nie sądzę, by go dostali.

Conan sięgnął dłonią i klepnął pozłocaną rzeźbę na dziobie okrętu, pod która właśnie przemykała ich łódka.

– Na pewno nie, z tuzinem dobrych łuczników na pokładzie, a może i jakąś balistą.

Jeszcze przed wieczorem statki zostały doholowane do doków i rozpoczęto załadunek. Żołnierze Conana pracowali w świetle pochodni, z pomocą dokerów Mazdaka. Przy dźwiękach ciętego drewna i zgrzytach narzędzi skutniczych, które niosły się daleko w nocnej ciszy, wznoszono stajnie i przebudowywano ładownie. Ogólny harmider potęgowały też inne odgłosy – okrzyki nadzorców, rżenie wprowadzanych na pokład koni. Hałas trwał bez przerwy jeszcze następnego dzień i noc. Wreszcie pracujący na dwie zmiany ludzie zakończyli załadunek i rozłokowali się na pokładach.

Conan pozostawił nadzór nad tą operacją oficerom, sam zaś trzymał się raczej na uboczu, chcąc uniknąć kłopotów, jakie mógł sprawić sobie i Mazdakowi, gdyby któryś z asgaluńskich kupców rozpoznał w nim Amrę – wodza piratów pustoszących kiedyś południowe wybrzeża. Wprawdzie legenda Amry przybladła nieco w ostatnich kilku latach, a naoczni świadkowie jego wyczynów byli już prawdopodobnie w większości martwi, ale nawet plotki na ten temat mogły spowodować rozruchy w Asgalun i uczynić go tu niemile widzianym gościem.

– Czy naprawdę zamierzasz wypłynąć przed świtem? – spytał Mazdak, gdy zatrzymali się przy jednej z zamkowych balist, spoglądając na nadmorskie skały. – Rozumiem twój pośpiech i nie czuję się urażony jako gospodarz, gdyż wynika to raczej z charakteru zadania, które cię czeka.

– Tak właśnie jest, Mazdaku – odparł Conan. – Jestem ci wdzięczny i za pomoc, i za przyjęcie, jakie mi tu zgotowałeś. Ale robota musi być wykonana tak szybko, jak to tylko możliwe. Żeby utrzymać dyscyplinę wśród tak wielkiej armii jak moja i zachować pełną gotowość bojową, musimy się spieszyć, zwłaszcza że dalej czeka nas na pewno wiele przeszkód.

– Szczerze mówiąc – powiedział Mazdak – trudno mi sobie wyobrazić, nawet jako byłemu najemnikowi, bym osobiście podjął się takiej wyprawy, ale jeśli ci się uda i w końcu powrócisz do Baalur, będę miał dla ciebie inną propozycję. Obejmij dowództwo na armią Baalur, zwłaszcza, że Aphrates chętnie będzie cię widział na tym stanowisku. Nakłoń go do ściślejszego sojuszu ze mną, w czym na pewno pomoże ci królowa. Razem możemy podbić całe Shem, na chwałę naszych dwóch miast – państw. Na początek Nedrezzar z dwóch stron, potem przejedziemy się po pozostałych miastach wybrzeża i pomaszujemy na wschód aż do granicy pustyni.

Conan roześmiał się głośno.

– Ambitny plan, bracie! Zanim jednak pobiję Shem, mam do pokonania rzekę. Samozwańczy król skinał głowę.

– Więc dobrze, stary przyjacielu. Ale obiecaj mi, że jeśli przeżyjesz tę szaleńczą wyprawę i powrócisz tu z nurtem rzeki, wstąpisz do mnie. Znajdziemy wtedy czas, aby się napić, zapomnieć o trudach ekspedycji i znacznie weselej uczcić nasze spotkanie.

IX

CZARNA RZEKA

– Przed nami ujście Styksu – obwieścił Guliazar. Stał tuż obok Conana na rufie okrętu wojennego i wskazał właśnie ręką przed siebie, zwracając ich uwagę na ciemną zatokę, otoczoną przez gęstą zieloną roślinność. – Czujecie, jak prąd rzeczny pracuje przeciwko morskim falom? Okręt idzie teraz znacznie ciężiej.

Za plecami brodatego Pelishti dwóch sterników z ogolonymi głowami napało mocniej na rękajeść długiego wiosła sterowego. Okręt trzymał kurs i wiosła mocno siedziały w jarzmie, ale oni czuli wyraźnie, jak bardzo zwiększył się napór wody na pióro. W tym czasie na ławach na śródokręciu próżniaczyło się około setki Shemitów, siedząc, rozmawiając, kłócąc się zawzięcie lub grając w karty. Statek szedł bowiem pod żaglami i nikt nie wymagał pracy od wiosłarzy. Conan znał się na żegludze wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że Guliazar mówi prawdę. Fale obmywające prawą burtę statku centyremy, choć silne, nie były zwykłymi, ostro zakończonymi falami przyboju, a woda miała znacznie ciemniejszy kolor niż na otwartym morzu. Zaś w głębi wybrzeża zieleńiała się tropikalna roślinność zamiast zwykłego tu białego piasku i skałek.

Jeden z żeglarzy wychylił się przez burtę i zaczerpnął wody, którą uniósł następnie ku ustom.

– Jest nieco słonawa, ale na pewno nie smakuje jak woda morska – zaraportował.

– Więc dobrze – stwierdził Guliazar – weźmy kurs na północny brzeg rzeki i trzymajmy się go. Tak robią wszyscy przybrzeżni handlarze i przemytnicy, którzy płyną w górę rzeki. Prąd jest tam wolniejszy, co ułatwia podróż, a wysoki brzeg chroni przed wiatrem. – Odwrócił się już, by wydać stosowny rozkaz, ale Conan powstrzymał go.

– Nie tak szybko, Guliazarze – powiedział Cymmerianin. – Wzdłuż tego brzegu ciągną się także bagienne mielizny i mnóstwo tam wysepek i zatoczek, w których mogą czatować piraci. Trzymajmy się raczej głównego nurtu, a wtedy w porę dostrzeżemy potencjalne niebezpieczeństwo.

– Nie musimy chyba specjalnie obawiać się piratów, milordzie, mając do dyspozycji tysiąc mieczy i tak dobrze przygotowane okręty. – Guliazar, choć skłonił się na znak szacunku, najwyraźniej poczuł się urażony brakiem zaufania do swej wiedzy. – A jeśli chodzi o mielizny – uniósł głos – znam tę rzekę wystarczająco dobrze, aby ich unikać.

– Tak, tak, pilocie – mruknął Conan pojednawczo – ale czy możesz być równie pewny, że uniknie ich ostatni statek w naszym szyku? Równie dobrze może się zgubić lub wpaść na jakiś pniak. – Wskazał za rufę, gdzie na falach kołysały się cztery białe żagle dahabiji, wyglądające jak białe mewy siedzące na falach przyboju. – Taki wypadek znacznie osłabiłby nasze siły, a w najlepszym przypadku stracilibyśmy dużo czasu.

Conan nie chciał nawet dodawać, że Furio i inni oficerowie, których nie miał jeszcze okazji sprawdzić w trudnej sytuacji, a którzy znajdowali się na pokładzie dahabiji, mogli nie zareagować w porę albo nawet zgubić się zupełnie. Dlatego też porozdzielał większość z pięćdziesięciu żeglarzy Guliazara, skądinąd wyglądających na doświadczonych wilki morskie, pomiędzy wszystkie cztery statki towarowe, a na pokładzie ostatniego w szyku umieścił Furio oraz Caspiusa, który miał mieć na niego oko. Ale ambitny shemicki oficer mający poparcie dwóch setek żołnierzy mógł łatwo wyrwać się spod kontroli kilku żeglarzy i starego medyka.

– Więc dobrze, milordzie, jeśli takie jest twoje życzenie. – Guliazar poddał się zrezygnowany wobec ignorancji lądowego szczura, za którego zapewne uważał swego komendanta. – Jednak zaznaczam, że bardziej musimy obawiać się patroli stygijskich, które kręcą się wzdłuż lewego brzegu, niż piratów na prawym. Wojenne okręty czcicieli Seta są bardzo sprawne i patrolują te wody, ściągając podatki od wieszonych towarów, a czasem konfiskując całe statki i porywając ich załogi.

Wpłynęli w szeroką deltę rzeki, pozostawiając za sobą zielone równiny Shem i kierując się w stronę nieurodzajnych ziem Stygii.

Przed nimi wyrastał teraz, doskonale widoczny w promieniach zachodzącego słońca, brzeg tego złowrogiego królestwa. Stanowiąca jego granicę wielka delta, przechodziła dalej w pustynny interior, aż wreszcie zamieniała się w ledwie widoczne na horyzoncie pofałdowane masywy górskie. Pojawiły się też mury nadmorskiego miasta, zbudowanego z czarnego kamienia, tonącego w tajemniczych oparach dymu, którego obłok wisiał nieruchomo, przy bezwietrznej pogodzie, jaka panowała na wybrzeżu. Khemi o czarnych murach – starożytna kolebka kultu Seta, przerażającego boga – węża Stygijczyków. To tam odziani w czarne szaty akolici wnosili śpiewne modły i składali ofiary w niezmiernych katakumbach ciągnących się w głąb ziemi i kryjących w swych wnętrzach starożytne grobowce królów. Khemi, w którym, jak głosiły plotki, zamykano po zmroku brązowe bramy i w którym o tej nocnej porze krążyły po ulicach głodne świątynne pytony, wybierające sobie żer spośród grzeszników i niewiernych.

– Jeśli Styks jest naprawdę ciałem boga-węża – powiedział Guliazar – to tamten przylądek jest jego kłami. – Wskazał na południe ku fortom, które wcinały się głęboko w morze. – A czarne Khemi jest jego wiecznie otwartym okiem.

W szerokiej delcie niewiele było żagli, choć Conan dostrzegł kilka masztów, poruszających się leniwie w kierunku czarnych murów miasta i zabudowań portowych. Były to barki rzeczne, wpływające, według słów Guliazara, przez otwarte wrota portu Khemi do sieci wewnętrznych kanałów wodnych. Jeden wszakże żagiel wydał im się podejrzany – wysoki, trójkątny, o purpurowej barwie. Poruszał się szybko na horyzoncie i najwyraźniej starał się przeciąć ich kurs w głębi delty. Conan przysłonił oczy ręką, by przyjrzeć mu się uważnie, w czym przeszkadzały promienie zachodzącego słońca. A potem odwrócił się ku załodze i zaczął wydawać szybkie komendy:

– Wioślarze, opuścić wiosła! Podać na bębnie szybkie tempo! Guliazarze, nadaj sygnał do pozostałych statków, aby natychmiast kierowały się w górę rzeki!

Pilot przekazał posłusznie rozkaz do sygnalisty, ale potem, spojrzawszy na południe, ośmielił się podać w wątpliwość decyzję swego dowódcy.

– Nie widzę powodu do obaw. Ten statek porusza się szybko, ale to nie jest okręt wojenny. Nie może nam w żaden sposób zaszkodzić, co najwyżej przyjrzeć się nam wyraźnie i przekazać raport kapłanom w mieście.

Przekrzykując skrzypiące wiosła i gwar wśród załogi oraz głęboki, wibrujący dźwięk, który rozległ się, gdy wyciągnięto bęben, Conan udzielił odpowiedzi:

– Ten statek jest bardzo niebezpieczny, Guliazarze. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Jest niebezpieczeństwem, na które jesteście bardzo słabo przygotowani. Niebezpieczeństwem, które może wyrzucić do góry nogami naszą ekspedycję, pokonać naszą flotę i uwięzić w lochach Stygii wielu mieszkańców Baalur. – Uniósł głos, wykrzykując komendy – Wioślarze, czas pokazać co pojęliście z moich nauk podczas podróży z Asgalun! Skręt na prawo! Bęben, zaczynać!

Przy miarowych uderzeniach bębna, które pomagały nawet niewyszkolonym wioślarzom, manewr skrętu rozpoczął się. Wiosła na prawej burcie zwisały nieruchomo, uniesione nad powierzchnię wody, podczas gdy te po przeciwnej stronie uderzały ze zdwojoną energią. W tym czasie sternicy całym ciężarem swych ciał napaarli na ciężki, nieruchawy rumpel, pchając go w stronę bakburty. Nie był to sprawny manewr. Pośród plusków i przekleństw wiele wiosel prześlizgnęło się po powierzchni wody miast zanurzyć się głębiej, wiele też pozderzało się ze sobą. Niemniej manewr jakoś wykonano, zwłaszcza że przypływ oceanu, który właśnie wtargnął w deltę rzeki, znacznie w tym pomógł.

– Teraz najszybsze tempo i cała naprzód! Zwinać ten żagiel, tylko nam przeszkadza! I przestać mleć ozorami, rzezimieszki! Oszczędzajcie oddech, bo płyniemy pod wiatr!

Conan odwrócił się, aby zobaczyć czy dahabije powtórzyły jego manewr. Skinał głową z zadowoleniem, widząc, że kapitanowie wykonali jego rozkaz, chociaż idąc na żaglach i pod wiatr musieli bardzo się starać halsując. Spojrzał teraz ponownie na zbliżający się nieznany statek. Prędkość, jaką mieli obecnie, wystarczała w zupełności, aby ich centyrema zostawiła za sobą obcą jednostkę. Ale było też możliwe, że będą musieli wykonywać dalsze manewry, by odpędzić intruza od wolniejszych żaglowców. Co więcej, musiał pamiętać, że jego ludzie nie są tak wytrzymali, jak doświadczeni wioślarze.

– Hej, zdaje mi się, że mają tam na pokładzie jakichś pasażerów – powiedział Guliazar, przysłaniając oczy przed blaskiem słońca. – Na Isztar, słyszałem już coś o tym.

– Patrzyć w stronę rufy! – rozkazał Conan załodze. – Wszystkie oczy na tego, który podaje rytm, choć może nie jest najpiękniejszy!

Cymmerianin dziękował bogom, że ławy wioślarzy zwrócone są w stronę rufy okrętu. Ale nie trzeba było patrzeć, by wiedzieć dokładnie, co lub raczej kto znajduje się na zbliżającym się statku. Zapach egzotycznych perfum, ciężkich i słodkich, doleciał ku nim na skrzydłach popołudniowej bryzy – intruz znajdował się po nawietrznej. A kiedy tylko statek o purpurowych żaglach podpłynął bliżej, można było wyraźniej przyjrzeć się tłumowi, który kłębił się na wąskim pokładzie. Były to kobiety. Nagie, ciemnoskóre, machające rękami i wykrzykujące bezwstydnymi zaproszeniami w stronę centyremy oraz podążających za nią żaglowców. Wychylały się za burtę, ukazując w wyuzdany sposób swe nagie wdzięki. Każda miała we włosach wielki czerwony kwiat i nic poza nim. Ich okrzyki i propozycje dochodziły do uszu załogi Conana, niosąc ze sobą zaproszenie do dzikiej orgii.

– Pół tempa, ale bębnić głośnie! – rozkazał Conan. – Sternik, odpędzić je, celując taranem! Podać sygnał do reszty statków, by gnały naprzód na pełnych żaglach.

Teraz Guliazar przyznał mu rację.

– Czy wiesz, że kwiaty, które mają we włosach, to czerwone lotosy? To one utrzymują je w narkotycznym transie. A czujesz zapach perfum? Sok lotosu mają także pod paznokciami, widzisz, jakie są długie i ostre? Każda z tych kobiet jest jak kwiat żywiący się owadami albo jak jadowi ta żmija. Mogą wprowadzić męzczyzną w narkotyczny trans kilkoma zaledwie pieszczotami. To są kapłanki Idris, bogini-żmiji. I jak powiadają, wierne wnuczki Seta.

– Tak właśnie słyszałem – potwierdził Conan. – Męczyzna, który im ulegnie, zakończy żywot jako niewolnik na galerze.

Guliazar ocenił położenie obu statków.

– Nie schodzą z drogi, a jeśli przebijemy ich taranem, będzie zamieszanie.

Conan spojrział w stronę odległego portu, gdzie, jak mu się zdawało, w szybkim tempie wciągano żagle na maszty.

– Tak, jeśli statki w siebie stukną, te dziwki znajdą się na naszym pokładzie i nie wiem, jak wtedy zachowa się załoga – warknął ze złością. – Ale nie chcę też posłać ich na dno, aby nie doścignęła nas jakaś klątwa kapłanów Seta. – Odwracając się w stronę załogi, krzyknął donośnie: – Hej, wy tam, na deku! Przygotować katapultę! Trzeba stracić ten żagiel!

– Dobry pomysł, komendancie – przytaknął Guliazar. – To nam powinno umożliwić ucieczkę. Nie możemy przecież wrócić na morze. – Zaśmiał się głośno. – Wyobraź sobie: wielka ekspedycja króla Aphratesa i króla Mazdaka przegoniona przez statek pełen nie uzbrojonych i nagich kobiet.

Krzyki kapłanek, teraz już tak bliskie, że nie zagłuszało ich dudnienie bębna nadające rytm wioślarzom, przyciągały jednak uwagę załogi. Wielu wioślarzy odwracało głowy w stronę dziobu, tracąc rytm i przeszkadzając innym, gdy zderzały się wiosła.

– Oczy na rufę!!! – wrzasnął Conan – Ruszać się i wiosłować równo! Następne oko, które spojrzy w tę stronę, osobiście wyłupię rozgrzanymi obcęgami!

Na pokładzie dahabiji nie było wiele lepiej. Na najbliższej, tej, która miała najlepszy widok na okręt – zamtuz, tak wielu ludzi wspinało się na relingi prawej burty, że Conan miał wrażenie, iż statek przewróci się pod ich ciężarem. Ale ręka trzymająca ster stygijskiego statku, męska czy żeńska, wykonała niewłaściwy ruch. Płynący dotąd nieustraszenie wprost na okręt Conana statek dokonał gwałtownego skrętu, zbyt gwałtownego. Bom przeleciał z impetem na drugą stronę i zakotłował potężnie całym statkiem, który stracił prędkość i stanął z łopoczącymi bezradnie żaglami. Przegrywał walkę z wartkim prądem rzeki. Kilka kobiet wypadło za burtę, czy to tracąc równowagę, czy raczej zepchniętych, jak podejrzewał Conan. Teraz, gdy centyrema mijała statek, wioślarze mogli nareszcie przyjrzeć się uważnie niebezpieczeństwu, które na nich czyhało. Kilka hurys pluskających się w wodzie piszcząco z przerażenia, najwyraźniej obawiając się rekinów i krokodyli. Inne trzymały się takielunku, wspinając się z powrotem na pokład statku. Wioślarze wydali głośny ryk triumfu, chociaż zabrzmiały w nim też smutniejsze tony; widać byli rozczarowani, że zostawiają kobiety za rufą. Jeden z mężczyzn, wiedziony nagłym instynktem, pobiegł do burty i przeskoczył przez nią, płynąc na pomoc najbliższej z krzyczących w wodzie dziewcząt. Pozostali odprowadzali go wesołymi okrzykami lub przekleństwami albo czynili zakłady co do powodzenia jego akcji ratunkowej. Guliazar, wściekły, gdyż dezserterem był jeden z jego żeglarzy, chwycił łuk i posłał za nim strzałę, celując w ledwie widoczny w wodzie kształt. Chybił. A kiedy zamierzył się po raz drugi, Conan powstrzymał go, mówiąc:

– Niech płynie. Wkrótce pozna smak raju w królestwie Seta. Ponieważ widział, że bardzo niewielu z jego ludzi umie pływać, nie bał się przynajmniej, że zbieg znajdzie naśladowców.

Zostawiwszy za sobą wody zatoki, ginące w promieniach zachodzącego słońca, znaleźli się w głównym nurcie rzeczonym i trzymali się teraz bliżej północnego brzegu, wyższego, z licznymi wzgórzami. Na południu, obok czarnych murów Khemi, nieco dalej w głębi ładu, widniały strome, ostro zakończone szczyty grobowców – piramid, których wierzchołki różowiły się w blasku tonącego słońca. A szeroka rzeka zaczynała odgałęziać się na wiele mniejszych – pojawiły się setki odnóg, wysepek i lagun. Wkrótce, co Conan dobrze wiedział, trudno będzie nawet rozpoznać, którądy przebiega główny nurt.

– Najlepszą wskazówką są północne klify i wzgórza – wytłumaczył mu Guliazar. – Charakterystyczne pagórki wznoszą się wzdłuż całej niemal trasy, więc jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, zawsze lepiej trzymać się północnego brzegu.

– Możesz także poznać trasę po temperaturze wody, czyż nie? – spytał Conan. – Słyszałem, że w głównym nurcie woda jest znacznie chłodniejsza.

Guliazar przytaknął, przyglądając się uważnie Cymmerianinowi.

– Wiesz dużo – rzekł – tak dużo, że aż trudno uwierzyć, iż nigdy dotąd nie płynąłeś po tych wodach,

– A ty wiesz tak mało, Guliazarze, że aż trudno uwierzyć, iż po nich pływałeś. – Conan klepnął go wesoło w ramię, starając się tym żartem odwrócić jego uwagę od swojej przeszłości. – Pamiętaj, że włóczyłem się po niemal wszystkich portach i miastach i piłem z niejednym argosseńskim lub barachańskim żeglarzem, który zjeździł dokładnie te wybrzeża.

Zdawało się, że Guliazar zaakceptował to wyjaśnienie, przytaknął bowiem, rozcierając jednocześnie ramię.

– A teraz – powiedział – musimy znaleźć jakiś boczny kanał, gdzie można przycumować i spędzić noc.

– Tak – zgodził się Conan – gdy tylko ściemni się na tyle, by nie było nas widać z daleka.

Wody Styksu, aczkolwiek wzięte w dłonie wydawały się przejrzyste, płynąc miały barwę czarną i nieprzeniknioną dla oka, jakby w ogóle nie przechodziło przez nie światło. Wprawdzie Stygijczycy traktowali rzekę jak świętą i czcili, jednak ludzie mówili, że jej wody są trujące. I w rzeczy samej nawet kąpiel w jej nurcie mogła spowodować groźne choroby. Chociaż ktoś kiedyś powiedział Conanowi, że po przegotowaniu woda Styksu nadaje się do picia. Teraz, gdy spoglądał na wschód, Styks wydawał mu się szeroką czarną drogą, po której podążało pięć maleńkich łódek, zostawiających za sobą skąpany w czerwonych promieniach umierającego słońca ocean i zanurzających się coraz głębiej w czarna noc Stygii.

Wystarczyły cztery noce spędzone w delcie rzeki, aby ekspedycja wypracowała rutynowe zasady co do bezpiecznego odpoczynku. Pięć statków stawało na kotwicach w jednej linii, w jakimś cichym kanale lub wzdłuż brzegu, najczęściej po stygijskiej stronie, w odległości nie większej niż wysokość człowieka. Dzięki temu nie tracili kontaktu w ciemnościach i nie stanowili zbyt dużego celu dla dryfujących pniaków. Okręt wojenny, na którym zawsze znajdował się komendant, stawał najdalej w górze rzeki, aby szybko reagować na ewentualne zagrożenie. Pierwsza z czterech dahabiji, zawsze gościła na pokładzie Furio, natomiast Guliazar spał zwykle na trzecim okręcie, gdzie mógł w razie potrzeby udzielać szybkich porad, także drugiej i czwartej jednostce, gdyby któraś z nich zerwała się z kotwicy.

Byli nieco znudzeni powolną wodną podróżą, a ponieważ ich misja wymagała wielkiego pośpiechu, bardzo chętnie płynęli także w nocy. Szybko jednak odkryli, że wieczorna bryza wiejąca od lądu, porywista i niosąca ciężkie zapachy tropikalnej roślinności, uderzała w nich równoległe do rzeki i uniemożliwiła nocną żeglugę. Nawet gdyby próbowali wiosłować, nie daliby rady z ciężkimi statkami, wyładowanymi po brzegi towarami, pod prąd i pod wiatr. Poza tym podróż w ciemnościach niosła ze sobą niebezpieczeństwo wyjścia na jedną z licznych mielizn. W czarnej wodzie trudno było dostrzec płyciznę nawet w jasnym świetle słońca, a cóż dopiero w mrokach nocy tak ciemnej jak w Stygii, gdzie rzadko pokazywał się księżyc i niewiele można było dojrzeć gwiazd. Również obozowanie na brzegu nie wchodziło w rachubę, bowiem znalezienie suchego kawałka gruntu nie było wcale łatwe, a na bagnach aż roiło się od węży, które tak czcili Stygijczycy, nie wspominając już o możliwości spotkania krokodyla, pantery czy wreszcie dwunożnych złodziei i bandytów. Poza tym, gdyby okręty zostały zaatakowane przez stygijskie łodzie patrolowe, dobrze, by były gotowe do natychmiastowego odpłynięcia i podjęcia walki, nie troszcząc się o ludzi pozostawionych na brzegu.

Jak dotąd podróż przebiegała bez żadnych niebezpiecznych wydarzeń. Płynące w górę rzeki statki spotykały za dnia niewiele łodzi podróżujących w przeciwnym kierunku. Starali się omijać je szerokim łukiem, nie chcąc by po okolicy rozniosły się wieści o jakiejś dużej obcej flocie. Szerokopokładowe dahabije płynęły przeważnie z wiatrem, mając wychylone na obie burty białe trójkątne żagle, co czyniło je podobnymi do wielkich motyli lub morskich ptaków. Wyglądały przepięknie, gdy wolno i majestatycznie sunęły po wodzie, a blask świecącego słońca często tworzył w rozgrzanym powietrzu iluzje będące ich lustrzanym odbiciem. Błękit nieba i zieleń roślinności, przepiękne barwy różnokolorowych kwiatów i kształty przepływających chmur tworzyły urzekający widok i można było naprawdę zapomnieć, iż bagienne brzegi czarnej rzeki kryją wiele śmiertelnych niebezpieczeństw.

Widywali jednak mordercze jaszczury, pytony i żmije, dostrzegali również zarysy tajemniczych grobowców i nawiedzonych ruin oraz blask tajemniczych ogni na bagnach. Często też słyszeli zgrzyt jakichś niewidocznych cielsk ocierających się o dno łodzi. Wszystko to maciło naturalne piękno krajobrazu, którym w innym przypadku zachwycyłyby się ich oczy. Ale Styks krył w sobie wiele tajemnic.

Powyżej delty, za bagnami czarnego lotosu rzeka zmieniała się w szereg niezbyt szerokich kanałów, porośniętych trzcina i kępami wodnej roślinności. Kanały były na ogół tak płytkie, że można było się przez nie przeprawiać jak po

brodzie. Niektórzy twierdzili, że większość tej masy wodnej płynie podziemnymi jaskiniami lub nawet przez inne sfery egzystencji, bo przecież poniżej rzeka zmieniała się w znaną wszystkim żeglarzom szeroką arterię, którą przewożono większość towarów, jakimi handlowano w Stygiii shemickich ładach.

Płynęli głównym kanałem rzeki, trzymając się jego północnej krawędzi. Przynajmniej Guliazar twierdził, iż jest to główny kanał, bo chociaż miał spora wiedzę o rzece, nie była ona w pełni aktualna. Rzeka zmieniała bowiem swój bieg po każdym wylewie. Często więc wysyłali na zwiad szalupy, które szukały nadających się do żeglugi przejść pomiędzy niezliczonymi kanałami i wyspami. Zawsze też istniało ryzyko zapędzenia się w ślepa lagunę i wiele razy statki musiały zawracać i wypływać z takich fałszywych kanałów. Conan był ostrożny i starał się utrzymywać każdy ze statków w zasięgu wzroku nawet w tym labiryncie, który teraz przemierzali.

Jak dotąd tylko kilka razy zdarzyło się, że statek utknął na mieliźnie, ale też za każdym razem został łatwo z niej ściągnięty, bez specjalnych uszkodzeń i opóźnień w wyprawie. Szalupy posyłano na brzeg, kiedy tylko po shemickiej stronie trafiało się jakieś miasto. Tam dyskretnie kupowali świeżą żywność i często zdobywali wieści o wyższych partiach rzeki.

Ponieważ musieli się spieszyć, nudzący się często na pokładzie statków żołnierze, szybko nauczyli się wykorzystywać tyczki i bosaki, by pomagać wiosłarzom i żaglom w walce z prądem. Często też duże, ciężkie statki były wspomagane przez małe szalupy, biorące ją na hol. A na większych rozlewiskach urządzano wyścigi, w których zwycięska załoga nagradzana była dodatkową porcją rumu pod koniec dnia. Ale poza tym główną rozrywką było łowienie ryb, gry hazardowe, no i dogłądanie znajdujących się na pokładach, równie znudzonych koni.

I jeszcze jedna rzecz nie zmieniała się – stado czarnych padlinożerców, które wciąż krążyło nad głową ekspedycji, odkąd tylko wyruszyli z Baalur, nie opuszczało ich ani na chwilę nawet tu, na rzece. Conan zakazał marnowania strzał, więc pozostawały w górze jako niema przestroga przed losem, jaki może ich spotkać.

Nużąca podróż męczyła ludzi, a że przebywali cały dzień na świeżym powietrzu, zasypiali w nocy jak nieżywi. Rzadko prześladowały kogoś nocne koszmary, toteż po północy, gdy kładli się spać ostatni hazardziści i cichy plotki, na pokładzie panowała cisza. Kładli się na pokładzie, ponieważ w kabinach roiło się od robactwa, i tak w mrocznej ciszy posapali i chrapali aż do brzasku. Nocna warta podzielona była na dwie wachty, z których każda liczyła po trzech ludzi na statek – po jednym na dziobie i rufie, trzeci zaś krążył wokół statku. W rzeczywistości zaś najczęściej ucinął sobie pogawędkę z jednym z dwóch kompanów i od czasu do czasu zmieniał towarzystwo, aby nie pozwolić zasnąć drugiemu wartownikowi. Jak dotąd system się sprawdzał.

Milus Redhair, kapral gwardii Baalur, nie czuł specjalnego strachu, wpatrując się w ciemny nurt podczas tych cichych nocnych godzin. Przeżył już, walcząc z przemytnikami i z górskimi bandytami, i niełatwo było go przestraszyć. Oczywiście słyszał wiele historii o tej przeklętej rzece. Jak wielu utopiło się w niej ludzi i że często ich śmierć nie była zupełnie śmiercią, ale oczekiwali gdzieś na dnie i wracali niezupełnie jako ludzie. Nie wierzył jednak w te bajdy. Jeżeli rzeka naprawdę miała być grobem tych wszystkich ludzi, po co stały te masywne groby na wzgórzach? A czym żywiłyby się paskudne krokodyle, które widywał od czasu do czasu? Nie był zbyt przesadny i nie był też głupcem. I prawdę rzekłszy, nic w życiu Milusa, nic, co widział na tym świecie w ciągu trzydziestu jeden lat, nie napędziło mu więcej strachu niż to, co przychodziło do niego w snach, w rodzinnym mieście Baalur. Nigdy nie był bardziej przerażony. A teraz zostało to za nim, wkrótce zaś skończy się też dla jego rodziny, z pomocą Mitry. Nie miał więc czego się obawiać, nawet będąc tu, na tej demonicznej rzece.

Kiedy zjawił się na tylnym pokładzie, dostrzegł, że Truvik usiadł obok przykrytej połą płaszczu lampy i patrzył w mrok za rufę, gdyż ich statek był ostatni w szyku. Truvik oparł głowę o wiosło sterowe i najwyraźniej spał. Gdyby złapał go na tym komendant, dostałby za swoje.

– Truvik, brachu – powiedział cicho Milus, aby obudzić przyjaciela – jak tam wachta, nie polowała ostatnio jaka sowa? A może jakaś ślepa ryba wskoczyła na pokład?

Jednak ten, do którego mówił, nie poruszył się, chociaż Milus nie zachowywał się cicho. A kiedy położył dłoń na ramieniu przyjaciela, dostrzegł, że jego głowa jest odchylna nienaturalnie do tyłu, a pierś cała we krwi. Milus dostrzegł, że gardło Truvika jest przecięte od ucha do ucha...

Słyszając lekki zgrzyt u jednej z burt, Milus zerwał płaszcz okrywający lampę i rozświetlił okolicę. W świetle ujrzał twarz człowieka przechodzącego wolno przez reling. Twarz bladą, o szklistych oczach i ubłoconych ustach oraz włosach pokrytych wodną roślinnością. Wciągnął powietrze, by krzyknąć ostrzegawczo... jednak zza jego pleców wychylna z ciemności twarda dłoń i opadła na jego usta. Milus Redhair poczuł na gardle zimne stalowe ostrze.

X

PIRACKIE OSTRZA

We śnie Conan znalazł się w królestwie podziemi. Był w prawdziwej jaskini, uformowanej z różowego marmuru. Rzędy stalaktytów, białych jak śnieg, a gdzieś poobok od upływu czasu, zwisały z olbrzymiego sklepienia i były tak długie, że niemal stykały się z podobnymi lodowymi kłami, które wyrastały z podłoża. Wszystko to mógł podziwiać w świetle migoczącego płomienia pochodni, która paliła się gdzieś przed nim, a której blask dochodził doń ze szczeliny w skalnej ścianie. W leżącej na pokrytym różowym jedwabiem owalnym łożu kobiecie rozpoznał wiedźmę Zeriti. Jej skóra była bledsza, niż Conan zachował to w swoich wspomnieniach, ale ona sama wydała mu się równie atrakcyjna jak niegdyś. Jej wdzięki zakrywała tylko wyszywana złotymi nićmi jedwabna kamizelka i cieńsze od pajęczyny jedwabne pantalony, typowe dla haremowych niewolnic. Bluza ledwie sięgała jej piersi, nie skrywała natomiast potwornej blizny biegnącej spomiędzy nich. Pochodzenie tej szramy Conan pamiętał bardzo dobrze, tak jak dobrze pamiętał uderzenie potężnego miecza gigantycznego Kushyty, kapitana Imbalayo. Cios, który padł na moment wcześniej, nim wezwany przez czarodziejkę demon wyszał wszystkie kości i krew z ciała najemnika. Conan podejrzewał, że podobna blizna powinna znajdować się na jej plecach, tam gdzie zatrzymał się miecz Kushyty – pomiędzy łopatkami.

– Zeriti, ty nieśmiertelna wiedźmo! – pozdrowił ją, starając się być uprzejmy. – Dopiero co znajdowałem się w mojej sypialni, a teraz okazuje się, że jestem w twojej. – Wskazał ręką tajemnicze otoczenie. – Czemu zawdzięczam to przyzwanie?

Zeriti roześmiała się, jej czerwone wargi rozchyliły się zmysłowo, ukazując nieskończoną biel zębów.

– Ach, Conan. Czyż to nie ten poszukiwacz szczęścia z cymmerijskich bezdroży? Widzę, że mimo iż stałeś się wodzem najemników większym niż Mazdak czy Othbaal kiedykolwiek byli za swych najlepszych dni, nie do końca jeszcze opanowałeś dworną mowę. – Przeciągnęła się lubieżnie w jedwabnej pościeli. – Znałam cię tylko przez chwilę, ale myślę, że pociągałeś mnie bardziej, kiedy byłeś dzikim, nieokrzesanym barbarzyńcą. – Jej oczy prześlizgnęły się po jego ciele, odzianym tylko w lekkie bryczesy – Chociaż – dodała – w dalszym ciągu mnie pociągasz.

– Ty także nie narzekasz raczej na brak adoratorów – odpowiedział. – Zdaje się, że każdej nocy odwiedza cię wielu mężczyzn... w snach.

Roześmiała się znowu, ale szybko zacisnęła usta, przechodząc do poważniejszych spraw.

– A teraz załatwmy interesy. Myślę, że przydałby mi się mężczyzna, który ma tak wiele umiejętności i zalet. – Jej oczy prześlizgnęły się znowu sugestywnie po szczegółach jego anatomii. – Czy myślisz, że potrafiłbyś spełnić moje niełatwe wymagania?

Zrozumiał dwuznaczność jej słów i poczuł mdłości na samą myśl o pieszczotach z martwą przecież wiedźmą. Trzymał się z daleka od łoża i zastanawiał się, kiedy ten sen się skończy. Skrzyżował dłonie na piersiach.

– Widzisz, Zeriti, mam teraz trochę spraw do załatwienia, a to zajmie parę miesięcy, a może nawet lat. Poza tym zdaje mi się, że stanąłem po stronie przeciwnej niż ty..

– Dość! – przerwała, siadając gwałtownie. Nakazała mu milczenie ruchem dłoni. – Możesz odrzucić moją ofertę – krzyknęła z oburzeniem – ale pamiętaj, Cymmerianinie, twoje ciało, twoja dusza i twoja sława będą i tak na moje usługi. Choć może nie w taki sposób, jak sądzisz. – Zaśmiała się złowieszczo. – Kiedy załatwię stare porachunki, nie będzie żadnej innej strony niż moja! Bo ja mogę

zbudować, zagarnąć i zniszczyć wszystko, co zechcę! Ja kontroluję wszystko i na wieki. – Jej twarz była wciąż wykrzywiona okrutnym grymasem, gdy sięgnęła do tyłu po pochodnię tkwiącą w uchwycie na ścianie. – i nie zawaham się przed żadną torturą dla takich jak ty, niedoszły nieboszczyku! Mam bowiem potężniejszego kochanka niż ty, wielkiego boga, którego imię brzmi... Jukala!

Mówiąc te słowa, dotknęła płonąca pochodnią pościeli wokół niej, zamieniając ją w ognisty kwiat, który oświetlił całą przestrzeń. Następnie unosząc dłoń, przytknęła pochodnię do skalistego sklepienia, które zamigotało i pękło pod tym dotykiem, rozrywając się jak przecięty wrzód. To, co nastąpiło później było zadziwiające i przerażające zarazem. Cała jaskinia zaczęła drżeć, a kształty przedmiotów zaczęły się zacierać. Zatechłe powietrze podziemnej groty rozblęskło świetlnymi promieniami, które pomknęły w kierunku Conana. A wśród wstrząsów zaczął się rodzić i wzmacniać dziki ryk.

Rozglądając się wokół, Conan nagle zrozumiał, gdzie się znajduje. Jaskinia nie była już jaskinią, ale otwartym pyskiem jakiegoś olbrzymiego drapieżcy. Ostro zakończone stalaktyty naprawdę były kłami, a łożo Zeriti, która teraz śmiała się obłąkańczym, histerycznym śmiechem, było gigantycznym jęzorem potwora. Conan pognął w kierunku wyjścia, ale kły zatrzasnęły się z donośnym hukiem, więżąc go. A potem poczuł dotknięcie grubego, wilgotnego języka, gdy potężna paszcza zaczęła go powoli przeżuwać.

Conan obudził się mokry od potu, a zerwawszy się z posłania, niemal rozbił sobie głowę o niski strop kabiny rufowej. Zaklął głośno. Na szczęście dzięki bólowi wywietrzał gdzieś nocny koszar i także kac po tym przeklętym kwaśnym winie. Rozcierając głowę, wstał z koi i wyrzwał na zewnątrz. Rzeka była spokojna. Gdzieś z oddali dobiegł go krzyk, stłumiony i gasnący, choć pochodzący chyba z krtani człowieka. Dziwne... już od dłuższego czasu nikogo nie dręczyły nocne koszmary. Choć z drugiej strony sam też już dawno nie doświadczył spotkania z wiedźmą Zeriti zamiast nocnego wypoczynku. Czyżby coś wisiało w powietrzu? Nigdy dotąd nie przypuszczał, że czarownica interesuje się nim osobiście i to tak intensywnie. Zadrżał, przypomniał sobie jej słowa.

Na jego okręcie warty czuwały. Mimo przytłumionego światła latarni na fordeku i achterze, został natychmiast dostrzeżony. Odpowiedział mruknięciem na pozdrowienie żołnierzy, próbując przebić wzrokiem ciemności za rufą. Tam wszystko wydawało się w porządku. Widział migotliwe srebrne światła na dziobach wszystkich czterech dahabii – jedyne przyciągające wzrok punkty w mroku nocy. Ale znowu zdało mu się, że słyszy cichy jęk...

– Warta, obudzić załogę! – Odwrócił się i klepnął ponaglająco w ramię stojącego za nim strażnika. – Wioślarze, na ławy, przygotować się do podniesienia kotwicy! Ale po cichu, nie chcę robić alarmu w całej flocie, dopóki nie zobaczę, co się dzieje.

Przeszedł ponownie na rufę i odwiązał cumę łączącą ich z następną jednostką. Stojącemu na jej dziobie wartownikowi rozkazał wezwać kapitana Furio. W międzyczasie do uszu Conana zaczęły dochodzić stłumione stapania i szepty, gdy jego ludzie gramolili się spod moskitier i szykowali wiosła. Nie trwało to długo, jako że spali na ławach przy wiosłach lub na pokładzie tuż obok. Wkrótce też zjawił się Furio, najwyraźniej wyrwany ze snu, a Conan szybko udzielił mu niezbędnych wyjaśnień.

– Popłynę w dół rzeki sprawdzić, co się dzieje. Dopóki nie wrócę, ty dowodzisz.

– Stało się coś podejrzanego? – spytał Furio – Jeśli...

– Zdaje mi się, że coś słyszałem – przerwał Conan – ale nie jestem pewien.

Nie miał czasu na wyjaśnienia i spieranie się z podkomendnym. Słyszając zgrzyt łańcucha kotwicznego, wydał rozkaz wypchnięcia dziobu w nurt rzeki.

– Teraz musimy obejść się bez bębna – zwrócił się do rozespanej załogi. – Sześć uderzeń z obu burt i czekać na dalsze rozkazy.

Centyrema popłynęła z prądem wzdłuż linii przycumowanych kadłubów. Na ich pokładach panowała cisza, ale warty czuwały, a kotwice spoczywały spokojnie w wodzie, jak mógł stwierdzić Conan w jasnym świetle odkrytej tym razem latarni. Wszystko w najlepszym porządku, dopóki nie dotarli do ostatniego ze statków...

Latarnia, która miała oznaczać jego dziób, wisiała na maszcie małej łódki kołyszącej się na falach i przycumowanej do rufy poprzedniej jednostki. Po dahabiji zaś nie zostało nawet śladu.

– Wiosła wstecz! Raz dwa, raz dwa! Sternik, dobić do burty tej barki! Ty i

ty! Miecze w garść i za mną!

Gdy statki stuknęły o siebie burtami, przeskoczyli na pokład czwartej w szyku jednostki w poszukiwaniu wartowników. Jakoż wkrótce ich znaleźli. Pierwszy zwał się bezwładnie do kokpitu, ogłuszony przez wściekłego Conana; drugi, czarnobrody Shemita, sam wyskoczył za burtę, nie czekając, aż pozna smak gniewu swego dowódcy, trzeci wreszcie, ten, który stał na dziobie, upadł na kolana błagając o litość, jako że nie uczynił nic złego.

– Więc gdzie jest mój statek, ty przeklęty łgarzu? Nieważne. Skuć tych dwóch, wypytam ich później.

– Milordzie, osobiście wydobędę z nich całą prawdę! – Na pokładzie pojawił się Guliazar w nocnej tunice i szlafmocy.

– Nie, pilocie! Ty popłyniesz ze mną, mogę cię potrzebować. Kapitanie, obudźcie całą załogę. Uzbrójcie się i miejcie oczy szeroko otwarte. Ja ruszam w pościg.

– Sir, weźmiecie jeszcze jeden statek? – spytał oficer – Może przyda się więcej ludzi?

– Nie – odparł Conan. Jeśli nie wrócę przed świtem, popłyniecie wszyscy w dół rzeki, przygotowani na najgorsze. I cokolwiek stanie się ze mną, pamiętajcie o celu naszej misji.

Przesiadłszy się na centyremę wraz z towarzyszącym mu Guliazarem, Conan rozkazał, by przynieść więcej pochodni na dziób okrętu. Ruszyli ponaglani ostrym rytmem bębna, ale wkrótce Cymmerianin zdecydował, że mądrzej będzie płynąć w ciszy i wsłuchiwać się w odgłosy nocy. Jakoż wkrótce słyszeli tylko plusk wody i skrzypienie wiosła, tylko to.

– No, pilocie – zagadnął Conan – dokąd uprowadzili statek?

– Można tylko zgadywać. – Zapytany rozłożył bezradnie ręce. – Mogli po prostu popłynąć w dół rzeki głównym nurtem, by oddalić się jak najszybciej, ale mogli też przyczać się gdzieś. Tu są dziesiątki odpowiednich miejsc...

– Bęben, najszybsze tępo! – rozkazał Conan, przerywając Guliazarowi. – Sternik, kurs na shemicki brzeg! Trzymaliśmy się stygijskiej strony, żeby uniknąć drobnych złodziejasków, i co? Straciliśmy okręt!

Kiedy zbliżyli się ponownie ku przybrzeżnemu labiryntowi kanałów i zatoczek, bęben zamilkł znowu. Usłyszeli tylko plusk zsuwającego się zgrabnie w toń wodną krokodyla i nieliczne jeszcze odgłosy budzących się ptaków. Światło lampy dziobowej prześlizgnęło się nad błotem i kołyszącymi się wierzchołkami trzciny, odbijając się w lustrze rzeki.

– Trzeba by ruszyć równym tempem, żeby ich teraz doścignąć – zasugerował Guliazar, gniotąc w rękach szlafmocy. – Tylko bogowie wiedzą, jak daleko już odskoczyli...

– Cicho. Słyszałeś to? – Pilot zamilkł pod uderzeniem twardej ręki Conana, która spadła na jego ramię. Gdzieś z oddali dobiegł ich odgłos trącego się metalu, znacznie ostrzejszy dźwięk, niż mógłby dobrać się z gardzieli jakiegokolwiek zwierzęcia.

– Wioślarze, pół szybkości, bez bębna! Uważać tam przy szturwale. W ten przesmyk, ale łagodny zwrot! I cicho wszyscy! Słuchać!

Wciąż sunęli do przodu, a przytłumione światło latarni tworzyło grę cieni pomiędzy trzcynami. Dźwięki stały się głośniejsze i wyraźniejsze. Gdzieś tam niewątpliwie toczyła się walka, szczękały ostrza, rżały przestraszone konie. Trudno jednak było dostrzec cokolwiek, gdyż przed nimi majaczył zakręt kanału. Tylko trzciny na jego obrzeżach wskazywały, że musiał tędy niedawno przeciskać się jakiś statek.

– Tam! Teraz pełne tempo. Sternik, nasz cel jest w tamtej lagunie. Trzymać kurs.

Przed nimi, oświetlona zatkniętymi na długich tyczkach latarniami, kołysała się ukradzioną dahabija połączona cumami z kilkoma mniejszymi łódkami. Na jej pokładzie błyskały raz po raz bułaty i kordelasy w nierównym, mającym się już ku końcowi boju. Właściwie opór trwał jeszcze tylko w kabinach i przy pomieszczeniach dla koni, ale sądząc po dzikich i radosnych okrzykach napastników, była to raczej rzeźnia niż walka.

– Utrzymywać tempo. Poradzicie sobie bez bębna. Przygotować broń, ale jeszcze jej nie dobywać. Sternik, taranem w tamten hulk, tak jest! I bądźcie w pogotowiu!

Sternicy naparli na rumpel i ich wysiłek nie poszedł na marne – brązowa ostroga centyremy ugodziła w śródkręcie największą z jednostek piratów.

Przegnięte belki poniżej linii wody nie stawiały prawie żadnego oporu. Przed wysokim dziobem ich okrętu trafiona jednostka zaczęła tonać, choć nie przełamała się na pół.

– A teraz, zabijaki, przez dziób i w nich! Zabić każdego, kto stanie na drodze, i jak najszybciej na pokład dahabiji, pomóc kamratom! A uważać tam, by ich nie powyrzynać z rozpędu!

Jeżeli nawet jakiś pirat znajdował się na pokładzie zatopionego hulku, to zginął w milczeniu, zaś ludzie Conana niemal bez oporu wpadli na pokład skradzionego statku. Byli boso i bez zbroi, ale też celowo ich nie wdzielali, przewidując walkę na śliskim pokładzie a potem wśród bagien. Piraci, widząc setkę napastników, która wyrosła nagle za ich plecami, poszli w rozsypkę natychmiast i tylko uciekających bezładnie przyszło im wyrzynać, do czego przyłączyły się z zawziętością resztki załogi dahabiji oblegane dotąd w kabinach. Wiedzeni żądzą zemsty Baalurczycy przeszukiwali dokładnie okoliczne zarośla i dźgali pikami toń wodną, nie chcąc wypuścić ze swych rąk ani jednego żywego pirata.

– Hej tam, wilki! Zostawcie dwóch lub trzech dla mnie! – Conan jak dotąd trzymał się z tyłu wraz z Guliazarem, aby kierować walką z rufy statku. Najego wezwanie powstrzymano rzeź. Kilku poranionych i przemoczonych piratów wciągnięto na pokład, gdzie stali drżąc ze strachu i zimna i ociekając wodą. Dopiero teraz można było w pełni ocenić straty, jakie poniosła ekspedycja. Na pokładzie skradzionego statku leżały ciała co najmniej czterdziestu Shemitów z poderżniętymi gardłami. Ci nigdy się nie obudzili, a tym bardziej nie mieli szansy podjąć walki. Bezgłośni zabójcy sprawnie wykonali swą pracę wśród śpiących, w czasie gdy statek dryfował w dół rzeki. Dopiero później, kiedy do dahabiji dobiło więcej ukrytych dotąd w zaroślach łódek, niektórzy Baalurczycy przebudzili się i rozpoczęła się desperacka walka, która także zabrała kilka tuzinów żołnierzy.

– To nie była zwykła kradzież okrętu – zauważył Conan. – Gdyby popłynęli prosto w dół rzeki, ryzykowaliby wpadnięcie na stygijski patrol. Po oczyszczeniu tego statku z żołnierzy wróciliby po kolejny, a potem znów po następny, aż nasze siły zostałyby uszczuplone na tyle, że nie byłibyśmy w stanie podjąć skutecznej walki.

– W takim razie to dobrze, że narobili hałasu i zaalarmowali nas – Guliazar przyglądał się uważnie mokrym jeńcom, którzy stali obok. – Na Mitrę, ponieważ taki szalony plan nigdy nie mógł się powieść.

– Nie, Guliazarze, mógł. Krzyk, który usłyszałem w nocy, to był krzyk śpiącego, a nie mordowanego człowieka. – Conan rozejrzał się po twarzach otaczających go mężczyzn. – Jednakże brzmiał zbyt odległe, by ten człowiek znajdował się pośrodku floty i oddalał w dół rzeki. – Cymmerianin pokręcił w zadumie głową. – Gdyby nie męczyły mnie nocne koszmary, gdyby jego nie męczyły, nigdy bym na to nie zwrócił uwagi. – Spojrzał jeszcze raz na pokrwawiony pokład. – Może krzyk obudził też niektórych z naszych żołnierzy.

– Przekleci rzeźnicy! – Guliazar wskazał pojmanyh piratów. – Powinno ich się natychmiast powiesić albo skrócić o głowę i nakarmić nimi ryby. – Uniósł jeden z mieczy walających się na deskach pokładu i postąpił ku więźniom.

– Nie, pilocie, nie tak szybko! – Miękkim, kocim ruchem Conan chwycił nadgarstek Guliazara z taką siłą, że ten wypuścił miecz, który z brzękiem opadł na pokład. – Sam chyba rozumiesz, że musieli mieć sprzymierzeńców wśród naszych ludzi. I to kogoś znacznego.

– Co? Dlaczego? Kogo masz na myśli? – spytał Guliazar, a jego twarz pobladła. – Kto poważyłby się na taką zdradę?

– Kto, jeśli nie ty, pilocie? – rzekł Conan, wbijając badawczy wzrok w jego twarz. – Kto rozstawiał warty na pokładach statków? Kto ustawił na pokładzie przedostatniej dahabiji zdrajców, którzy całkowicie oślepli, kiedy nasz statek odpływał z prądem rzeki?

– Nonsens – Guliazar spurpurowiał. – Nie byłbym takim głupcem

– Czyżby? Więc odpowiedz mi na jedno pytanie. Gdzie są żeglarze, których przyprowadziłeś ze sobą, jeszcze w Asgalun, kiedy przygotowywaliśmy się do ekspedycji? Nie widzę żadnego nich pomiędzy martwymi. Nie ma też żadnego wśród tych, który ocaleli. Ale czy tamten, ten, którego szaty wciąż są czerwone od krwi, nie jest przypadkiem jednym z nich? – Wskazał na jednego z pojmanyh, barczystego draba z kolczykami w uszach, którego szaty rzeczywiście nosiły ślady morderstw, których dokonał. Potem skierował swój oskarżycielski palec na

Guliazara. – Większość z nich, a może wszyscy, byli piratami w twojej służbie. I założę się, że dalsza setka czekała na bagnach, aby zaskoczyć nas nagłym atakiem. Próbowaleś naprowadzić nas na nich od samego początku, wiedząc nas w rzeczne kanały podczas, gdy ja chciałem się trzymać otwartych wód. Dziś rano, kiedy pojechałeś na brzeg, aby handlować, skontaktowałeś się z nimi, powiedziałeś, jakie są twoje plany, i wróciłeś do nas z tym mocnym winem, w którym na pewno rozpuszczono jakiś narkotyk!

– Ależ panie! – zaprotestował Guliazar – jak możesz myśleć o mnie w ten sposób? Jestem ministrem handlu króla Mazdaka i on mi ufa!

– Nie wątpię – powiedział Conan – i chętnie odprowadziłbym cię do Mazdaka, aby sam mógł ukarać twoją zdradę. Ale mam przed sobą jeszcze długą podróż. Dlatego też – dokończył zimno – pozwolę, aby osądzili cię ci trzej piraci. Tutaj i teraz. No, łajdaki! Jaki los powinien spotkać waszego byłego pana, który z taką chęcią nakarmiłby wami ryby?

Zaciągnął opierającego się Guliazara ku trzem więźniom. Ci wpatrywali się w niego z nienawiścią już od jakiegoś czasu, a teraz rzucili się na niego dziko, kopiąc, bijąc i próbując wydrapać mu oczy. Jeden z nich wyciągnął z buta ukryty dotąd nóż, którego ostrze zabłysło w świetle pochodni, gdy zamierzył się do ciosu.

– Wystarczy, drabie! – Conan podskoczył bystro i wytracił nóż z ręki pirata, posyłając go w wody kanału. – Ukradliście już statek i ludzi, więc nie kradnijcie także mojej zemsty!

Mówiąc to, dobył miecza, uniósł go i jednym szybkim cięciem zdjął głowę Guliazara z jego ramion. Ta odleciała w fontannie krwi, plusnęła w ciemne wody rzeki i pogrążywszy się w jej toni, zniknęła im z oczu.

– Taki właśnie wyrok proponował Guliazar dla złodziei i morderców! – Conan schował broń, wyczyściwszy wpierw ostrze o odzież leżącego obok bezgłowego ciała. – A co do tych trzech, zakuć ich! Potrzebujemy ich jako świadków w rozprawie z pozostałymi. Uczciwy pirat zasługuje na sąd, zanim zostanie powieszony.

Jeszcze tej samej nocy centyrema dołączyła do pozostałych statków, wiedząc za sobą odzyskany okręt, ciała poległych i skradzione towary. Zapytany przez Furio, co się stało z Guliazarem, Conan odpowiedział krótko:

– Zapłacił za bunt przeciwko mnie.

Pozostawił innym wyjaśnienie szczegółów pobladłemu nieco kapitanowi. Kiedy dokładnie policzono zabitych, okazało się, że z tysięcznej armii śmierć poniosło ponad stu ludzi. Na bagnach pozostawiono około osiemdziesięciu martwych piratów, kilku innych niewątpliwie uciekło. Poległych Baalurczyków owinięto w derki, ułożono na małych łódkach piratów i obłożono zeschniętymi trzczinami. O brzasku podpalono te pogrzebowe stosy, które wkrótce, dryfując z prądem rzeki, zniknęły im z oczu. Przez jakiś czas widzieli jeszcze tylko trzy oddalające się słupy dymu. Ujrzeni też, że czarne ptaki nad ich głowami pojawiły się tego dnia w znacznie większej liczbie. Kreatury te były wyraźnie podekscytowane, latając nad krwawymi bagnami i zwłokami piratów, a ich skrzeczenie brzmiało jak obłąkany śmiech Zeriti. Najwyraźniej jednak bogowie śmierci wciąż nie byli usatysfakcjonowani, gdyż część czarnych punktów nadal krążyła wysoko na niebie, podążając za płynącą w górę rzeki flotą.

Porwana dahabija została szybko wyczyszczona i doprowadzona do porządku, choć wątpliwe było, by ciemne plamy krwi kiedykolwiek udało się do końca usunąć z pokładu statku.

Jeszcze podczas nieobecności Conana ogłuszony przez niego strażnik odzyskał przytomność i wyśpiewał wszystko o swym udziale w spisku oraz o roli Guliazara. Aby zadowolić żadną zemstą załogę, Cymmerianin rozkazał powiesić wszystkich czterech ocalałych piratów. Zawieśli po jednym na przednim maszcie każdej dahabiji.

Po wszystkich egzekucjach i pogrzebach Conan wezwał na przedni pokład pozostałych żeglarzy zwerbowanych w Asgalun i przemówił do nich:

– Wszyscy zostaliście sprowadzeni tu przez Guliazara, ciąża więc na was podejrzenia. Jestem skłonny na razie założyć, że nic nie wiedzieliście o spisku, gdyż żaden z was nie ma zakrwawionych rąk. Jeśli się mylę i boicie się, że to się wyda, radzę wam od razu wyskoczyć za burtę. Ci zaś, którzy zdecydują się zostać i pracować dla mnie, a także uczyć żeglarskiej sztuki moich żołnierzy, otrzymają uzgodnioną zapłatę. Co więcej, jeśli zostanieecie ze mną do końca wyprawy, otrzymacie wyżywienie i dodatkową hojną zapłatę po powrocie. Jest tu

miejsce dla lojalnych ludzi, ale karą za zdradę i niesubordynację będzie śmierć!

XI

PODRÓŻ W GÓRĘ RZEKI

W miarę jak posuwali się w górę rzeki, przybrzeżne mokradła i zarośla ustąpiły miejsca uprawnym polom porośniętym głównie zbożami, cebulą, papirusem oraz palmami owocowymi. Dolina rzeczna rozszerzała się tu znacznie, a każdego ranka, gdy tylko świeża bryza rozpraszała poranne mgły, widzieli mury jakiegoś miasta, leżącego nie dalej niż o dzień drogi od centralnego koryta Styksu. Kanały i rzeczki przecinające te uprawne ziemie stanowiły najwyraźniej główną drogę transportu dla okolicznych mieszkańców. Świadczyła o tym niezliczona ilość łodzi, barek, a nawet tratw. Niektóre z nich były bardzo prymitywne, wyplatane z przybrzeżnych trzcin, inne zaś, znacznie bardziej skomplikowane jednostki, budowane były z desek i drewnianych bali. Wszystkie one przecinały czarne wody Styksu, pływając zarówno w poprzek rzeki, jak i wzdłuż, albowiem otoczone murami miasta, oraz majestatyczne, kamienne nekropole wyrastały na obu brzegach. Wszystko wskazywało na to, że pomiędzy wyznawcami Seta a przygranicznymi miastami Shem panuje ożywiony handel. Oprócz łodzi ozdobionych poświęconym Setowi symbolem węża widywali wiele statków niosących na żaglach i szarpanych wiatrem proporcach godła północnych miast – państw.

Aby się za bardzo nie wyróżniać, Conan zarządził podniesienie królewskiego znaku Baalur na okręcie flagowym a na pokładzie rozkazał umieścić żołnierzy w uniformach. Miał nadzieję, że jego mała armada wygląda jak dobrze chroniony konwój handlowy. Od czasu do czasu wysyłał ludzi na brzeg, aby kupowali lub wymieniali informacje na temat lokalnej sytuacji, atakże by zaopatrywali się w nadrzecznych wioskach w świeże owoce i warzywa. Unikali jednak dużych miast, starając się mijać je w szarości poranka lub wieczoru. Wszak nawet pomiędzy shemickimi miastami – państwami nie było bliskich kontaktów, a Conan przypomniał swoim ludziom, że ich zadaniem nie jest misja dyplomatyczna. Kilka razy zdobyli od lokalnych żeglarzy cenne informacje na temat rzeki oraz sytuacji politycznej, co było tym łatwiejsze, że wszystkie shemickie dialekty okazały się zrozumiałe dla Baalurczyków. Oczywiście pytali też każdego z kupców o srebrny lotos, ale nie spotkali nikogo, kto kiedykolwiek widziałby kwiat w tym właśnie kolorze.

Choć dolina ta była najbogatszym regionem Stygii, życie jej prostych mieszkańców nie wyglądało na łatwe i przyjemne. Na wszystkich polach, które mijali, od brzasku do zmroku harowały całe rodziny. Dzieci siały nasiona, rodzice zaś czerpali wodę z kanałów oddzielających ich małe poletka od bagiennych mokradeł. Obserwując, jak ci spaleni słońcem chłopcy łowią ryby w Styksie, piją wprost z rzeki i kąpią w niej swoje dzieci, ludzie Conana przestali się obawiać tej wody. Niektórzy zaczęli nawet naśladować miejscowych. Zresztą tutaj na środku nurtu rzeka była na pewno czystsza i mniej groźna dla zdrowia niż na zabagnionych wodach przy brzegu. Wprawdzie od czasu do czasu ktoś cierpiał na podrażnienie skóry albo niestrawność, jednak w takich przypadkach zawsze można było liczyć na opiekę medyczną Caspiusa. I jak dotąd dawał on sobie doskonale radę z podobnymi przypadkościami.

Obfitość zbiorów w dolinie zależała wyłącznie od kanałów irygacyjnych i sezonowych wylewów rzeki, które zwiększały żyzność gleby. Dlatego też domy chłopów były zaledwie tymczasowym miejscem zamieszkania, prymitywnymi chatami wzniesionymi na bagiennym podłożu lub nielicznych skałkach albo nawet na plecionych z trzciny platformach, które sterczały na palach nad powierzchnią wody. Przy wielu chatach cumowały małe łódki, można też było dostrzec zastawione sieci. Gdy poziom wody podnosił się, mieszkańcy musieli szukać suchszych siedzib na graniczących z żyzną doliną piaskach pustyni lub za murami miast, których bogactwo było bądź co bądź zasługą ich ciężkiej pracy.

Kiedy minęli kanał prowadzący prosto do stolicy Stygii, Conan postanowił uczcić to niewielką uroczystością. Zarządził wydanie świeżych i suszonych owoców, a nie były to jedyne przysmaki, które znalazły się tego dnia na pokładzie rufowym centyremy. Caspius zasiadł do stołu w dobrym humorze. Wyglądał, jakby ubył mu kilka lat. Najwyraźniej podróż mu służyła. – Kapitan Furio, który w związku z uroczystością gościł na pokładzie centyremy, teraz patrzył nad ramieniem medyka wypełniającego pracowicie mały skrawek pergaminu z króliczej skóry.

– Co napiszesz w swym raporcie o postępach? – spytał.

– Piszę – zamruczał Caspius – że minęliśmy właśnie Luxur i podążamy wciąż w górę rzeki. – Ukończywszy list, zaczął kopiować jego treść na następny kawałek pustego pergaminu. – I że poradziliśmy sobie z atakiem piratów, i odnieśliśmy duże zwycięstwo.

– Nie pisz, że straciliśmy ludzi – rzekł doń Conan ze swego zwykłego miejsca obok sterników – bo każda żona, matka czy kochanka będzie źle spała nie tylko z powodu plagi koszarów.

– I nie podawaj nazwisk tych, którzy polegli – dodał Furio ironicznie. – Nie mamy tyle gołębi, by zaniosły tak długi spis.

Wskutek ostatnich wydarzeń młody kapitan porzucił podejrzenia co do uczciwości Conana, nie zaprzestał jednak krytykować umiejętności barbarzyńcy jako dowódcy i podważać zasadności każdego jego rozkazu. Cymmerianin zaś tolerował tę drobną uciążliwość. Wolał, aby kapitan dawał upust swym odczuciom w sposób otwarty, niż żeby szeptał o tym z żołnierzami poza jego plecami.

Caspius zakończył właśnie pisanie trzeciej kopii. Zwinął wszystkie pergaminy, przewiązał każdy z nich nitką, i połączył końce nitek kropelką rozgrzanego płynnego wosku. Potem odłożył zwoje na bok, aby ostygły i sięgnął pod stół, skąd wyciągnął trzy małe klatki. Z jednej z nich wyciągnął dobrze odżywionego gołębia, całkowicie białego, trzymanego najwyraźniej w dobrych warunkach. Do jego nóżki przymocował cylinder, sprawdzając przy okazji sprawność swoich starych palców. Uniósł ptaka w górę, chcąc go wypuścić, ale Conan, spostrzegłszy ten ruch, poprosił go, by zaczekał. Podszedł do stołu i wziawszy gołębia od Caspiusa, przytrzymał go w swych wielkich sękatych dłoniach. Gdy medyk przygotowywał do podróży kolejnego białego ptaka, Conan wskazał go Furio ruchem głowy.

– Potrzymaj gołębia. Puścimy je wszystkie razem. Kapitan niechętnie wykonał polecenie.

– Ciekaw jestem, czy gołębie znalazłyby nas tutaj – zastanawiał się jeden z żołnierzy – gdyby król zechciał przesłać nam jakieś wieści o księżniczce Ismai.

– Na pewno – odparł drugi. – Ale czy to na pewno byłyby dobre wiadomości?

Kiedy Caspius skończył swą pracę, wszyscy trzej mężczyźni unieśli ręce i na znak Conana wypuścili jednocześnie gołębie. Ptaki natychmiast zatoczyły koło w powietrzu i znalazły się nad żaglami. Okrążając statki, rozglądały się po okolicy. Ta sceneria była dla nich obca, choć niewątpliwie piękna – z wielką czarną rzeką przecinającą szmaragdowo-zieloną deltę. One same również musiały stanowić fascynujący widok – krążący nad ekspedycją czarni padlinożercy opadli bezgłośnie, sposób w nienaturalny dla swego gatunku. Zaatakowane gołębie rozpoczęły rozpaczliwą walkę o życie. Dwa z nich nie uniknęły grozy czarnych skrzydeł, zostały rozszarpane na kawałki przez złowieszcze dzioby i szpony. Jednak trzeci ptak przeleciał nisko nad powierzchnią wody, niemal jej dotykając, i ukrył się w trzcinach porastających północny brzeg rzeki. Zniknął z oczu zarówno drapieżnikom, jak i obserwującym go ludziom. Krążące w powietrzu czarne ptaki nie podjęły pościgu, powracając do swych poprzednich czynności, czyli szybowania nad głowami uczestników ekspedycji i przynoszenia mrocznego niepokoju do ich umysłów.

– Przynajmniej jeden ma szansę dotrzeć do Baalur – powiedział Conan.

Patrzył na białe pióra pływające po powierzchni czarnej wody, które dryfując z prądem, omijały właśnie kadłuby statków podążających uparcie w górę rzeki.

– Zdaje się, że moc Zeriti jest jednak ograniczona.

– Zapewne – zgodził się Caspius. – Gdyby było inaczej, już dawno zniszczyłaby całą wyprawę. Ponadto – dodał stary mędrzec – wszystko, co przynosi nadzieję i wzmacnia naszą wolę, osłabia jej moc.

Conan przytaknął ruchem głowy, ale stał ciągle zamyślony.

– Najwyraźniej ona wie, jaki jest nasz cel. Cały czas śledzi naszą wyprawę przy pomocy swych szpiegów, tam na górze. – Wskazał dłonią czarne ptaki. – Rozmawiałem z tą wiedźmą ostatnio we śnie. Nie czuje do mnie specjalnej sympatii. Zdaje się, że ma zamiar dopilnować, by nasza misja była daremna. O ile dobrze zrozumiałem, szykuje dla nas walkę z jakąś mistyczną siłą.

– Powiedz mi, Caspiusie – zwrócił się bezpośrednio do medyka – czy kiedykolwiek słyszałeś o bogu albo demonie, który zwie się Jukala?

– Nie, nie przypominam sobie – odparł mędrzec. – Ale zgadzam się, że czarownica może mieć wiele ukrytych sposobów, by nam zaszkodzić.

– A może – wtrącił się Furio. – Ona po prostu wie, że nie uda nam się osiągnąć celu. Przynajmniej nie w ten sposób, w jaki się do tego zabraliśmy. –

Spojrzał na towarzyszących im oficerów. – Może bardziej obawiałaby się mniejszej, ale znacznie lepiej ukrytej grupy, która wyprawiłaby się po lotos.

Conan zignorował jego uwagę.

– Zeriti ma spore umiejętności, ale w tej okolicy mieszka wielu znacznie potężniejszych magów, adeptów, którzy z łatwością poruszają się wśród tajemnic zarówno materialnego świata, jak i tego ze snów. – Skierował wzrok na południe, ku niezmiernym przestrzeniom tajemniczego kraju za rzeką. – Zeriti jest Stygijką. Ciekaw jestem, czy ci, którzy rządzą Stygią – kapłani Seta – są w tej sprawie po jej stronie.

Caspius podążył za jego spojrzeniem.

– Czy ona jest na tyle ważną osobą, aby zwrócić na siebie ich uwagę? – spytał. – Kurtyzana ze świata zmarłych. Czy interesują ich takie osoby? Albo los całych miast, tak odległych jak Baalur?

Conan roześmiał się.

– Z ich dążeniem do tego, by ponieść swą antyczną wiarę na cały świat – poprzez szpiegów i ukryte świątynie, które mają we wszystkich dużych miastach, albo za pomocą swej magii. Założę się, że wiedzą o naszej ekspedycji i śledzą ją.

Nie chciał już nawet wspominać o tym, że kapłani Seta mają ważne powody, by go nienawidzić.

– To są chorzy ludzie, sądząc po tym wszystkim, co o nich słyszałem. – Kapitan Furio jak zwykle wtrącił swoje trzy grosze. – A jeżeli Zeriti zwróci się do nich o pomoc, zagrożenie będzie naprawdę poważne.

Caspius wzruszył ramionami

– Jak dotąd stary Set nie pojawiał się w nocnych koszmarach, których doświadczaliśmy. Węże nie występowały w snach częściej niż pajaki, czy powiedzmy rozkładające się zwłoki. – Głos starca brzmiał ponuro. – Bóstwo, które czci Zeriti, jest czymś innym. Na razie trwa przyczajone w jakiś odległych, mrocznych sferach. To jakieś tajemnicze, antyczne bóstwo. Być może jest nie mniej groźne niż Set, ale zdaje się bardziej humanoidalne. – Caspius mówił coraz ciszej, a jego spojrzenie stało się jakby nieobecne. Wzruszył ramionami, próbując odegnać czarne myśli. – Wprawdzie ostatnio złe sny nie pojawiają się każdej nocy, ale nie przypominam sobie jakiegoś specjalnego znaku, który świadczyłby, iż pochodziły one od boga – węża.

– Wystarczy – przerwał mu Conan. – To nie jest przyjemny temat. Niemniej musimy być przygotowani na najgorsze. Może trzeba wysłać więcej zwiadowczych łódek, które wypatrywałyby stygijskich patroli zarówno przed nami, jak i za rufą. Gdyby takie spotkanie miało nastąpić, lepiej być na nie gotowym. A wtedy będzie czas zastanowić się, jakich środków użyć – dyplomacji czy siły naszej pięści.

W górnym biegu Styksu płynęli szybciej. Koryto rzeki było tutaj szersze, a nurt mniej zdradliwy, wiały też silniejsze wiatry zarówno z suchych północnych stepów, jak i z południa, z wnętrza pustyni. Podmuchy te były wystarczająco mocne, by zapewnić dobrą pracę żagla. A że sprzyjająca bryza zdarzała się także w nocy, często więc statki, oświetlone srebrzystym blaskiem księżyca, prześlizgiwały się jak duchy pomiędzy milczącymi wzgórzami, polami uprawnymi i mrocznymi miastami. Bywały jednak także gorące dni, kiedy przeciwne wiatry wiały ze wschodu i uniemożliwiały żeglugę. Statki łączyły się wtedy linami, a ludzie spędzali całe godziny na harówce przy wiosłach, pokonując niewielki tylko odcinek drogi. W miarę jak posuwali się w głąb ładu, charakter rzeki zmienił się. Mijali długie wały przeciwpowodziowe, starannie wyrównywane pomiędzy wylewami rzeki. Ich szczyty służyły często jako trakt. Podróżnicy dziwili się nawet, jaki jest cel utrzymywania szlaku handlowego wzdłuż nurtu rzeki, ale tylko do czasu, gdy pewnego dnia dostrzegli wielką grupę półnagich wojowników, pracujących ciężko pod razami bicia. Odziani w stygijskie szaty mężczyźni ciągnęli w morderczym trudzie liny przymocowane do wielkiego bloku granitu, który następnie inna grupa niewolników łądowała na czekający przy nadbrzeżu statek, podważając za pomocą długich tyk. Potem ten równo ociosany blok skalny wędrował rzeką do miejsca, gdzie miał powstać czujny monumentalny grobowiec.

Kilka dni później dotarli do białych kamieniołomów i przez cały dzień płynęli przyglądając się skałom i suchemu piaskowi pustyni, która dochodziła tutaj aż do brzegu Styksu. Najwyraźniej w tym rejonie wylewy rzeki nie przynosiły ze sobą życia, nie widać bowiem było uprawnych pól ani miast. Gdzieś tam tylko majaczyły ruiny jakichś budowli i sylwetki pasterzy poganiających stada

zwierząt. Ludzie ci nie zwracali nawet uwagi na przepływające rzeką statki.

Stepy, ogrody i pola uprawne pokonały pustynię, czerpiąc życie z żyznej gleby, którą nanosiła wielka rzeka. Albowiem to Styks był dawcą życia, arterią tej ziemi oraz głównym szlakiem handlowym. Shemickie miasta – państwa na drugim brzegu zostały wreszcie za nimi. Rzeka nie była teraz granicą Stygii, ale w dalszym ciągu stanowiła linię, której nigdy nie udało się przekroczyć temu mrocznemu imperium. Po jej drugiej stronie znajdowały się teraz tylko szlaki karawan wożących bogactwa z Iranistanu i Vendhyi. Tutaj też koczowali dzicy Zuagirsi i Ilbrasi, którzy rabowali te karawany i toczyli zacięte walki ze stygijskimi oddziałami patrolowymi.

Stygijskie wojska starały się chronić karawany i zarazem ściągać podatki od użytkowników wschodniego szlaku handlowego. Mały też wiele pracy z odpieraniem najazdów czarnych mieszkańców Punt i Keshan, leżących na południu. Conan spodziewał się, że na odcinku rzeki, gdzie zwężała ona swe koryto i wiała się niezliczonymi meandrami wśród wzgórz, prędzej czy później natkna się na stygijskie okręty. Mimo to odważnie zapuścili się w szeroki wąwóz, który tworzyły po obu stronach rzeki mieniające się wszystkimi barwami skaliste łupki.

Niemal przegapili miejsce, gdzie rzeka skręcała ku południowi, przemknęli bowiem nocą koło groźnych szczytów Erkulum – otoczonego murami miasta Seta, i najeżonego skałami ujścia rzeki Helu. Wysokie góry po obu stronach stanowiły swoistą kamienną kurtynę, która nie dopuszczała do rzeki pustynnych wiatrów. Tym skałom zawdzięczali obecność w całej okolicy dokuczliwego wapiennego pyłu. Mijali ukryte między skałami kotliny, głębokie podziemne jaskinie i wielkie, stojące samotnie świątynie – grobowce wykute w karmazynowych skałach Quarnaku przez jakieś zapomniane rasy. Minęli czarne głębie Ellobolu, wąskiego jeziora otoczonego marmurowymi skałami, które, jak głosiły legendy, nie miało dna.

I właśnie tam, na otwartych wodach, gdzie nie mogli ukryć się przed przeciwnikiem, dostrzegli stygijskie okręty wojenne. Były to cztery dwumasztowe dromony, każdy z podwójnym rzędem co najmniej czterdziestu wiosł. Skierowały się ku nim zbieżnym kursem. Statki były niewątpliwie dobrze przygotowane do bitwy i dobrze utrzymane a na żaglu każdego nich znajdował się symbol Seta – wizerunek zielonego węża.

Okręt flagowy, drugi z prawej, był łatwy do rozpoznania po katapulcie na fordeku i zwłaszcza po znajdujących się na pokładzie rufowym oficerach, których pozłocane pancerze błyszczały jasno w gorących promieniach południowego słońca.

– Ster na lewą burtę! Wiosła pół szybkości! – rozkazał Conan – Żagle precz! Położyć maszt i przygotować się do bitwy! Nadać sygnał do reszty statków, by utrzymywały kurs na żaglach! I niech przygotowuj a żołnierzy!

Oderwawszy się od powolniejszych statków towarowych, Conan wykonał zwrot, który ustawił jego okręt pomiędzy zbliżającymi się jednostkami stygijskimi a resztą ekspedycji. Wielkie dahabije poruszały się niezgrabnie na żaglach, powolne były także na wiosłach, ale miały na pokładach wielu dobrze uzbrojonych żołnierzy i mogły być niebezpieczne dla każdego agresora, który starałby się je staranować i dokonać abordażu. Szyk dahabiji prowadził statek kapitana Furio, co Conan uznał za korzystne, ponieważ jakkolwiek oficer ten nie zrzędziłby i nie czepiał się każdego jego rozkazu, w walce na pewno zrobi wszystko, aby nigdy nie zasłużyć na miano tchórza.

Caspus, który ostatnimi czasy czuł się bardzo dobrze i często przebywał na pokładzie centyremy, dołączył do Conana w kokpicie rufowym.

– Myślisz, że uda nam się przebić? – Medyk zasłonił oczy przed blaskiem gorącego słońca – Mogą z łatwością przedziurawić kadłub każdej z naszych dahabiji.

– Jeżeli spróbują – powiedział Conan, przyglądając się nadpływającej flocie – będziemy mieli dziewięć statków zamiast pięciu. Ci wiosłarze to niewolnicy, a nie wojownicy. Bardziej obawiam się, że mogą użyć katapulty i zniszczyć nasze żagle, co zmusiłoby nas do powrotu w dół rzeki. Mogą też przygotowywać jakąś sztuczkę z ogniem. – Conan wskazał na wąską smugę dymu unoszącą się z pokładu stygijskiego okrętu flagowego. – Tu w pobliżu nie ma shemickich portów, do których można by zawinąć.

Cztery obce statki zbliżały się w luźnym szyku. Dahabije, które prowadził Furio, żeglowały prosto w kierunku wrogich okrętów, natomiast centyrema Conana trzymała się od nich w pewnej odległości i na zawietrznej. W czasie gdy bęben podawał równy rytm wiosłarzom, pozostała część załogi szybko odziała siew pancerze i przygotowała broń. Pospieszyli na pokład dziobowy. Conan uważnie

przyglądał się manewrom wroga. Spodziewał się, że trzy stygijskie okręty postarają się użyć taranów i zwiążą go walką, a czwarty, największy, będzie ostrzeliwał z katapulty dahabije. Nie podejrzewał stygijczyków o brak rozumu i sądził, iż nie będą ryzykować brania abordażem statków wyładowanych po brzegi uzbrojonymi żołnierzami, zwłaszcza że załogi były ostrzeżone i przygotowane, a burty błyszcząły od pik i haków abordażowych. Cymmerianin dostrzegł, że ogień na pokładzie flagowej jednostki wroga, służył nie tyle walce, co raczej próbie komunikacji z jakimiś wyższymi mocami. Wokół płonącego kotła na śródokręciu stało trzech mężczyzn w zielonych szatach. Sądząc po wysokich, wyszywanych złotymi nićmi czapach, byli to kapłani Seta. Choć smuklejsi i mniej barczyści niż otaczający ich półnaczy marynarze z załogi, mieli równie ciemną karnację skóry. Najwyraźniej odprawiali właśnie jakiś rytuał. Dym dobywający się z kotła przybrał nagle zielonkawą barwę, a potem powoli zaniknął. Trzej kapłani odwrócili twarze od ognia i podążyli na pokład rufowy, gdzie stali opancerzeni oficerowie.

– Spójrz tam! – Conan wskazał ich Caspiusowi. – Pytali o coś swego boga. Może to sam Set układa plan tej bitwy.

Kapłani i oficerowie wdali się w dyskusję. Po chwili zadudniły bębny, błysnęły wiosła, załopotwały w powietrzu flagi sygnałowe.

Ku zaskoczeniu Conana, okręty zmieniły dotychczasowy kurs. Zeszły z drogi flocie Baaluri, podążyły w poprzek jeziora, oddalając się z wiatrem.

– Zdaje się, że chcą uniknąć bitwy – powiedział Conan. – Chociaż nie ufam im na tyle, aby już teraz odwołać pogotowie bojowe. – Spojrzał w górę. – Może wystraszyły ich nasze ptaki.

– Jeśli kapłani stygijscy – odpowiedział mu Caspius, uśmiechając się z ulgą – naprawdę komunikowali się z jakąś wyższą mocą, to zdaje mi się, że odpowiedź, którą otrzymali, brzmi jasno. Być może poznali cel naszej misji. Być może Zeriti jest także ich wrogiem. Może chcą, aby nam się powiodło.

Conan spojrział za oddalającymi się okrętami i wzruszył ramionami.

– Być może – rzekł.

Powyżej jeziora rzeka wciąż wiała się kapryśne, a teren był jeszcze bardziej dziki. Pustynny wiatr albo zatrzymywały wysokie przybrzeżne skały, albo, co gorsza wiał on gwałtownymi suchymi podmuchami w dół rzeki, co zmuszało Shemitów do zrzucania żagli i ciężkiej pracy przy wiosłach. Często połączone ze sobą statki ciągnięto za pomocą lin z brzegu, tam, gdzie dało się przejść po piasku lub skałach. W tej okolicy z rzadka tylko pojawiały się ludzkie siedziby – małe miasta, ufortyfikowane posterunki wojskowe, czasem przystanie promowe. Czarna rzeka płynęła pomiędzy pustynnymi wzgórzami.

Nikt nie prowadził kroniki wyprawy. Nikt więc nie spisał wszystkich tych dziwnych rzeczy, które dostrzegli w czasie podróży. Mijali wznoszące się na wysepkach pośrodku rzeki ponure, opustoszałe twierdze, które w nocy rozbrzmiewały – tak przynajmniej przysięgali wartownicy – dudnieniem bębnow i dźwięczeniem dzwonów, a w oknach ich czarnych wież pojawiały się tajemnicze światła. Przy pełni księżyca słyszeli stamtąd przerażające, mrożące krew w żyłach okrzyki. Widywali ruiny miast, które padły ofiarą piratów lub lokalnych wojen. Przepływali koło zatoczek i plaż, na których nieznanne oddziały wojsk toczyły krwawe boje.

Wreszcie wąski kanion, którym płynęła rzeka, poszedł w szerokie, dość płytkie rozlewisko. Na jego wysokim zachodnim brzegu znajdowała się jakaś osada otoczona licznymi palmami, zaś nieco dalej Styks opadał z rykiem ze stromego skalnego progu. Był to, jak wiedzieli, pierwszy z wielu takich stopni, jedna z olbrzymich katarakt, których nie mógł przebyć żaden statek.

XII

JUKAŁA

Zeriti leżała twarzą do ziemi przed onyksowym ołtarzem. Jej strój można by nazwać bezwstydnym, nawet w porównaniu z tym, co nosiły na sobie obłąkane kapłanki Isztar. Największy jego fragment stanowiły kościane naszyjniki i bransolety zdobione przedramiona i szyję wiedzmy. Włosy miała wysoko upięte czarną zapinką ozdobioną zieloną sprzączką. Taki sposób uczesania pozostawiał jej smukłą szyję zupełnie nagą. Jedynym ustępstwem na rzecz skromności była zielona jedwabna tkanina, która otaczała jej biodra i opadała zakrywając pośladki oraz podbrzusze, przewiązana błyszczącym pasem ze skóry węża o

zielonych i złotych łuskach. Choć być może nie był to pas, lecz żywy gad, który pożerał własny ogon – w ciemnościach rozświetlanych mdłym blaskiem świec trudno było dostrzec szczegóły.

Ruchome cienie pojawiające się przy każdym przelocie nietoperza tańczyły łagodnie na bladej skórze Zeriti. Wiedźma leżała przy tym fragmencie ołtarza, który wyglądał jak wielkie lustro. Przejrzawszy się w jego powierzchni, stwierdziła z zadowoleniem, że wygląda atrakcyjnie. Chciała być taka, kusząca i piękna, w chwili gdy miała wezwać Jukalę.

Na szczycie ołtarza stała szeroka brązowa taca zawierająca ciemnoczerwoną ciecz. Nie była wypełniona po brzegi, gęsty płyn znaczył swą barwą jedynie brzegi naczynia i nie pokrywał nawet całego jego dna. Z sakwy wiszącej za ołtarzem Zeriti wyciągnęła szarpiące się stworzenie – brązowego, młodego jeszcze nietoperza. Uniósłszy go do ust, jednym wprawnym ruchem przegryzła arterię szyjną zwierzęcia. Trzymała je nad tacą i wyciskała jak miąższysty owoc. Krew trysnęła w dół, wypełniając gęstym potokiem oktagonalny kształt brązowej tacy. Odrzuciwszy pozbawionego soków życiowych nietoperza, wiedźma sięgnęła do kolejnej sakwy. Zaczepnęła dłonią jasny, połyskujący proszek, który następnie rozsypała na powierzchni czerwonej cieczy znajdującej się w naczyniu. Potem sięgnęła po jedną z płonących świec z okrągłego kandelabru znajdującego się u szczytu ołtarza i zbliżyła jej płomień ku powierzchni tacy. Krew, albo też rozsypany na nie proszek, zapłonęły gwałtownie wydzielając zielony gęsty dym. Wokół naczynia pojawiła się upiorna poświata, która drgała wraz z tańczącym ogniem, rozświetlając uśmiech na twarzy kapłanki. Oświetliła też dokładnie kolumna z metalu lub kryształów. Ów mroczny artefakt błyszczał teraz w świetle ognia jak srebrne zwierciadło. Ale w jego powierzchni nie odbijało się wnętrze krypty ani ogień, ani też twarz tej, która oddawała mu cześć. Wewnątrz widniała tylko odległa, mroczna głębia, rozświetlana przez niezliczone maleńkie punkciki, które mogły być gwiazdami. Zeriti przemówiła.

– O, wielki Jukalo! Wzywam cię! Poprzez niezliczone, pogrążone w mroku wieki! Poprzez otchłanie zapomnianych tysiącleci! Wzywam i zaklinam twą moc i dziką siłę! Bo ty jesteś młodością świata, o wielki! Ty rządysz jego pierwotnymi instynktami poprzez nigdy nie słabnącą siłę twej męskości! Ja, Zeriti, ośmielam się błagać, abyś zbudził się ze swego wiecznego snu! Przybadź, Jukalo, i zaspokój me żądze!

Mówiąc to, samozwańcza kapłanka ponownie padła na twarz u stóp ołtarza. Czołgała się na pokrytej pyłem kamiennej podłodze, jęcząc i wykręcając swe ciało spazmatycznymi ruchami, które miały ukazać jej całkowite ukorzenie się przed tym, którego uwagę chciała zwrócić. A gdy to robiła, coś drgnęło we wnętrzu ciemnego zwierciadła. Jego srebrno-szara powierzchnia zaczęła świecić coraz jaśniej, a ono samo zaczęło się powiększać, aż w końcu w niewiarygodny sposób stało się większe niż cały ołtarz i składająca hołdy kapłanka.

– Jukalo, mój panie! – krzyknęła wiedźma, unosząc się na kolana. – Stanałeś oto przede mną, tak jak niegdyś stanałeś przed istotami, które potrafiły tylko pływać i pełzać. Witam cię, władco! Tak długo czekałam i tak długo przygotowywałam ścieżkę, którą mogłeś do mnie przybyć! I będę trwała w mej służbie, panie, zgodnie z przysięgą, jaką złożyłam!

Jej zaklęcia pozostały bez odpowiedzi ze strony tego, co nie miało jeszcze kształtu i rodziło się dopiero za ołtarzem. Powierzchnia lustro zdawała się tylko promieniować czyjaś wolą, której natężenie rosło, jakby czyjeś oko spoglądało z mrocznej czeluści.

Ale nie rozległ się żaden dźwięk. I jeżeli cokolwiek odpowiedziało echu, które niosło zaklęcia kapłanki we wnętrzu mrocznej krypty, były to tylko ledwie wyczuwalne, dochodzące z samych trzewi ziemi, pomruki i drżenia. A Zeiriti klęczała schylona w niskim ukłonie, z całkowitym oddaniem. Jej ręce opierały się o ciemną bryłę ołtarza. Wreszcie przemówiła, jakby odpowiadając na pytanie, które wpłynęło do wnętrza jej umysłu.

– Tak, panie – potwierdziła głośno – tak, jak ci powiedziałam. Przygotowuję cenny prezent, jako dowód mego oddania, małżonkę dla ciebie. Znajac twe upodobania, postarałam się o to, by była młoda i niewinna. Jest ona rzadkim kwiatem pośród ludzi, księżniczką z dostojnego rodu, zrodzoną i wybraną tylko po to, by zaspokoić twe pragnienia. Jest ona klejnotem, który ozdobi twą koronę, znak dominacji nad światem. Tak, panie – dodała po krótkiej chwili milczenia – wiem, co uczynisz ze swoją małżonką, i nie przeraża mnie to. Małżeństwo to tylko

kwestia dyplomacji, to danina, którą płacą królowie, ale ja nie będę twoją żoną. Będę twoją służebnicą, co może jest niższą godnością, ale pozwoli mi być twą kochanką, twą najwierniejszą niewolnicą i najwyższą kapłanką.

Jakby zatrwożona własną zuchwałością, Zeriti ponownie opadła twarzą ku ziemi.

– Mój panie, jako kapłanka mogę pomóc nieść twą wiarę jak świat szeroki. I znów będziesz nim władał, tak jak niegdyś. A twoje imię będzie czczone, tak jak w przeszłości, jako imię najpotężniejszego boga, jakiego kiedykolwiek mieli ludzie i wszelkie inne stworzenia. Wszystko, co chodzi i pełza po ziemi lub pływa w mrocznych głębinach oceanów...

Zamilkła na chwilę, jakby przerwało jej jakieś niecierpliwe pytanie.

– Gdzie, pytasz? Na początek będzie Baalur w Shem, albowiem, chcę przekazać ci to miasto jako następny mały prezent, który przyczyni się do powodzenia naszego planu. Może jest małe i niewiele znaczące, ale będzie dobrym początkiem, panie, miejscem, z którego rozpocznie się budowa twego imperium, które ogarnie całą ziemię. Poprzez sny i złudzenia przygotowałam już jego mieszkańców. Znają mnie, a wkrótce poznają także ciebie, Jukalo, w twej niezmiernie potężnej i chwale. I będą bali się ciebie tak bardzo, jak tylko mogą bać się ludzie i każda inna rasa, która tylko może odczuwać strach przed mściwym żyjącym bogiem.

Pozostając w uniżonej pozycji, z głową pochyloną nisko ku ziemi i oczami zwróconym z uwielbieniem na lustro, przemówiła jeszcze raz, głosem pełnym oddania.

– Jest jeszcze trzeci prezent, który chciałabym ci ofiarować, o Jukalo. I ten prezent właśnie zbliża się do ciebie. Następna dusza, silnego mężczyzny, którego będziesz mógł użyć zgodnie z twoją wolą. Nie jest byle kim wśród ludzi, znają go i obawiają się go. A teraz mogę ci go ukazać, jeżeli tylko masz na to ochotę... jeżeli mi pozwolisz... Powstawszy z kolan, Zeriti postąpiła krok naprzód i stanęła przy samym ołtarzu – Tutaj, wewnątrz kręgu... – Zatoczywszy dłonią okrąg, tuż nad płomieniem wydobywającym się z wypełnionej krwią tacy, nad ogniem, który nie miał się jej ciała, rzuciła zaklęcie, które spowodowało, że posłuszny płomień utworzył wyraźny obraz, rozjaśniając mrok, do którego dotąd przemawiała. Obraz widziany z lotu ptaka powiększał się i zbliżał tak szybko, jakby oglądany był okiem nurkującego ku ziemi sokoła. A znajdował się na nim rząd płynących jeden za drugim statków, zmierzających ku piaszczystej lagunie przy wielkiej, grzmiącej katarakcie. Na pokładzie pierwszego okrętu – wojennej galery – stała grupa ludzi, na której skoncentrowało się wszystkowidzące oko sokoła. Potem zaś obraz wypełnił tylko jeden człowiek, który, choć nie nosił uniformu świadczącego o jego pozycji, cieszył się tu najwyraźniej największym respektem. Dominował nad innymi. Miał czarne włosy i szerokie, potężne ramiona, a poruszał się lekko i zwinnie po drewnianym pokładzie statku.

– Czy widzisz, panie? – zamruczała Zeriti z szacunkiem, zwracając się do swego, pozbawionego jeszcze materialnych kształtów, boga. – Właśnie teraz szuka drogi do ciebie prowadzony przez iluzje zdobywca, wraz z tymi, którzy za nim podążają. Przywiedzie ci ludzi, okręty, konie i bogactwo. Opętałam go ludzkimi pragnieniami i prawami, którym jest posłuszny, i skierowałam go ku tobie, ku trzewiom ziemi, gdzie przebywasz. Jeszcze nie wie o twoim istnieniu. Jeszcze nie. Ale jeśli taka będzie twoja wola, staniesz z nim twarzą w twarz i zdecydujesz, na jaki los zasługuje.

Ponownie wykonała szybki ruch ręką, a płomienny obraz zniknął.

– Będzie przydatny, przysięgam. Przysięgam też, że możemy go użyć do wielu zadań. Co się stało, panie?! – krzyknęła z przestraczeniem, reagując na ponury, dochodzący z głębin ziemi dźwięk pękających skał, którego znaczenie najwyraźniej dobrze rozumiała. Gwałtownym ruchem oparła dłonie o kamienny ołtarz.

– Nie, mój panie! Nie! On nie jest moim kochankiem! W swym ziemskim życiu nigdy nie dotknęłam jego ciała, chociaż to prawda, że kobiety pożądata go. – Znów padła na twarz. – Nie, Jukalo, wszystkie moje żądze skierowane są tylko ku jednemu. Ku tobie, mój panie i władco! To dlatego pracowałam tak ciężko, aby przygotować drogę, którą możesz powrócić. I zawsze, kiedy rozmawiam z tobą, marzę, aby poczuć twoją boską obecność w bardziej materialny sposób.

Umilkła, a jej czerwone wargi rozchyliły się.

– Wielki Jukalo, czy to możliwe, abym w jakiś niepojęty sposób doświadczyła dotknięcia twych boskich ramion?

I wtedy odczuły to wszystkie jej zmysły – potężną wibrację, która wprawiła w drżenie kamienny ołtarz i przysypała ją deszczem pyłu opadającego ze sklepienia krypty. W uszach każdego, ktokolwiek byłby teraz obecny w komnacie, ten odgłos z

mrocznego wnętrza ziemi utworzyłby jedno słowo – Tak!!!

Zrzuciwszy gwałtownym ruchem tacę, z której wylała się ofiarna krew, Zeriti usiadła na ołtarzu. Otoczyła go ramionami i kolanami, a w zwierciadle przed nią światło i ciemność splotły się w jedno i bijąca stamtąd srebrna poświata przytłumiła blask świec. Z samego środka metalowego artefaktu dobył się dym, który przez chwilę formował się w wyraźny kształt. Wreszcie powstał – humanoidalny, choć znacznie przewyższające swymi rozmiarami człowieka – i zawisł nad kamienną powierzchnią podłogi.

Zeriti wydała okrzyk rozkoszy i rzuciła się ku materializującej się postaci.

XIII

GNIEW ERLIKA

Dotarłszy do małej rzecznej przystani, wzniesli tam niewielkie fortyfikacje obronne i rozłożyli obóz. Kapitan Furio wraz z kilkoma ludźmi wyruszył łódką na wyprawę zwiadowczą. Wkrótce powrócił, donosząc, że w górze rzeki napotkał całą serię progów skalnych i niskich katarakt, które czyniły żeglugę niemożliwą. Potwierdzało to informacje, jakie otrzymali od tubylców. Na tym odcinku Styks płynął wzdłuż skalistego kanionu, którego strome szczyty niemal uniemożliwiały przeprawę. Wydawało się, że nie sposób dalej podążać w górę rzeki, czy to na statkach, czy łądem.

Jedynym źródłem dochodów mieszkańców tych okolic były zyski z handlu. Przecinający tutaj Styks szlak handlowy biegł na wschód ku bogatemu Turanowi i dalej do Iranistanu oraz Vendhii. Na zachód zaś wiódł wprost do centrum stygijskiego imperium, zahaczając po drodze o tajemnicze ruiny pustynnego Pteionu. Mówiono też, że na zachód od katarakt, wśród wzgórz leżących poza skalistym kanionem, znajduje się jezioro. Conan podążył więc na czele kilku tuzinów konnych, by mu się przyjrzeć.

Wspinając się wąską, stromą ścieżką, jeźdźcy minęli karawanę obładowanych osłów. Wiedli ją uzbrojeni stygijscy niewolnicy. Nieśli też lektykę, w której siedział ich bogaty właściciel. Tłusty, sędziwy Stygijczyk, gdy już przemógł swój początkowy strach przed pustynnymi bandytami, wdał się z Conanem w krótką rozmowę, a w tym czasie jezdni Cymmerianina i niewolnicy dostojnika razem torowali drogę przez kaktusy i niskie krzewy porastające skalne zbocze. Zapytany o cel podróży bogacz odparł:

– Jadę ku źródłom Styksu, które leżą za tymi wzgórzami.

W pierwszej chwili Conan pomyślał, że starzec jest tylko duchem, który stara się wyprowadzić go na manowce. Ale zadając dalsze pytania dowiedział się, że faktycznie znajduje się tam jezioro, a także gorące źródła, których aromatyczne wody leczą wszelkiego rodzaju reumatyzmy i choroby dróg oddechowych. Źródła te były słynne w całej wschodniej Stygii, gdzie uważano je za początek życiodajnej rzeki.

Jakoż wkrótce dotarli do niewielkiej kotliny, gdzie wznosiła się także niewielka świątynia, utrzymywana przez zakapturzonych mnichów, należących do jednego z licznych odłamów węzowego kultu Seta. Mnisi okazali się niezgorszymi handlarzami, żądającymi niebotycznych cen za swe usługi medyczne i duchowe wsparcie oraz za siano, którym można było nakarmić zdorożone konie. Conan był zdumiony odkryciem kotliny; przez chwilę nawet uważał to za niewiarygodny uśmiech losu, dopóki spędziwszy cały dzień na przeszukiwaniu brzegów, nie przekonali się, że pośród nadbrzeżnych krzewów i traw oraz uschłych roślin powyżej nie ma niczego, co można by uznać za srebrny lotos.

Mimo wszystko przyproceedził nad brzeg jeziora Caspiusa, gdyż niewykluczone było, że kwiat zakwita tylko w określonych porach roku. Poleciał także wybudować duży obóz na samym brzegu jeziora, co nie spotkało się z przychylną reakcją mnichów, którzy obawiali się konkurencji w handlu lub nawet niespodziewanego ataku. Kilka setek ludzi dostało rozkaz uporządkowania i poszerzenia szlaku wiodącego tu z nadrzecznej przystani. Conan sprzedał lokalnym handlarzom jedną z dahabiji, tę poplamioną krwią, zaś pozostałe statki nakazał rozładować, oddzielić wszystkie ruchome części i przetransportować kadłuby w górę nad jezioro.

– Co takiego? Czyżbyś oszalał!? – wrzasnął Furio w imieniu wszystkich pozostałych oficerów. – Tego nie można dokonać! Przenosić przez góry całe statki. To zadanie dla inżyniera, albo raczej nie zadanie, ale jakaś koszmarna harówka! I po co? Do czego mają nam służyć pełnomorskie statki na tej odległej

kałuży wśród stygijskich wzgórz? – Potrząsnął głową z niezadowoleniem. – Chyba tylko po to, by spełnić jakieś twoje szalone marzenia o małym królestwie, którego mógłbyś być władcą? Czułem przez cały czas, że zdradzisz naszą sprawę...

– Ta kałuża – przerwał zniecierpliwiony Conan – to źródło całkiem sporej rzeki, która jest dopływem Styksu. Właśnie dlatego miejscowi uważają jezioro za źródło Styksu. Obie rzeki łączą się daleko na południe, powyżej katarakt, tam gdzie chcemy dotrzeć! Posłałem zwiadowców wzdłuż tej rzeki i donieśli, że jest ona spławna. Przeniesienie statków jest trudne, ale to jedyny sposób, by je wykorzystać w dalszej wyprawie. Ponieśliśmy pewne straty w wyniku ataku piratów, część zapasów żywności została zużyta, więc wystarczą nam tylko trzy statki. A będziemy ich potrzebować tak samo jak dotychczas!

– Ale to niemożliwe! – krzyknął młodszy oficer – Dlaczego po prostu nie pošlesz jazdy pod moim dowództwem, w górę rzeki? Znajdziemy lotos i powrócimy bez przeszkód. Sam powiedz, o ile twój plan opóźni naszą misję?

– Opóźni, powiadasz? Otóż niewiele opóźni – warknął w odpowiedzi zirytowany Conan – ponieważ wszyscy zakaszecie rękawy i weźmiecie się do roboty! Nie wiem, kto wam powiedział, że ta wyprawa będzie tylko przyjemną przejażdżką na statku lub końskim grzbiecie? Teraz przyszedł czas na ciężką pracę! Ja wiem, kapitanie, co jeszcze nas czeka!

Zadanie było faktycznie ambitne, wymagające zdolności inżynierskich, niezwyklej pomysłowości i olbrzymiego wysiłku. Na szczęście żeglarze byli ekspertami jeśli idzie o liny i węzły, a niektórzy poznali też kilka inżynierskich sztuczek podczas konstrukcji wielkich grobowców. Połączono wiele metrów lin i użyto bloczków z bogatych zapasów wyprawy, a otrzymany hol umocowano do drzew rosnących na wzgórzach. Potem, wykorzystując połączoną siłę ludzi, koni i mułów, rozpoczęto pracę. Statki, które wcześniej pozbawiono kabin i pokładów, wyciągnięto na brzeg, podkładając pod ich kile drewniane bale, natomiast ruchomy osprzęt, broń, zapasy i ekwipunek dostarczono do jeziora na grzbietach ludzi i zwierząt. Całe przedsięwzięcie trwało dwa tygodnie, dwa tygodnie morderczej harówki zarówno w blasku słońca, jak i w świetle pochodni, przerywanej tylko w najupalniejszej porze południa. Zakończenie prac opóźniała dodatkowo konieczność stałego utrzymywania czterdziestu żołnierzy w górnym i blisko stu w dolnym obozie. Ich zadaniem była ochrona ekspedycji przed bandytami i stygijskimi oddziałami.

Jednak stygijska flota najwyraźniej pozostawiła ekspedycję w spokoju. W górze rzeki nie pojawił się ani jeden statek, nawet by obserwować ambitną wspinaczkę. W czasie tej pracy zdarzyło się ledwie kilka śmiertelnych wypadków, zaś rannym udzielali pomocy kapłani Seta. Choć żądali wysokich opłat za swe usługi, nie brali pieniędzy za darmo. Ich zaklęcia i rośliny lecznicze postawiły wszystkich na nogi.

Statki zostały wreszcie przeciągnięte przez skalisty grzbiet, a gdy spoczęły na piaszczystym brzegu zielonkawego jeziora, uzupełniano ich nadbudowę. Wprowadzono też pewne modyfikacje w konstrukcji dahabij, zbudowano ławy dla wioślarzy i dłuższe, solidniejsze trapy. Po załadowaniu cztery pozostałe statki były bardziej zatłoczone niż poprzednio, ale na razie część jazdy mogła podróżować ładem wzdłuż brzegu jeziora, a nawet w razie potrzeby pomagać statkom, holując je z brzegu na długich linach.

W miejscu, gdzie rzeka wypływała z jeziora, był niewielki wodospad. Żołnierze zaczęli sarkać na samą myśl o następnym przeciąganiu statków ładem. Rzeka płynęła tu jednak między wysokimi brzegami, więc na rozkaz Conana ścięto kilka drzew w pobliskim lesie i zbudowano tamę z drewna oraz kamieni nieco poniżej wodospadu. Kiedy woda wypełniła ten sztuczny zbiornik, statki mogły wypłynąć z jeziora. Potem tamę rozebrano, statki powoli opadły do poziomu nurtu i ekspedycja mogła kontynuować podróż.

Płynąc dalej, napotkali jeszcze trzy podobne progi rzeczne i pokonali je w ten sam sposób, a zbudowanie każdej zapory kosztowało jeden dzień ciężkiej pracy. Odmiennymi przeszkodami były wąskie przesmyki pomiędzy głazami. Tam musieli ubezpieczać statki linami, które umocowywano do drzew i koni na brzegu. Niemniej podróż z nurtem rzeki była miłą odmianą. Podczas kilku dni, jakie spędzili przecinając ten górski kanion, nie spotkali żadnej łodzi ani jakiegokolwiek ludzkiej siedziby.

W końcu dotarli znów do Styksu. Jego czarne wody płynęły łagodnym nurtem a bagniste brzegi porośnięte były krzewami i karłowatymi drzewami. Potężne wodospady i skalisty wąwóz, którym rwała rzeka, leżał gdzieś w dole,

niebezpieczny i niezbadany, ale z całą pewnością Styks sięgał jeszcze daleko na południe ponad te katarakty.

Ekspedycja Baalurczyków była niewątpliwie najsilniejszą flotą powyżej wodospadów. Tutejsze jednostki, nawet patrole stygijskie, które spotykali z rzadka, były zbudowane z trzciny lub wypalane z pni drzew. Niektóre z tych trzciniowych łodzi miały spore rozmiary, ale nie mogły wytrzymać uderzenia tarana flagowej jednostki Conana, o czym przekonali się w czasie kilku szybkich spotkań z piratami rzecznyymi. Piraci zresztą tak czy owak nie mieli najmniejszej szansy, Shemici przewyższali ich zarówno liczebnością, jak i jakością broni i z łatwością mogli odeprzeć każdy atak z niewielkimi stratami własnymi. Z siłą, jaką rozporządzali, i dużą mobilnością, jaką mieli dzięki statkom, mogli władać niepodzielnie górnym odcinkiem rzeki, ale byłaby to bardzo niespokojna dziedzina.

Styks płynął tutaj przez porośniętą krzewami równinę, jedynie na wschodnim horyzoncie widzieli odległe wzgórza. Tak jak w dolnym biegu, rzeka była podstawowym szlakiem handlowym i transportowym, a jej użyźniane wylewami brzegi stanowiły najlepsze ziemie uprawne. Chociaż tereny po obu brzegach rzeki należały nominalnie do Stygii, nie był to spokojny obszar. Zwłaszcza wschodni brzeg często najeżdżały bandy dzikich Zuagirsów. Nie było tu wielkich miast, czasem tylko mijali otoczone murami większe osady, niekiedy zaś ruiny spalonego fortu lub factorii handlowej, które wymownie świadczyły o niebezpieczeństwach czyhających na pograniczu. Nieco dalej od brzegów rzeki widywali czasem ruiny kamiennych świątyń albo tajemnicze zapomniane grobowce jakiejś starszej rasy. Brakowało tu żelaznej dyscypliny narzucanej przez kapłańską policję, charakterystycznej dla właściwych obszarów Stygii, więc antyczne ośrodki kultu niszczały i rozpadały się.

Zwiadowcy w dalszym ciągu zbierali potrzebne informacje wśród tubylczej ludności, korzystając z tłumaczy lub niewielkiego zasobu stygijskich słów, których zdążyli się nauczyć do tej pory. Dowiedzieli się, że stygijscy koloniści i dowódcy wojskowych fortów mają poważne kłopoty z Zugirsami, a to ze względu na religijne wrzenie, jakie właśnie ogarnęło tych wyznawców okrutnego boga pustyni Erlika. Podburzeni przez samozwańczego proroka, znanego jako Mahtu Wyrocznia, zbierali się coraz większe grupy, zamierzając wyprzeć z tych ziem stygijskich najeźdźców i w ogóle wszystkich obcych. Na szczęście dysponowali tylko końmi i wielbłądami i jak dotąd nie mogli przedostać się na zachodni brzeg rzeki.

Tak właśnie wyglądała sytuacja, gdy wpłynęli na te tereny, ale zdaniem tubylców w górze rzeki było jeszcze gorzej. O kilkaset mil na południe, jak twierdzili, znajdują się następne, znacznie większe katarakty, za którymi znajdują się źródła Styksu. Ale rzeka staje się bardzo niebezpieczna o wiele wcześniej i dotyczy to nie tylko nurtu, ale także obu brzegów, nawiedzanych zarówno przez Zugirsów, jak i renegatów z Kesh. Na razie jednak mogli się cieszyć sprzyjającym wiatrem wiejącym w górę rzeki, co pozwalało na używanie żagli niemal przez cały czas. Zapasy żywności uzupełniali zbierając pożyteczne rośliny i polując podczas krótkich wypadów na ląd. Po pewnym czasie Shemici nabrali znacznej wprawy w łowieniu ryb i rzecznych żółwi oraz w odnajdowaniu dzikiej cebuli, zbóż i soczystych owoców. Poznali też wiele pułapek Styksu, od rzecznych węży do polujących z gałęzi drzew panter. Nauczyli się ostrożnie schodzić na brzeg, by nie dać się zaskoczyć szarżującemu wściekle hipopotamowi, oraz unikać groźnych koni wodnych, których ostre kły były niebezpieczne zarówno dla ludzi, jak i łodzi. Każda z tych lekcji kosztowała ludzkie życie, ale też pozwalała na ocalenie wielu innych w przyszłości.

Gdy miejscami rzeka stawała się wąska a prąd wzbierał na sile, gdy wiatr słabł lub blokowały go przybrzeżne drzewa, musieli używać innych metod napędzania statków. Zdarzało się, że centyrema brała jedną z dahabiji na hol, choć ten sposób stosowali głównie przy ściąganiu statku z mielizny, ewentualnie wyciąganiu go ze ślepej odnogi rzecznej. Znacznie częściej używano długich tyk, którymi stojący wzdłuż obu burt mężczyźni odpychali się od mulistego dna, a gdy woda była głębsza, używano wiosł. Dobrym pomysłem było też wywożenie przez małe łódki do przodu ciężkich kotwic i wyrzucanie ich za burtę, co umożliwiałoby załogom większych jednostek wybieranie się na linie kotwicznej. Było to tym łatwiejsze, że na życzenie Conana okręty zostały wyposażone w wielkie kołowroty, znajdujące się w centralnej części pokładu, co umożliwiałoby użycie siły mięśni wielu mężczyzn naraz i statek sprawnie sunął do przodu ku zarzuconej kotwicy.

Wkrótce zaczęli zbliżać się ku niebezpiecznej strefie. Coraz częściej

widywali spalone domostwa, otaczające budynki mury obronne, a nawet wbite na pal ciała martwych Zuagirsów, które miały być prawdopodobnie ostrzeżeniem dla następnych rabusiów. Zdarzały się też zniszczone łodzie i liczne rozkładające się zwłoki, porzucone w nadrzecznych krzakach. Pewnego dnia ujrzeli rozbitka, trzymającego się kurczowo wraku dryfującej trzcinowej łodzi. Był to, sądząc z wyglądu, młody Stygijczyk lub Shemita, bosi i odziany w typowe tutaj pantaloncy oraz skórzany kaftan. Posłano łódkę, by mu pomóc, ale Conan, obserwujący wszystko uważnie ze swego miejsca przy sterze, zauważył kilka intrygujących rzeczy.

Rozbitek siedział na dryfujących resztkach łodzi przez dłuższy czas, być może nawet kilka dni. Jego ubranie zdażyło już wyschnąć i pokryte było tylko skorupami zeschniętego błota. Twarz miał spaloną, czy to przez ogień, czy wskutek długiego przebywania na słońcu. Dlaczego jednak nie postarał się dotrzeć do brzegu? Większość tubylców umiała doskonale pływać, a przecież krokodyle nie były tak zawzięte i sprytne, by podążać cały czas za rozbitkiem. Kiedy ratownicy zbliżyli się do chłopca, ten przywarł kurczowo do wraku w bezrozumnym przerażeniu, odmawiając zejścia do łodzi. Opierał się słabo, gdy wciągnęli go tam siłą, był tak przerażony, że od razu skierowali się ku brzegowi. Tam rozbitek, nie czekając nawet, aż łódź zetknie się z lądem, uchwycił zwisającą gałąź drzewa i wygramolił się na muliste wybrzeże. Wkrótce też pognął dziko w głąb lądu i nigdy już go nie ujrzeli.

To było dziwne, zwłaszcza że chłopak nie mógł przecież czuć się bezpiecznie na ogarniętym wojną wschodnim brzegu Styksu. Był obłąkany ze strachu, ale raczej obawiał się tych, którzy go uratowali. Jego strach miał bardziej ogólny charakter – przerażała go rzeka, czarna, wijąca się, tajemnicza, groźna dla każdego statku i łodzi. Rzeka, która przed kilkoma dniami była niemyim świadkiem zagłady jego okrętu, jego przyjaciół. I jeszcze jedna zagadka – Conan zauważył, że papyrusowa łódź była spalona w dziwny sposób. Zamiast na całej długości w dół do linii wodnej, płomienie strawiły tylko jej tylną część, poczynając od przedniego masztu. Czy był to rezultat walki załogi z pożarem, czy też statek został spalony, gdy stał przy brzegu?

Ale wydarzenie, które wreszcie wywabiło shemicką ekspedycję na brzeg, zaszło kilka dni później, kiedy stali się świadkami bitwy. Karawana kupiecka, zaatakowana przez zuagirskich jeźdźców u przeprawy, walczyła właśnie o życie. Wyładowane towarami wielbłądy stały na piasku przy samej rzece i piły chciwie wodę, napełniając ponownie swe garby po długiej wędrówce przez pustynię. Ich właściciele zaś w liczbie zaledwie czterdziestu starali się powstrzymać ponad setkę wyjących głośno, odzianych na biało napastników. Jeźdźcy ścierali się, galopując po trawiastym brzegu, w walce na lance i szable lub szyjąc do siebie z krótkich łuków. Po drugiej stronie rzeki stały dwie barki, ale znajdujący się na ich pokładzie ludzie, choć przyglądali się walce, najwyraźniej nie zamierzali ryzykować przepłynięcia z odsieczą.

Conan szybko ocenił sytuację. Wiele lat temu żył jakiś czas wśród Zuagirsów, wielu nomadów mogło nawet pamiętać jego imię. Byli oni spokrewnieni z Shemitami i kontrolowali tereny, przez które prawdopodobnie będzie musiał przejść. Rozsądnie byłoby więc nie występować przeciwko nim. Z drugiej strony, znał dobrze naturę nomadów. Wiedział, że teraz, gdy toczą świętą wojnę z obcymi, nie powitają z radością jego powrotu, niejako oficera w obcej służbie, nie na czele armii ludzi zrodzonych w mieście, nawet jeśli mówili po shemicku. Znał ich nienawiść i podejrzliwość wobec mieszkańców północy. Wiedział też, jak pożądana jest złota i towarów, których jego ekspedycja miała wiele. Jeśli nawet jeden z wodzów nie zaatakuje jego armii, na pewno zrobi to następny. Lepiej więc może zrobić małą demonstrację siły.

– Wiosła z prawej do przodu! Ster na burtę! Stop! Teraz cała wstecz, rufą do przodu i siadamy na brzegu! Przygotować broń do walki!

Nagły dźwięk bębna i ostra praca wiosł wprowadziły nieco życia w senne popołudnie. Wioślarze zaintonowali energiczną szantę, podnieceni zbliżającą się bitwą. Płynąc na wstecznym biegu, statek Conana zarył w piaszczysty brzeg i wreszcie zatrzymał się gotów do wyładunku. Cymmerianin dał sygnał dahabijom, aby także dobijały do brzegu, ale niecierpliwemu kapitanowi Furio już wykonywał ten manewr, ponaglał swych wioślarzy gromkimi komendami. Z pomieszczeń dla koni dochodziły nerwowe poparskiwania i stapania siodłanych wierzchowców w pośpiechu. Gdy tylko pierwszy żaglowiec osiadł na brzegu, załoga sprawnie rzuciła się do fałów, a żagle poszybowały w dół. Rozległ się dźwięk trabki i końskie kopyta

zadudniły o deski pokładu. Wkrótce kawaleria wysypała się na wybrzeże, wzbijając błyszczące kaskady wody. Do łądu dobijał jeden statek za drugim i każdy wypluwał z siebie konnych. Było ich łącznie dwie setki, za nimi zaś wyroili się piesi wojownicy, krzyczący z dzikim entuzjazmem.

– Naprzód, szczury wodne! Na ratunek tej karawanie! I odegnąć mi tych złodziei. Trzy sztuki złota dla tego, który zdobędzie dla mnie jednego z tych pięknych zuagirskich ogierów.

Conan wyrzaskiwał wprawdzie zachęcające okrzyki, sam jednak pozostał na rufie, nie opuszczając statku, póki wszyscy Shemici nie ruszyli ku bitwie z mieczami w dłoniach, gnając przed sobą spłoszone wielbłądy. Dopiero wtedy wyskoczył na brzeg i zaczął rozglądać się w tym zamieszaniu, szukając kogoś z przewodników karawany, aby zapewnić go o swych dobrych intencjach. Wkrótce dostrzegł jednego z nich, wąsatego Turańczyka, który właśnie wyciągał strzałę z górnej części garbu swego dromadera. Krzyknął doń, aby zwrócić na siebie jego uwagę, a następnie zaoferował całej jego karawanie bezpieczny transport przez rzekę, gdy tylko bitwa się skończy. Widząc wahanie nieznanego, dodał:

– Za dobrą cenę, oczywiście.

Takie handlowe podejście najwyraźniej uspokoiło Turańczyka.

– Jeżeli odpędzisz te pustynne szakale, przybyszu z północy, zapłacimy ci znacznie więcej, niż tylko za przeprawę. – Wyszarpnął strzałę. – Niech Tarim ci wynagrodzi – dodał jeszcze poważnie kupiec.

Zuagirsi, szybcy i groźni, gdy przychodziło im atakować, równie szybko pierzchnęli przed silniejszym przeciwnikiem. Widząc wielką armię pojawiającą się nagle znikąd, dokonali błyskawicznego odwrotu, czmychając między zarośla i drzewa porastające najbliższe sąsiedztwo rzeki. Conan musiał teraz powstrzymać swoją jazdę, gdyż poniesiony bitewnym zapalem Furiobyl gotów ścigać nomadów, narażając swych żołnierzy. Wydawało się, iż jeźdźcy pustyni uciekają w całkowitym nieładzie, ale Conan wiedział, że były to tylko pozory, które miały zmylić niedoświadczonego przeciwnika. W każdej chwili mogli odwrócić się i zadać niespodziewane uderzenie. Zresztą pościg nie miał sensu, wspaniałe konie nomadów znacznie przewyższały wytrzymałością i szybkością wierzchowce Shemitów. A ponieważ nie opóźniały ich ani piechota, ani tabory, wkrótce po zuagirskich jeźdźcach pozostały tylko znikające na horyzoncie białe plamy szat.

Shemici powrócili nad rzekę, głośno ciesząc się ze zwycięstwa, które przyszło niemal bez strat własnych.

Jak się okazało, karawana została napadnięta w czasie podróży w dół rzeki i ledwie udało im się uciec do przeprawy. Jechali na zachód ku Sukhmet i Kheshatcie w południowej Stygii, wioząc towary z Khawarism i leżącego jeszcze dalej Vilayet. Ale lokalni przewoźnicy, widząc, iż karawana jest atakowana, obawiali się przekroczyć rzekę i ryzykować utratę łódek a może nawet życia.

– Jeżeli jechaliście na północ wzdłuż rzeki – spytał Conan – dlaczego nie przekroczyliście Styksu wyżej, w górnym biegu? Z tego, co słyszałem, zachodni brzeg nie jest tak niebezpieczny, a keshkańscy bandyci są znacznie mniej liczni i nie mają koni.

Zirfar, stary kupiec, zwierzchnik mężczyzny, z którym Conan rozmawiał na polu bitwy, potrząsnął energicznie głową odzianą w turban zdobiony wysadzana klejnotami spinką, oznaką jego rangi.

– Tak, to dobry pomysł, tyle że w górze rzeki nie ma żadnej przeprawy. Tamtejsi wodzowie plemienni są zbyt potężni, a rzeka zbyt dzika. Musimy więc podróżować w cieniu tych złodziejskich Zuagirsów. Ze szczepami pustynnymi łatwiej negocjować, zazwyczaj każdy z patriarchów siedzących po oazach przyjmuje haracz. Jednak nadrzecznym bandom nie można ufać. A teraz, kiedy zjednoczyli się pod dowództwem tego, którego nazywają Wyrocznią, jest jeszcze gorzej.

– Ale jakiś przedsiębiorczy człowiek mógłby zająć się przewożeniem przez rzekę, tam na południu, i narzucić wysokie ceny – zastanawiał się na głos Conan. – Ktoś mógłby spróbować.

Zirfar wzruszył ramionami.

Tam gdzie południowy szlak dochodzi do Styksu rzekł – jest olbrzymi głęboki kanion. Nikt nie odważyłby się zejść do rzeki, nawet umierając z pragnienia. Chociaż kilku oszalałych z braku wody próbowało. Jeszcze dalej na południe Kassali i inne wielkie puntyjskie miasta leżą na otwartej równinie, z dala od rzeki, tam więc też nie ma dogodnej przeprawy. W czasie podróży na północ musimy wprawdzie opuścić wyżynę, aby dotrzeć do rzeki, a potem maszerujemy wzdłuż niej przez kilka dni, modląc się do bogów, by nie spotkać po drodze Zuagirsów. Tak to

zawsze bywało, odkąd istnieje ten szlak.

– Hmm – Conan zerknął na swoich oficerów, mając nadzieję, że niezbyt pomyślne wieści nie osłabiają w nich ducha. – A ten Mahtu, powiadasz, nie pozwala przejść przez swe ziemie żadnym obcym.

– Wyrocznia, zgodnie z tradycją wyznawców Erlika, ostrzega przed nieczystymi i niewiernymi obcokrajowcami. Miał zresztą ponoć wizję, że jakiś arcydemon, starożytny wróg Erlika, znowu narodzi się w naszym świecie. Tenże Thutal, zdaje się tak go nazywa, zostanie przywrócony do życia przez obcych przybyszy, których należy zabić albo wygnać.

– A słowa wyroczni – dodał wąsaty Turańczyk ze smutnym uśmiechem – są rozumiane przez jego wyznawców jako zezwolenie na rabunki i gwałty.

– W rzeczy samej. – Stary Zirfar zmarszczył brwi, nie kryjąc niesmaku, i skrzyżował ręce na piersiach – My, wyznawcy świętego Tarima, nie rozumiemy takich nagłych napadów nienawiści. I nie wierzymy w prorocze sny. Szanujemy za to święte prawo własności i handlu.

Conan szanował Tarima – wschodniego boga handlu.

Potem, gdy przewozili karawanę przez rzekę, zamknął się z Zirfarem w jednej z kabin na statku, by omówić poważniejsze interesy. A kiedy dobili do brzegu, odwiedził też dowodzącego przewoźnikami przez rzekę kapitana – tego samego, który nie odważył się wysłać swych łodzi przez rzekę.

– Macie wiele tupetu, kradnąc naszych klientów. – Odziany w fez i obdarzony przez naturę olbrzymim nosem Stygijczyk nie powitał go bynajmniej z zadowoleniem. – Teraz, jak sądzę, twoi piraci zatopia moje łodzie i pozbawia mnie jedyne źródła utrzymania.

– Klientów? – roześmiał się Conan, przyglądając się pogardliwie przewoźnikowi i kilku jego synom – Nie miałbyś dzisiaj żadnych klientów, gdyby moi ludzie nie odpędzili nomadów! Dlaczego się porządnie nie uzbroisz i nie ochraniasz karawan?

– Ha! Łatwo powiedzieć, jeśli masz konie i okręty wojenne. Nie mogę ryzykować straty łodzi. Zuagirsi po ich zdobyciu mogliby się przepawić na nasz brzeg, spalić nasze domy i wymordować nasze rodziny! – Przewoźnik zasępił się. – To prawda, ostatnimi czasy mało jest klientów. Teraz, gdy pełno tu piratów takich jak ty i Zuagirsów, którzy psują interesy, przyjdzie mi przenieść się w dół rzeki.

– Nie jesteśmy piratami, tylko dobrze uzbrojonymi podróżnikami – zapewnił go Conan. – Ale jeśli masz zamiar się stąd wynieść, to czemu nie w górę rzeki, aby przewozić jadące na północ karawany, nim wpadną w ręce Zuagirsów?

Stygijczyk roześmiał się.

– Miałbym szukać lepszego życia w górze rzeki? – Poprawił fez i rzucił pełne obawy spojrzenie na czarną wstęgę wody, która znikła za najbliższym zakrętem – Nie, cudzoziemcze, Styks by na to nie pozwolił. Rzadko kto podróżuje dalej w górę rzeki, za ten przesmyk. A jeśli ktoś tam popłynie, wkrótce z prądem dryfuje jego ciało. Albo jego łódź. – Wskazał rozbite wraki spoczywające na przybrzeżnych skałach. – Jeśli podążasz na południe, radzę ci pozostawić statki tutaj. Zabierz konie i wielbłądy i przejdź przez ziemie Zuagirsów. Ale pamiętaj, że święta rzeka nie lubi tych, którzy docierają zbyt blisko do jej źródeł.

XIV

PRZERAŻAJĄCE SNY

W Baalur o kamiennych murach ludzie wznosili twierdze światła dla obrony przed niosącą strach ciemnością nocy. Żółte płomienie pochodni, których duszący dym drażnił oczy i płuca, oświetlały paradę widm, jaką stanowił snujący się po zatłoczonych o tej porze ulicach tłum. I była to prawdziwa wędrówka zombich. Nawet przy tak marnym świetle można było dostrzec martwą pustkę w ich oczach, pobladłe oblicza i desperacki wysiłek, jaki czynili, by nie zapaść w letarg. Mijał kolejny miesiąc plagi złych snów, która wciąż trzymała miasto w swym bezlitosnym uścisku. We dnie te same place i ulice będą pełne śpiących, a południowe słońce będzie oświetlało ich zmęczone ciała, spoczywające jedno obok drugiego. I tylko od czasu do czasu ciszę przerwie czyjś przerażony okrzyk, czasem zaś płacz lub jęk – chór ludzi, których dotknęła klątwa. Bezpieczniej już błędzić po świecie sennych koszmarów w blasku dnia, gdy przez półprzymknięte powieki sączyły się promienie słońca, i budzić się w przerażeniu wśród znanych sobie twarzy, w miejscu, które niemal obłąkany umysł mógł natychmiast zidentyfikować. Ale teraz trwała noc. Długa i straszna. Ten, który zapadłby w

objęcia snu, samotny i pogrążony w ciemnościach, znalazłby się we władaniu czarownicy i jej szalonej, bezlitosnej mocy.

Dlatego właśnie Narsus – sprzedawca owoców włóczył się po ulicach miasta o tak późnej porze, czy raczej tak wczesnej, nim dzień zaczął ponownie rodzić się do życia. W nocy i tak interesy szły najlepiej. Słodkie owoce znajdowały wielu amatorów wśród zdesperowanych lunatyków, odciągały zmysły balansujących na cienkiej krawędzi realnego świata od ziejącej w dole przepaści snu. Z łatwością mógł sprzedać w ciągu nocy cały zapas jabłek i tamarynd i przynieść rodzicom sporą garść miedziaków. Potem zjadał poranną kolację z produktów, które kupiono za zarobki z poprzedniej nocy a kiedy słońce weszło już na bezpieczną wysokość nad wschodnie mury miasta, znów wracał na ulicę, tym razem by szukać spoczynku.

Teraz nawet nie czuł znużenia. Wczoraj długo spał na ubitej ziemi placu miejskiego, od wczesnego poranka aż do późnego popołudnia, i dopiero krzyki i konwulsje jakiegoś leżącego obok nieszczęśnika wyrwały go z pełnego potworów świata, w który zabrała go szalona Zeriti. Pomógł ofierze koszmaru, gasząc jego gorączkowe majaczenia zimną wodą ze studni i przywracając w ten sposób jego duszę realnemu światu, sam jednak był już wtedy zbyt mokry, by zasnąć ponownie. Zresztą przy tak wielu ciałach zalegających niemal w każdym miejscu ciężko było znaleźć nieco wolnej przestrzeni. Narsus wędrował więc po mieście aż do zmierzchu, po czym ponownie przygotował swe towary do sprzedaży.

Wiedział, że byli w mieście tacy, których nie męczyły nocne koszmary. Ich życie wciąż toczyło się tak, jak w przededniu plagi snów. Byli też tacy, którzy mimo koszmarów zachowali normalny, zdrowy wygląd – głównie bogacze, których służba mogła czuwać nad snem swych panów. Byli wreszcie tacy, którzy usiłowali opuścić miasto i uciec przed klątwą. Bezskutecznie. Sąsiednie miasta zamknęły swe bramy przed przybyszami z Baalur, ich mieszkańcy i okoliczni chłopię przeganiali Baalurczyków, gdyż ponoć przynosili ze sobą złe sny. Nie było ucieczki, nie zapewniała jej nawet śmierć. Kapłani Dagona ogłosili wszem i wobec, że ci, którzy umrą podczas snu, staną się po śmierci niewolnikami Zeriti. Na całą wieczność! Wszystkie nadzieje wiązały się więc z tymi, którzy wyruszyli na południe w poszukiwaniu leku, a teraz właśnie przysłali wiadomość z mrocznej Stygii. Do ich powrotu ludzie mogli jedynie gromadzić się razem i spać w publicznych miejscach, czuwać nad sobą i ratować się nawzajem w nieszczęściu.

Gdy Narsus kroczył ulicami miasta, często słyszał z mijanych zaułków i budynków jakiś przerażony krzyk, który echo niesło dalej wśród kamiennych ścian. Strach i panika wstępowały już w progi świata na jawie. Zdarzały się też groźne wypadki. Na przykład poprzedniego dnia spłonęło doszczętnie kilka domów w biedniejszej dzielnicy miasta, bez wątpienia podpalonych przez świecę lub pochodnię, która wysunęła się z dłoni jakiegoś zasypiającego nieszczęśnika. Teraz zaś, Narsus musiał bardzo uważać na rydwany i wozy powożone przez drzemających ludzi – chociaż to niebezpieczeństwo przynajmniej utrzymywało w czujności jego zmysły. Tej nocy jednak, wbrew swym intencjom, zapuścił się w jakiś ciemniejszy i bardziej bezludny obszar miasta. Znikł gdzieś blask pochodni, a że Narsus nie niósł światła, cienie w bramach zaułkach zaczęły rosnać i stawać się coraz groźniejsze. Ciemność była zdradliwa i kusząca, wabiła fałszywą obietnicą wypoczynku, była tak intymna, tak spokojna, niosła zapomnienie, wystarczyło zamknąć oczy...

Gwałtownie powrócił do rzeczywistości potrząsając głową, tak jak robił to już wielokrotnie tej nocy. To było zbyt niebezpieczne, lepiej wrócić do ludniejszych części miasta. I wtedy dojrzał przed sobą hałaśliwą grupę. Ludzie ci nieśli dwie odkryte latarnie. Donośne, podbite głosy śpiewały sprośne piosenki. Wymuszona alkoholem fałszywa radość była jakimś sposobem na wegetację w Baalur. Jasny blask lampy przebił się przez ciemność i dym oświetlił Narsusa od stóp do głów.

– Hej, handlarzu, chcemy spróbować twoich owoców – zawołał ktoś z pijacką czkawką.

– Tak, tak – zawtórował mu piskliwy głos kobiety – mam ochotę na coś słodkiego po tym gorzkim winie z Eruk.

– Uważaj na Milo, handlarzu! – wrzasnął radośnie ktoś z tyłu. – Ona już dzisiaj przyjęła sporo owoców w płynie, może ci zgnieść te śliwki!

Robili dużo zamieszania. Ich krzyki i przytupywania rozlegały się po całej uliczce, a gdy podeszli bliżej światło latarni ukazało wyraźnie ich prawdziwe postacie... pokryte łuskami klatki piersiowe, gadzie, pełne śluzu twarze przypominające pyski wielkich ropuch.

– Precz! Precz ode mnie! – wrzasnął Narsus. Odwracając się gwałtownie, huknął

głową o jakąś kolumnę i zatoczył się do tyłu na wpół oślepiiony.

– Co jest, bracie? Zraniłeś się?

– Nie!!! Puśćcie mnie!!!

Sięgnął po zakrzywiony nóż, którego zazwyczaj używał do krojenia owoców, i uderzył wściekle po wyciągającej się ku niemu błoniastej, zakończonej szponami ręce demona.

– Czyś ty oszalał! – dobyło się charczenie z żabich ust – Zranił ją! Łapcie go, on śni!

Ale Narsus pojął prawdę, wreszcie ją pojął – dzień był nocą a noc była dniem, tylko śnił, że się obudził. Obudził się dopiero teraz! Jeszcze raz uderzył ślepo nożem i pognał ku szerokiemu bulwarowi, uciekając przed goniącymi go pokracznymi, oślizgłymi istotami, których żabie wargi odsłoniły ostre kły.

– Uważajcie, on jest szalony! Zabił Milo! Obezwładnić go!!! Desperacko walczył, by wyrwać się otaczającym go potworom, bił, odpychał, rzezał wokół okrwawionym ostrzem i biegł... biegł w kierunku domu, w kierunku jedynego bezpiecznego miejsca. Krew na nożu miała zieloną barwę, ale trzymająca ostrze dłoń wciąż pozostawała, ku jego uldze, normalna, ludzka.

– Wezwać strażę! Szalencie morduje ludzi!

Tupiąca i sapiąca horda została gdzieś z tyłu. Dopadł drzwi domu i szarpnął energicznie. Ustąpiły.

– Narsus wrócił wcześniej – rozległ się głos z wnętrza mieszkania. – Chodź, dziecko, na ulicy jest jakieś zamieszanie.

Wskoczył do ciemnego korytarza i usłyszał za sobą trzask zamykanych ciężkich drzwi. Jeszcze tylko szcęk skobla. Dopiero gdy zaczął wspinać się po schodach, dostrzegł w nikłym świetle kaganka, kto podąża za nim – wysoka, o niemal męskiej budowie ciała kobieta, której oblicze dopiero materializowało się w kłębach dymu. Tylko dwa czerwone punkty, jak rozżarzone węgle, świeciły niezwykłym blaskiem tam, gdzie powinny znajdować się oczy. To nie była jego matka. Kusząca piękność o rozpuszczonych włosach i krwistoczerwonych paznokciach, odziana w skąpą czarną tunikę – to była Zeriti, demon z jego snów.

– Narsusie, czego się boisz? Chodź do mnie, synku. A to co? Nóż? Oddaj go, przecież go nie potrzebujesz.

Wymykając się niosącemu śmierć dotknięciu, uderzył ślepo nożem, a potem odwrócił się na pięcie i pognał na górę.

– Co... coś ty zrobił? Chyba Oszalałeś! Zatrzymaj się!

– Potwór! Zranił matkę! Dzieci, uciekajcie do środka.

Mknać przed siebie, Narsus walczył z próbującymi go chwytać potworami. Te, które zostały za nim, to nic w porównaniu z tym, co teraz miał przed sobą – gigantyczne rozkładające się monstra, wielkie wijące się macki robaków, kłacza nieznanymi roślinami wyrastające ze ścian i próbujące uwięzić go w swym uścisku. W górę, zakręt i w górę. Tuż za sobą słyszał kłapanie potwornych szczęk.

Na górze dostrzegł drzwi. Tu na korytarzu na szczęście nie było nikogo, dopadł ich więc jednym susem i szarpnął, otwierając sobie drogę ucieczki. To, co ujrzał przed sobą, nie było pokojem ale wielką otwartą paszczą, różową i pulsującą wewnątrz, z kapiącą z języka śliną i ostrymi zębami, które dostrzegł wyraźnie, gdy potworne wargi rozchyliły się w oczekiwaniu na żer.

Z wrzaskiem przerażenia Narsusu skręcił w bok. Podbiegł do okna i zerwawszy gwałtownym ruchem cienką zasłonę, wyskoczył w ciemność. Ciało ciężko uderzyło o ziemię. Narsus leżał nieruchomo, prawie nieświadomy dobiegających do jego zmysłów obrazów i dźwięków.

– Narsusie, moje dziecko. Biedny chłopcze, sny cię zabiły!

Matka klękła przy nim i próbowała unieść jego głowę, nie zważając na własną krwawiącą ranę. A krew spływająca po jej piersi była czerwona – tyle jeszcze Narsusu zdołał dostrzec.

Potem zasnął.

XV

UCIECZKA Z OTCHŁANI

Cały czas płynęli w górę rzeki. Z każdym dniem okolica stawała się coraz bardziej ponura. Wioski gdzieś zniknęły, a uprawne pola stały się bardzo rzadkim widokiem. Oba brzegi porastał teraz dziki las, prawdziwy gąszcz drzew. Pustynne równiny zostały zastąpione stromymi wzgórzami o ostrych szczytach. Ustał niemal zupełnie ruch na rzece i rzadko można było dostrzec jakiegokolwiek człowieka. Z

rzadka tylko pojawiający się na wschodnim brzegu zuagirszy jeźdźcy obrzucali ich wyzwiskami albo posyłali ku nim strzałę, nie zsiadając nawet z wierzchowców. Nie przypuścili jednak żadnego większego ataku.

Na zachodnim brzegu jedynym śladem ludzkiej obecności były pojawiające się od czasu do czasu w gęstwinie drzew twarze, które znikwały równie szybko, jak się pokazywały. Gdy zbocza wzgórz po obu stronach Styksu zbliżyły się ku sobie, nieprzyjemne uczucie uwięzienia spotęgowało się. W wąskiej dolinie rzeka płynęła szerokimi zakrętami, co znacznie zwiększało dystans, który musieli pokonać. Często też, wiosłując na kolejnym zakręcie, załoga centyremy widziała maszty dahabiji o kilkanaście metrów dalej, poruszające się w przeciwnym kierunku.

Woda wciąż była atramentowo czarna, nie mogli więc dokładnie ocenić głębokości rzeki pod drewnianymi kiłami statków.

– Trzeba nam było zawrzeć pokój z Zuagirsami – narzekał Furio. – Myślałem, że to zwykli bandyci. Czy nie zdawałeś sobie sprawy, że kontrolują całe terytorium leżące przed nami? – Młody kapitan jak zwykle starał się podważyć autorytet Conana. – Jeżeli będziemy musieli znowu lądować albo nawet zostawić statki, nie możemy oczekiwać od nich niczego innego jak zemsty.

– Znam dobrze Zuagirsów – zapewnił Conan zatroskanych oficerów. – Poszczególne szczepy są tak samo wrogo nastawione do siebie, jak do obcych przybyszy. I wiele czasu zajęłoby im zjednoczenie się przeciwko wspólnemu wrogowi. Gdyby tylko można im ufać, próbowałbym się z nimi dogadać i uzyskać pozwolenie na przejście przez ich kraj. Ale to są pozbawieni wszelkich zasad złodzieje i zdrajcy. Jedyne, co szanują, to pokaz bezwzględnej siły.

A jednak w górnym odcinku rzeki były ludzkie siedziby. Kamienne lub drewniane ruiny wznosiły się na obu brzegach Styksu. Widywali także nadgrzyzione przez ryby resztki ludzkich włosów, zaplątane w korzenie omywanych przez wodę drzew lub nadrzeczne krzaki. Takie ślady obecności ludzi nie czyniły ich wcale szczęśliwsi. Jeżeli coś odciągało ich myśli od tego ponurego otoczenia, to tylko ciężka praca przy wiosłach – niezbędna, jako że otaczające rzekę wysokie wzgórza niemal całkowicie blokowały podmuchy wiatru. Conan zresztą starał się zajmować swych ludzi różnymi zadaniami, takimi jak naprawianie lin, ostrzenie harpunów i haków abordażowych.

Kiedy wreszcie wypłynęli na szerokie, falujące rozlewisko wodne, dostrzegli, dokąd zaprowadziła ich kapryśna rzeka. Wzgórza zmieniały się w strome skalne stoki, w których woda wyłobliła głęboki kanion. Nie ulegało wątpliwości, iż było to dzieło olbrzymiego, potężnego Styksu – żadna mniejsza rzeka nie zdołałaby uczynić szczeliny tak głębokiej, o tak wielu terasach.

– Na Dagona! – zawołał Furio ze statku, który podążał tuż za jednostką Conana – tam są następne katarakty! Jeżeli nie da się dalej płynąć rzeką ani wspiąć się po tych zboczach, będziemy musieli się cofnąć i znaleźć jakąś drogę.

Przerwały mu głośnie krzyki i łoskot zderzających się wiosł, a potem rozległy się, jeszcze bardziej niepokojące dźwięki – rzenie przerażonych koni i mrozące krew w żyłach wrzaski ludzi, które mogły być spowodowane tylko przez ból i paniczny strach. Tumult dochodził gdzieś z tyłu, ale Conan, który z rufy swej centyremy starał się dojrzeć, co się stało, nic nie widział z powodu szerokich zakrętów rzeki.

– Wiosła cała wstecz! Sternik, ster na prawą burtę! Musimy zobaczyć, co tam się dzieje, ale uważajcie, by nie staranować okrętu Furio!

Przez następnych kilka chwil widoczność zasłaniały im łopoczące na wietrze żagle dahabiji. Pomknęli jednak naprzód, mijając dryfujący i zmieniający gwałtownie kurs statek, a wtedy Conan i jego wiosłarze zobaczyli rzecz gorszą od tych, jakie kiedykolwiek pojawiły się w ich koszmarach sennych – Czarna Rzeka ożyła i powstawała przeciwko nim.

Środkowa dahabija – trzeci okręt w szyku – była wciągana przez kleistą, błyszczącą strugę żywej czerni, która wylewała się bezpośrednio z głównego nurtu rzeki, oplatając dziób statku i ciągnąc go w głębinę. Ludzie biegali w panice po pokładzie, tłukąc nieznanego potwora wiosłami i kłując go pikami oraz bosakami. Zostali jednak zbici z nóg i odrzuceni z potężną siłą, zaś czarny strumień, pulsując energicznie, wlewał się coraz dalej na pokład statku, rosnąc i potężniejąc w blasku słonecznych promieni. Kilku Shemitów wypadło z miotanego wstrząsami pokładu. Wylądowali w ciemnej, groźnej wodzie, skąd jeszcze przez parę chwil dochodziły krzyki walczących o życie ludzi. Potem czarny nurt pochłonął wszystkich.

– Dalej! Wiosłować, psy! – wrzasnął Conan do żołnierzy, którzy patrząc na tę

scenę, zamarli z przerażenia. – Ruszajcie wiosłami! Musimy podpłynąć bliżej. Bęben, podwójne tempo! Katapultę na rufę i załadować na nią kotwicę!

Wioślarze jakby się zawahali, stopniowo jednak poddali się bezlitosnemu tempu podawanemu przez bęben. Statek ponownie nabrał prędkości i zgodnie z rozkazem Conana popędził ku miejscu katastrofy rufą do przodu. Przepływając koło statku Furio, nad którym ten nie zdołał jeszcze zapanować, Conan zawołał, aby podano mu stamtąd linę z umocowaną do niej kotwicą. Zabrał ją na pokład swego statku, podążającego wprost na spotkanie sennego koszmaru. Wielka czarna wstęga, która wychyła się z głębiny, opłotła już z tytaniczną siłą całą przednią część zaatakowanego statku i sięgała coraz dalej. Ci, którzy siedzieli przy przednich wiosłach, zostali zmiażdżeni na swych stanowiskach. Pozostali próbowali wydostać się spod przygniatającej ich czarnej masy, dźgając ją nożami i siekierami, jednak spotkał ich ten sam los, gdy błyszczące cielsko przesunęło się dalej do przodu, jakby wzmacniając uchwyt. Choć broń raniła czarne monstrum, ci, którzy ją trzymali, natychmiast opadali w agonii, targani dziwnymi wstrząsami, z obłądnym przerażeniem malującym się na ich pobladłych twarzach. Zesztywniałe ciała osuwały się bezwładnie na mokre deski pokładu. Równocześnie buchnęły gwałtowne płomienie, ogarniając cały przedni pokład statku, którego olinowanie rozświetliło się jasnym blaskiem, zaś żagiel zwinął się i poczerniał jak zwój papirusu w kuchennym palenisku.

Uciekając przed ogniem, jeden z brodatych oficerów przechylił się przez burzę i wyciągniętym rapierem zaczął dźgać czarne wody Styksu. Rzeka nie krwawiła, jednak mężczyzna, jakby ktoś rzucił na niego zły czar, zesztywniał nagle, a gałki jego oczu uciekły ku górze w paralitycznym odruchu. Jego zęby zaszczeły spazmatycznie, a mokre ubranie zaczęło dymić i płonąć, na brodzie zaś i włosach pojawiły się błękitne świetlne iskierki.

– Rzeka wstała do życia jak piekielny wąż, którym jest! – mamrotała z zabobonnym lękiem załoga. – Pali i miażdży ludzi, pożera nasze okręty!

– Przestańcie bełkotać, głupcy! Skupcie się na wiosłowaniu! – zawył Conan, przebiegając na śródokręcie. – Opuścić katapultę. Chcę umieścić tę kotwicę w najgłębszym z piekieł!

Na szczęście maszt był położony, co dawało katapultcie niezakłócone pole ostrzału za rufę. Conan zwolnił ramię katapulty, a ono wystrzeliło w górę z siłą, od której zadrżał cały pokład. Kotwica i uwiązana do niej gruba lina poszybowały nad wodą, by opaść z hukiem pomiędzy ogniste płomienie i resztki przedniego masztu zniszczonej dahabiji.

– Dobrze! Teraz wiosła w przód i ciągnąć! Bliżej nie podejździemy, więc pracujcie z całych sił! Wy tam, wybrać do końca linę kotwiczną, a wy załadować katapultę. Przynieście tę kotwicę Furio! Ruszajcie się, Shemici, a pokonamy rzeczną bestię!

Początkowo spróbowano wystrzelenia kotwicy do przodu i wybierania liny, co miało dodatkowo pomóc wioślarzom, jednak Conan zrezygnował z tej taktyki, gdyż nie przynosiła efektu. Wkrótce w kierunku zaatakowanej dahabiji poszybowała druga kotwica.

– Ciągnijcie, psy! Ciągnijcie mocniej! Połączyć te liny i rzucić drugi koniec Furio! Niech użyje swojego kabestanu. Ciągnąć, zaraz będą efekty! Równe uderzenie, tempo marszowe, starajcie się, bracia!

Załoga Conana przypuszczała, iż zamierza on wyciągnąć zaatakowany statek z niebezpieczeństwa, które, jak się zdawało, dotyczyło tylko jednego miejsca na rzece. Ale wkrótce dostrzegli, że ramiona ich kotwicy wbiły się w czarną substancję. Czymkolwiek to było – cieczą czy ciałem stałym – ostre haki zanurzyły się w tym głęboko, a teraz równe uderzenia wiosła ciągnęły i szarpały to wielkie pnące spoczywające w poprzek pokładu ich zrujnowanego statku.

– Tak jest! Ciągnąć! Ostro! – Cymmerianin przyłożył dłonie do ust i zaryczał poprzez wodę. – Furio, użyj kabestanu i wybieraj linę! Pozostali, wbijcie swoje kotwice i róbcie to samo! Zobaczymy, z czego jest zrobiony ten rzeczny robal!

W miejscu, gdzie wbiła się brązowa kotwica centyremy, w czarnym cielsku pojawiła się szczelina. Wypłynęła zeń szkarłatna substancja, gęsta jak krew, i polała się po hebanowej powierzchni. Na ten widok rozległy się dzikie okrzyki załogi, a uderzenia wiosła zdwoiły swą częstotliwość.

– Styks jednak krwawi! Conan zranił czarną rzekę!

– Ciągnąć, zasieczemy tę gadzinę!

Lina kotwiczna kapitana Furio również napięła się silnie, aż zaskrzypiały ramiona kabestanu. Gruba lina dźwignęła się wolno spod wody i zaczęła ciągnąć

potwora w przeciwnym kierunku, a wiosłarze na mniejszym statku musieli poważnie się na trudzić, by utrzymać pozycję.

Nagle na pokładzie zmasakrowanej dahabiji pojawiła się potworna głowa o ogromnych czarnych oczach i wielkim, podobnym do psiego pysku o wielu kłach. Potwór, bezlitosny i emanujący wściekłością, wyrósł nad wodę na wysokość głównego masztu. A potem opadł na załogę i statek, miażdżąc i rozrywając ludzi. Był w stanie przepołować człowieka jednym kłapnięciem pyska. Nie tracił nawet czasu na połykanie pochwyconych, odrzucał tylko ich ciała i chwytął kolejnych, aż wbijające się w jego głowę włócznie i sięgające oczu strzały zmusiły go do cofnięcia się.

Po chwili monstrum ponownie wystrzeliło w górę, nie wydając żadnego dźwięku oprócz łoskotu wzburzonej wody, i znów się pochyliło, ale tym razem, by szarpać haki wbijające się w jego ciało. Potwór cierpiał. Przymocowana do statku lina trzymała mocno, choć cała centyrem drżała pod stopami Conana od tych gwałtownych szarpnięć.

– To tylko wielki węgorz, przerośnięte rybsko! – zaczęła wrzeszczeć załoga. – Na brzeg z nim, zjemy go na kolację!

– Lepiej to zrobmy – zażartował któryś z wiosłarzy – nim on zje jeszcze kilku z nas.

W rzeczy samej, było to jedno z najpospolitszych rzecznych stworzeń, choć faktycznie niewiarygodnych rozmiarów. Czarnej barwy, mógł znakomicie ukrywać się i polować niewidoczny w czarnej rzece, a jego oślizgła skóra niczym nie odróżniała się od wodnej toni. Miał też inną broń, podobnie jak wszystkie węgorze, jakie zdarzyło się Conanowi spotkać – magiczną energię, która paraliżowała jego ofiary i otaczała je błękitnymi wyładowaniami. Ten potwór był z pewnością odpowiedzialny za spalony wrak, który spotkali w dole rzeki, i niezrozumiały obłęd ocalałego rozbitka.

– Trzymać go! – rozkazał Cymmerianin. – Musimy go zasiec raz na zawsze. Rzućcie więcej lin!

Zraniona hakami bestia rozluźniła uścisk, w jakim trzymała dahabiję, i zaczęła zsuwać się ze zniszczonego pokładu. W międzyczasie zbliżył się czwarty w szyku statek, a najodważniejszy z żeglarzy biegł z kotwicą w dłoni, gotów cisnąć ją w potwora. Uderzyła pomiędzy ogniste iskry a żeglarz, nie zdoławszy uskoknąć przed rozwijającą się liną, zahaczony za nogę spadł do kokpitu. Potem statek ruszył, pracując wiosłami i napinając trzecią linę.

Wijąc się i miotając w agonii, z głową otoczoną przez błękitne wyładowania i ogonem bijącym ślepo w wodę, olbrzymi węgorz wypuścił łup. A gdy to zrobił, dosięgła go czwarta kotwica, która utkwiała wprost w szyi potwora, o ile w przypadku tego węzowatego cielska można było w ogóle mówić o szyi. Tę kotwicę rzucono ze zmasakrowanego okrętu, którego ocalali załoganci zdołali zebrać kilka całych wiosł i teraz pracowali nimi ciężko.

Wyciągnięty na powierzchnię wody i rozrywany przez okrutne haki ciągnące w cztery strony, węgorz rzucał się z furją. Potężne wstrząsy szarpały statkami, jednak haki trzymały mocno, a ogarnięci rządzą zemsty Shemici walczyli zaciekle. Wreszcie potwór osłabł i pozwolił ciągnąć się po powierzchni, wijąc się tylko słabo jak wąż nadziany na włócznię. Nawet wyładowania energetyczne zaczęły słabnąć, chociaż Shemici wciąż widzieli iskierki wędrujące wzdłuż kotwicznych lin i mimo odległości odczuwali słabe mrowienie.

W końcu bestia opadła bezsilnie na powierzchnię rzeki, a wokół rozlała się plama krwi. Natychmiast też pojawiły się głodne krokodyle. Nadszedł czas, by zakończyć ten bój. Na rozkaz Conana wyciągnięto wielkie drgające zwłoki na piaszczysty brzeg rzeki. Kilku mężczyzn podpłynęło tam w małych łodziach i rzucając z bezpiecznej odległości pikami, dobili monstrum. Potem zaś zaczęła się praca rzeźników, gdyż Shemici posiekali olbrzymiego węgorza, by upiec i zasolić poporcjowane kawały mięsa.

Zwycięstwo odniesione nad wodnym potworem najwyraźniej dodało animuszu baalurskim wojskom, mimo straty co najmniej tuzina ludzi. Wachty na dziobach okrętów uważniej teraz przyglądały się rzece, ale podobne, choć znacznie mniejsze węgorze pojawiały się rzadko i łatwo było utłuc je włócznią albo złowić w sieć. Zdawało się więc, że potwór ten był przerośniętym wybrzykiem natury, tak jak czasem zdarzają się niewiarygodnych rozmiarów stare ryby.

Statki podążały teraz sprawnie naprzód i następnego dnia osiągnęli wrota kanionu. Woda wypływała stąd bystra i pokryta białą pianą, a prąd był tak silny, że niemożliwe stało się dalsze żeglowanie w górę rzeki. Nie mogły tu pomóc ani

żagle, ani wiosła, zaś ściany wąwozu były zbyt wysokie, by spróbować ciągnięcia okrętów z brzegu.

Poniżej wrót wąwozu znajdowało się dość szerokie rozlewisko o płaskim, piaszczystym zachodnim brzegu, na który można było łatwo wyciągnąć statki. To stąd zaczynał się pełen meandrów fragment rzeki. Tutaj też, na głęboko wrzynającym się w wodę półwyspie, Conan postanowił założyć ufortyfikowany obóz. Rozkazał odgrodzić go od strony ładu głębokim rowem i wysoką drewnianą palisadą, na którą wycięto wszystkie drzewa na półwyspie.

Wkrótce powstał główny magazyn, gdzie znalazły się wyładowane ze statków towary, opodal zaś stanęły budynki mieszkalne i stajnie. Fort był dobrze zabezpieczony od wschodniej stron, choć oczywiście doskonale widoczny z daleka. W razie gdyby Zuagirsom udało się ja – kimś cudem zdobyć łodzie, ustawiono od tamtej strony katapulty, które miały szerokie pole ostrzału na rzekę. Zachodni brzeg był gęsto zalesiony, toteż atak zorganizowanych oddziałów jazdy raczej nie wchodził w rachubę a lokalne bandy działające na słabo zaludnionej keshkańskiej stronie nie stanowiły poważnego zagrożenia. Podczas tych kilku dni, gdy wznoszono obóz, Conan rozesłał konnych zwiadowców w poszukiwaniu ewentualnych szlaków prowadzących w górę rzeki, a kiedy budowa została wreszcie zakończona i statki spoczywały bezpiecznie na kotwicach, zebrał wszystkich oficerów w głównej izbie.

– Dotarliśmy daleko w górę rzeki – oznajmił na początek. – Prawdopodobnie jesteście dalej niż w połowie drogi. Tutaj zdecydowałem założyć główny obóz. Umożliwi nam to stworzenie rezerw zarówno wojska, jak i zapasów, oraz utrzymanie statków w gotowości do drogi powrotnej. Jak wiecie, znalezienie srebrnego lotosu to tylko połowa sukcesu, musimy jeszcze wrócić do Baalur. Zamierzam pozostawić tutaj część armii, jazdę i kilku oficerów. Druga grupa będzie nieco mniejsza i sprawniej podejmie dalszą drogę w głąb ładu. Jeśli zaś napotkamy poważne przeszkody, będziemy mogli się tu wycofać albo posłać po posiłki.

– Po co zostawiać więcej niż połowę wojska w tym zapomnianym przez wszystkich bogów miejscu? – zaprotestował Furio. Ludzie będą wariować na tym pustkowiu, a fort będzie bez przerwy atakowany przez Zuagirsów albo jakieś dzikie bestie. Czy nie lepiej wypocząć tu tylko i ruszyć na południe całym wojskiem? Spalmy statki i skupmy całą naszą wolę na znalezieniu źródeł tej przeklętej rzeki!

Conan czekał cierpliwie, aż jego krnąbrny podwładny skończy wypowiedź.

– Nie pozostawiłbym tu nikogo – odparł wreszcie – gdyby faktycznie groziło im tu coś poważnego. Wybrałem to miejsce, gdyż po pierwsze, jest poza zasięgiem imperium Stygii. Nasza flota to najpotężniejsza eskadra w górnym biegu rzeki i wyznawcom Seta nie będzie łatwo nas tu zniszczyć, jakiegokolwiek są ich polityczne cele czy wskazania kapłanów. Znajdujemy się poza granicami imperium, które w dodatku ma wystarczająco dużo problemów z najazdami Zuagir – sów. Oczekuję, że pozostawione tutaj wojska nie będą siedzieć beczynnym za palisadą fortu, ale wezmą udział w potencjalnych zamieszkach w dole rzeki. Gdy ja będę parł ku źródłom Styksu, wy zajmiecie się karawanami handlowymi. Zapewnijcie im ochronę zarówno na wschodnim, jak i zachodnim brzegu i chrońcie je przed Zuagirsami na pograniczu. Za przyzwoitą cenę, oczywiście. To miejsce, po tym, jak zniszczyliśmy tego przerośniętego stwora, jest dogodnym punktem przeprawy. Skróci to znacznie niebezpieczną podróż wzdłuż wschodniego brzegu i znacznie ograniczy złodziejski proceder Zuagirsów. Stojące tutaj nasze statki mogą zapewniać transport przez rzekę sporym karawanom. Możemy nawet przewieźć ich nieco w dół rzeki, jeśli będą gotowi za to zapłacić. Zatem w czasie mojej nieobecności ten obóz będzie na siebie zarabiał. Musicie zyskać zaufanie okolicznych Stygijczyków, trzymać Zuagirsów na uwięzi i zbierać pieniądze oraz informacje, które mogą nam pomóc w naszej misji.

– Na Mitrę! – wybuchnął Furio. – Właśnie tego obawiałem się przez całą drogę! Przed tym właśnie ostrzegał jeszcze w Baalur przezorny generał Shalmanezar! Przecież teraz nasz dowódca buduje marionetkowe królestwo z dala od Shem i chce wykorzystać naszą armię do zbierania datków i ochrony granic! Jeśli go posłuchamy, jeśli zgodzimy się na podział wojsk i wypełnimy jego wolę, wierzcie mi, misja skończy się fiaskiem, a nas rozdziobią sępy albo pozostaniemy na zawsze na tym pustkowiu, szukani przez tego barbarzyńcę...

Dźwięk wyciąganego miecza złał się niemal w jedno z odgłosem tępego uderzenia. Broń Conana nie dosięgła Furio, wbiła się w masywny drewniany filar w odległości dłoni od kapitana. Zapadła głucha cisza, a Furio uchwycił rękojęść swego miecza. Nie dobył go jednak, a Conan najwyraźniej nie dbał o wbite w

drewniany słupek ostrze.

– Nie wątpię w twoje dobre intencje, kapitanie – przemówił do oficerów grzmiącym, donośnym głosem. – Wszyscy byliście, jak do tej pory, wierni i oddani. Jeśli nie mnie osobiście, to sprawie, gotowi nawet poświęcić swe życie. Gdyby nie to, nie doprowadziłbym was aż tutaj, a na pewno nie obyłyby się bez buntów i dezercji. Dlatego właśnie mogę spokojnie podzielić nasze siły. Czy naprawdę sądzicie, że ci, którzy tu pozostaną, i dowodzący nimi oficerowie zapomną o celu swej misji i pozwolą zginąć pozostałym? Boja tak nie sędzę. – Spojrzał na wciąż czerwonego z gniewu kapitana. – Dlatego właśnie zamierzam pozostawić ciebie jako komendanta tego fortu. I wiem, że przyczynisz się do powodzenia naszej misji. Potrzebuję tutaj aktywnego dowodzenia i wiem, że jesteś właściwym człowiekiem.

Furio wreszcie się uspokoił. Perspektywa samodzielnego dowodzenia połową armii najwyraźniej wydała mu się atrakcyjna. A kwatera, wreszcie na lądzie, gdzie swobodnie mógł używać swych konnych, musiała być dlań przyjemną odmianą. Mógł kontrolować stąd poczynania swego dowódcy, mimo iż nie był w pierwszej linii.

– Pomyślałem o tym kilka dni temu – podjął Conan po chwili – po rozmowie z Zirfarem, wodzem tej karawany przy przeprawie. Ubiłem z nim interes. Wielbłądy i poganiacze, których będziemy potrzebować w dalszej wędrówce, czekają na nas w pierwszym mieście na południe od przeprawy. To jest o dzień drogi stąd, rzeką trochę dłużej ze względu na zakola. Natychmiast wyjdzie stąd grupa, by je zakupić, stamtąd też będziecie w przyszłości eskortować jadące na wschód karawany. Jeśli chodzi o dalszą drogę w górę Styksu, musimy przeprowadzić się na wschodni brzeg i przejść przez terytorium Zuagirsów. Zachodni brzeg jest skalisty i stromy, a brzeg kanionu odchodzi bardzo daleko od rzeki. Nie ma też wyraźnego szlaku przez ten labirynt skał, a próba ich przecięcia zajęłaby nam ze dwa tygodnie. Na wschodzie przejście przez pustynię powinno być szybkie. Sędzę, że wyruszymy za dwa dni, gdy tylko wielbłądy znajdą się w obozie i zostaną przewiezione przez rzekę.

Furio znowu się wtrącił, choć tym razem znacznie mniej napastliwie.

– Zamierzasz więc pakować się prosto w paszcze tych dzikich Zuagirsów? Wybrałbym raczej inną drogę. Na pewno przerwą komunikację między naszymi oddziałami, będą nas niepokoić, a pod tym fanatykiem, który nimi dowodzi, bez wątpienia dadzą nam się mocno we znaki.

– Po to właśnie, kapitanie, ty tu zostajesz – żeby kontrolować Zuagirsów. A jeśli odciągniemy ich trochę w górę rzeki, tym lepiej dla ciebie. – Conan sięgnął po miecz, wciąż tkwiący w na wpół zniszczonym słupie, i schował go powoli do pochwy. – Szlaki na wschodnim brzegu są dobrze oznaczone. Jeśli mogą się nimi przedostać karawany handlowe, możemy i my. A jeżeli trzeba będzie dopiero otworzyć ten szlak, lepiej zrobimy to silnym uderzeniem. Dlatego też, gdy wyruszymy, oczekuję, że twoja jazda będzie nam przez jakiś czas towarzyszyć i osłaniać naszą flankę.

XVI

SZLAK USŁANY SZCZĄTKAMI

Bandy Zuagirsów, które polowały na łupy przy rzecznej przeprawie, zostały łatwo rozbite i rozproszone przez jazdę Shemitów. Najwidoczniej pustynne plemiona były zbyt zajęte najezdami w dole rzeki, aby stawić bardziej zdecydowany opór lub dalej nękać karawanę. Shemici wraz z dwoma setkami ciężko obciążonych wielbłądów osiągnęli wyżynę jeszcze tego samego dnia, a eskortująca ich jazda powróciła do fortu nad rzeką. Łatwe zwycięstwo nad jeźdźcami pustyni pozwoliło im teraz skupić się na walce z prawdziwym wrogiem – ruchomymi piaskami, bezlitosnym słońcem i kończącymi się zapasami wody.

Tak właśnie miały się rzeczy kilka dni później, gdy przemierzali pustynię położoną nad wielką kataraktą Styksu. Szlak był wyraźnie oznaczony przez wyschłe już na słońcu kości, pozostałe po padłych wielbłądach, koniach oraz dosiadających ich niegdyś jeźdźcach. Padli oni na szlaku zapewne z braku wody i zostali następnie dokładnie oczyszczeni z ciała przez ptaki i pustynne żuczki. Potem deptały po nich tylko niezliczone stopy i kopyta przemierzających pustynię wędrowców.

Conan prowadził konia za uzdę, gdyż nie miał ochoty męczyć, osłabłego z pragnienia wierzchowca, ciężarem swego ciała. Obok na wielbłądzie jechał

Caspius, owinięty w gruby szary szal, który miał chronić jego głowę przed bezlitosnym blaskiem słońca. Spod szala błyszczwały tylko bystre oczy medyka i wystawała część jego siwej brody, co czyniło go niezwykle podobnym do jednego z zuagirskich jeźdźców pustyni.

– I jak, mędrcze, nie masz już dosyć podróży, na którą tak się uparłeś? Musimy podjąć decyzję, czy wracamy do rzeki czy zaryzykujemy naszym życiem i spróbujemy dotrzeć do jej zakola gdzieś przed nami. – Conan wskazał ruchem głowy na zachód, gdzie leżało koryto Styksu, gdzieś pomiędzy tym usłanym kośćmi szlakiem a odległymi, ledwie widocznymi wzgórzami południowego Kush. – Mam nadzieję, że racje wody nie są dla ciebie zbyt małe.

Caspius potrząsnął głową i przemówił zeschniętymi wargami:

– Nie, dowódco. Nie żałuję, że wyruszyłem z wami. Jeszcze nie. Spodziewałem się wielu trudów, ale też ujrzenia wielu ciekawych rzeczy, i nie zawiodłem się. – Wskazał drapieżnego ptaka, który właśnie przygwoździł do ziemi wijącą się jaszczurkę. – Jest tak, jak obiecałeś, gdy wyruszaliśmy. Podczas tej podróży mogę nauczyć się więcej niż podczas całego dotychczasowego życia, spędzonego na wertowaniu ksiąg.

Conan skinął głową.

– Życie udzieliło nam tu wielu lekcji, to prawda – rzekł. – Kto mógł przypuszczać, że podążając ku źródłom rzeki i wzdłuż jej nurtu, będziemy cierpieć z pragnienia. – Poklepał niemal pusty bukłak z wodą, zwisający u lęku siodła. – Żaden z naszych zwiadowców nie znalazł oazy.

Długa kolumna pieszych i jeźdźców podążała niestrudzenie naprzód, a usłany zmarłymi szlak skręcał lekko i wiódł do jednego ze zboczów olbrzymiego kanionu. Gdy stanęli na brzegu klifu, widok, jaki ujrzeli, odciągnął ich myśli od upału i pragnienia. Naprzeciwko widzieli zbocze składające się z różnokolorowych warstw ziemi, a cały teren wyglądał tak, jakby kilku olbrzymich tytanów przełamało świat na dwoje. U ich stóp zaś klif opadał w dół pionową ścianą, niweczając wszelkie nadzieje na dostanie na dół. Przyciągało ich ku brzegowi wąwozu jakieś nieodparte pragnienie, zdawało się, że jak wabi ich i wsysa w swą śmiertelną pułapkę – śmiertelników, którzy stanęli u jego krawędzi.

– Od jakiegoś czasu prześladuje mnie myśl – powiedział Caspius, przyglądając się stromym ścianom z wysokości siodła – że nasza ekspedycja podąża pod prąd czasu. Pomyśl, najpierw maszerowaliśmy ku Asgalun, gdzie ty i nasza królowa musieliście stoczyć bój z Zeriti, która jest duchem pochodzącym z przeszłości. Następnie przemierzyliśmy Stygię, kraj tak starożytny i tajemniczy, jak żaden inny ląd zamieszany przez ludzkie plemiona. Potem przebyliśmy bagna i dzikie rozlewiska rzeczne, nad którymi nigdy jeszcze nie osiedlili się ludzie.

A teraz spójrz tu, na tę ziemię i kamienie – wskazał na mieniący się wszystkimi odcieniami skały klif opadający w otchłań nicości – niektóre z tych warstw musiały powstać, zanim powstał jakikolwiek statek lub miasto zbudowane przez ludzi, a nawet nim ludzie w ogóle posiadli jakąkolwiek mowę. – Przerwał na chwilę, a potem zakasłał sucho. – Szukamy źródła Styksu – zakończył wreszcie – a one muszą leżeć tam, gdzie zaczyna się nasz świat.

Conan nic nie odrzekł na te słowa. Nie chciał mówić o swych niegdysiejszych wyprawach w górę Styksu i Czarnego Wybrzeża. Zapatrzył się tylko w labirynt głazów i skał. Daleko na dnie dostrzegał, wyglądającą jak czarna kreska toń wody, przecinającą białą powierzchnię ziemi. Był pewien, że każdy z towarzyszących mu ludzi wlepie teraz wzrok w to samo miejsce. Rzeka była tam, w dole; woda nadawał się do picia, ale wszystkich lin, które znajdowały się w pakunkach na grzbietach wielbłądów, wszystkich pik, tyczek i siekier, wszystkich powiązanych ze sobą koszy, bukłaków i manierek nie starczyłoby, aby dotrzeć do jej powierzchni i nabrać choćby kropelkę. Każda próba zejścia w dół była skazana na niepowodzenie. Jakby na urągowisko, nagły powiew od strony rozgrzanego klifu uderzył im w twarzę gorący oddechem, sypiąc piaskiem w oczy. Rozległo się też echo powtarzające ludzki krzyk – ktoś zsunął się z krawędzi wąwozu, a teraz opadał na dół, odbijając się kilkakrotnie od zbocza górskiego, aż wreszcie zniknął z oczu patrzącym. Conan zamrugał powiekami, jakby budził się ze snu. Czy krzyk, którego echo jeszcze brzmiało w jego uszach, był krzykiem rozpaczny, który wydał oszalały z pragnienia mężczyzna, pragnący dotrzeć do wodnej toni?

– Wystarczy, rzezimieszki! – zawołał Conan stanowczo. – Cofnąć się od tej nawiedzanej przez demony dziury. Podążmy dalej wzdłuż wąwozu! Nie pozwólcie, by skusiły was duchy rzeki, tak jak tego biednego głupca. Następnego, który zbliży

się choćby o pięć kroków do krawędzi, zepchnę osobiście.

– Conan! Dowódco! Pilna wiadomość!

Cymmerianin dopiero teraz zauważył pędzącego przez pustynię wielbłąda, który niemal już do niego dotarł, gnając wzdłuż długiego szeregu żołnierzy. Kurier zatrzymał wierzchowca tuż przy swym przywódcy.

– Z tyłu, dość daleko, dostrzeżono Zuagirsów! – zameldował. – Bardzo dużą grupę, sądząc po kurzawie, jaką wzbijają. Jadą pod czerwonym sztandarem Mahtu Wyroczni.

Conan nakazał kontynuować marsz, jakby nic się nie wydarzyło, pilnie jednak rozważył otrzymaną wiadomość.

– A więc zebraliśmy wreszcie rozproszone szczepy – powiedział. – Cóż, jeśli nawet nas dościgną, nie będą w lepszej formie, niż my jesteśmy teraz. Na razie maszerujemy dalej, a tylna straż niech ma się na baczności. – Przywołał gestem jednego z konnych. – Zawieziesz mój rozkaz do tylnej kolumny. Niech trzymają się bliżej głównych sił. Nie rozpraszać się, a jazda bardziej na tył i mieć baczność. – Odprawił posłańca ruchem dłoni i zwrócił się do Caspiusa. – To tyle w kwestii, czy wracać do rzeki.

Przed zmierzchem ścigający zbliżyli się do nich znacznie i teraz każdy mógł ich dostrzec. Powiewająca nad głowami nomadów karmazynowa bandera była tak jaskrawa i wielka, iż stanowiła wyraźny, przyciągający wzrok szczegół. Chociaż ludzie Conana przywykli do ciężkiej pracy przy wioślach na pokładzie statków, nie byli przyzwyczajeni do długich podróży przez gorące piaski pustyni. Zuagirsi nie mieli żadnych pieszych oddziałów a jeśli nawet, to pozostały one daleko z tyłu. Urodzone na pustyni konie i wielbłądy nomadów szybko zmniejszyły dystans do ściganych, toteż grupa Conana skupiła się ściślej w celu lepszej obrony, zwłaszcza że zwiadowcy donosili, iż liczba Zuagirsów znacznie przewyższa ich własną. Na szczęście ukształtowanie terenu ułatwiało walkę obronną. Zbocza kanionu zakręcały w głąb pustyni, tworząc wąski wąwóz, który wiódł ku otoczonej skałami kotlinie. Kamienny wał był doskonałą ochroną, a w wąskim przejściu można się było skutecznie bronić, chociaż gdyby Zuagirsi obsadzili je z drugiej strony, zamknęliby ich w tej skalistej pułapce.

– Pędź naprzód do piechoty i powiedz im, żeby zdwoili szybkość i przygotowali obóz – rozkazał Conan swemu porucznikowi. – Zaczynajcie budować fortyfikacje, przede wszystkim dół w poprzek przejścia, i powbijajcie pale, aby zatrzymać ich wielbłądy. I pospieszcie się. Jeżeli dopadną naszą piechotę na pustyni, rozniosą ją w strzępy.

– Ale jak długo się tu utrzymamy? – zapytał Caspius. – Trzy, cztery dni w najlepszym wypadku. Zuargisi zapewne znają położenie najbliższych oaz, mogą wrócić tutaj wzmocnieni, a co najważniejsze, ze świeżą wodą.

Conan wzruszył ramionami.

– A może są oszalali z pragnienia i przypuszczają atak nie zwlekając. – Zwrócił się do innego oficera. – Przygotuj linę i bloczki. Wyznacz kilku doświadczonych żeglarzy, aby spróbowali opuścić się w dół zbocza z pojemnikami na wodę. Tak, teraz! W świetle pochodni! Nie to jest istotne, by im się udało, ważne, by zrobili dobry pokaz. Jeśli Zuargisi będą myśleć, że mamy wodę, być może zrezygnują z oblegania nas.

Pewne było, że na odcinku, który przebyli w ciągu całego dnia, poziom koryta rzeki znacznie się podniósł. Kanion był tu płytszy, choć wcale nie bardziej dostępny. Wszystko wskazywało na to, że koryto rzeki stopniowo wznosi się do poziomu wyżyny, ale na razie południowy i zachodni widnokrąg zniknął w ostatnich purpurowych promieniach zachodzącego słońca.

Już po zmroku na skałach zadudniły kopyta konnych, a powietrze rozdarł krwiożerczy ryk setek gardeł. Wiatr wiejący z głębi pustyni, przyniósł do kotliny ostrą woń wielbłądów i ogarniętych wściekłością Zuargisów. Oszczepnicy oraz łucznicy, stojący w umocnionym okopie, zdołali odeprzeć ten gwałtowny atak, zabijając kilku nomadów, zanim jeźdźcy pustyni połapali się w sytuacji. Wymiana wściekłych wyzwisk, jaka potem nastąpiła, zmieniła się wkrótce w bardziej rzeczową propozycję negocjacji, o czym szybko doniesiono Conanowi.

Ten, polegając na swych wcześniejszych doświadczeniach z Zuargisami, wiedział, że ich przywódca można ufać na tyle, aby stanąć z nim do rozmowy twarzą w twarz. Zwłaszcza Mahtu, jako święty prorok, powinien szanować odwieczną tradycję gościnności pustynnych jeźdźców. Toteż Conan wybrał kilku gwardzistów i zabrał ze sobą także Caspiusa, sądząc że jego siwa broda wzbudzi respekt.

Kiedy jednak wkroczyli do oświetlonego blaskiem ognia namiotu, nad którym

powiewała szkarłatna flaga, znajdującego się w centrum obozu nomadów i otoczonego przez mniejsze namioty oraz rzędy parskających wielbłądów, Cymmerianin dostrzegł, że Wyrocznia jest ledwie wyrośniętym chłopcem, szczupłym i pozbawionym zarostu, choć odzianym w szaty mężczyzny. Otaczali go wodzowie.

Aby uczynić zadość zwyczajom nomadów pustyni, Conan zasiadł przy ognisku ze skrzyżowanymi nogami, w pozycji, jaką podpatrzył podczas swej poprzedniej bytności wśród pustynnych szczepów. Pozdrowił gospodarzy, a potem wręczył im podarunki.

– Ponieważ – powiedział – nazywają cię Wyrocznią, zapewne wiesz, że zamierzamy opuścić twój kraj najszybciej jak możemy. Przyszliśmy tutaj tylko po to, by otrzymać twoją dobrą przepowiednię i przewodnika, który powiedzie nas dalej na południe, za co jesteśmy gotowi dobrze zapłacić.

– Tak – przerwał jeden z wodzów – a co z twoimi kamratami, którzy rozbili się z obozem w dole rzeki i zakłócają pustynny handel? Czy oni także szukają drogi wyjścia? – Dobył noża. – Chętnie wskazałbym im jedną. Do wieczności.

Conan uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Jeżeli naprawdę sądzisz, iż zbudowanie przystani i zapewnienie przeprawy przez rzekę wędrowcom jest zakłócaniem handlu, doprawdy dziwię ci się. Proponuję, żebyście ubili z nimi interes i po staremu zapewniali karawanom swoją ochronę, co pozwoli wam na godziwy podział zysków.

– Gładko gadasz – zauważył inny z wodzów – jak na kogoś, czym śladem podążają sępy. – Wskazał gestem czarne niebo, gdzie z pewnością ukrywały się ptaki. – Twoje uczynki przeczą jednak tym słowom o dobrej woli, a obecność ptaków mówi nam więcej niż twoje słowa.

– Przysięgam ci – odezwał się Caspius nienagannym shemickim – że nie jest naszym pragnieniem ani podbijanie tych ziem, ani szukanie tu jakichkolwiek zdobyczy. Szukamy jedynie leczniczego zioła, które rośnie w górnym brzegu rzeki. Nazywa się srebrnym lotosem.

– Wedle praw Erlika lotos jest święty! – przerwał im chłopięcy głos – zarezerwowany dla przyjemności tych, którzy dostaną się do raju. – Wyrocznia, siedzący ze skrzyżowanymi nogami przy ogniu, mówił wolno i dostojnie, świadom swego autorytetu. – Gdybyśmy nawet wiedzieli, gdzie są te rośliny, nigdy nie dostarczylibyśmy ich niewiernym, którzy sprofanowaliby święty kwiat.

– W takim razie pozwól nam wypełnić naszą misję poza terytorium twojego kraju – powiedział spokojnie Conan, ciesząc się, że usłyszał wreszcie jakieś słowa ze świętych ust proroka. – Szanujemy wasze zwyczaje i waszą wiarę, więc wszelkie nieporozumienia możemy łatwo wyjaśnić. Jeśli taka będzie twoja wola, wydam pisemne rozkazy swoim towarzyszom w dole rzeki. Napiszę je po shemicku, byś mógł wszystko zrozumieć. Sam możesz im je doręczyć.

– To nie wystarczy! – przerwał młodzieniec. – Z woli Erlika nie będzie żadnych targów z tymi, którzy podążają za Thutalą. Musicie uznać swoją herezję, poddać się i oddać broń oraz zgodzić się na sprawiedliwy osąd Jedynego Pana. A ci, którzy się ukorzą, zostaną oszczędzeni w wielkiej łasce Erlika i być może będzie im dane przeżyć jako niewolnicy.

– A co się stanie z resztą? – zapytał Conan, wciąż się uśmiechając, chociaż wewnątrz jego umysłu zagrał już sygnał alarmowy. Jeżeli święty prorok nie miał zamiaru się targować, to dlaczego zgodził się na negocjacje? – zastanawiał się Cymmerianin. Wciąż jednak trzymał dłoń z dala od rękojeści miecza.

– A tak przy okazji – podjął po chwili – cóż każe ci sądzić, że służymy temu... jak go nazwałeś, Thutali? Nigdy o nim nie słyszałem. Ja i moi ludzie czcimy starożytnych bogów i boginie Shem i nie mamy zamiaru wspierać jakiegoś rywala twego władcy.

– Czy służycie Thutali w waszej ignorancji czy świadomie, to nie ma znaczenia – odparł chłopiec – gdyż jest on antycznym kusicielem i zna wiele kłamstw. – Zdawało się, że młodzieniec zapatrzony w jasne płomienie ognia rzeczywiście jest pod kontrolą jakiejś potężnej mocy. – Zaś przywódca wiodący swych ludzi w ciemność herezji, musi być osądzony surowiej niż ci, którzy za nim podążają. Brać go! I niech stanie się wola Ojca Erlika!

Wodzowie siedzący wokół ogniska poderwali się błyskawicznie, ale Conan był już gotów. Jego miecz, dobyty w mgnieniu oka, zablokował opadające ostrza i przeciął ramię najbliższego z nadbiegających. Zadzźwięczała stal, jako że gwardziści również skoczyli naprzód i otoczyli swego wodza oraz Caspiusa. Conan zaś w jednej chwili przeskoczył przez ogień i chwycił rękaw tuniki Mahtu.

– Stać!!! Albo wasza Wyrocznia straci to piękne gardło, z którego wydobywają

się jej prorocstwa! – zawołał do Zuagirsów. – Ktoś, kto łamie przysięgę Erlika, nie zasługuje na nic lepszego. A teraz precz od moich żołnierzy i pozwólcie nam wyjść.

Conan wycofał się pomiędzy swych Shemitów, ciągnąc za sobą opierającego się chłopca. Młody fanatyk z oczami zasłzonymi mgłą szarpał się, nie dbając zupełnie o swe życie, mimo że jego ciało opierało się o ostrze miecza Conana. Na szczęście chronił go gruby skórzany kubrak. Cymmerianin chwycił go żelaznym uściskiem i pociągnął za sobą, dopóki wszyscy, łącznie z najwolniej poruszającym się Caspiusem, nie dosiedli koni, ścigani przez wrzaski wściekłych, ale bezradnych nomadów.

– Bluźniercy!!! – wrzasnął jeden – znieważyliście naszego proroka swym nieczystym dotknięciem.

– Dotknąłem tylko jego szat – warknął Conan w odpowiedzi – a one również nie były zbyt czyste, dla ścisłości. Teraz zaś, jeśli szacujecie prawo Erlika, pozwolicie nam odjechać w pokoju.

Posyłając precz szarpiącego się chłopca bezceremonialnym kopniakiem, wskoczył na konia i pogalopował w ślad za swoimi żołnierzami. Podczas ucieczki do stojącego już w pełnym pogotowiu bojowym obozu Conan stracił dwóch ludzi trafionych strzałami. – Niepotrzebna to była strata i można jej było uniknąć, gdyby nie próbował dogadać się z Zuargirsami. Teraz jednak rzeczy miały się tak, że jeżeli zamierzali wracać w dół rzeki, musieli z nim walczyć. Przedostawszy się przez dobrze strzeżony okop do kotliny, w której znajdował się obóz, Conan dostrzegł tuż przy brzegu klifu szereg zapalonych pochodni. Nie zsiadł więc konia, ale podjechał wprost ku nim i przyjrzał się pracującym.

– I jak idzie? – spytał. – Dotarliście do wody?

– Jeszcze lepiej – odpowiedział zapytany porucznik, wskazując ręką w dół. – Spójrz tam!

Mniej więcej w połowie wysokości kanionu, znajdowała się szeroka, płaska półka skalna. Poniżej rzeka wyłobiła jakby drugi, wewnętrzny wąwóz. W ten sposób uformowana terasa ciągnęła się wzdłuż rzeki daleko na południe, przynajmniej tak daleko, jak mogli to dojrzeć w blasku pełni księżyca. Również w dole Conan dostrzegł jeźdźca wymachującego trzymaną w ręku pochodnią.

– Opuściliście tam konia? – spytał zaskoczony.

– Nie, znaleźliśmy całkiem przystępny żleb – wyjaśnił porucznik, machając do jeźdźca na dole. – Tą terasą można podążać w górę rzeki, nie zwracając sobie głowy Zuargirsami.

– Znakomicie – odparł Conan, gdy trzymający pochodnię jeździec zniknął za załomem skalnym.

Szybko wydał dalsze rozkazy. Poleciał, by znaleźć przede wszystkim dojście ku wodzie albo na zewnątrz wąwozu. Następnie piesi winni odpocząć, podczas gdy reszta miała pracować przy przetransportowaniu koni, wielbłądów oraz ich ładunku na niższą terasę. A wszystko to musiało dokonać się ciszy. Przed świtem zaś wszyscy mieli opuścić obóz, pozostawiając dla zmylenia przeciwnika kilka rozstawionych namiotów i rozpalonych ognisk. I wreszcie należało zniszczyć wąskie przejście skalne, podważając ciężkie głazy drewnianymi dragami, które następnie miały być usunięte za pomocą lin.

Nim pierwsze promienie słońca rozbłysły na niebie, byli już w drodze. Zwiadowcy wrócili z pomyślnymi wieściami. Znaleźli i oznaczyli zupełnie przyzwoitą ścieżkę, a część ludzi została z przodu, by usuwać większe przeszkody. Gdy kanion zaróżowił się w pierwszym blasku, świtu, tylne straże zauważyły natężony ruch w obozie Zuagirsów, ale wkrótce potem mogli z satysfakcją przyglądać się, jak wielkie załomy skalne opadają po ich przejściu, tarasując drogę i wzbijając chmurę białego pyłu.

Skalna półka, którą podróżowali, była dosyć wąska. Od czasu do czasu spotykali drobne przeszkody lub musieli mozolnie pisać się w górę. Wielkie głazy, które trzeba było ominąć, zmuszały niejednokrotnie podróżników do przechodzenia na samej krawędzi przepaści, skąd mogli dobrze przyjrzeć się kłębiącej się wiele metrów niżej wodzie. Ale i tak byli w znacznie lepszej sytuacji niż konni Zuagirs, których chwilami widzieli galopujących na szczycie kanionu. Górna krawędź często rozszerzała się daleko w głąb ładu, zmuszając podróżujących tamtędy do czynienia sporych łuków, podczas gdy ci poniżej poruszali się po ich cięciwie.

Po kilku godzinach marszu, wczesnym popołudniem, mogli wyraźnie dostrzec, że koryto rzeki zbliża się ku nim coraz bardziej. Słyszeli już nawet szmer płynącej

wody. Półka, po której podróżowali, znacznie się obniżyła, wiódąc ich ku szerokiej dolinie, otoczonej niewysokimi, choć stromymi graniami. Ziemia, bogato użyźniana podczas wylewów rzeki, pokryta była gąszczem traw i krzewów. Wkrótce musieli przedzierać się przez prawdziwą płataninę roślin, a dodatkową przeszkodę stanowiły bagniste starorzecza. Trzeba było wysłać naprzód uzbrojonych w bułaty mężczyzn, aby torowali drogę przez roślinność a przy okazji wypłaszali czające się tam węże. Wkrótce mogli wreszcie napełnić wodą bukłaki i manierki.

W pewnej chwili tylne straże raz jeszcze podniosły alarm.

– Zuagirsi znaleźli drogę w dół kanionu!!! Atakują oddział jazdy w ariergardzie! Za chwilę wpadną na naszą kolumnę marszową!

Miejsce nie było najszcześniejsze, gdyż niewysokie krzewy i trawa, choć utrudniały sformowanie szyku obronnego przez piechotę, nie stanowiły zbyt wielkiej przeszkody dla konnych. Zuagirscy jeźdźcy, gnający teraz poprzez zarośla, mogli z łatwością rozbić i rozproszyć piesze oddziały. Conan rozkazał więc porzucić najcięższe bagaże i biec co sił w nogach do lasu. Stamtąd jednak nadeszły jeszcze gorsze wieści. Gdy tylko za ich plecami rozległy się odgłosy bitwy i szczekanie mieczy, spomiędzy drzew, wyroiły się inne zbrojne oddziały – czarni puntyjscy wojownicy, odziani w skóry leopardów i twarde sandały ze skóry hipopotama. Byli uzbrojeni w wysokie, pokryte wzorami tarcze i długie, zwieńczone stalowymi ostrzami dzidy – assegais. Wprawdzie wyglądali na dzikusów – z nosami przebitymi kośćmi i rytualnymi bliznami na twarzach i ramionach – najwyraźniej jednak stanowili zdyscyplinowany oddział. Trzymali w pogotowiu tarcze i oszczepy i czekali na rozkaz jakiegoś niewidocznego dowódcy.

Ludzie Conana zatrzymali się w biegu i zawahali, skupiając się razem i jakby oceniając siłę każdego z dwóch wrogich oddziałów. Tymczasem najszybsi z Zuagirsów uderzyli już na wschodnią flankę, spychając w ciężkim boju shemicą jazdę. Rozległ się mrozący krew w żyłach okrzyk bojowy i Puntyjczycy runęli do ataku z wysoko uniesionymi dzidami... nie na wojska Conana jednak, lecz na zaskoczonych jeźdźców pustyni. Pędzący w karnym szyku przez równinę wysocy wojownicy osadzili galopujących Zuagirsów na murze swych tarcz, a potem z dziką zaciekłością zaczęli strącać ich z siodeł długimi assegais. Shemici Conana zareagowali natychmiast i sformowawszy falangę, zrobili użytek także z własnych włóczni, uderzając z drugiej strony najeźdźców pustyni.

XVII

LAS ŚMIERCI

Czarni wojownicy zamieszkiwali kilka wiosek rozrzuconych po obu brzegach rzeki. Zaatakowali Zuagirsów i zepchnęli ich z powrotem na pustynię, ponieważ, jak wyjaśnili, nomadzi często najeżdżali ich ziemie w poszukiwaniu niewolników. Puntyjczycy dyszeli żądzą zemsty za uprowadzone żony i dzieci.

Widząc, że ekspedycja wiezie rozmaite towary, sądzili, iż Shemici są karawaną handlową. Conan nie wyprowadził ich z błędu, chociaż dokonał z nimi wymiany towarowej w niewielkim tylko zakresie, nabywając owoce, korzenie, mięso hipopotama i kilka bukłaków lokalnego piwa – pombe, aby jego ludzie mogli odświeżyć gardła po piaskach pustym. Jako wyraz wdzięczności za okazaną pomoc, ofiarował plemiennym kacykom drobne podarunki, a oni ze swej strony przyjęli gościnnie jego ekspedycję. Na szczęście nie zwrócili uwagi na czarne ptaki, które wciąż podążały za Shemitami.

Według relacji miejscowych, za pasem lasów rozciągało się olbrzymie jezioro, skąd miał brać początek Styks. Wypytywani o lokalne kwiaty, dostarczyli całe naręcze różnych odmian, wliczając w to niektóre gatunki lotosu, ale żadnego z nich nie można było, nawet przy najlepszych chęciach, nazwać srebrnym.

Jezioro, o czym Conan wkrótce się przekonał, było tak naprawdę olbrzymim bagniskiem. Gdy dotarli do jego brzegu, musieli się przedzierać się przez zdradliwe pływające wysepki papirusowej trzciny, a konie i ciężej uzbrojeni mężczyźni często zapadali się nawet po pierś w błoto. Przed nimi, otoczone przez czarne wody rzeki, rozciągały się jak okiem sięgnąć kępy kołyszących się na wietrze trzin. Raporty konnych zwiadowców donosiły, że bagnisko jest zbyt szerokie, aby można je obejść, ponadto od zachodu otaczają je porośnięte dżunglą skały, a od wschodu pełna zuagirskich jeźdźców pustynia.

Zbudowali więc łodzie. Widywali wszak niejednokrotnie wykonane z trzciny łódki w dolnym biegu rzeki, a niektórzy mieszkańcy wiosek znali tajemnicę ich konstrukcji. Była ona prosta. Wymagała połączenia trzin w trzy lub więcej

dużych wiązek, powiązania ich razem, potem zakrzywienia dziobu i rufy do góry i związania tego wszystkiego jeszcze raz zwojem liny. Oglądana z boku łódka miała całkiem zgrabny i solidnie wyglądający kadłub i nawet nie ciągnęły się za nią żadne zapomniane łądygi. Na szczęście nie zbywało im na ostrych narzędziach, którymi można było wycinać papirus. Po zamienieniu lin w szoty, namiotowego płótna w żagle, konarów drzew w maszty, a ciężkich kamieni w kotwice ekspedycja wkrótce rozporządzała czterema okazałymi rozmiarów stateczkami i dwoma mniejszymi łódkami. Wystarczyło to, aby załadować ludzi, konie i wszelkie zapasy. Wielbłądy Conan przekazał naczelnikom plemiennym w podzięcie za ich gościnność, spodziewał się bowiem, że w dalszej podróży bez trudu kupią nowe.

Natychmiast po wyruszeniu na bagna zaczęły się kłopoty. Wielkie łachy pływającej roślinności, dryfujące leniwym tutaj prądem rzeki, często całkowicie blokowały drogę. W takich przypadkach trzeba było wyskakiwać z łodzi i brodząc po piersi w czarnej wodzie oraz zapadając się po kolana w mule, mozolnie wyrąbywać sobie drogę przez splataną roślinność, twarde korzenie i gnijące łądygi. Ci, którzy zostali na pokładach, używali długich tyk, aby pomóc znajdującym się za burta holować łodzie. A wszystko po to, by zaledwie parę metrów dalej natknąć się na kolejną żywą przeszkodę.

Taka praca w tropikalnym klimacie południowych krain była mordercza. Słońce grzało wściekle i raziło oczy odbijając się od powierzchni wody, wokół roiło się od kąśliwych owadów, a nad moczarami unosił się odór zgnilizny. Walka z blokującą drogę roślinnością i brodzenie w chwytającym za nogi bagnie zdawały się niektórym torturą gorszą niż nocne koszmary zsyłane przez Zeriti. Taka harówka dzień za dniem mogła doprowadzić do szaleństwa albo wyssać wszystkie siły.

Wkrótce poznali nowe niebezpieczeństwo. Po kilku śmiertelnych wypadkach, aby zaoszczędzić dalszych ofiar i zmniejszyć strach wśród ludzi, Conan wysłał naprzód uzbrojoną w piki awangardę, która miała chronić ich przed krokodylami. Później dołączyli do nich inni z sieciami i koszami, aby wyłapywać pływające węże. Nie było jednak żadnego sposobu, aby pozbyć się olbrzymich czarnych pijawek, które potrafiły, zaatakowawszy rojem, dosłownie wyssać krew z człowieka przez jedno popołudnie.

Conan nie uchylał się od pracy. Była męcząca, ale bardziej chyba męczyłby się siedząc beczynnie na pokładzie łodzi. Olbrzymia siła jego ramion często przydawała się, by poszerzać przesmyki w plątaninie pływającej zieleni. Shemitom udawało się czasami odepchnąć tyczkami dryfujące kępy roślin, ale największe i najcięższe przeszkody niełatwo było pokonać. Natomiast droga za nimi prawie natychmiast po ich przejściu, zamykała się znowu, jakby nigdy nie przepływała tamtędy żadna łódź.

– Papirusu tu tyle, że wystarczyłoby na wypełnienie zwojami wszystkich domów w Shem – zauważył Caspius, zwracając się do Conana. – Ale nie sądzę, by go starczyło na opisanie wszystkich zadziwiających rzeczy, które widzieliśmy podczas tej wyprawy.

– To prawda – odpowiedział gorzko Cymmerianin, będący w wisielczym humorze. – Albo na opisanie wszystkich cierpień, które zostały za nami i jeszcze na nas czekają. Pamiętasz, co mówiłem, gdy zdecydowałeś się nam towarzyszyć? Jakie czekają nas przygody i wyrzeczenia?

I w rzeczy samej, ponosili straty – wielu spośród Shemitów po dwóch tygodniach upałów i nieludzkiej pracy zapadało na nieznaną bagienne gorączki. Co gorsza, wróciły senne koszmary. Czy to Zeriti ponownie skupiła swą uwagę na ekspedycji, czy były to objawy bagiennego delirium, ale ciszę nocną znów zaczęły przerywać krzyki przerażonych ludzi, którzy budzili się ze snu zlanii potem.

Na skutek wilgoci pojawiły się też rozmaite infekcje skóry. Dotykały wszystkich, zarówno zdrowych, jak i powalonych malaryczną gorączką. Chorowały konie i wiele z nich padło, tracili także broń, albowiem nic nie mogło zapobiec jej powolnemu rdzewieniu w tak koszmarnym klimacie. Rdza pożerała stalowe ostrza, które były przeciw ich jedyną nadzieją na przetrwanie.

Trudy nie skończyły się, gdy bagno ustąpiło wreszcie miejsca najpierw rzadkiemu, potem zaś gęstemu buszowi. Rzeka zmieniła się w śmierdzącą czarną wstęgę, graniczącą z obu stron z nieprzeniknionymi ścianami rzek i pnących. Mroczny las rozbrzmiewał odgłosami ptaków, wrzaskami małp i rykami wielkich drapieżców. Niesamowite ilości kwiatów pokrywały zarówno drzewa, jak i muliste brzegi rzeki, ale w różnobarwnych kaskadach nie dostrzegli ani jednego kielicha o srebrnej barwie.

W miejscach, gdzie rzeka przewężała się jeszcze bardziej, podzielona licznymi wyspami lub skałami, musieli wiosłować pod baldachimem splecionych lian, niemal czując na plecach śmiertelny oddech dżungli. Zdarzało się, że leopardy przeskakiwały z drzewa na drzewo ponad ich głowami lub nawet przebiegały po pokładzie, zanim ktokolwiek z zaskoczonych ludzi zdołał zareagować i cisnąć włócznią. Małe żmije wślizgnęły się pomiędzy wiklinowe klatki i wymordowały resztkę gołębi, uniemożliwiając tym samym wszelki kontakt z Baalur. Złośliwe mały obrzucały ekspedycję zgniłymi owocami lub swym kałem, a chmury owadów w dalszym ciągu otaczały ich brzęczącym niebezpiecznym rojem. Zdarzało się też, że zamieszkujący las ludzie dawali znać o swej obecności w najgorszy z możliwych sposobów – zatrute włócznie lub strzały zbierały obfite żniwo wśród stłoczonych na wąskich powierzchniach statków żołnierzy. O obecności ludzi świadczyły odległe odgłosy bębnow, których ponure dudnienie podążało za ekspedycją w górę rzeki. Widywali od czasu do czasu osadzone na tyczkach czaszki, pióropusze z różnobarwnych piór oraz inne ozdoby, które być może miały stanowić znak ostrzegawczy. Wzdłuż szlaku często płynęły ludzkie zwłoki, wielu z nich brakowało kończyn, a niemal wszystkie były pozbawione głów.

Kiedy plagi zsyłane przez dżunglę stały się nie do zniesienia, jedna z załóg nie wytrzymała i wyskoczyła na brzeg na widok jednego z mieszkańców dżungli, który zdradzał nieprzyjazne zamiary wobec ekspedycji. Jakoż pojмали go. Był nogi, miał na sobie tylko naszyjnik ze skurczonych ludzkich głów. A z całego dobytku posiadał przy sobie krótki prymitywnej konstrukcji łuk, kołczan ze strzałami i naczynie z trucizną. Jego brązowa skóra była pokryta rytualnymi bliznami i jak wszyscy kanibale miał zaostrome zęby. Ukazał je w całej okazałości w promiennym uśmiechu, najwyraźniej wcale nie obawiał się tych, którzy go pojмали.

Conan, ponownie korzystając z kesańskiego dialektu, zdołał jakoś się porozumieć z kanibalem. Jego imię, tak się przynajmniej zdawało, brzmiało Hk'Cha, a tereny łowieckie rozciągały się po obu stronach rzeki, aż do wielkiej katarakty. Jego szczerp i wioska były własnością potężnego wodza Gwanduli, mieszkającego dalej w górze rzeki – wspaniałego wojownika, który według pełnych dumy słów jeńca, potrafił zjeść całego chłopca na jeden posiłek. Hk'Cha, tłumacząc to, nie krył też swych zamiarów wobec członków ekspedycji, gdyż, jak sam stwierdził, zabijanie bez jedzenia swej zdobyczy nie ma sensu. Obawiał się tylko, że wódz mógł uznać to za nielegalne kłusownictwo na jego terenach. A zamierzał zabić podróżników nie dla jakichś osobistych uraz czy z powodów politycznych, jak zapewnił Conana, ale po prostu z uwagi na fakt, iż zabicie człowieka przynosiło wojownikowi chwałę i łaskę u czczonego przez mieszkańców dorzecza boga-krokodyla, Juwali.

Cymmerianina przemyślał zasłyszane informacje. Nie zamierzał wszczynać wojny z kanibalami, gdyż po prostu nie mógł jej wygrać, jako że znaczna część jego ludzi była osłabiona lub chora, a większość koni padła. Ponadto mieszkańcy dżungli, nawet jeśli ustępowali liczebnie jego armii, znali doskonale ten piekielny teren. Dlatego też zdecydował się zatrzymać Hk'Cha jako przewodnika, przywiązując go dokładnie do masztu pierwszego ze statków, i wyznaczył żołnierzy, którzy mieli chronić jeńca przed niebezpieczeństwami dżungli. Shemici bez wątpienia woleliby poderżnąć mu gardło i nakarmić nim boga – krokodyla, którego tak gorliwie wyznawał, ale Hk'Cha mógł pomóc im w dalszej podróży, zwłaszcza że zaklinał się, iż jego plemię nie ma żadnych groźnych przeciwników wzdłuż całego brzegu rzeki.

Jedynie Caspiusowi Conan zdradził swoje najgłębsze obawy.

– Jak sądzisz, czy mogło tak być, że ten młody prorok Mahtu wiedział więcej na temat naszej misji niż my sami?

Mędrzec był osłabiony, ale zupełnie dobrze znosił trudy podróży. Spojrzał na Cymmerianina i pogładził w zadumie swoją siwą brodę.

– Czy masz na myśli, że ten jego Thuthala i Jukala, a może także Juwala to jedna i ta sama istota? Że nasza wyprawa zahacza o jakieś konflikty bogów i naszym przeznaczeniem jest zbudzenie jakiejś potężnej istoty wrogiej Erlikowi?

Conan wzruszył ramionami.

– To musi być jakiś zapomniany starożytny bóg. Być może dlatego stygijska flota nie podjęła z nami walki. Może istnieje jakieś tajne porozumienie między Setem a tym Jukalą. Pomiędzy wężem a krokodylem. Może nawet Zeriti... – zawiesił głos, nie rozwijając tej myśli.

– Jeśli tak jest – powiedział Caspius – może najlepiej byłoby zawrócić. –

Rozejrzał się po otaczającej ich wrogiej dżungli. – Chociaż bogowie i tak znajdują sposób, by osiągnąć swoje cele.

– Czegokolwiek chcą bogowie – powiedział Conan – ja dałem swoje słowo a moje słowo jest święte.

Jedno było pewne – nadrzeczne plemiona przestały nękać podróżników. Conan wspomniał o tym jeńcowi, który z kolei oznajmił, że bębny, które towarzyszyły ekspedycji w jej podróży w górę rzeki, powiedziały ostatnim razem, iż trzciniowe statki mają być pozostawione w spokoju.

– Wspaniale – rzekł Conan. – Mam nadzieję, że przyczynił się do tego twój szeroki uśmiech.

Kanibal spojrzał mu w oczy.

– Nie, wielki władco rzeki. To nie z mojego powodu otwarto wam drogę, ale z szacunku dla świętych ptaków Juwali, które podążają waszym śladem. – Wskazał na krążące nad ekspedycją czarne punkty, które nie opuściły ich także podczas drogi przez dżunglę.

Podążali więc dalej, przebijając się przez mgłę, przeszkody roślinne, chmury owadów i strugi deszczu. Gdy było to możliwe, kontynuowali wędrówkę także w nocy, płynąc przez groźną, pełną wrogich odgłosów dżunglę, oświetlaną upiornym blaskiem księżyca, który odbijał się nurcie przed nimi.

Conan zauważył, że nawet gwiazdy stały się inne. Na niebie pojawiły się nieznane konstelacje, oświetlając mroczną dżunglę. Zwrócił na to uwagę Caspiusa.

– To prawda – zgodził się medyk – gwiazdy się zmieniają. – Rzeka zabrała nas ze świata, który znamy. Jeszcze dziwniejsze jest to, że słońce i księżyc zbliżyły się znacznie ku naszym głowom i wkrótce będą wisieć bezpośrednio nad nami. Nie wiem, czy to rzeka zatacza olbrzymie koło czy niebiosy zmieniają się nad naszymi głowami.

Conan nie odrzekł nic, ale wpatrywał się w ciemną powierzchnię wody, w której odbijały się, świecące jak jasne diamenty, nieznane konstelacje gwiazd. I zdawało się, że ich mały statek wędruje poprzez nieznane niebo, na którym zapaliły się właśnie nowe gwiazdy, aby oddać cześć nowo narodzonemu bogu.

Wkrótce mgła zgęstniała i poranek przywitał ich gęstą, chłodną bielą, a odgłosy dżungli zaczęły ustępować innemu donośnemu i grzmiącemu dźwiękowi. Kiedy wpłynęli na szerokie rozlewisko wodne, dojrzeliby źródło tego dźwięku – olbrzymi wodospad o wysokości niemal mili, z którego skalistych progów opadała z grzmiącym rykiem woda, tworząc jedyny w swym rodzaju widok.

XVIII

SILURIANIN

Zeriti rzeźbiła. Przekuwała jeden z kamiennych słupów znajdujących się w krypcie w monumentalny posąg. Młot i dłuto w jej rękach wykonywały naprawdę ciężką pracę. Czarownica miała na sobie tylko lekki fartuch, który pokrywała warstwa białego pyłu, kryjąca pod sobą starsze, ciemniejsze plamy.

Mimo iż znajdowała się na podwyższeniu, Zeriti i tak musiała wspiąć się na palce, gdyż posąg bóstwa, który rzeźbiła, znacznie przewyższał swymi rozmiarami człowieka. Uderzenia dłuta rozbrzmiewały donośnym echem w niewielkiej przestrzeni krypty. Ramiona Zeriti nie były silne, ale braki w tej dziedzinie zastępowała kreatywnością i niezwykłą energią. Z kamiennej bryły wyłoniły się już twarz i zarys torsu, reszta monumentalnego ciała wciąż jeszcze była ukryta w skale.

– Teraz, Jukalo, kształt twego czoła jest wystarczająco dostojny – odezwała się, nie przerywając pracy, a jej głos brzmiał pełnym oddania tonem. – Tak wspaniały wygląd z pewnością wywoła u twych wyznawców należną ci cześć i strach.

Twarz, która wyzierała z kamienia, przez większość ludzi nie zostałaby zapewne nazwana wspaniałą. Miała gęste, grube rzęsy, wystające kości policzkowe i potężne, kwadratowe zuchwy, przypominające nieco pancierz gada. Oczy zaś i usta były małymi mrocznymi otworami w kamieniu. Jednak niewątpliwie największy wstrząs przeżyłby postronny obserwator, słysząc, jak skalne usta, z których posypały się w tym momencie drobne kamienie i pył, rozchyliły się, by odpowiedzieć Zeriti.

– W ciągu wielu eonów mojego życia przybierałem wiele form – obwieściły seria suchych, donośnych skrzeknięć – w zależności od tego, nad jaką rasą przyszło mi panować. Sądzę wszakże, że ten kształt najlepiej nadaje się dla twojej, ludzkiej rasy.

– Na pewno, panie. Sama płonę żądzą, by ujrzeć więcej.

Zeriti zeszła z podestu zwracając teraz swe wysiłki ku jednemu z potężnych, pokrytych łuską ramion nieznannej istoty. Wyglądało na to, że nie tworzy ona kształtu, ale raczej kruszy zewnętrzną kamienną skorupę, uwalniając potwora z jego starożytnego więzienia. Teraz wykuwała miękkimi, płynnymi ruchami napięty biceps, który pod delikatnymi muśnięciami jej dłuta przybierał właściwy kształt.

– Wybrałaś inkarnację, która jest tak pociągająca i potężna...
Bóstwo wybuchnęło śmiechem.

– Powinnaś była ujrzeć formę, jaką przyjąłem jako bóg rasy Saurów, nim wielka lawa zalała stary świat. Tamta dopiero mogła zadziwić. – Przez skały przebiegł lekki dreszcz, gdy pokryta łuskami potworna głowa, powodując prawdziwy deszcz okruchów skalnych, oderwała się od skalnej kolumny i poruszyła w obie strony, rozglądając się po pieczarze – Ale tamto ciało nie zmieściłoby się w tak nędznej przestrzeni.

– Twoje czyny – wyszeptała Zeriti – musiały być zaprawdę fascynujące, przez te niepoliczony wieki twego boskiego panowania. – Przesunęła się ku dłoniom bóstwa, wykuwając kamień ze szczególną ostrożnością i uwagą. – W którym miejscu tej planety, lub nieznanego wszechświata, jeśli wolno mi spytać, mój panie, narodziłeś się po raz pierwszy?

Bóstwo pochyliło ciężką głowę, spoglądając na jej smukłą, pochyloną w pokorze sylwetkę.

– Jestem Sylurianinem – zabrzmiała lakoniczna odpowiedź.

– Och – Zeriti w dalszym ciągu pracowała z pełnym szacunku oddaniem nad zakończonymi szponami palcami swego boga. – Nie wiem gdzie jest Siluria, lub była. Może zaginęła gdzieś w odmętach czasu i przestrzeni. Ale wiem, oczywiście, że twój święty byt wywodzi się wprost z pierwotnego mułu, który dał życie nam wszystkim, że byłeś pośród tych, którzy unieśli się zeń pierwsi, stanęli ponad innymi i władali wszystkim, co biega, pływa lub pełza.

– Tak, nie sposób zapomnieć tej chwili – rozległ się głęboki, ponury głos Jukali. – Wysiłkiem swej woli powstaliśmy i osiągnęliśmy panteon. Byłem pomiędzy Wielkimi Pradawnymi. Tsathoggua, Bokrug, Set... chociaż Set był wtedy młodym bogiem, a czcili go degeneraci, którzy porzucili swe kończyny i zaczęli znów pełzać. No cóż, zwyczaje i mody przychodzą i odchodzą, a my, bogowie, musimy mieć otwarte umysły. Set i ja byliśmy dobrymi kompanami w tamtych wspaniałych czasach.

– I będziecie znów, panie.

Zeriti odłożyła dłuto i postąpiła krok w tył, by przyjrzeć się wielkiej opancerzonej dłoni, w której wykuwanie włożyła tak wiele wysiłku. Potężne mięśnie napięły się i boska dłoń uniosła się wśród opadających fragmentów skały. Jukala zbliżył ją ku swym oczom, przyglądając się uważnie. Potem wykonał kilka ruchów w powietrzu i wreszcie sięgnął, jakby na próbę, ku ramieniu Zeriti, ściskając je lekko.

Wiedźma krzyknęła pod tym dotknięciem, z rozkoszy lub bólu, i porzuciwszy młotek, uchwyciła kurczowo wielką szponiastą łapę obiema dłońmi i zaczęła obsypywać ją pełnymi czci pocałunkami.

– Cóż za siła, wielki Jukalo. Twój dotyk wzbudza we mnie dreszcze. – Uklękła, by zebrać porzucone narzędzia, i z pasją zaczęła wykuwać z kamienia drugą boską dłoń. Tors i biodra wciąż pozostawały uwięzione w skale.

– Panie, twoja obecność emanuje męskością – westchnęła z entuzjazmem. – Nie mogę się doczekać chwili, kiedy ujrzę potęgę i moc twych... pozostałych organów.

– Och, tak. – Bóg, najwyraźniej zadowolony ze swych kształtów, roześmiał się ponownie. – Jakkolwiek wspaniała jest forma, którą teraz przyjąłem, mam pewne plany co do pomniejszych wcieleń. Nie sądzisz, że byłoby interesujące pojawić się wśród ludzi i obserwować ich życie w ukryciu, jako jeden z nich. Użyję w tym celu śmiertelnego ciała, które mi obiecałaś, gdy tylko tu przybędzie. Zdaje się, że jak na ludzkie standardy jest ono całkiem niezłe, więc zapewni mi szacunek, do którego jako bóg jestem przyzwyczajony. Co więcej, twierdzisz, że ten śmiertelnik zyskał już sławę, że podziwiają go, a nawet obawiają się go w waszym świecie. To byłby dobry początek. Być może dla samego wyzwania, jakie to za sobą niesie, podbiję najpierw wasz świat na jego materialnej płaszczyźnie, zanim zawładnę jego sferą duchową.

– W swej boskiej mądrości, o Jukalo, podejmiesz najlepszą decyzję, co należy uczynić – wyszeptała Zeriti, wciąż pogrążona w pracy. – To prawda, iż tamto ciało też jest potężne i męskie, ale nigdy tak potężne i boskie jak to. –

Odsłoniwszy drugą rękę boga, szarpnęła nią, pomagając jej uwolnić się z resztek skalnych okowów. Potem wygięła się w łuk pod jej pieszczotą jak młoda kotka. Po tej krótkiej chwili powróciła do pracy, krusząc kamień z nową energią.

– Dokonanie zamiany ciał nie powinno być trudne – obwieścił Jukala. – Najważniejsze jest jednak złamanie starożytnych pieczęci, aby uwolnić moją prawdziwą esencję z miejsca jej spoczynku. Potem, kiedy wycisnę z tego nędznego ludzkiego ciała jego duszę, z łatwością wypełnię je swą nieśmiertelną boskością i użyję zgodnie ze swą wolą. Ale niezbędne jest złamanie pieczęci.

– Wypełnię to zadanie, zapewniam cię, wielki Jukalo! Studiowałam uważnie starożytne papirusy.

Gdy odpadł kolejny kawałek skały, Zeriti odskoczyła z entuzjastycznym okrzykiem. Potem przyjrzała się dziełu swych rąk.

– Och, panie, jakaż wielkość i dostojność. – Wstrzymała oddech, kierując swe spojrzenie ku dołowi. – Nigdy nie widziałam takiej doskonałości fizycznej formy, tak dalece przewyższającej jakiegokolwiek śmiertelne ciało!

Potężne, muskularne ciało Silurianina wygięło się w łuk i oderwało od kamiennej powierzchni, wśród opadającego skalnego gruzu. Dwa energiczne ruchy uwolniły stopy, a z kamiennej kolumny pozostał tylko drobny ułamek tego, czym była przedtem, zaledwie podtrzymujący strop krypty.

Sięgnawszy przed siebie, bóg uniósł Zeriti w swych gigantycznych ramionach, troskliwie i delikatnie, i poniósł ją ku pokrwawionemu ołtarzowi.

XIX

POWYŻEJ KATARAKTY

Wykończeni chorobami i ciężką przeprawą przez dżunglę i malaryczne bagna, podróżnicy stanęli teraz przed nowym zadaniem – czekała ich wspinaczka na zbocze tego olbrzymiego skalistego kanionu. Hk'Cha nalegał wprawdzie, aby wybrali drogę przez dżunglę, która pozwoli im okrążyć wodospad, ale Conan wolał trzymać się koryta rzeki i zrezygnować z gościnności kanibali. Rozmiękające i rozpadające się trzciniowe statki trzeba było tutaj porzucić, gdyż zupełnie nie nadawały się do transportu w górę wodospadu. I tak niemal cudem wciągnęli na kamienną półkę nieliczne konie, które przeżyły morderczy upał i wilgoć, przegniłe siano jako strawę, plagę insektów i zatrute strzały. Wspinaczka byłaby śmiertelnie trudna nawet dla pozbawionych bagaży ludzi, a Conan i jego pozostający na nogach towarzysze musieli odbyć ją w tę i z powrotem co najmniej dwudziestokrotnie obciążeni jak muły, aby przenieść cały ekwipunek i chorych.

Na górze powietrze było suche i czyste, a jasne promienie słońca i rześka bryza wiejąca z porośniętych stepem wzgórz stanowiły miłą odmianę po wilgotnych, duszących mgłach dolnej części dżungli. Widziana ze szczytu wodnej katarakty, dżungla zdawała się jednolitym płaszczem zieleni, upalnym piekłem, z którego zdołali się uwolnić nadludzki wysiłkiem. Powyżej katarakty las porastał tylko wąskie pasy ziemi wzdłuż obu brzegów Styksu i jego dopływów, dalej znajdował się suchy step. Taki właśnie teren zapamiętał Conan ze swojej wcześniejszej podróży na wschód. Rzeka była tutaj głęboka, o jakby nieco mniej czarnej tonacji, ale daleko było jej do potęgi i szerokości, jaką prezentowała na nizinach Stygii.

Najważniejsze, że klimat był znacznie przyjaźniejszy. Niemniej podróż lądem, zwłaszcza że pozostało zaledwie kilkanaście koni, wymagałaby wynajęcia lub zdobycia w inny sposób zwierząt pociagowych albo ludzi jako tragarzy. Droga lądem zmusiłaby ich także do częstego oddalania się od rzeki, mogliby nawet przeoczyć jakieś dopływy. Aby więc trzymać się nurtu, Conan zdecydował, że należy zbudować nowe statki.

Drewna było tu pod dostatkiem, a resztę niezbędnych materiałów znaleźli w swych bogatych zapasach. Nie brakowało żelaznych gwoździ, które pozwalały na połączenie drewnianych belek w poszycie okrętów. Siekiery, piły i młoty, które ciągnęli ze sobą przez tyle setek mil i nie małym wysiłkiem chronili przed rdzą, znalazły pod doświadczonego okiem Conana właściwe zastosowanie. Wioseł, tyczek, masztów i żagli dostarczyły porzucone trzciniowe łodzie.

Pozostanie przez dłuższy czas w zdrowym górskim klimacie, gdzie nie brakowało świeżej bieżącej wody i mięsa, pozwoliło większości chorych i osłabionych Shemitów powrócić do pełni sił. W miarę jak mijały kolejne dni, coraz więcej mężczyzn zawijało rękawy i zabierało się za wyrąb drzew, piłowanie desek i uszczelnianie pokładów. Rezultatem ich pracy były dwa szerokie otwartopokładowe statki i dwa długie czółna, na które udało się załadować pozostające jeszcze

przy życiu trzy setki podróżników oraz niezbędny ekwipunek. Zdecydowano, że reszta koni podaży brzegiem rzeki, gdzie znacznie łatwiej będzie je żywić świeżą trawą i gdzie powrócą do pełni zdrowia. Przewożenie ich statkami powodowałoby ciasnotę na pokładzie i znacznie utrudniałoby wiosłowanie.

Dalsza podróż, mimo iż wymagającego wysiłku, dobrze służyła ich zdrowiu. Wszystko na wyżynach – powietrze, ciepłe słońce, świeża żywność i woda, pozwalało wypocząć po piekle dżungli. I chociaż nocą stepy rozbrzmiewały tykami lwów, słoni, hien i innych zwierząt, za dnia trawiaste przestrzenie zdawały się niemal przyjemne. Nawet towarzyszące im czarne ptaki musiały trzymać się nieco dalej od ekspedycji, gdyż zagrażali im wielcy powietrzni drapieżcy.

Wkrótce jednak wyprawa stanęła przed poważnym dylematem, jako że po dotarciu do niewielkiego rozlewiska o brzegach porośniętych bujną roślinnością dostrzegli, iż rzeka rozwidła się tutaj w dwie niemal identyczne odnogi. Szybki rekonesans przeprowadzony z rana wskazywał, że oba strumienie rozdzielają się na dobre i jeden zbacza w kierunku zachodnim, podczas gdy drugi wprost na południe. Musieli zgadywać, która z odnóg jest właściwym Styksem, a tym samym doprowadzi ich do miejsca, gdzie można znaleźć srebrny lotos.

Kanibal Hk'Cha, choć zaznaczył, że nigdy jeszcze nie był powyżej katarakty, utrzymywał jednak, iż lewa odnoga jest tą główną i podąża dalej na południe aż do pokrytych śniegiem gór, których zarys widzieli na horyzoncie. Prawa odnoga, którą nazywał Nkhubu, miała, jego zdaniem, swe źródła w położonych znacznie bliżej wzgórzach. Oznaczało to jednak, że można do nich dotrzeć znacznie szybciej, stąd niektórzy sądzili, iż ekspedycja powinna najpierw zbadać tę odnogę. Wszak także u jej źródła mogło znajdować się to, czego szukali. Co więcej, Conan zauważył, że Hk'Cha często myli się w określaniu lewej i prawej strony rzeki, w zależności od tego, czy stał zwrócony twarzą w kierunku jej źródła czy w stronę przeciwną. Ponadto słońce świeciło po północnej stronie nieba, co dodatkowo utrudniało orientację w terenie.

Jak dotąd nie spotkali żadnych tubylców, od których można by uzyskać lepsze informacje, chociaż z drugiej strony, gdyby zamieszkiwały tu jakieś szczepy, lepiej byłoby nie rzucać się im w oczy.

Wreszcie Conan podjął decyzję.

– Ponieważ zbliża się pora deszczowa i powódzie mogą uniemożliwić podróż w górę rzeki na długie miesiące, musimy, mając to na względzie, podzielić nasze siły. Połowa ludzi, statków i koni popłynie w górę zachodniej odnogi pod komendą kapitana Lampridiusa. Reszta wyruszy ze mną na południe. – Położył dłoń na ramieniu stojącego obok Caspiusa. – Nasz medyk twierdzi, że jego papirusy opisują jako miejsce zakwitania srebrnego lotosu najdalej położone źródła Styksu, a więc prawdopodobnie te na południu. Dlatego ja podążę wzdłuż dłuższej odnogi, choć życzę sukcesu także Lampridiusowi i jego ludziom. Ktokolwiek zdobędzie lotos, musi podążać w dół rzeki najszybciej jak to możliwe, wysyłając konnych lub czółno, aby odnaleźć i zawiadomić drugą grupę. Jeżeli któraś z grup powróci tutaj bez sukcesu, mogą oczekiwać na pozostałych u progu katarakty, wysyłając w miarę możliwości grupy poszukiwawcze. Kiedy tylko lotos zostanie dostarczony do głównego obozu, należy przedsięwziąć szybką podróż powrotną ku Baalur. Oczekuję jednak – dodał poważnie – że oficer dowodzący grupą, która odniosła sukces, zadba o pozostawienie zapasów dla grupy, która powróci później. Nie będziemy porzucać towarzyszy na tych dzikich bezdrożach.

Jego słowom o domu i zwieńczonej sukcesem misji towarzyszyły okrzyki radości. Szybko dokonano podziału ekwipunku i połowa z pozostających przy życiu koni została przewieziona przez rzekę. O pierwszym brzasku poranka nadeszła pora rozstania i Conan udzielił jeszcze ostatnich porad dowodzącemu drugą grupą kapitanowi.

– Uważajcie, Lampridiusie, by nie znaleźć się pomiędzy wodnym bawołem i jego młodymi. Baczcie też na samotne słonie i stare byki, które są przewodnikami stad. Strzeżcie się pokrytych grubą skórą bestii z rogiem na czubku nosa, których nie sposób powstrzymać, gdy szarżują. Ale pamiętajcie też, że są one prawie ślepe i można bez trudu odwrócić ich uwagę i łatwo ich uniknąć, jeżeli tylko nie straciecie głowy. Uważajcie też na hieny, nie są tak silne jak lwy, ale zdradzieckie i często polują na ludzi w dużych stadach. Jeśli uda ci się schodzić z drogi tym kilku zwierzętom, a dodajmy do tego jeszcze leopardy, krokodyle, konie rzeczne i oczywiście żmije oraz hordy mrówek, wtedy prawdopodobnie zdołasz powrócić tu bezpiecznie. Tak czy inaczej, życzę wam szczęścia.

Już bez dalszych pożegnań obie ekspedycje wyruszyły, każda wzdłuż swojej, wijącej się kapryśnie pomiędzy przybrzeżnymi krzewami odnogi rzeki. Wkrótce stracili się nawzajem z oczu. Conan, obserwujący pilnie najbliższe otoczenie, poczuł mieszaninę satysfakcji i niepokoju, gdy zobaczył, kogo wybrały krążące nad ich głowami czarne ptaki. Podążały za jego grupą.

Droga przez południowe stopy była długa i, pomijając zwykły codzienny wysiłek, pozbawiona szczególnych wydarzeń. Wielkie miasta Puntu leżały na otwartych równinach, daleko poza linią widnokregu, a regiony, które przemierzali, były zupełnie dzikie i rzadko widywali jakichkolwiek ludzi. Bardzo rzadko też słyszeli odgłosy bębnow i widzieli na horyzoncie jakiś dym. W kilku zamieszkałych kraalach, które spotkali na swej drodze, mieszkańcy mówili dziwnym puntyjskim dialektem i w ogóle ich nie obchodziło, dokąd płynie rzeka. Tę odnogę Styksu, a być może w ogóle wodę, określali nazwą Waputan.

Rzadko spotykali też brody i dogodne przeprawy, najwyraźniej rzeka nie była częste uczęszczanym szlakiem komunikacyjnym ani handlowym. I jeśli czemuś służyła, to raczej jako kąpielisko i źródło wody dla zwierząt. Były ich tu całe stada, hordy i roje. A przepływające łodzie śledziły oczy osadzone na głowach ozdobionych porożem, łuskami, skorupami, pierzem i futrem. Często na widok podróżnych zrywały się do ucieczki wszelkie istoty obdarzone skrzydłami, kopytami i racicami. W nocy brzegi rzeki rozbrzmiewały prawdziwą kakofonią wrzasków, pisków, ryków, skrzeków i warknięć umierających zwierząt i polujących drapieżców.

Gdy światło księżyca było wystarczająco jasne, a w wodzie odbijały się nieznanne gwiazdy, podróżnicy płynęli dalej przez nocny świat pełen odgłosów walki o życie. Ciemniejszymi nocami zaś kotwiczyli pośrodku nurtu i leżąc w ciszy, starali się zasnąć, otoczeni przez kurtynę nieprzeniknionego mroku.

Po wielu dniach, podobnych jeden do drugiego, wypełnionych mozolnym wiosłowaniem poprzez płataninę krzewów, zwisające nisko gałęzie drzew i porośnięte trzciniami rozlewiska, przeciąganiem lub przenoszeniem statków przez piaszczyste mielizny, dotarli wreszcie do gór, które zdawały się wyrastać wprost z wnętrza ziemi. A były to dziwne góry. Skaliste zbocza błyszczały bielą śnieżnych pól i lodowców, ale szczyty płonęły i dymiły czarnym dymem i tonęły w żółtych oparach siarki. Gdzieś ostre granie ginęły całkowicie w dziwnych czarnych chmurach, które pokrywały je niczym płaszcz mrocznego maga. Zdarzało się, że cały horyzont ginał z oczu na długi czas w gęstej mgłę i opadach deszczu, więc za każdym razem, gdy aura się zmieniała, podróżnicy odkrywali ze zdumieniem, jak bardzo zbliżyły się ku nim szczyty gór.

Pora deszczowa zbliżała się nieubłaganie, a Conan był zdeterminowany, by znaleźć lotos i powrócić z nim w terminie wyznaczonym przez króla Aphratesa jako ostateczny. W miarę jak płynęli w górę rzeki, Styks raczej się powiększał niż zmniejszał. Po każdej wielogodzinnej ulewie, jakkolwiek wiele mil posunęliby się na południe, prąd rzeki stawał się coraz silniejszy, a ona rozlewała się coraz głębiej i szerzej i coraz większy opór nurtu musieli pokonywać. W miarę jak zmieniał się krajobraz i ekspedycja Conana osiągała wyżej położone doliny, otoczone nieprzebytymi górami, niesamowitość tego miejsca przytłaczała coraz bardziej. Góry wokół zdawały się płonąć wewnętrznym ogniem, szczyty dymiły i buchały żółto-czerwonymi płomieniami, a z otworów w skałach po obu stronach rzeki tryskała gorąca posoka z trzewi ziemi. Niezliczone źródła krwistoczerwonej i czarnej lawy zasilały rzekę, którą podążali.

Conan miał nadzieję, iż oznacza to, że są coraz bliżej źródeł Styksu, więc coraz częściej wysyłał ekipy zwiadowców na brzeg. Oznaczało to pewne opóźnienie wyprawy, zwłaszcza że Shemici i tak często musieli wyciągać statki na brzeg i przenosić je lądem, aby omijać kamienne progi oraz coraz liczniejsze wodospady. Mimo iż widywali jedynie górskie kozice oraz jelenie i z rzadka tylko niedźwiedzie polujące wśród załomów skalnych, wciąż jednak podróż lądem była niebezpieczna. We wrzących źródłach stracili wielu ludzi, nad którymi na wieki zamknęła się skorupa ziemi, skazując ich na straszną śmierć w gorącej lawie. Kilku też straciło życie lub oczy w wyniku natknięcia się na strugi gejzerów tryskające wprost ze skał, czy też na skutek wdychania trujących oparów unoszących się z podziemnych kraterów.

Conan był świadkiem wydarzenia, które pochłonęło najwięcej ofiar. Wspiął się właśnie na wysoką skalną półkę, aby prześledzić dalszy brzeg rzeki, i zobaczył, że niedaleko w górze nurtu rozszerza się ona w głębokie, błękitne jezioro. Tuż poniżej miejsca, w którym się stał, znajdowało się w zagłębieniu podobnym do

dużego kotła skalnego inne jezioro, położone w bocznym kanionie górskim. Jego wody wpadały do Styksu w postaci małych strumyczków, spływających w dół po skałach. Widział też z góry grupę zwiadowców, która wyszła wcześniej i stała teraz tuż przy brzegu drugiego z jezior. Część z nich odpoczywała, a pozostali ostrożnie próbowali wody i rozglądali się po najbliższych skałach oraz stromych zboczach. W pewnym momencie jeden z mężczyzn uniósł kamień i cisnął go w sam środek spokojnej toni wodnej, która jakby w odpowiedzi na rozchodzące się coraz dalej po powierzchni jeziora kręgi, zaczęły nieoczekiwanie bulgotać i burzyć się w dziwny sposób. Dziwna turbulencja rozszerzyła się i objęła całą powierzchnię wody, stała się niesamowicie gwałtowna, a na zewnątrz zaczęły tryskać strugi czarnej cieczy. Zaalarmowani zwiadowcy zerwali się i pognali do swych koni w panicznej ucieczce. Ale nieznaną reakcją musiała produkować jakiś trujący gaz, albowiem mimo iż Shemici biegli w dół skalistego kanionu jak najdalej od groźnego, wrzącego jeziora, niewidzialna śmierć i tak podążała ich śladem. Mężczyźni zwolnili kroku, a potem opadli na kolana. Konie także ustały w biegu i upadły wraz z tymi, którzy już zdążyli usadowić się na ich grzbietach. Conan oczami duszy niemal widział tę niewidzialną chmurę gazu, która podążała w dół kanionu.

– Precz od tego jeziora! – wrzasnął, machając ręką ku tym, którzy znajdowali się w dolinie poniżej – Biegnijcie w górę rzeki! Uważajcie, z tego jeziora pełnie śmierć! Wy tam, w dole, zostawcie polowanie! Biegnijcie do łodzi!

Ludzie wypełnili jego rozkazy najlepiej jak mogli. Jednak ledwie zdążyli pozbyć się ciężkiego ekwipunku i zdołali przebiec zaledwie kilka kroków, nogi odmówiły im posłuszeństwa. Upadli. W kilka chwil później nie dawali już żadnych oznak życia, dosięgnięci przez palec niewidzialnej śmierci, idącej ku nim z przeklętego jeziora.

– Niech to wszystkie demony – zaklął Conan, przyglądając się, jakie straty spowodowała wrząca woda – Następnym dwudziestu dobrych ludzi i resztką koni, jaka nam jeszcze pozostała.

Czy byli martwi, czy tylko pozbawieni przytomności, muszą pozostać tam, gdzie są – zdecydował. Nie śmiałyby posyłać w dół następnych ludzi, nie, zanim jezioro się nie uspokoi, a na to się nie zanosilo. Ponadto wiatr mógł roznieść trujący gaz dalej.

Schodząc po skalistym zboczu i poszukując bezpiecznej ścieżki, zauważył coś jeszcze – lekki błysk wśród skał, niemal niezauważalny. Wspiął się ku temu miejscu, nie chcąc lekceważyć żadnych znalezisk. Ujrzał małą, niepozorną roślinkę, kwiatek niewiele większy od jego kciuka. Jego drobne poskręcane listki były szarozielone, a okrągłe płatki miały delikatny srebrny odcień.

– Na Croma! – Zerwał roślinkę ze skalistego podłoża i trzymając najdelikatniej jak potrafił w swoim potężnym, sękatym łapsku, uniósł ją i zawinął troskliwie w kawałek pergaminu, który wyciągnął z sakiewki przy pasie. Potem poszedł jeszcze dalej w górę zbocza, jednak maleńka roślina zdawała się jedynym przedstawicielem swego gatunku, a przynajmniej nie widział innych w najbliższej okolicy. Być może rosły w górnych partiach gór, ale to wymagałoby długiej wspinaczki z linami i całym niezbędnym ekwipunkiem.

Caspus na szczęście był w grupie, która pierwsza powróciła ze zwiadu i pozostała przy łodziach, gdy dalsze oddziały kontynuowały poszukiwania. Łodzie dotarły już do położonego w biegu rzeki jeziora, i żołnierze właśnie rozpryskiwali wodę, ładując na nie przeniesione brzegiem towary i ekwipunek. Wszystko wskazywało na to, że wody jeziora nie zawierają tajemniczej trucizny i nie grożą nagłą śmiercią.

Medyk spoglądał w górę na stojących tam bez ruchu mężczyzn, którzy zatrzymali się na skałach i patrzyli z przerażeniem na to, co się stało w położonej wyżej kotlinie. Z miejsca, gdzie stał, nie można było dojrzeć śmiercionośnego jeziora, tylko kilka ciał leżących bezwładnie na zboczu.

– Co tam się wydarzyło? – spytał Conana, który zbliżył się ku łodziom. – Nie żyją czy tylko stracili przytomność?

– Nie wiem – odparł zapytany. – To była jedna z wielu pułapek, które czyhają na nas w tych przeklętych górach. Diabelskie jezioro. Pospieszmy się i płynmy w górę rzeki, nim gaz dotrze także do nas.

Caspusie, mam tu coś jeszcze. – Odwinął pergamin i pokazał medykowi roślinkę, którą znalazł na zboczu góry.

– O, Mitro, toż to srebrny lotos! To nie może być nic innego. – Starzec uniósł kwiatek ku swym niedowidzącym już oczom i przyjrzał mu się dokładnie, a

potem powąchał, delektując się zapachem. – Wspaniała, orzeźwiająca woń. Znalazłeś go na zboczu? Prawdopodobnie wyrósł z jakiegoś przyniesionego przez wiatr nasienia, tam, z górnych partii.

– Stracimy mnóstwo czasu, aby uzbierać tego choćby buszłę – zauważył Conan. – Według twoich pergaminów tylko płatki są potrzebnym nam lekarstwem, a na Croma, niewiele tego będzie, kiedy go zasuszymy.

– Znacznie większe kwiaty rosną na górze – powiedział Caspius, przyglądając się skałom.

– Czy cokolwiek może tam rosnąć? – zastanawiał się Conan, obserwując nagie kamienie.

– Nie można wykluczyć. Zwłaszcza jeżeli potrzebują ciepła, a tam mogą być podziemne gorące źródła – Caspius spojrział na niższe doliny, a potem na nieruchome ciała. – Mimo wszystko wolałbym nie posyłać zwiadowców na skały.

– Masz rację – Conan odwrócił się w stronę łodzi. – Podążamy dalej w górę rzeki. Zostawię tu trzech ludzi, aby obserwowali tych, co upadli w dolinie. To na wypadek, gdyby wciąż żyli. Jak dotąd te ptaszyska nie zwracają na nich uwagi – dodał, spoglądając w stronę nieustannie krążących nad ich głowami czarnych punktów. – Jeśli taka będzie wola Croma, reszta naszej ekspedycji wkrótce tu powróci.

Conan pokazał znaleziony kwiat wszystkim Shemitom, mając nadzieję, że to odciągnie nieco ich myśli od ostatniego wypadku. Skończyli też sprawnie załadunek, podnieśli maszty, wciągnęli żagle i podążyli w dalszą drogę wzdłuż górskiego jeziora. Pomieściliby się teraz na większym ze statków, ale Conan rozkazał żeglugę na obu, mając zamiar penetrować oba brzegi jeziora równocześnie. Woda w jeziorze była zimna, a ono samo otoczone wysokimi skałami. Przeciwległy brzeg ginał za zakrętem. Na szczęście sprzyjająca bryza, która wiała wzdłuż doliny, znacznie przyspieszyła podróż. Ich przewodnik przez dżunglę, Hk'Cha, stał na rufie większego ze statków tuż obok Conana. Wciąż jeszcze nie uspokoił się po ostatnim wydarzeniu i teraz rozglądał się trwożnie po całej okolicy. Spędził całe dotychczasowe życie w przerażającej, morderczej dżungli, więc uważał te góry za znacznie groźniejsze. Drżał wyraźnie ze strachu... a może tylko z powodu chłodnego wiatru, którego powiewy odczuwał na spoczonej, brązowej skórze. Shemici, świadomi, że większość żywności została poniżej progu skalnego, koło którego śmierć dosięgła ich towarzyszy, pół żartem zwracali uwagę na niestosowność zabierania w podróż kanibala. Jednak Hk'Cha nie zwracał uwagi na ich docinki, lustrując potężne góry i mamrocząc pod nosem jakieś zaklęcia do swego boga Juwali. Twierdził też, że widział już przedtem to miejsce w snach.

Wzdłuż obu brzegów jeziora, nawet w wąskich dolinach porośniętych podmokłą trawą, które mijali od czasu do czasu, nie znaleźli ani śladu srebrnego lotosu. Jeżeli w ogóle rósł na tej wysokości, były to zbyt małe albo zbyt rozproszone okazy. A może zakwitają o innej porze roku. Sama myśl o spędzeniu lata i zimy wśród tych ponurych skał powodowała nieprzyjemne odczucia nawet w duszy Conana, urodzonego wszak w górach. Zaostrzone skalne szczyty były już niemal nad ich głowami, strome bazaltowe forpoczątki opadały wprost w ciemne wody jeziora. Okrążając jedną z takich skał, dostrzegli wreszcie przeciwległy brzeg – białe zbocze lodowca, którego jezory spływały z gór powyżej. Topiacy się lód był niewyczerpanym źródłem wody, zasilającej jezioro całymi kaskadami opadającymi z wyżej położonych miejsc. Zbliżali się coraz bardziej do tego demonicznego miejsca, gdzie czarne bazaltowe skały kontrastowały z bielą lodu, a ciemne wody jeziora ze spływającymi z gór przejrzystymi strumykami. Wreszcie ich łodzie otarły się o kamienne dno. Nie było tu jakichkolwiek oznak życia, tylko skały, woda, lód i niebo nad ich głowami. Mężczyźni wyszli w ciszy na skalisty brzeg, wiedząc, że właśnie osiągnęli kres swej podróży.

– Więc to tutaj – wyszeptał Conan. – Na bogów, oto źródła Styksu.

– Może nie. – Caspius z wysiłkiem wygramolił się przez dziób łodzi, a teraz zbliżył się ku skalnemu zboczu. – Zobacz, tu jest przejście!

Conan podszedł do niego bez słowa, widząc, że żołnierze już tworzą wokół nich obronny krąg, mimo iż niebezpieczeństwo było jeszcze nieznane. Caspius, który bez trwogi wszedł w cień lodowego nawisu, klęknął teraz i zanurzył dłoń w nurcie wody.

– Woda jest chłodna – powiedział – ale nawet w przybliżeniu nie tak zimna jak lodowiec. Musi być ogrzewana przez jakieś naturalne źródło ciepła, leżące gdzieś powyżej. – Wskazał przed siebie. – Sądzę, że jaskinia prowadzi do wnętrza tej góry. – Pokazał ręką otwór leżący przed nimi, który był faktycznie wejściem do

jaskini, choć utworzonej nie z kamienia, lecz z lodu. Nad ich głowami znajdowało się niewiarygodnej wysokości lodowe sklepienie, którego łuki wieńczyły błękitno-białe sople. Podłoże zaś składało się szerokich kamiennych stopni, które omywała opadająca małymi kaskadami woda. Przed nimi widniała niezliczona ilość takich małych wodospadów. Nie potrzebowali nawet pochodni. Wnętrze jaskini było oświetlone przez blask otaczającego ich lodu i śniegu. Miejsce to przypominało olbrzymią świątynię albo katedrę, rozbrzmiewającą beznamiętnym śpiewem płynącej rzeki. To był Styks. Ten sam stary wąż wodny w błyszczącej nowej skórze.

– Idziemy zatem! – zdecydował Conan, a echo poniosło jego głos poprzez kaskady opadającej wody. – Przycumujcie dobrze łodzie, bo nie ma sensu ciągnąć ich ze sobą przez, lub raczej pod tym śniegiem. Zapakujcie żywność, weźcie pochodnie i podążamy dalej ku źródłom rzeki.

XX

SPISKOWCY

Bandar-Hek, kapłan Seta, wędrował ulicami miasta i wsłuchiwał się w rozbrzmiewające w mroku okrzyki przerażonych ludzi. Baalur było pogrążone w cierpieniu, w ciemnościach nocy wzrok wabiły zewsząd płomienie kaganków, a czasem otwarty ogień płonących domów. Każde ze źródeł światła otaczały bezkształtne cienie tych, którzy desperacko starali się uciec z krainy snów i garnęli się do wszystkiego, co tylko mogło odwrócić ich uwagę od ogarniającej umysły senności.

Mroczne koszmary wciąż trzymały miasto w potężnym uścisku a zamieszkujący je ludzie stali się na wpół obłąkani. Fakt, iż nie wybuchły jeszcze poważniejsze rozruchy uliczne czy wojna domowa, należało przypisać tylko temu, że wyczerpani ludzie nie mieli już siły, by zniszczyć miasto, które stało się więzieniem ich dusz.

Kapłan przyglądał się temu chłodnym okiem profesjonalisty. Jako klerykowi Mitry, a w tajemnicy także kapłanowi trzeciego kręgu Sekty Węża, Bandar-Hekowi oszczędzone były senne koszmary. Mógł więc przyglądać się wszystkiemu bez emocji, a jako kapłan mógł nawet uważać, że interesy mają się dobrze. Dowodem był chociażby niesamowity ostatnimi czasy rozrost jego sekty – tej sekretnej, oczywiście, nie tej, której kapłanem był oficjalnie. Publicznie dawał wszak upust swym obawom z powodu upadku wiary w Mitrę i starał się powstrzymać przed odwracaniem się od boga starców, którzy mu jeszcze pozostali. W tajemnicy zaś służył znacznie potężniejszemu i bogatszemu panu, prowadząc obce ceremonie i głosząc mroczne nauki, które zmroziłyby serca zwykłych Shemitów.

Nie znaczy to, że kult węża był całkowicie obcy północnym ludom. Każde większe hyboryjskie miasto ulegało pokusie złota z niezmiernego skarbcza Świątyni Seta, w każdym istniały ukryte świątynie i agenci tacy jak on – fanatycy religijni szkoleni w Stygii i związani najgłębszymi przysięgami i groźbą fizycznego unicestwienia z Ojcem Setem. Tą drogą podążali jednak dotąd ludzie pragnący mocy, poszukujący prawdy sceptycy oraz zdeprawowani do szpiku kości hedoniści. Ostatnio jednak do sekty zaczęli przybywać zupełnie nowi członkowie. Ofiary snów, ci którzy pod wpływem cierpienia zwątpili w dawnych bogów, w Dagona i Mitrę, przychodzili do jego sekretnej świątyni szukając ratunku. Zrozumieli, że Set dysponuje prawdziwą mocą, oraz niezliczonymi sposobami kontrolowania ludzi i ich pragnień i że właśnie ten starożytny, mroczny bóg może nagradzać wiernych wiecznym życiem, a wrogów karać zniszczeniem i śmiercią.

Rosła więc grupa wyznawców i rosło znaczenie świątyni, zwłaszcza znaczenie polityczne. Nowi uczniowie Bandar-Heka byli wielce obiecujący. W pełni akceptowali jego nauki a polecenia wykonywali bez najmniejszego sprzeciwu. Plaga złych snów jeszcze wzmacniała ich żarliwość i wiarę. Niektórzy z nowych fanatycznych wyznawców piastowali wysokie stanowiska w armii i na dworze Baalur. Wszyscy oni chętnie nadstawiali ucha propozycji obalenia Aphratesa i utworzeniu nowego królestwa o bardziej religijnym obliczu. To zaś było dobrą wieścią nie tylko dla Bandar-Heka, ale przede wszystkim dla jego ukrywających się w cieniu stygijskich mistrzów.

Kapłan wiedział bardzo dobrze, jak mają się rzeczy w Baalur. Słyszał od wiarygodnych, naocznych świadków, że król i jego małżonka Rufia odchodzą od zmysłów nad chorobą swej córki Ismai, niezmiennie pogrążonej w głębokim letargu. Wiedział, iż ogarnia ich szaleństwo i desperacko oczekują na jakiś dobry znak

losu, który da nadzieję na przetrwanie królestwu... może na jeszcze jednego skrzydlatego posłańca od ich, tak długo już nieobecnego Conana. Bandar-Hek widział, jak słabe stały się ich rządy, widział rodzące się niezadowolenie wśród najwyższych oficerów, włączając w to generała Shalmanezera – najnowszego członka jego sekty, wiedział, jak bardzo podatni na buntownicze hasła stali się niżsi rangą żołnierze. Królestwo Baalur było jak dojrzały owoc – gotowy do zerwania, a czciciele Seta mieli wystarczająco dużo siły, by potrzęsnać drzewem i dokonać tego.

W tym właśnie celu ze Stygii płynęło złoto, broń i buteleczki z trucizną, niezbędne składniki takiej operacji. Dzisiaj przybyła także specjalna przesyłka – trzeci już sarkofag, który miał uzupełnić świętą galerię. Ta wspaniała nowa trumna niewątpliwie zawierała doczesne szczątki jakiegoś wielkiego stygijskiego króla-kapłana, będzie więc stanowić przepiękny klejnot w koronie kapłańskich artefaktów Bandar-Heka. Czuł, że już wkrótce dostąpi zaszczytu wkroczenia w trzeci krąg arkanów kultu, a potem czekała go jeszcze większa chwała.

Na ironię zakrawał fakt, że mroczna przeszłość królowej Rufii powróciła doń teraz, by ukarać ją za niezliczone grzechy z minionych dawno lat. Zemsta czarownicy dosięgła i osłabiła miasto, a Bandar-Hek i jego współwyznawcy będą tymi, którzy najbardziej skorzystają z tego, co się dzieje. Była w tym ręka przeznaczenia. W odróżnieniu od cierpiących na nocne koszmary mieszkańców, Bandar-Hek miał tylko jeden proroczy sen. Znajdował się w nim w wielkiej, bogato zdobionej świątyni, a u jego stóp leżała i zanosila modły niezliczona ilość wyznawców. Obrzędem przewodziła Zeriti, czarownica, którą znał bardzo dobrze, odziana w czarne szaty. Złożyła krwawą ofiarę z jakiegoś niewielkiego pokrytego futrem zwierzątka, które zarżnęła zakrzywionym ostrzem noża. Potem zaczęła wzywać jakieś bóstwo, którego bezcielesną obecność wyczuwał za ołtarzem – stały element koszmarów, jakie zsyłała mieszkańcom miasta. Tym razem jednak jej bóg zmaterializował się, podszedł ku Zeriti wyszedłszy z cienia ołtarza i pozdrowił wiernych łaskawym uśmiechem. Bóg, którego ujrzał Bandar-Hek w swym śnie, miał jego twarz.

Odrzucił te wspomnienia, gdy przekroczył bramę świątyni. Rozejrzał się uważnie po oświetlonym kagankami wnętrzu. Nie było tu żadnych wyznawców Mitry, najwyraźniej porzucili już wiarę w pomoc granitowego posągu, który spoglądał na nich z wysokości swego, pokrytego bogatą ornamentyką, tronu. W dodatku ciche sanktuarium zbyt kusilo, by zasnąć, a nie zapewniało żadnej ochrony przed nocnymi koszmarami, od nich nie było tu ucieczki.

I dobrze, że nikogo nie było. – Spóźnił się nieco na sekretną ceremonię, która miała się odbyć w krypcie poniżej, a spóźnienie to byłoby większe, gdyby musiał pobłogosławić jakieś resztki wyznawców swego dawnego pana.

Bandar-Hek wsunął się za wysoki posąg bóstwa i zielonkawym kluczem w kształcie żmii, który nosił zawieszony na szyi, otworzył kryjące się tam sekretne drzwi. Zszedł na dół po kręconych schodach. W dole, w okrągłej komnacie, której centralny punkt stanowiła jama dla żmij, oczekiwali już prawdziwi wierni.

Przybyli tu dyskretnie przez tylne drzwi świątyni i teraz stali okryci ciemnymi płaszczami, w maskach na twarzach, pomiędzy kolumnami otaczającymi centralną jamę, a światło pochodni powodowało, że ich groźne cienie pełzały po ścianach komnaty. Nie znali się nawzajem, ale Bandar-Hek znał ich wszystkich, wiedział też dobrze, jak bardzo ucierpiałyby ich pozycja społeczna i polityczna, gdyby kiedykolwiek ich udział w tych obrzędach stał się jawny. Nawet teraz, podczas kryzysu. A jeśli kryzys nieoczekiwanie się zakończył, on i tak miałby wielką władzę na tych ludziach.

– Sethissa fa Sathan! – wysyczało czterdzieści ust na powitanie Bandar-Heka, gdy ten, wdziawszy ornat z wężowej skóry, stanął przed wiernymi.

Jego dwaj półnaczy, muskularni pomocnicy, weterani gwardii królewskiej, stali już w pełnej gotowości po obu stronach ołtarza, który wzniesiono tuż przy jamie dla żmij. Pomiędzy nimi, rozciągnięta na zielonym kamieniu, leżała naga dziewczyna, przeznaczona na ofiarę dzisiejszego wieczora. Jej nadgarstki i kostki u nóg zostały przymocowane do ołtarza żelaznymi obręczami. Była rzadko spotykaną piękną i jasnej karnacji skórą, choć teraz wyglądała na śmiertelnie przerażoną i zmęczoną bezskuteczną walką o życie. Leżała na boku, a jej kształtne piersi drżały od cichego płaczu. Nie mógł dostrzec twarzy dziewczyny, ale sądząc po jedwabistej kaskadzie jasnych, długich włosów, była branką z gór, z dalekiego Koth. Niezwykle ponętna samica ssaka w podarunku dla

zimnokrwistego boga-węża.

Zebrani patrzyli wyczekująco, a ich oczy błyszczały w szparach groteskowych, pokrytych piórami masek. Bandar-Hek sięgnął za pas i dobył zakrzywionego, ofiarnego sztyletu. Uniósł go, trzymając za ostrze, i złożył głownią niemy salut stojącym po drugiej stronie jamy złotym sarkofagom. Teraz stały tam trzy, a środkowy, największy i najpiękniej zdobiony, był ostatnim nabytkiem. Nóż był już tylko symbolem, pamiątką po czasach, kiedy biedna jeszcze, zaczynająca swą działalność sekta nie mogła sobie pozwolić na prawdziwe żmije i jamę, w której składano ofiary. Teraz uczyni nim tylko małe nacięcie, wystarczające jednak, by wytoczyć z ofiary fontannę krwi, której zapach rozdrażni gady i pobudzi je do działania. W ten sposób śmiertelny rytuał nie będzie niepotrzebnie przedłużany – Bandar-Hek nie był w końcu okrutnym człowiekiem.

Zacisnął dłoń na rękojeści noża i postąpił ku ofierze. Spojrzał na jej ponętne ciało. Obróciła się doń i uniosła wzrok – śmiejąca się twarz była tą, którą widział w swym śnie. To była twarz Zeriti. Gdy stał sparaliżowany strachem, dwaj ponurzy pomocnicy chwycili go silnie pod ramiona, zaś Zeriti, z której kończyn opadły żelazne obręcze, usiadła błyskawicznie i sięgnęła do jego ornatu. Nim zdołał ochłonąć i ciąć nożem, jednym szybkim ruchem pchnęła Bandar-Hek poprzez ofiarny kamień wprost w rozpościerający się u jego stóp dół.

Uderzył w piaszczyste dno z dużą siłą, a nóż wyslizgnął mu się z ręki, raniąc boleśnie w pierś. Nie został jednak ogłuszony, stracił jedynie na moment oddech, który starał się teraz odzyskać. Wiedział, że wszędzie wokół niego czają się gady, niosące niechybną śmierć piaskowe żmije ze stygijskich pustyń, o które tak dbał, zarówno on, jak i jego dwaj akolici. Dlaczego pomocnicy obrócili się przeciw niemu – nie wiedział, wiedział jednak, że węże na pewno nie rozpoznają swego pana i dobroczyńcy i zaatakują, jeśli tylko daim najmniejszy powód.

Oddech powrócił, jednak Bandar-Hek wciąż nie śmiał nawet drgnąć, licząc, że gady go zignorują. Jednak wyznawcy zebrani wokół dołu zaczęli głośno się śmiać i szydzić z niego. Wyjęli pochodnie z uchwytów i rzucali je na dół, na piasek, powodując coraz większy niepokój wśród żmij. Jedna z nich zasyczała wściekle i ukąsiła kapłana w odzianą w sandał stopę.

– Dlaczego? – rozległ się bolesny jęk, pierwszy dźwięk, jaki wydał od chwili upadku. Odpowiedzią były tylko dalsze szydercze śmiechy i szept. Kobieta stojąca na kamiennym ołtarzu i obejmująca obu pomocników to nie była jednak Zeriti. Teraz dopiero dostrzegł, że nie jest nawet podobna do wiedźmy, w dalszym ciągu jednak śmiała się dziko. Dosięło go drugie ukąszenie węża, potem trzecie, a każde z nich powodowało radosne okrzyki zebranego u góry tłumu, jego uczniów.

– Czeka ich jeszcze niespodzianka – pomyślał ponuro. Bandar-Hek przechodził inicjację jako wyznawca Seta, gdy był jeszcze młodym chłopcem, i od wielu już lat opiekował się węzami, także jadowitymi. W ciągu tych lat zdarzały się wypadki. Pierwsze ukąszenie powinno było spowodować śmierć, niemniej kapłani Seta potrafili przywrócić mu zdrowie, i teraz nawet najbardziej jadowite węże nie mogły mu poważnie zaszkodzić. Poczul, że ręka, w którą został ukąszony, drętwieje od dłoni aż po ramię. Nogi były już sparaliżowane całkowicie, nie mógł wykonać nimi najmniejszego nawet ruchu. Obserwował bezsilnie, jak kolejne węże kasały jego odkryte ciało. Nie czuł jednak bólu, tylko lekkie ukłucia. Zapewne ogarnie go całkowity paraliż. Być może będzie długo chorował, prawdopodobnie straci przytomność. Jego mięśnie zeszywnieją, funkcje życiowe niemal zanikną, jego ciało nie będzie niczym różniło się od zwłok. I to ich zmyli. Prawdopodobnie pochowają go za murami miasta jak wszystkie ofiary zarazy. Ale wtajemniczony trzeciego kręgu Wężowej Sekty nie mógł umrzeć od jadu węża, co najwyżej zapadnie w głęboki letarg na wiele lat. Żadne z nich nie spodziewa się takiego obrotu sprawy, a on pewnego dnia zemści się.

Jednak na widok ostatniego tchnienia swej ofiary podniecenie zebranych nie opadło. Bandar-Hek obserwował zamglonym wzrokiem, jak, zebrali się wokół trzech trumien i chwycili jedną z nich, tę największą, najnowszą. Traktowali ją z szacunkiem, nadmiernym nawet, widział to wyraźnie. Unieśli ją wszyscy razem tak delikatnie, jakby płaskorzeźba na wieku przedstawiająca olbrzymiego gada w koronie była prawdziwym bóstwem, nie tylko starożytnym totemem. A był to ten sam sarkofag, który otrzymał w uznaniu swych osiągnięć, przesyłka, którą przemycono z dalekiej Stygii. Wciąż miała nienaruszone kapłańskie pieczęcie. Jeśli odrzucili jego nauki, dlaczego podchodzą z takim szacunkiem do trumny?

Jego nieme pytania musiały na razie pozostać bez odpowiedzi. Wkrótce pieczęć na wieku została złamana. Bandar-Hek obawiał się nawet pomyśleć, jakie

starożytne przekleństwo mogło ich dosięgnąć za ten świętokradczy czyn. Unieruchomiony na dnie jamy kapłan nie mógł zobaczyć zawartości sarkofagu, dostrzegł jednak, że pod jego dnem przeciągnięto długie pasy i teraz ciężkie pudło było powoli opuszczane na dół jak trumna w czeluście grobowca. Teraz wszyscy mogli się dokładnie przyjrzeć zawartości sarkofagu. Rozległy się radosne okrzyki. Jedno silne pociągnięcie pasów spowodowało, że znajdująca się już na dnie jamy trumna obróciła się, a jej zawartość wypadła na piasek. Nie była to mumia ani też zmija, chociaż cielsko wiło się przez moment po nieoczekiwanym zetknięciu z dnem jamy. Obserwujący to z góry tłum zaintonował nieznaną pieśń, której siła stopniowo narastała.

– Jukala! – zawadzili – Jukala!!!

To był krokodyl, olbrzymi łowca z południowej rzeki. Długa podróż musiała być dlań wyczerpująca, nie wydawał się jednak ranny. Na pewno jednak był wygłodzony, sądząc po chciwym blasku jego oczu i łakomym kłapaniu wielkiej paszczy. Gdy olbrzymia bestia runęła naprzód, Bandar-Hek zdołał wydać tylko pojedynczy zduszony krzyk.

XXI

MIASTO ZAPOMNIANYCH UMARŁYCH

Podłoże lodowej jaskini wciąż pięło się w górę a ona sama stawała się coraz rozleglejsza, o coraz bardziej imponującym sklepieniu z błękitnych lodowych kryształów. Droga wiodła poprzez wielkie, oblodzone głązy, niezliczone zamrożone stalagmity, rwące strumienie, wciąż wyżej i wyżej. Zamarznięte, przemoczone nogi odmawiały już posłuszeństwa. Jeszcze na dole Conan i jego Shemici powiazali się linami asekuracyjnymi, a teraz używali włóczni i okrętowych bosaków, by pomagać sobie we wspinaczce, drżąc przy tym z zimna i klnąc, ile wlezie. Wyruszyli na wyprawę ku gorącym pustyniom i dżunglom południa i do takiego terenu przystosowany był ich ekwipunek. Conanowi nie przyszło nawet na myśl, by zaopatrzyć swych ludzi w nieprzemakalne stroje i grube futra, tak typowe w jego ojczystej, mroźnej Cymerii. Ale mróz nie był tak wielki, by zawrócił ich z drogi lub uśmiercił na szlaku. Zarówno w dolinach u podnóża dymiących gór, jak i tu, na wysokich graniach, znajdująca się tuż pod powierzchnią ziemi wulkaniczna magma ogrzewała podłoże w wystarczającym stopniu, by nie dopuścić do zamrożenia rzeki. Po wielu godzinach mozolnej wspinaczki nie dostrzegali jeszcze końca jaskini, niemniej uśmiechem losu okazała się obszerna pieczara, której dno było dobrze ogrzewane przez podziemne gorące źródła. Tutaj mogli się przespać, a największym utrapieniem stał się nie mróz, ale woda kąpiąca bezustannie z topiących się lodowych sopli.

Następnego ranka droga wiodła przez gorące źródła o tak wysokiej temperaturze, że łatwo było o poważne oparzenia. Z większych basenów biły w górę kłęby pary, które potem zastęgały wysoko na sklepieniu w formie fantastycznych lodowych stalaktytów. W mijanych pieczarach i niszach ich pochodnie oświetlały całe lasy migoczących kryształów, niewiarygodne lodowe kurtyny, terasy z oblodzonych kamieni. Gdzieś tam promienie jasnego górskiego słońca przebijały się przez szczeliny w skalnym sklepieniu i oślepiały ich swym odbitym od milionów kryształków blaskiem. Wciąż słyszeli szum, pomruk lub nawet grzmot toczącej swe wody podziemnej rzeki.

Po niełatwej wspinaczce na lodowe półki i obmyte wodą głązy zdało im się wreszcie, iż wspięli się już tak wysoko, że osiągnęli szczyty górskich grani. Wtedy też ujrzeli, że strumień zaczyna powoli wyłaniać się z podziemnych czeluści. Sklepienie jaskini uciekło w górę, a potem otworzyło się nad ich głowami, zamieniając się wpierw w błękitno-biały lodowy kanion ozdobiony czapami śniegu, a potem w szerokie skaliste granie. Ich ściany wyrastały po obu stronach tak wysoko, że nawet najwyższe szczyty górskie, które leżały pod nimi, można było dostrzec tylko w nielicznych miejscach.

Śnieg i lód stały się teraz rzadkim zjawiskiem, podobnie jak jakakolwiek roślinność, zapewne dlatego, że głązy, po których stąpali, były zbyt gorące. W wewnętrznych ogniach w głębi gór płonęły nowe pokłady ziemi, a śladami tej ukrytej aktywności były przebijające w wielu miejscach skalną opokę kłęby gazów i wodne gejzery. Dotarli nawet do takiego miejsca, gdzie cały nurt rzeki wrzał w kamiennym korycie, bulgocząc i wydzielając ostry zapach siarki. Widzieli też, jak znajdujące się opodal skały wprost topiły się od gorąca, a tworząca się na skutek tych reakcji lawa wpływała leniwie w nurt rzeki, zastygając w tej walce

dwóch żywiołów wśród donośnego syku i kłębow buchającej pary.

Potem raz jeszcze podróżnicy dotarli do podnóża spływających z gór lodowych jeziorów, których najdalsze krawędzie docierały do gorącego strumienia i zasilały go przeraźliwie zimną wodą. Zafałszowany tak wyraźnymi kontrastami występującymi w tych zapomnianych przez bogów regionach, tą ciągłą walką ognia i wody, Conan zwrócił się do Caspiusa, który jak do tej pory dzielnie radził sobie z trudami wspinaczki i nie opóźniał marszu.

– Medyku – zaczął Cymmerianin – powiedziałaś, że nasza podróż jest podróżą w głąb czasu. Co powiesz teraz, gdy już dawno za nami zostały jakiekolwiek twory cywilizacji, dżungle i bagna starsze od naszej rasy, gdy przybyliśmy tu, gdzie dopiero rodzą się skały, gdzie nie ma nawet najmniejszej roślinki? – Conan mówił spokojnie, rozglądając się uważnie po otaczającej ich złowrogiej skalistej pustyni. – Zdaje się, że tutaj naszym najbliższym krewnym jest ten rzeczny muł. – Trącił czubkiem włóczni zielone kolonie glonów, które pływały na obrzeżach ciepłego strumienia i osadzały się na powierzchni czarnych głazów. – Czy w poszukiwaniu lotosu nie zaszliśmy zbyt daleko w przeszłość?

Caspius również bystro obserwował okolicę, a słowom Conana zaprzeczył jednym energicznym ruchem siwej głowy.

– Przypominam ci – odparł – że naszym głównym celem jest dotarcie do źródeł rzeki. Jeszcze ich nie osiągnęliśmy, choć może jesteśmy już blisko. Zdaje się, że nawet padlinożercy nie widzą potrzeby, by dalej nam towarzyszyć.

Conan zerknął w górę. I rzeczywiście, po raz pierwszy odkąd wyruszyli, nie dostrzegł czarnych punktów krążących nad ich głowami. Nie wiedział, co stało się z ptakami, ale najwyraźniej porzuciły ich, gdy wkroczyli do lodowej jaskini. Shemici, podążając za spojrzeniem Conana, także nagle zdali sobie sprawę z tego faktu. Rozległy się gorączkowe szepty. Nawet ich drżąca z chłodu maskotka – Hk'Cha zdawał się ucieszony tą odmianą.

Rzeka, a właściwie teraz już tylko rozgrzany strumień, miejscami tak wąski, że można było nad nim przeskoczyć, wciąż wiódł ich w górę. Opadał ku nim ze skał poprzez szereg kamiennych progów, przelewając się hałaśliwie z jednego krystalicznego basenu do drugiego. Jednak dla drużyny ta wspinaczka była znacznie łatwiejsza niż wtedy w jaskini, nie musieli już asekurować się linami. Kamienne dno strumienia wznosiło się seria prostokątnych kamiennych bloków, które przypominały schody zbudowane przez olbrzymy o budzących grozę rozmiarach. Głównym materiałem skalnym nie był, jak w przypadku otaczających ich gór, granit, ale czarny, twardy bazalt, spoczywający zapewne w głębinach ziemi, nim te potężne góry wyłoniły się z jej skorupy.

Podczas wspinaczki w górę kanionu Conan nie mógł się oprzeć pewnej niesamowitej myśli. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że otaczające ich regularne skalne bloki i wspinające się w górę skalne półki są pozostałościami jakiegoś niewiarygodnie starego miasta, wzniesionego przez tytanów i potem pogrzebanego w ziemi. Zmiażdżone i zdeformowane przez ciężar ziemi, morza, rodzący się łańcuch górski, a potem wyniesione na cielsku wulkanu, resztki miasta były teraz rzeźbione pracowicie przez tę rzekę, płynącą tu przez wieki. Dziwna myśl... o ile coś takiego było w ogóle możliwe.

A jednak na kamieniu były dziwne wyłobienia, jakby wyrte na jego powierzchni, przypominające zawarte okna, drzwi. Resztki budynków, których wyższe kondygnacje i dumne wieże zostały starte przez wolno i okrutnie działającą naturę. Ale wciąż pozostały zarysy dawnych kształtów, wystarczająco wyraźne, by nasunąć takie myśli. ...Wyraźne progi... odciski poprzecznych belek, a tutaj nienaruszony ornament – pięknie wyrzeźbiona mała muszla na brzegu czegoś, co kiedyś mogło być oknem. A ten ciąg stopni, po których teraz spływał strumień... Conan widywał już takie schody na wzgórzach Baalur czy Khorshemish. Tyle że te kiedyś się zapadły, a teraz znowu wędrowały ku górze, zniekształcone i ustawione pod dziwnym kątem przez niewyobrażalne ruchy i wstrząsy, jakim poddawane były te skały przez całe stulecia.

Widział, że jego ludzie również coś wyczuwają. Dostrzegał ich niespokojne spojrzenia, ciche szepty, dyskretne wskazywanie palcami na niektóre bloki skalne. Prawdopodobnie tak jak on zastanawiali się, w jaki przeklęty obszar ziemi ich zawiódł ich Styks i jakie starożytne przekleństwo mogą nieść jego czarne wody.

– Czy istnieje jakaś nazwa tego niesamowitego miasta? – zwrócił się Conan do Caspiusa, pomagając mu jednocześnie wspinać się na jeden ze skalnych progów. – Może twoje papirusy wspominają coś o rasie, która tu zamieszkiwała?

– Ha, ha, bardzo ciekawe skojarzenie. – Medyk rozejrzał się wokoło, najwyraźniej widząc zupełnie co innego niż Conan. – To prawda – przyznał – te krawędzie i płyty są interesujące. Wyglądają, jakby były zbudowane przez ludzi, ale niewątpliwie tak nie jest. Spójrz na ten czarny kamień, pękł na pół, a po wypolerowaniu przez strumień i lód obie części mają kształt regularnego trapezu. Zaprawdę, interesujący widok.

Conan czuł chociażby po dziwnym chłodzie w żołądku, którego nigdy nie lekceważył, że mają do czynienia z czymś innym niż tylko z działaniem sił przyrody, ale na razie zdecydował się zaakceptować wyjaśnienie swego towarzysza. Jakikolwiek było pochodzenie niezwykle regularnych bloków i krawędzi, nie miało to nic wspólnego z ich misją. Ponadto sceptycyzm Caspiusa, jak sądził po wędrujących od ust do ust szeptach, wpływał uspokajająco na jego ludzi, co było pożyteczne w tym budzącym grozę otoczeniu. Niebo nad głowami, choć wciąż wolne od natrętnego ptactwa, ściemniało się szybko, a wulkany przypominały o swym istnieniu, plując dymem. Nawet na wysokości, na jakiej się znajdowali, mogli nie tylko słyszeć groźne pomruki w głębi ziemi, ale także wyczuwać drżenie skał pod stopami. Było już późne popołudnie, a perspektywa spędzenia nocy w tym niezwykłym otoczeniu czyniła wspomnienie o lodowej jaskini znacznie przyjemniejszym.

Conan jednak wciąż wiódł swych ludzi naprzód. Za postrzępionymi granicami wąwozu dostrzegł blask położonych wyżej śnieżnych pól, a dalej żelazisto-czerwone zbocze najbliższego dymiącego wulkanu. Nie sądził, by źródła rzeki znajdowały się aż tak daleko, skoro zatem byli już blisko celu, należało go osiągnąć.

– To jest fascynujące! – usłyszał nagle okrzyk Caspiusa. – Niewiarygodna formacja skalna. Chociaż niewątpliwie naturalnego pochodzenia, była wykańczana przez ludzi. To zaś oznacza, że nie jesteśmy jedynymi, którzy odwiedzili to zapomniane miejsce.

Uwagi medyka odnosiły się do szerokiego bloku skalnego, znajdującego się w zakolu strumienia. Wyglądem przypominał platformę, na którą wiodły gigantyczne schody, a na jej szczycie znajdowała się piramida z czarnego bazaltu o ściętym czubku. Miała takie same proporcjonalne kształty jak skalne budowle, które przyciągnęły wzrok Conana w dole strumienia, choć była znacznie większa. O ile tamte formacje przypominały mu ulice i budynki starożytnego miasta, o tyle tutaj nieodparcie nasuwało się skojarzenie z pałacem albo świątynią. Jej centralną, najbardziej rzucającą się w oczy częścią były dwie ogromne płyty sprawiające wrażenie drzwi.

– Chcesz powiedzieć, że to dzieło natury? – Conan stanął u boku Caspiusa i wskazał piramidę. – Spójrz na jej proporcje. Te pionowe fragmenty mogą być pozostałością kolumn. Gdybyśmy tylko mogli zobaczyć, jak kiedyś wyglądała. Według mnie zbyt regularna jak na dzieło natury – zakończył ponuro.

– Ludzie na pewno nad nią nieco pracowali – zgodził się Caspius. – Nie wątpię też, że jakieś lokalne plemiona mogły uważać tę skałę za święte miejsce. – Wskazał młodego kanibala, który przyglądał się kamiennemu blokowi z zabobonnym lękiem. – Ale czy możesz sobie wyobrazić, że tak gigantyczną budowlę, z tak twardego materiału, mogliby wykonać ludzie? – Potrząsnął głową i zbliżył się ku pierwszemu z kamiennych progów. – Muszę przyjrzeć się temu z bliska, zanim będę mógł powiedzieć coś więcej.

– Bądź ostrożny – Conan gestem dłoni nakazał dwóm Shemitom, aby poszli za medykiem. – I pospiesz się, nie mamy zbyt wiele czasu.

Gdy minęli monumentalną budowlę, Conan dostrzegł, że czarne bazaltowe skały mają się ku końcowi. Ściany wąwozu rozchylały się i przed nimi otwierał się zapierający dech w piersiach widok na pola zastygłej lawy, płonące kratery, równiny pokryte czerwonym popiołem, a dalej biel lodowca. Spod ostatniego z wielkich bazaltowych bloków wypływał strumyk, za którym dotąd podążali. Conan poczuł nagły przypływ energii i przyspieszył kroku, niemniej ostrożnie skakał z kamienia na kamień, wiedząc, że wśród tak ogromnych formacji skalnych łatwo pomylić się w ocenie odległości. Słyszał za sobą biegnących mężczyzn i ich radosne okrzyki donoszące tym z tyłu, iż dotarli do źródeł rzeki.

Gdzie więc podział się prawdziwy cel ich wyprawy? Oślepiiony blaskiem słońca, Conan przysłonił oczy dłonią i uważnie zaczął lustrować wzrokiem skalne ściany. Spojrzał także w stronę śnieżnego pola. Czyżby się mylił? Nie, to była prawda!

Niewiarygodnie jasną pokrywą najbliższego górskiego zbocza tworzył bynajmniej nie śnieg, ale srebrzystobiałe kielichy kwiatów. Były ich niezliczone ilości,

wyrastających na wulkanicznym podłożu i migoczącym zmiennymi odcieniami srebra w promieniach zachodzącego słońca. Rosły tak blisko, zaledwie o kilka kroków.

– Hej tam, ludzie! Wyładować worki z juty! Znaleźliśmy to, po co przybyliśmy!

Po chwili zaskoczeni Shemici odpowiedzieli radosnym wrzaskiem, Conan zaś zamyślił się przez moment. Lotosu była mnóstwo i zebranie go nie stanowiło żadnego problemu. Mieli teraz tylko jeden statek, ale zawsze można było zbudować barkę w lesie poniżej, jeśli tylko Caspius uzna, że lotosu trzeba zabrać więcej. Mieli też dość lin i tkaniny do pakowania roślin. Najtrudniejszą sprawą będzie niedopuszczenie do ich zgnicia podczas długiej podróży.

– Bądźcie uważni – zwrócił się do żołnierzy. – Wrywajcie całe rośliny, bo na razie nie wiemy, które części są pożyteczne. Potem trzeba będzie zasuszyć rośliny. Nawet nie musimy palić ogniska, w dole strumienia pełno gorących, dymiących dziur. Ruszajcie się, rzezimieszki, nasza podróż jest na półmetku.

Shemici nie potrzebowali jego ponagleń. Po kilku chwilach najszybsi zjawili się z naręczem kwiatów. Conan sięgnął do mieszka ze złotymi monetami, zanim jednak zdołał nagrodzić żołnierzy, już ich nie było. Nawet nie pomyśleli o zapłacie, spieszyli się, by przynieść ulgę swym cierpiącym rodakom.

Kwiaty były, tak jak przypuszczał Caspius, znacznie większe niż drobna roślina, którą znaleźli w dole strumienia. Miały błyszczące srebrzyste płatki i miękkie liście. Conan uniósł kwiat do nosa i poczuł ten sam subtelny zapach. Ruszył z naręczem kwiatów w dół strumienia, by pokazać je medykwowi.

Gdy dotarł do bazaltowej piramidy, tak przypominającej świątynię, dostrzegł, że nieco tu się zmieniło. Po pierwsze, nie widział nigdzie Caspiusa ani towarzyszących mu żołnierzy. Dwa kamienne bloki, które już wcześniej kojarzyły mu się z drzwiami, były szeroko rozwarte, ukazując czarną przestrzeń. Spoglądając w nią, Conan poczuł znajome mrowienie przebiegające po kręgosłupie. Natomiast kanibal Hk'Cha wciąż był tam, gdzie przedtem, przy kamiennym słupie, teraz jednak klęczał przy nim w widocznym przerażeniu. Gdy Cymmerianin podszedł ku niemu, dzikus zwrócił nań rozszerzone strachem oczy i powiedział tylko jedno słowo:

– Juwala!

Na wysokim progu, pomiędzy rozwartymi kamiennymi płytami, płonął niewielki ogień. Zdawał się częścią jakiegoś magicznego rytuału, jako że otaczał go uczyniony z dziwnej sproszkowanej substancji wzór regularnej, siedmioramiennej gwiazdy. Proszek mienił się wszystkimi kolorami, zdarzały się w nim też drobne kostki. W jaki sposób dwie masywne płyty skalne mogły się otworzyć nie powodując zawalenia się całej konstrukcji, Conan nie miał pojęcia, chyba że istniał tu jakiś ukryty przemyślny mechanizm i gigantyczne zawiasy. Stał teraz na progu czarnej pustki, a wionął stamtąd dobrze znany odór – rozkładających się organicznych substancji. Zateęchła woń wielu wieków...

Podłogę zaścielał drobny gruz i odłamki skalne, ale i tak wykonane przed wiekami z kamiennych płyt podłoże było w zadziwiająco dobrym stanie. Ciemność wewnątrz wydawała się pierwszym momencie nieprzenikniona, jednak po chwili Conanowi zdało się, iż ujrzał nikły odbłask światła. Teraz już pewnym krokiem ruszył w kierunku odległego ognia a jego oczy coraz bardziej oswajały się z mrokiem podziemnej pieczary. Widział już przynajmniej, że nie wstępuje w jakąś piekielną otchłań. Zdołał nawet dostrzec niewyraźne zarysy wnętrza – szerokie kamienny filary uczynione na podobieństwo grubych drzew i wielkie łuki sklepienia – jednak skupiał uwagę głównie na podłożu, zwłaszcza iż w miarę zanurzania się we wnętrze jaskini kamienna podłoga opadała w dół. Kąt jej nachylenia stawał się coraz bardziej stromy a powierzchnia była miejscami niebezpiecznie śliska na skutek ściekających po ścianach strużek wody. Światło wpadające przez szerokie, otwarte wrota skalne było już tylko ledwie widoczną błękitną szczeliną w ciemnościach, zaś jedynym dźwiękiem, który dochodził do uszu Conana, było kapanie wody z szerokich łuków sklepienia. Czasem także zdawało mu się, iż słyszy jej znacznie donośniejszy szum, dochodzący gdzieś z przodu, z ciemności.

– Caspiusie, jesteś tam? Znaleźliśmy lotos!

Płomień, który zniknął mu z oczu w mroku, zabłysł teraz ponownie. Była to niewątpliwie pochodnia niesiona przez jednego z towarzyszących Caspiusowi żołnierzy. Za blaskiem ognia widział także dalsze refleksy świetlne – odbicie płomienia pochodni w lustrze płynącej wody. Na tym tle dostrzegał wyraźne cienie trzech ludzkich postaci.

– Chodź, medyku – zawołał znowu – zostawmy to przeklęte miejsce. Nasi ludzie

zbierają właśnie lotos, odkryliśmy wielkie srebrne pole, zobacz! – Uniósł naręcze kwiatów, z których część upadła na skalne podłoże. – Musimy je załadować i wracać do Baalur.

– Dobre wieści! – odkrzyknął Caspius z pewnej odległości – Nastroje musiały się poprawić. Ja tymczasem wybrałem się na małą wycieczkę i odkryłem najbardziej zadziwiająca rzecz, jaką mieliśmy szansę ujrzeć w całej podróży. Zejdź do nas, tobie też może się przydać ta wiedza.

Caspius przemawiał spokojnym głosem i zachęcał Conana gestem ręki, jednak dwaj towarzyszący mu żołnierze, z których jeden dzierżył pochodnię a drugi włócznię, zdawali się zastygli z przerażenia. Conan zerknął w półmrok za nimi, by przyjrzeć się znalezisku Caspiusa. Trzej mężczyźni stali na brzegu basenu wodnego, który wypełniała ciecz pochodząca z wulkanicznych źródeł. Woda była gorąca jak w łaźni, co Conan mógł stwierdzić nawet stojąc w odległości kilku stóp, jako że unosząca się gęsta para wodna o ostrym zapachu czyniła atmosferę niemal duszącą. W blasku pochodni rozpraszającym przez odbicia od lustra wody majaczyły niewyraźnie jakieś znajdujące się dalej duże obiekty. Była tam olbrzymia sfera, o rozerwanym i częściowo zniszczonym jednym z brzegów, najwyraźniej uformowana z jakiejś organicznej substancji, jak pęcherz tworzący się na skórze. Conanowi przywodziła na myśl wewnątrz świeżo wyklutego jajka, które nawet leżąc zdawało się co najmniej pięciokrotnie większe od człowieka. Olbrzymia istota, która się z niego narodziła, przebywała teraz zapewne w wodzie, ale nie mógł jej ujrzeć dokładnie w nikłym świetle pochodni. Coś jednak poruszało się energicznie, burząc spokojną powierzchnię wody i tworząc kręgi, które rozchodziły się ku brzegowi. A każdy z takich konwulsyjnych ruchów zdawał się próbą wydobycia się z wody, co Conanowi kojarzyło się z wielorybami wypływającymi czasem na piaszczyste plaże. Istota przypominała rybę, widział jej płetwy, ale miała grube, okrągłe, pokryte łuskami cielsko, wyłupiaste oczy, pysk podobny do głowy ropuchy. Kształty stwora, a zwłaszcza jego głowy, wydawały się groteskowe w migoczącym świetle pochodni. Jednak mimo potwornego wyglądu istota nie zachowywała się agresywnie, nie jak polujący drapieżca, raczej jak młody pisklak, który za wszelką cenę chce się wydostać z rodzinnego gniazda.

– Niezwykle pouczający widok. – Caspius przemawiał do Cona – na, nie czując najmniejszego przerażenia ani też obrzydzenia na widok olbrzymiego płaza. – Często już myślałem, że istoty różnych gatunków muszą być ze sobą spokrewnione, choćby nawet pokrewieństwo było dalekie. Czasami można nawet obserwować, że dorastając istoty przechodzą jakby przez różne wcielenia. Ważka na przykład najpierw przypomina robaka, potem żuczka, potem zaś ptaka. Być może kolejność tych zmian jest bardzo ważna.

Mimo niesamowitości tego miejsca a może nawet niebezpieczeństwa, jakie im tu groziło, Conan przez moment patrzył zafascynowany. Stwór potrzasał niecierpliwie płetwami, zbliżając się wolno, ale zdecydowanie ku brzegowi. Już dwie trzecie jego cielska wypełzło na ląd i dopiero teraz widzieli, jak znacznie przewyższa ich rozmiarami. Jego wielki pysk otwierał się chciwie, wciągając więcej powietrza niż wody. Conan zastanawiał się nawet, czy jak większość ryb nie udusi się poza wodą. Jeśli nie liczyć potężnych, miarowych uderzeń ogona, najbardziej aktywną częścią ciała potwora zdawały się dwie pary płetw u jego boków. Biły one w powierzchnię wody, rozpryskując ją naokoło jak ciężkie wiosła, ale zarazem poruszały się tak nieregularnymi ruchami, że patrzącym przychodziły na myśl przedśmiertne konwulsje. Po chwili na oczach Conana zaszła subtelna zmiana. Płetwy poczwary opadły bezwładnie, a potem zaczęły zanikać. Zamiast nich pojawiły się teraz cztery krótkie łapy, które pomagały stworowi wypełzać na kamienną krawędź. Uzbrojone w szpony łapy, wspomagane przez ogon, pchnęły monstrualne cielsko znacznie sprawniej do przodu.

– Wynośmy się z tej piekielnej dziury! – rozkazał Conan gwardzistom, którzy nie czekając nawet na jego komendę, cofnęli się o kilka kroków od kłębiącej się, wzburzonej wody.

Ale Caspius, stojący tuż przy krawędzi basenu, nie widział powodu do pośpiechu.

– Patrzenie, jak jego płetwy stają się nogami, a całe ciało zmienia się i dorasta. Ogon jest coraz krótszy, a błona między palcami zanika. Dziela się łuski na jego głowie, wyłupiaste oczy zmieniają swój kształt i przesuwają się do przodu. Wszystkie te zmiany uniezależniają organizm od środowiska wodnego i uczynią zeń łowcę. Spójrzcie na nowo uformowane kończyny, one też wydłużają się i stają coraz potężniejsze.

Jakoż widzieli wyraźnie, że przedpotopowa bestia nie tylko robi się coraz większa, ale i coraz sprawniej stara się wydostać z wodnego basenu.

– Brać go! – rozkazał Conan żołnierzom, wskazując Caspiusa. Posłusznie podbiegli do medyka i chwycili go pod ramiona, odciągając od widowiska, które podziwiał.

Potwór jednak najwyraźniej również zdecydował, że nie można dłużej marnować czasu. Wijąc się jak olbrzymia jaszczurka, wydostał się ze swego gorącego kąpieliska i podążył za uciekającymi mężczyznami. Jego łeb miał teraz bardziej trójkątny kształt, a ozdobiona potężnymi kłami paszcza chciwie chwytła powietrze, co dawało wyraźne świadectwo o uwolnieniu się ze środowiska wodnego. Jego ciężki oddech wydostawał się na zewnątrz z towarzyszeniem groźnego charczenia.

– Jak widzicie – ciągnął spokojnie swój wykład Caspius, wleczony przez dwóch Shemitów – jego przekształcenie z ryby w jaszczura zakończyło się.

– Chodź, mędrcze – krzyknął Conan, chwytając medyka za kołnierz. – Nie wiem, co tobą zawładnęło, by przyglądać się przebudzeniu tego potwora, ale mamy lotos! – Podstawił jeden ze srebrnych kwiatów wprost pod nos starca. – Czas nam do domu!

Caspius wciągnął głęboko woń kwiatu. Jego nozdrza stały się purpurowe a oczy zaszyły łzami. Obejrzał się przez ramię, spoglądając na to, co za nimi podążało.

Gigantyczna bestia poruszała się zadziwiająco sprawnie po suchym lądzie, pełnząc w sposób przypominający poruszanie się krokodyla, chociaż jej cielsko było proporcjonalnie szersze i masywniejsze niż u tego gada, a ogon i trójkątna głowa krótsze. Skóra pokrywająca tułów była pozbawiona łusek, ale ich ślady, pozostałość po rybiej formie, znajdowały się jeszcze na głowie.

Cwórka uciekających biegła w kierunku dziennego światła, często zerkając przez ramię na ścigającą ich bestię. Podczas jednego z takich spojrzeń dostrzegli, że potwór zebrał pod siebie niezgrabne odnóża i nagle przekształcił się w niewiarygodny sposób. Krusząc w proch kamienie u swych stóp, powstał na czterech nogach, zaś jego niezrozumiałe dotąd sapania i pomruki przybrały formę mowy, co wydawało się wprost niemożliwe.

– W ten właśnie sposób w zamierzonych czasach dźwignąłem się ponad bagna i błota i odnalazłem nową formę. Potem rządziłem innymi istotami i zostałem bogiem – odezwał się stwór, a jego słowa wypowiedziane w prymitywnym shemickim zadudniły głucho w przestronnej pieczarze.

Conan, ciągnący z całych sił opierającego się Caspiusa, wiedział już, że oto sprawdzają się właśnie na jawie jego najgorsze nocne koszmary i najmroczniejsze wizje. To monstrum mogło być potężniejsze niż jakikolwiek ze znanych mu stworów. Na szczęście byli już daleko z przodu, a potwór dopiero łapał równowagę na swych nowo utworzonych nogach. Cymmerianin miał też nadzieję, że bestia jest zbyt wielka, by zmieścić się w kamiennych wrotach wiodących na zewnątrz.

– Poznajcie mnie i padnijcie na twarz, ludzie! Albowiem jam jest Jukala Sylurianin! Ten, który pierwszy wyłonił się z praocceanu, by dać początek najpotężniejszej dynastii, jaka kiedykolwiek rządziła światem!

Olbrzymia paszcza, zakończywszy wymawiać te grzmiące słowa, otworzyła się znowu, a z jej wnętrza, niczym atakujący wąż, wystrzelił niewiarygodnie długi purpurowy język, grubszy niż ramię Conana. Uderzył z błyskawiczną szybkością jednego z gwardzistów u boku Caspiusa, oplatając jego szyję duszącym splotem. Zaatakowany próbował ciąć po jęzozrze ostrzem swej piki, ale siła chwytu zwała go z nóg. Krzyczał i szarpał się z rozpaczą, jednak jego ciało, ciągnięte kilkanaście metrów po kamiennym podłożu, dotarło ku ustom Jukali i potężna paszcza otworzyła się szeroko. Szczęki zwarły się, a obrzydliwa gardziel przełknęła swą ofiarę z donośnym dźwiękiem. Potem potwór przemówił znowu, wciąż zbliżając się ku pozostałym ludziom.

– Patrzcie, jak niewiele znaczą dla Jukali zwykli śmiertelnicy! Uciekajcie dalej lub spróbujcie walczyć, ale wiedzcie jedno – teraz, gdy zrodziłem się znów, będę rządził waszym nędznym światem!

Conan zatrzymał się tylko na moment, by chwycić upuszczoną broń Shemity, potem zaś podążył za biegnącymi towarzyszami. Drugi z gwardzistów odrzucił pochodnię, co teraz zresztą nie miało znaczenia – byli już w wylotu korytarza. Wypadli pędem na zewnątrz, a za sobą słyszeli sapanie Jukali, który próbował wpasować swe cielsko w wąskie przejście. Hk'Cha, wciąż klęczący u wrót tajemniczej świątyni, patrzył na nich szeroko rozwartymi oczami.

– Wstawaj, bracie, i w nogi! – wrzasnął Conan ku kanibalowi, ponaglając go

dotatkowo energicznym gestem – Twój bóg się zbudził i ma duży apetyt! – Stanawszy o boku Caspiusa i strzegącego go gwardzisty, odwrócił się ku bazaltowej budowli. – Przy odrobinie szczęścia uwięźnię w tych wrotach.

Tak się jednak nie stało. To, co zwało się Jukalą, przykucnąwszy napařło na skały nadludzkim wysiłkiem. Przez bramę przecisnęły się najpierw głowa i przednie kończyny, potem zaś reszta potężnego cielska. Gdy tylko znalazł się po drugiej stronie, monsturalna paszcza znów się otworzyła, a język uderzył ponownie, tym razem w nieruchomego, zmrożonego strachem Hk'Cha. Conan, widząc zamiar potwora, uniósł pikę, ale purpurowy język przeciał powietrze tak szybko, że Cymmerianin nie zdołał zareagować na czas. Jukala nie chwycił jednak swej ofiary jak poprzednio. Jego język zaledwie musnął kanibala, a wraz z tym dotknięciem na klęczącego spłynął snop nieznannej jasnej energii.

– Patrzcie – wycharczało monstrum – Jukala może zabić szybciej niż myśl, ale może też zesłać błogosławieństwo, może uczynić cuda z taką samą łatwością. Ci, którzy we mnie wierzą, nie muszą obawiać się mego gniewu, jeśli tylko pozostaną mi wierni.

Potwór stał u wejścia do świątyni i zdawał się smakować powietrze i promienie słońca, których nie mógł doświadczyć przez niezliczone wieki. Conan zaś, przekonawszy się, że on i towarzyszący mu Shemici sąchwilowo poza zasięgiem groźnego jęzora, zatrzymał się i przyjrzał uważnie Hk'Cha, który, klęczący z pokorą i oddaniem, oddzielał ich od tego starożytnego fatum. A dotknięcie boga nie pozostało bez wpływu na osobę kanibala – on także ulegał przekształceniom. Postać, która powstała z kolan i zwróciła ku nim oblicze, była wyższa, o jaśniejszej skórze i innych rysach twarzy. Ku zdumieniu Conana, była to czarownica – Zeriti. A właściwie coś pomiędzy wiedźmą a ich dawnym kompanem, jako że Zeriti wciąż miała na sobie ubranie Hk'Cha, składające się z pióropusza i kościanych ozdób, które skrywały kobiece kształty. Widzieli długie, smukłe nogi czarodziejki, jej pomalowane na czarno paznokcie, duże pełne piersi i szeroką bliznę między nimi, tam, gdzie niegdyś dosięgnął ją śmiertelny cios. Kiedy jednak się uśmiechnęła, dostrzegli, że pozostały jej zaostrome zęby kanibala; one oraz rytualne blizny na policzkach przypominały im, kim była jeszcze przed chwilą.

– Hej, podróżnicy – pozdrowił ich głos, który Conan tak dobrze pamiętał z nocnych koszmarów. – Przystojny Cymmerianin i mój oddany sługa Caspius! Możecie się nie obawiać o swego przyjaciela ludożercę, bo on jest jednym z wiernych. Wielki Jukala potrafi odebrać życie dotknięciem swojego boskiego języka, a czasem zabiera tylko duszę, którą może zwrócić, jeśli takie będzie jego życzenie.

Conan zacisnął mocniej dłoń na włócznie, zamierzając cisnąć nią w szydzącą Zeriti, ale jak zgadywał to, co widział, było tylko iluzją pod którą kryło się ciało Hk'Cha. Po za tym raz już zabito tę wiedźmę, przypominała mu o tym blizna, ślad po mieczu Imbalayo.

– No ładnie, mój dzielny Cymmerianinie – prowokowała czarownica, obserwując jego wewnętrzną walkę. – Przestałeś już traktować po rycersku kobiety! Proszę, uderz, jeśli chcesz – Zeriti uniosła ręce i zakołysała swym smukłym ciałem. – U twych stóp znajdzie się wtedy martwy kanibal.

– Przepadnij, kusicielko! – sapnął niecierpliwie Conan. – Po coś się tu zjawiała? Chcesz tylko nasycić swój wzrok ofiarami twych czarów?

– Och, chciałam tylko podziękować mojemu najwierniejszemu słudze Caspiusowi – ukłoniła się uprzejmie staremu medykowi – za pomoc w złamaniu pieczęci i uwolnieniu nieśmiertelnego Jukali z jego wiecznego snu. Bez twojej pomocy, starcze, to wielkie wydarzenie nigdy by nie zaszło, w każdym razie szansa była bardzo mała. – Odwróciła się i skłoniła znacznie niżej swemu bogu.

Wielki płaz wydawał się zadowolony, gdy tak stał w promieniach ciepłego słońca przed własną świątynią i oddawano mu pokornie cześć. Zamrugnął powiekami i rozsiadł się wygodnie, podpierając się wszystkimi czterema kończynami.

– Jeśli Caspius był częścią tego – warknął gniewnie Conan – to w wyniku twoich czarów...

– To przez sny, Conanie! – przerwał mu łamiący się głos starca za plecami. – To przez znieprawione, niemożliwe do wyobrażenia koszmary. Widzieliście ich cień, ale nie zdawaliście sobie sprawy z ich prawdziwej potęgi. Z tego, co przeżywałem przez te wszystkie miesiące, przez te wszystkie mile! Gdybyś to widział, byłbyś teraz tak samo szalony, jak ja...jak ja byłem...

– Nękały cię koszmary? – zdziwił się Conan – Już po opuszczeniu Baalur?

– Po opuszczeniu miasta przyszło najgorsze – odpowiedział starzec. – Kiedy innym zdarzało się budzić ze snu z krzykiem, ja leżałem w ciszy, obawiałem się nawet jęknąć – wyznał cicho, wstydząc się podnieść wzrok na swego dowódcę. Nie masz pojęcia, co widziałem. Ja musiałem być posłuszny. Przykro mi, tak mi przykro. Ale od czasu, gdy przyniosłeś lotos... – trzymał w dłoni skruszony płatek i przyciskał je do nosa – Ten zapach przywraca mi jasność myśli. To naprawdę skutkuje!

Zeriti stała ze zjadliwym uśmiechem na ustach a po ostatnich słowach Caspiusa wzruszyła niecierpliwie ramionami. – Nie obchodzi mnie teraz, czy istnieje jakieś antidotum na moje czary. Nie potrzebuję już snów, by cię kontrolować. A lotos nigdy nie dotrze do Baalur, zresztą nie musi. Był tylko dobrym pretekstem, by przywieść was tutaj – w miejsce, gdzie narodził się Jukala, do centrum świata.

Conan po raz pierwszy odpowiedział jej śmiechem.

– Jeśli sądzisz, że teraz, po przebyciu kilku tysięcy mil, ty albo twój samozwańczy bóg są w stanie zmusić mnie do zaniechania misji...

– Myślisz, że masz jakiś wybór? – przerwała niecierpliwie Zeriti – Jukala odzyskał już swą moc, przynajmniej tyle, że wystarczy na ciebie i twoją nędzną bandę. A ty, wielki wodzu, jesteś moim urodzinowym prezentem dla niego! Twoje ciało posłuży za wygodną formę, w której on powróci na ziemię, gdy już pozbędzie się twojej żalostnej duszy. Wrócisz więc zapewne do Baalur i to może nawet z cennym lotosem, jeśli taka będzie wola Jukali, ale także z czymś znacznie potężniejszym – z nową wiarą. Znękanie miasto Baalur będzie pierwszym, które odda cześć nowemu bogu. Twoja była kochanka Rufia i ten rogowy Aphrates będą pierwszymi ludzkimi władcami, którzy ukorzą się przed jego potęgą i chwałą! A ich bękart, księżniczka Ismaia, będzie przez krótki czas jego śmiertelną żoną i pierwszą ofiarą na jego ołtarzu! A ja, ja zostanę najwyższą kapłanką, prawdziwym głosem jego nieśmiertelnej mądrości, tą, która będzie głosić jego chwałę we wszystkich hyboryjskich królestwach i na całym świecie!

– Zważcie na to, co ona mówi, śmiertelnicy, gdyż tak właśnie się stanie. – Za plecami Zeriti rozbrzmiał skrzeczący głos potwora, nabierający mocy z każdym słowem. – Wiedźcie, żalostne ssaki, że ja byłem już bogiem wśród ras, które istniały, zanim ludzie pojawili się na tym świecie! Byłem bogiem w mojej olbrzymiej Sylurii i w późniejszych królestwach! Panowałem nad najpotężniejszymi i najdosłójniejszymi bestiami, stworzonymi na moje podobieństwo – wielkimi królami – jaszczurami, którzy władali ziemią przez miliony. Dla mnie cała historia waszej rasy jest tylko jednym mgnieniem! Ale wy także zostaliście stworzeni na moje podobieństwo, albowiem chodźcie w wyprostowanej postawie. Mam więc prawo do władzy nad wami!

Kiedy Zeriti i jej potworny bóg wdawali się w zawiłe oracje, Conan rozglądał się uważnie wokoło. Od czasu gdy zanurzyli się w głąb świątyni w poszukiwaniu Caspiusa, wulkany stały się jakby bardziej aktywne. Szczególnie najbliższy wydawał się zaniepokojony istotą, która narodziła się w jego wnętrznościach. Z poszarpanego krateru wydobywały się chmury siarki i gorącego pyłu, a czarny dym tworzył szybko rosnącą burzową chmurę. Widać już było odległe błyski na niebie, a groźne pomruki odzywały się zarówno w przestworzach, jak i we wnętrzu ziemi. Wstrząsy skalistego podłoża, gniew góry, Conan wyczuwał pod swymi stopami. Gdy Cymmerianin spojrział w górę doliny, wyłoniła się stamtąd grupa powracających Shemitów, uzbrojonych we włócznie i długie piki. Musieli usłyszeć chrapliwy głos Jukali i dostrzec jego potworny kształt na tle skalistych turni i bazaltowych form, albowiem porzucili natychmiast naręcza lotosu i pospieszyli do swego przywódcy.

– Trzymajcie się z dala! – krzyknął Conan. – Zachowajcie dystans, bo ten diabelski stwór jest bardzo niebezpieczny! Jeśli na niego skoczemy, to wszyscy naraz, ze wszystkich stron! Przygotować włócznie!

Jukala mógł bez trudu dosięgnąć Conana i wessać go do swej paszczy.

– Ach, więc zbliża się armia wiernych żołnierzy! – Ludzka mowa, wydobywająca się z gardzieli potwora i odbijająca się echem wśród skalistych ścian zaskoczyła zbliżających się Shemitów, którzy nagle stanęli w pół drogi. – Zobaczmy czy będą ci tak oddani, dowódcu, kiedy ty będziesz posłuszny mnie!

To mówiąc, bestia skoczyła w stronę Conana z niewiarygodną szybkością. Najwyraźniej dopiero co zrodzony potwór nie przestał się rozwijać i rosnąć, gdy stał u wrót świątyni i przyglądał się słońcu. Kiedy biegł, jego wielka paszcza ponownie się otworzyła i widoczny stał się długi, purpurowy jęzor.

Na widok szarżującej bestii Conan odskoczył w tył, unosząc jednocześnie włócznię, by zasłonić się przed tą atakującą go „macką”.

Jęzor uderzył z siłą, która niemal zwała go z nóg, ale zdołał zablokować tego wijącego się purpurowego węża. Wtedy potwór zmienił kierunek ataku, jego język oplótł stojącego obok Conana starca.

– Caspiusie!

Cymmerianin skoczył do i przodu podał mu włócznię. Stary medyk chwycił ją i zaparł się o ziemię, używając całej swej siły. Ale jęzor potwora oplótł go w pasie i włókł nieubłaganie, a rękojeść włóczni, mokra od śliny bestii, wyslizgnęła się z ręki Conana i broń podążyła wraz z trzymającym ją kurczowo starcem ku paszczy potwora.

– Niech Crom ześle zarazę na twoje wnętrzności, ty oślizgły demonie! – krzyknął Conan, po czym dobył miecza i bez wahania skoczył naprzód. – Do boju, ruszać! Wszyscy razem, na Cromy!!!

Nagle Cymmerianin dostrzegł, że z okolic nozdrzy Jukali zaczyna wyrastać długi róg. Było to stalowe ostrze włóczni, trzymanej wciąż przez Caspiusa. Kłapnęły szczęki i rozległ się donośny ryk bestii, ryk wściekłości i bólu. Medyk został ciśnięty na skaliste podłoże, otoczył się kilka metrów i legł bez ruchu. Gigantyczny purpurowy język oplótł się wokół drzewca sterczącej z podniebienia włóczni i wyrwał ją, uwalniając przy tym strumień czerwonej posoki. Potwór kłapnął ponownie szczęką, wypluwając resztki połamanego drzewca, a jego wylupiające oczy błyszczały wściekłym gniewem.

Żołnierze Conana, którzy zaatakowali Jukalę, zostali błyskawicznie rozproszeni, gdy rozszoszczona bestia wpadła między nich i zaczęła rozdierać ich ciała uzbrojonymi w pazury łapami i krótkim, mocnym ogonem. Niektórych zmiażdżyło masywne cielsko, innych przepełowiły potężne kły jeszcze innych pozbawił życia uderzający silnie jęzor. Kilka ciężkich włóczni dosięgnęło twardej skóry potwora, ale nie uczyniły mu poważniejszej szkody. Jukala poruszał się pomiędzy nimi jak jaszczurka pomiędzy mrówkami i Conan szybko zrozumiał, że ta walka jest rozpaczliwie nierówna.

– Do tyłu! Odwrót w górę strumienia! – Machał w powietrzu mieczem, pokazując kierunek. Wiedział, że tą bronią nie jest w stanie zranić Jukali.

Może wyżej, na skalistym zboczu, znajdzie się jakiś lepszy sposób. Nie było czasu, by zbudować jakieś maszyny wojenne albo pułapkę, która mogłaby powstrzymać bestię, a cała ciężka broń została w dole rzeki w obozie i na łodziach. Nie rosły tu nawet drzewa, tylko nagie skały i dzikie kwiaty, a potwór odciął drogę do łodzi. Jednak najważniejszą rzeczą był lotos. Jeśli trzeba, wydostaną się z nim przez lodowiec.

Gdy Conan i jego wojownicy rzucili się do panicznej ucieczki, Jukala zaprzestał na moment szarży, dając im chwilę oddechu. Podążył ku rzece i pochyliwszy grubą szyję, wciągnął z donośnym dźwiękiem niewiarygodnie duży haust wody, by ochłodzić zranione usta. Potem, niemal wysuszony koryto Styksu, zwrócił się ponownie w stronę szerokiego skalnego zbocza, wiodącego ku następnemu progowi rzeki i podążył za uciekającymi ciężkim, majestatycznym krokiem.

Gdyby tylko można zepchnąć na niego głazy. Ale zbocza doliny nie były w tym miejscu wystarczająco strome, a wyżej znajdował się głównie wulkaniczny popiół i drobny żwir oraz olbrzymie bryły skamieniałej lawy. Nie było też łatwo dosięgnąć potwora, który pędził pomiędzy strumieniem rzeki a głębokimi szczelinami skalnymi, zasłaniany przez unoszące się stamtąd kłęby dymu. I wtedy Conan wpadł na pomysł.

– Hej, stać! Zwalcie tę skałę! – zawołał donośnie. – Całe to rumowisko musi znaleźć się na dole i zatamować rzekę!

Wsadził ostrze włóczni pod jeden z luźnych głazów i napał nań z całej siły. W chwilę później inni podążyli za jego przykładem i szeroki fragment zbocza zsunął się na dół, pociągając za sobą lawinę kamieni, która opadła z łoskotem w koryto strumienia. Żołnierze pracowali w pocie czoła, zrzucając kolejne głazy. Zapora na rzece rosła, a powyżej piętrzyła się woda. Jeżeli nawet Jukala rozumiał i niepokoił się ich poczynaniami, nie dał tego po sobie poznać i w dalszym ciągu uparcie pisał się ku nim.

– Teraz poślijcie w dół całą tę półkę. Napnijcie wszyscy mięśnie, ona musi spaść! – Przeskoczywszy przez wąską strużkę strumienia, Conan powiodł kilkunastu Shemitów, ku przeciwległemu, nieco bardziej stromemu zboczu wąwozu. Pierwszy wbił włócznię we właściwe miejsce i zaintonował refren żeglarskiej szanty.

Skalny nawis obluzował się, a potem z donośnym hałasem runął w dół, uzupełniając zaimprovizowaną zaporę. Jeden lub dwóch mężczyzn spadło wraz z lawiną – przeżyli czy nie, trudno było określić wśród chmury pyłu, jaką wzbili opadające kamienie, ale efekt ich pracy był natychmiastowy. Wody Styksu, którym zagrodzono właściwe koryto, popłynęły bokiem doliny obmywając bazaltowe zbocza. Uwolniona rzeka podażyła ku wspinającemu się Jukali i tuż przy nim wpłynęła do głębokich, dymiących szczelin w skalnym podłożu, z których buchały płomienie gorącego wnętrza ziemi.

Nastąpiła gwałtowna eksplozja. Kłęby gorącej pary i odłamki skalne wystrzeliły ku niebu, a donośny huk ogłuszył wszystkich. Jak żywy ogień, wystrzeliła też płonąca lawa, na całej długości nowego pęknięcia ziemi zaryczały walczące żywioły. I zdało się Conanowi, że sama ziemia jęknęła w agonii, jakby ktoś posypał na jej otwarte rany sól. Para wodna utworzyła nieprzeniknioną białą kurtynę, strwożeni mężczyźni aż cofnęli się w popłochu.

Ale eksplozja odniosła skutek, widzieli to mimo tej zasłony dymnej. Wrzask boga-gada był nie mniej donośny niż odgłosy z głębi ziemi. Wielkie ciało zostało odrzucone na znaczną odległość, a patrzący ujrzeli olbrzymie płaty skóry zerwane przez wrzące gazy. Desperacko uciekająca przed płomieniami bestia wytoczyła się w prawie suche teraz dawne koryto rzeki.

– Mamy go! Walić w niego kamieniami, włóczniami, cokolwiek znajdziecie!

Conan uniósł olbrzymi głaz i cisnął go w poparzone ciało Jukali. Jako następna poszybowała jego włócznia. Rzucona z całej siły, zaryła się głęboko w szyi potwora. Pozostali żołnierze również nie próżnowali, obrzucając powalonego boga gradem kamieni, włóczni i oszczepów.

A kiedy to, co zwało się Jukalą, dzwignęło się z wysiłkiem i poczołgało w dół, Conan podażył za nim. Dobył miecza i z groźnym okrzykiem bojowym ciał po tylnych nogach potwora. Zanurzył ostrze wprost pomiędzy płaty spalonej, pokrytej pancerzem, lecz teraz zwisającej skóry. Inni podażyli za jego przykładem, dźgając i tnąc bez litości, ale żaden nie wpadł w taki szal bojowy jak Conan, który raz za razem, ciał potwora skąpany w strugach gorącej krwi. Jego przekleństwa były w monstrum równie silnie.

– Precz, wielka ropucho! Właż z powrotem do swej śmierdzącej jamy na następne milion lat! Jesteś bogiem robaków, a nie ludzi! Pełzających i ślepych glist!

I rzeczywiście, znieważony i torturowany bóg skierował się ku pieczarze, wlokąc się z wysiłkiem ku bazaltowym głazom, spośród których dumnie wkroczył w ten świat. Będąc już niemal u celu, opadł bezsilnie i dalej pełził już tylko na poparzonym brzuchu. Conan uskoczył w porę, unikając przywalenia przez potężne cielsko, pozostał jednak w pobliżu i ciał raz po raz z furją ogon potwora. Monstrum wiło się i szarpało, próbując precyzyjnie swoje zmasakrowane ciało przez portal, który niedawno rozepchnęło bez żadnego trudu. Wreszcie udało mu się, zniknął w mrocznych czeluściach swej starożytnej świątyni.

– Chwytać się za głazy! – rozkazał Conan. – Do roboty, trzeba zawrzeć te drzwi! Zapieczętujemy na zawsze tę obmierzłą świątynię, a raczej jego grób!

Shemici, wrzeszcząc i tańcząc opętani radością, natychmiast wypełnili polecenie wodza. Wielkie kamienne płyty zadziwiająco łatwo wróciły do pierwotnej pozycji, chociaż na pierwszy rzut oka zdawały się niemożliwe do poruszenia. A kiedy wrota zostały zawarte, zza pleców Conana rozległ się donośny krzyk.

– O, przekłęci! Zbrodniarze, heretycy! Jakiego strasznego dopuściliście się bluźnierstwa, raniąc w tak okrutny sposób dostojną istotę!

To była Zeriti, wciąż w ozdobach kanibala. Gdy Jukalą przypuścił na nich atak, stała z boku i przyglądała się, potem zaś musiała się ukryć, by nie wepchnięto jej do krypty wraz z jej bogiem. Teraz jednak stała nieulękła przed tymi, którzy pokonali jej władcę.

Shemici dobrze znali tę postać, więc co najmniej pół tuzina zakrwawionych włóczni przecięło powietrze, chybiając wiedźmę o włos. Ale Conan powstrzymał ich.

– Stać! Jeśli ją traficie, zabijecie tylko Hk'Cha. Ona jest iluzją, która nas kusi. – Zwrócił się do Zeriti. – Przepadnij, czarownico!

Ta roześmiała się, ukazując spiłowane zęby.

– Tak, przepadnę, ale czy ty nie. To zależy od duchów tych gór. – Powiodła wzrokiem spojrzeniem po szczytach wulkanów, które budziły się do aktywności wśród groźnych pomruków – Jeśli taka będzie ich wola, spotkamy się znowu... za rok, może dwa, jakkolwiek długo będziesz wracał do domu. A kiedy zakończę moje dzieło w Baalur i zemszczę się na tym mieście, będziecie oglądać tylko

zgliszcza. Albowiem przybędziecie za późno!

– Twój bóg jest martwy, diablico – Conan – co więc ci pozostało?

Wiedział, że nie może nic zrobić, i nienawidził swej słabości. Był bezsilny wobec tego demona i cały triumf nad Jukalą stracił znaczenie.

– Mój bóg, ha! Ten patetyczny słabeusz? – Zeriti wzruszyła swymi nagimi ramionami z pogardą. – Powrócę do Seta, młodszego i potężniejszego boga, który wciąż ma legiony wiernych sług w mojej ojczyźnie i poza nią. Jego kapłani powitają mnie w swym zaklętym kręgu. Pamiętaj, stygijskie ziemie i wojska są pomiędzy tobą a Baalur! – Potrząsnęła czarnymi włosami. – Kapłanka Seta, tak... żmija, która walczy trucizną i zdradą... cóż za znakomita myśl! Ale najpierw muszę zakończyć inną sprawę. – Po tych słowach Zeriti odwróciła się i znikła jak zły sen.

Tam, gdzie przed chwilą widzieli wiedźmę, teraz stał Hk'Cha. Natychmiast opadł na kolana i ukrył twarz w drżących dłoniach.

Zaledwie o kilka metrów dalej, w niszy między skałami, znaleziono Caspiusa. Był poturbowany, poraniony i pokryty śliną potwora, ale żył. A kiedy ujrzał pochylającego się nad nim Cymmerianina, wymamrotał ze wstydem:

– Tak mi przykro, tak przykro Conanie... całe życie wiernej służby zakończyło się zdradą. Byłem za słaby.

– Byłeś silny, starcze! – zapewnił go Conan – Możesz uważać się za bohatera. Jukala został pokonany, a ty pierwszy przelałeś jego krew. – Klepnął energicznie medyka w mniej poturbowane ramię. – I nie myśl, że twoje życie się skończyło. Rozkazuję ci wyzdrowieć i pomóc nam zakończyć misję, a snów nie musisz się już obawiać, bo lotosu mamy tu mnóstwo!

Caspiusa umieszczono na noszach a poległych pobłogosławiono i wrzucono do płonących szczelin. Dopiero teraz Conan mógł się zająć tymi, którzy przeżyli. Najbardziej obawiał się, że rozbudzone wulkany mogą pokryć dolinę gorącym pyłem i wyziewami gazów, spalić zebrane kwiaty i uniemożliwić bezpieczny odwrót.

– Teraz – rozkazał – wracajcie do zrywania lotosu! Znieście kwiaty do jaskiń poniżej, tam je zasuszemy! Wy dwaj, rozpakować liny i przygotować się do robienia bel. Im szybciej załadujemy na statki, tym szybciej znajdziemy się w domu.

XXII

MOSIĘŻNE DZWONY

Księżniczka Ismaia obudziła się cudownie wypoczęta. Promienie słoneczne wślizgiwały się do pokoju przez jedwabne zasłony i padały jasnym światłem na jej różowe łoże. Tańczyły też na srebrnej i kryształowej zastawie na stoliku księżniczki, ozdabiając pokój tęczowymi błyskami, jakby cały wypełniony był drogocennymi klejnotami. Ismaia wstała z posłania i przebiegła bosymi stopami po kamiennej posadzce koło oknu. Pogoda była wspaniała, toteż dziewczynka odsłoniła zasłony na całą szerokość. W jej nozdrza uderzyła fala słodkiego zapachu rosnących w ogrodzie różnobarwnych kwiatów, a jeszcze barwniejsze ptaki powitały księżniczkę radosnym świergotem. Wiosenne powietrze było rześkie i świeże, a niebo nad murami i dachami miasta błękitne, pozbawione najmniejszej choćby chmurki.

Ismaia pomyślała, że dawno już nie była na dworze, potem zaś jej myśli pobiegły ku rodzicom. – Wydawali się zadziwiająco odległym wspomnieniem, tak jakby przez długi czas z nimi nie przebywała. Ale wciąż było to miłe wspomnienie. Pamiętała ich zatroskane twarze pochylające się nad nią w nocy...

Zapewne na dole właśnie podawano śniadanie. Jej matka, królowa, na pewno była w trakcie porannej toalety i na pewno na nią czekała. Zawsze lubiła się temu przyglądać, tyle można było się nauczyć interesujących rzeczy. Odwróciła się od okna i pobiegła ku wyjściu na ganek. Metalowy skobel i ciężkie drzwi nie były poważną przeszkodą, dziewczynka radośnie wybiegła w piękny wiosenny poranek.

Jednak gdy znalazła się w ogrodowej alejce, słońce skrył jakiś mroczny cień i dziewczynka usłyszała nad głową uderzenia wielkich skrzydeł. Usłyszała też ponure skrzeczenie, które następnie przeszło w triumfalny śmiech kobiety. Ismaia krzyknęła przerażona, kiedy ostre szpony chwyciły jej szaty, ręce, włosy i pociągnęły za sobą, uniosły, mimo iż rozpaczliwie się broniła. Ujrzała w dole oddalające się zamkowe mury, pałacowy ogród, a wysokość, na jakiej się znalazła, przyprawiała ją o zawrót głowy. Unoszące ją ptaki okropnie śmierzdziały, fala tego odoru dochodziła ją z każdym uderzeniem ich ciężkich skrzydeł. Kiedy

odważyła się na nie spojrzeć, krzyknęła ponownie, tym razem z odrazy. Jakoż były odrażające – ciało pod ich potarganymi piórami gniło i rozkładało się, a wielkie wylupiające oczy zajmowały niemal pół głowy i zdawały się wylewać na zewnątrz. Szpony potworów wbijały się boleśnie w jej skórę, zwłaszcza w kostkach i nadgarstkach; mimo przerażenia i odrazy nie ważyła się jednak stawiać oporu z obawy przed śmiertelnym upadkiem na dachy coraz bardziej malejących domostw.

Spoglądając w dół, dojrzała dwie ludzkie figurki, które wybiegły na pałacowy ganek. To byli matka i ojciec. Krzyczeli z rozpaczą jej imię.

– Ismaia! Moje biedne dziecko, kiedy wreszcie się zbudzisz? – królowa uniosła wzrok znad bladego oblicza śpiącej dziewczynki i spojrzała na męża.

Rufia też wyglądała na przemęczoną, widać to było wyraźnie nawet w świetle kaganka. Aphrates spoglądał na żonę świadom swojej bezsilności. W ciągu ostatnich kilku miesięcy niewiele rzeczy mogło go wyrwać ze stanu melancholii. Zza okna dobiegały dźwięki mosiężnych dzwonów i brązowych trąb. Odbijały się echem od kamiennych murów. Hałas ten miał trwać całą noc – tak stanowił ostatni dekret królewski. Zarówno muzycy, jak i ci, którzy chcąc nie chcąc musieli ich słuchać, ratowali się w ten sposób przed nocnymi koszmarami. Ale nic nie było w stanie pomóc księżniczce. Od wielu dni leżała pogrążona w głębokiej śpiączce, podobnej do śmierci. Patrząc na przerażenie malujące się raz po raz na twarzy dziecka, zgadywali, że Ismaia bardzo cierpi.

– Jak długo to potrwa? – lamentowała Rufia, masując delikatnie szczupłe ręce księżniczki, by nie dopuścić do zaniku mięśni. – Gdyby legion powrócił albo choć przesłał następną wiadomość, mielibyśmy choć nadzieję. To już tyle czasu.

Aphrates podszedł do okna.

– Niechby wrócili nawet bez lotosu – powiedział. – Potrzebuję ich, by utrzymać porządek w mieście.

Spoglądał w mrok nocy, obserwując płomienie ognia i towarzyszące im kłęby dymu, które pojawiły się na horyzoncie w dwóch odległych od siebie punktach miasta. Wsłuchiwał się też w liczne wrzaski oszalałych ludzi, głośniejsze nawet niż dźwięki dzwonów.

– Jak możesz tak mówić? – zapytała rozgoryczona królowa. – Ja wiem, że oni przyniosą lekarstwo. Znam Conana bardzo dobrze... – zawiesiła głos – Towarzyszą mu nasi najlepsi żołnierze. To prawda, przydaliby się teraz tutaj! – Poprawiła pościel chorego dziecka i ponownie spojrzała na męża. – Jeśli jednak nie powrócą w ciągu kilku miesięcy, czy dopuszczasz inne sposoby rozwiązania tego problemu?

Król odwrócił się gwałtownie.

– Masz na myśli czarną magię? Miałbym zatrudnić jakiegoś obmierzłego czarnoksiężnika, by pomógł rozwiązać nasze problemy? Już ci mówiłem, że ich usługi kosztują zbyt drogo. Poza tym nigdy nie oddam mojego miasta, mojej rodziny, mojej dynastii w ręce jakiegoś nekromanty!

– Ale teraz też jesteśmy w rękach czarnej magii! Kimże jest Zeriti, jeśli nie adeptką czarnej magii? – Rufia okrzyknęła łóżko dziecka i chwyciła męża za ramię. – Aphratesie, są jeszcze inne jej źródła – wyznawcy Seta na przykład. Wiem, że mają swych ludzi także w Baalur i kontakt z władcami Stygii! Jeśli nasi bogowie nie potrafią nas ochronić, może należy zwrócić się do innych. A Stygia leży na szlaku Conana. Mogą pomóc naszym żołnierzom na południowych szlakach!

– Dość!!! – uciał król, wrywając się żonie – Baalur nigdy nie stanie się lennem Stygii, nigdy za mego panowania i za panowania mojej córki, jeśli przeżyje! Wiem, że Stygijczycy spiskują tutaj, nawet z pomocą wielu wysoko postawionych dostojników na moim dworze, ale nie mam zamiaru im się oddać! Dałem twojemu Conanowi najlepszy możliwy ekwipunek i ludzi. Jeśli tego jest mu mało, by wypełnić zadanie, jeśli musi korzystać z pomocy obcych magów, niech lepiej zdycha gdzieś tam na bezdrożach! A to miasto prędzej spalę do cna, niż oddam je we władanie bogom zła!

XXIII

PODRÓŻ NA GRZBIECIE WĘŻA

Pozostali przy życiu członkowie ekspedycji ciężko pracowali przez całą noc zbierając lotos i przygotowując go do załadunku. Poziom rzeki wciąż się podnosił, raz po raz wybuchały wulkany, a niebo przecinały błyskawice. Podczas gdy kraterzy płonęły i dymiły, pokrywając dolinę opadami popiołu, ich wewnętrzne ognie powodowały gwałtowne topienie się śnieżnych pól w wyższych partiach

stoków. Z nieba zaś lały się prawdziwe potoki ulewnych deszczów, które dodatkowo zasilaly falę powodziową.

Na szczęście jaskinie, które wybrali do suszenia lotosu, były obszerne i głębokie, co pozwalało na uchronienie kwiatów przed potokami deszczu a nawet szybsze wysuszenie go na rozgrzanych przez wewnętrzną aktywność ziemi kamieniach. Zasuszone zioła były następnie zbierane przez ociekających potem mężczyzn, którzy po tej pracy musieli zażyć kąpieli w lodowatej rzece, aby ostudzić swe ciała.

Zgodnie z poleceniami Caspiusa zbierano i suszono tylko delikatne srebrne płatki i pręciki roślin. Suche rośliny wiązano delikatnie, a następnie owijano w mocne płótno, które pieczętowano gorącym woskiem.

Tereny porośnięte kwiatami były tak olbrzymie, że wkrótce zebrano dość lotosu, by wystarczyło do postawienia na nogi całego miasta. Główne zagrożenie dla zbieraczy stanowiły wyrzucane przez wulkany głązy, które często toczyły się w zupełnie przypadkowych kierunkach po zboczach gór, rozpryskując siew kawałki o ostrych brzegach. A że bywały rozgrzane do czerwoności, często powodowały zaproszenie ognia wśród rosnących w dolinie kwiatów.

Z nastaniem świtu gotowe paczki umocowano pomiędzy połączonymi za pomocą lin włócznie. W takich zaimprovizowanych nosidłach zaczęto transportować je w dół doliny. Pakunki z lotosem musiały być przeniesione przez śnieg, jako że gwałtownie przybierający Styks zniósł prowizoryczną zaporę, którą zbudowali powyżej grobowca Jukali, a rozgrzana przez aktywność wulkanów woda roztapiała lodową jaskinię poniżej. Z każdym wstrząsem budzących się ze snu gór nowe zwały lodu i śniegu spadały do grzmiącej rzeki, zwiększając rozmiary kataklizmu.

Conan i jego ludzie musieli wspiać się wysoko na zbocze, aby uniknąć pędzącej w dół wody oraz tworzących się szczelin w skalnym podłożu, i w dodatku musieli to zrobić bez asekuracji linami, te bowiem zostały zużyte do przymocowania paczek z lotosem do drewnianych tyk. Wspinali się mozolnie, ślizgając się na zamrożonym śniegu. Wielu Shemitów miało wkrótce odmrożone ręce, bo właśnie nimi musieli cały czas chwytać się śniegu i lodu, aby nie zjechać w dół, w ryczącą wodę. W końcu zdołali dotrzeć do brzegu jeziora, gdzie oczekiwały ich łodzie.

Ci, którzy pełnili przy nich straż, również mieli za sobą długą i ciężką noc, w czasie której czynili nadludzkie wysiłki, by uchronić statek i kanoe przed porwaniem przez pędzący w dół nurt wezbranej rzeki. Wzmocnione cumy, dodatkowe kotwice oraz wbite głęboko w śnieg części masztu, do których dowiązano dodatkowe liny, zdołały uchronić statki przed siłą rozgniewanego żywiołu. Gdy następnie podholowano większy statek bezpośrednio pod zbocze lodowego klifu, Conan i jego żołnierze mogli opuścić na linach paczki z lotosem wprost na pokład, a następnie w ten sam sposób dostali się tam sami. Tłocząc się na wąskiej przestrzeni, która pozostała po załadowaniu paczek, załoga chwyciła za wiosła i podróż przez jezioro mogła się rozpocząć. Ponieważ kilku ludzi nie zmieściło się na statku, musieli także użyć długiego kanoe. Nie sposób było, niestety, połączyć obu łodzi liną. Wobec olbrzymiej siły rwących prądów rzecznych groziło to poważnym niebezpieczeństwem, gdyż łodzie mogły się splatać i przewrócić.

Dotychczas całkowicie czarna powierzchnia jeziora była teraz pokryta czerwonym pyłem wulkanicznym i olbrzymimi kawałkami białego lodu. Conan zasiadł na dziobie łodzi na paczkach z lotosem. W duchu przygotował się już na długą i wyczerpującą podróż do Shem. Wprawdzie udało im się osiągnąć cel wyprawy, ale przekroczyli ostateczny termin, który wyznaczyła sama natura. Nadszedł sezon powodzi, a do zwykłych o tej porze roku ulewnych deszczów dołączyły jeszcze czapy topiącego się na skutek wzmożonej aktywności wulkanów lodu. Pośpiech Zeriti upewniał Conana, że Aphrates wciąż jeszcze rządzi w Baalur, ale jak długo królewska rodzina mogła utrzymać się przy władzy, jeżeli plaga złych snów wciąż będzie nękała miasto. Przy tym stanie rzeki powrót poprzez imperium Stygii mógł zająć kilka miesięcy, a niewykluczone, że katarakty rzeki były niemożliwe do przebycia. W najgorszym wypadku mogło to oznaczać konieczność oczekiwania na zakończenie pory deszczowej. Gdy przepłyną jezioro, wydostaną się przynajmniej z tego zdradzieckiego obszaru, gdzie groził im lód i ogień. A jeśli tam okaże się, że dalsza podróż wodą jest niemożliwa, będą musieli porzucić łodzie i podjąć forsowny marsz.

Wkrótce po wyruszeniu przekonali się, że górskie jezioro nie jest już właściwie jeziorem. Topiący się śnieg z ułożonych wyżej zboczy runął w dół całymi kaskadami i wciąż jeszcze zagrażały im dalsze lawiny. Poziom wody wzrastał alarmująco, a nurt pędził dziko naprzód wśród wirów i wstecznych

prądów, unosząc na powierzchni statki z szybkością, o jakiej wioślarze mogliby tylko marzyć, z szybkością, której nie mogły powstrzymać nawet najcięższe kotwice.

Gdy shemickie łodzie wychynęły zza granitowych klifów na główne rozlewisko jeziora, dostrzegli, że woda wypełniła już całą kotlinę a teraz przelewała się z rykiem do kanionu poniżej. Kamienne progi wodospadu zupełnie zniknęły pod wściekłym, porywającym wszystkim na swej drodze nurtem.

– Umocować cały ekwipunek i zabezpieczyć wiosła! – wrzasnął Conan do załogi – Przywiązać linami rannych do pokładu, a także siebie, jeśli chcecie! – wołał ponagląco, pędząc jednocześnie na rufę, aby osobiście uchwycić długie, nieporęczne wiosło sterowe. – Albo uda nam się przejść, albo wszyscy potoniemy w tym wściekłym nurcie!

Zanim mężczyźni zdążyli zabezpieczyć ekwipunek, wpadli w huczące, oślepiające i atakujące ze wszystkich stron piekło wody i lodu. Statek został dosłownie wessany w wir, a na pierwszym z progów niemal wyleciał w powietrze nad grzmiący nurt. Potem runął ponownie w dół, wzbijając bryzgi wody, i znów w górę na następnym skalistym uskoku. I tak trwała walka statku z żywiołem. Po każdym wyrzuceniu w górę następowało lądowanie, przy którym woda zalewała ich zupełnie, a wszystko to działo się przy niewiarygodnej, zapierającej dech prędkości. Skaliste zęby, z zatrważającym zgrzytem ocierały się o obie burty statku. Kaskady wody przelewały się przez dziób, przyduszając do pokładu i niemal topiąc siedzących wzdłuż obu burt mężczyzn, a ci na rufie, wliczając w to Hk'Cha i wciąż jeszcze osłabionego Caspiusa, którzy nie mogli uchwycić się burt i ciężkich wiosła, leżeli płasko w kokpicie, trzymając się z całych sił mokrego drewna. Conan zaś zacisnął kurczowo dłonie na rękojeści wiosła sterowego i wyrzaskiwał rozkazy, starając się przekrzyczeć wycie żywiołu.

– W tę stronę!!! Uwaga na skałę! Wyprostować kurs! Ruszać się, psy, naprzec na wiosła! Walczycie o swoje życie! Uwaga, kamień!!! Uwaga, pniak na lewej burcie!!! Minęliśmy go, na prawej wiosła wstecz, musimy obrócić dziób!

Walcząca o życie załoga kuliła się ze strachu przy każdym gwałtowniejszym wstrząsie, ale wykonywali rozkazy swego kapitana, bardziej odczytując jego myśli niż słysząc słowa, które zagłuszał huk wody. Statek tańczył szaleńczo na szczycie każdej z fal, a potem opadał głęboko w dół, ponownie zalewając ich strumieniem wody. Wiele razy obrócili się o sto osiemdziesiąt stopni, na szczęście jednak ani razu do góry dnem, co zdawało się bardzo bliskie w kilku olbrzymich wirach. Wiele też razy statek ocierał się dnem o skaliste podłoże, a raz ledwie o włos udało im się wyminąć olbrzymi pień, na którym mógł się zakończyć ich szaleńczy rejs. Mimo wszystko utrzymywali się wciąż na powierzchni wody. Powódź, aczkolwiek przerażająca w swej gwałtowności, wyrównała nurt rzeki, czyniąc wodospady i progi skalne możliwymi do przebycia. Poziom wody podniósł się tak wysoko, że szybując ponad nimi nawet nie odczuwali ich obecności, co najwyżej lekkie wstrząsy i czasem wsteczne prądy oraz wiry. Podstawowym problemem, było utrzymanie się mniej więcej pośrodku nurtu, aby uniknąć niezliczonych skał i mielizn, które widzieli przy brzegach, a które w czasie podróży w górę rzeki częstokroć były ich punktami orientacyjnymi.

Prędkość rzeki była oszołamiająca i zadziwiająca. W kilka godzin zaledwie osiągnęli doliny, do których idąc w górę docierali po wielu dniach wiosłowania i wspinania się. Odtwarzając w myślach przebytą drogę, Conan zastanawiał się, czy na ich drodze nie pojawi się teraz przeszkoda, która zakończy podróż. Na szczęście nie przypominał sobie jakiegoś wyjątkowo wysokiego uskoku skalnego czy szczeliny, które mogłyby być śmiertelnym niebezpieczeństwem. To prawda – gdzieś w dole mogła czyhać pułapka, o której nie pamiętał, ale mimo wszystko opłacało się podjąć ryzyko szaleńczego spływu, gdyż naprawdę połykali przestrzeń.

A potem, gdy na zachodzie zaczerwieniło się zachodzące słońce, byli ponownie na równinie, co powitały pełne ulgi okrzyki zmęczonych wioślarzy. Zbocza gór i skalne progi pozostały za nimi, przed nimi zaś znajdowało się tylko szerokie rozlewisko bystrej rzeki, przecinającej trawiaste stepy. Gdy zaś z kanionu za ich plecami wynurzyło się długie kanoe pełne towarzyszy, których już dawno pożegnali w myślach, spodziewając się raczej, że rozbili się na jednej z raf, radosne okrzyki i wiwaty rozbrzmiały znowu, tym razem z obu łodzi. Były one pełne radości i wdzięczności dla wszystkich bogów. Daleko na horyzoncie wulkany wciąż buchały ogniem, a ich białe zbocza ginęły w ciemnych chmurach dymu. Rzeka przed nimi była spokojna.

W czasie rejsu wzdłuż stepów znaleźli wreszcie trochę czasu, by zreperować i

doprowadzić do porządku łodzie. Pierwszej nocy przejrżeli dokładnie szkody oraz wysuszyli cały ekwipunek i ubrania, używając jako opału suchych gałęzi z zatopionych przez powódź drzew. Paczki z lotosem dobrze zniosły przeprawę przez góry, tylko jedna została częściowo przemoczona. Chcieli nawet wykorzystać jej zawartość i zrobić lotosową herbatę, jednak Conan nakazał ponowne wysuszenie ziół i naprawienie opakowania. Widział już w swym życiu wystarczająco wielu ludzi oszalałych po spożyciu różnych gatunków lotosu i wolał zapobiec nieznanym efektom ubocznym.

Jednak Caspius odzyskał zdrowie – zarówno fizyczne, jak i psychiczne – pod wpływem ziół. Od czasu do czasu wciągał nosem proszek, który przyrządził ze startych świeżych płatków i chociaż wciąż miał straszliwe wyrzuty sumienia, przemawiał już znacznie rozsądniej niż tam w górze rzeki, i zdawało się że uspokoiły się też jego sny. Kanibal Hk'Cha był w znakomitym humorze, odkąd opuścili góry i najwyraźniej nie żałował, iż bóg-krokodyl został pokonany. Naprawił swój łuk i z ochotą towarzyszył grupie, która wyszła na nocne polowanie. Wrócił obładowany mięsem, i w dodatku pochodzącym z gazeli, a nie z upolowanego człowieka.

Tempo podróży, chociaż już nie tak szalone, jak w górskim wąwozie, było w dalszym ciągu niezłe. Teraz, płynąc przez otwartą równinę, łatwo było utrzymywać statek w środkowej, najszybszej części nurtu i zwiększać prędkość łodzi za pomocą wiosła. Czasami tylko musieli lawirować między zatopionymi drzewami i porośniętymi gęstą roślinnością wysepkami. Należało wtedy uważać na węże i wygłodzone zwierzęta, które często zostały odcięte na takich samotnych drzewach lub skrawkach ładu przez wylewającą rzekę. Ryb nie było prawie wcale w płynącej bystro rzece, a woda miała wyjątkowo paskudny smak. Unosił się w niej czerwony muł i rozkładające się rośliny, nie wspominając już o pniach drzew oraz zwłokach utopionych zwierząt. Aby więc woda nadawała się do picia, musieli ją gotować.

W rozwidleniu rzeki, które kiedyś sprawiło tyle kłopotów z wyborem trasy, Styks był niemal dwukrotnie szerszy. Najwyraźniej powódź dotarła również do tej zachodniej odnogi. Jeżeli nawet ekspedycja pod dowództwem Lampridiusa wróciła już i zostawiła jakieś znaki lub chociażby ślady po obozie, dawno już zniszczyła je wciąż wzbierająca rzeka, która mknęła niepowstrzymanie i zatapiała wszystko na swej drodze.

Próbując odnaleźć swych towarzyszy, Conan wysłał kanoe na przeciwległy brzeg, sam zaś sterował większym statkiem tak wolno, jak to było możliwe, wiedząc, że gdzieś przed nimi jest olbrzymia katarakta, której nie sposób przebyć żadnym statkiem. Po kilku godzinach dryfowania z prądem i uważnego lustrowania brzegu zrazu cichy a potem narastający huk opadającej wody zasygnalizował im, że zbliżają się do wodospadu. Wkrótce też ujrzeli na horyzoncie jasną chmurę tworzoną przez rozbryzgującą się wokół wodę opadającą z olbrzymiego skalnego progu. Conan zarządził zarzucenie ciężkich kamieni kotwicznych na przybrzeżnej płyciźnie a jego ludzie zaczęli sygnalizować dźwiękiem rogów niebezpieczeństwo, aby ostrzec kanoe. Po chwili ujrzeli mniejszą jednostkę, lawirującą pomiędzy wysepkami i zatopionymi krzewami przy przeciwległym brzegu. Usłyszeli też odległe dźwięki rogów w dole rzeki.

Spojrząwszy na północ, Conan dostrzegł grupkę ludzi machających doń ze wzgórz po drugiej stronie rzeki. Było ich znacznie więcej, niż mieściło się na pokładzie mniejszej kanoe.

– Podnieść kotwicę! – rozkazał – Zdaje się, że znaleźliśmy naszych towarzyszy. Musimy ostro wiosłować w poprzek rzeki, jeśli chcemy do nich dołączyć.

Cymmerianin był pewien, że znajdują się wystarczająco daleko od katarakty, aby przeciąć olbrzymią rzekę, ale ta, szczególnie w centralnym nurcie, była już prawdziwym połykającym wszystko na swej drodze potworem. Czarna, mulista toń porwała i zakreśliła dziko statkiem, znosząc go ku śmiercionośnej katarakcie. Mimo energicznego wiosłowania Conan i jego załoga zostali poniesieni daleko w dół rzeki. Zanim osiągnęli środek rozlewiska, minęli już wzgórz, na których stali ich towarzysze, więc to, czy uda im się dostać na przeciwległy brzeg, albo raczej na jakikolwiek brzeg, nim zostaną pochłonięci na zawsze przez wodospad, leżało już tylko w rękach bogów.

Spośród drzew daleko przed dziobem wystrzeliło kanoe płynące im na pomoc. Siedziało w nim kilku Shemitów, a łódź była przywiązana 1 mą do jednego z drzew na brzegu rzeki. Kanoe, prowadzone wprawną ręką, przecinało łatwo przybrzeżne fale, kiedy jednak dotarło do potężnego głównego nurtu, również zaczęło być

znoszone w dół rzeki. Wioślarze zdwoili wysiłki. Naparli na wiosła, tocząc nierówną walkę z prądem Styksu. Na szczęście utrzymywała ich lina. Oba statki zbliżały się do siebie, z trudem starając się utrzymać kurs, i oba były znoszone w kierunku katarakty, którą można było już wyraźnie zobaczyć. Była już bardzo blisko – grzmiąca i rycząca brama piekła.

Napędzane pracą mięśni walczących o życie ludzi łodzie były coraz bliżej. Wreszcie rzucona z kanoe lina dosięgła statku Conana, który chwycił ją i natychmiast okręcił wokół nadbudówki.

Tymczasem załoga kanoe, walcząca z prądem, starała się ze wszystkich sił wybrać linę łączącą ich łódkę z brzegiem. Ta naprężyła się, a bystry prąd rzeki napierał na burtę łodzi, grożąc jej wywróceniem. I wtedy, jakby bogowie chcieli im pokazać, że mało o nich dbają, płynące z prądem drzewo huknęło w tył kanoe, przewracając i zatapiając łódź. Załoga desperacko chwyciła się liny łączącej ich z brzegiem, jednak ta druga, pomiędzy oboma jednostkami, nie została jeszcze porządnie umocowana i tym samym kontakt między statkami został ponownie przerwany. Przewrócone kanoe wraz z trzymającą się go załogą, porwane przez prąd wciąż dryfowało w dół rzeki.

Conan skoczył błyskawicznie ku ich prowizorycznej kotwicy z kamienia, którą normalnie obsługiwało dwóch ludzi. Całym wysiłkiem swych potężnych ramion cisnął nią daleko przed siebie. Kamień uderzył w dziób niesionego przez nurt kanoe i miażdżąc deski wpadł do wnętrza.

Łódź, porwana przez wodne odmęty, nie poszła jednak na dno, zatrzymując się na końcu naprężonej liny kotwicznej, załoga zaś, a przynajmniej ci, którzy z niej ocaleli, wydostała się na przewrócony kadłub i wkrótce przesiadła się na statek Conana, gdy ten zbliżył się do wraku.

Następnie wszyscy razem zaczęli ciągnąć z wysiłkiem główną linę, łączącą ich ze zbawczym brzegiem. Na wpół rozbity wrak łodzi stanowił dodatkową przeszkodę, ale na szczęście wkrótce wydostali się z głównego nurtu. W dalszym ciągu wybierając z trudem linę, dotarli wreszcie do spokojniejszej zatoczki i dopiero tam odcięli żaloszny wrak.

Gdy tylko zeszli na ląd, powitały ich okrzyki radości. Conan dojrzał około połowy mężczyzn, którzy wyruszyli swego czasu, by zbadać zachodnią odnogę rzeki. Był tu też ich statek i kilka kanoe, zaś sam kapitan Lampridius leżał na koi, ciężko raniony w nogę. Historia, którą miał do opowiedzenia oficer, nie była specjalnie ważna, jako że lotos został znaleziony, jednak Conan wysłuchał go cierpliwie, starając się nie zwracać uwagi na obrzydliwy smród gnijącej rany.

– Dopłynęliśmy około stu mil w górę rzeki – zaczął opowieść ranny kapitan – wkrótce też straciliśmy nasze konie, które padły łupem, lwów i szakali. Nad rzeką nie było żadnych ludzkich osiedli, przedzieraliśmy się przez stepy i dżunglę, ale potem zobaczyliśmy wiele chat i pól uprawnych, które świadczyły o istnieniu tam jakiejś cywilizacji. Mieszkańcy uciekli na nasz widok. Kilku, których pojmaliśmy, nie mówiło żadnym językiem, jaki moglibyśmy zrozumieć. Mieli jednak narzędzia i całkiem porządnie wykonane ubiory; no i łodzie, długie dłubanki drewnne, które służyły zapewne jako środek transportu w górę rzeki. Niektórzy z nich musieli wyprzedzić naszą ekspedycję i ostrzec tych mieszkających powyżej, gdyż większe wioski, do których potem dotarliśmy, były całkowicie wyludnione. Wreszcie dostrzegliśmy na horyzoncie miasto, wznoszące się na brzegu rzeki, otoczone potężnymi kamiennymi murami o wielu basztach. Zamieszkujący je ludzie byli czarni, tak przynajmniej nam się zdawało, wysocy, dobrze odziani. Posiadali metalowe noże i włócznie oraz drewniane tarcze. Sądząc po tym, jak zareagowali na nasz widok, myślę, że nigdy wcześniej nie widzieli białych ludzi. Kiedy zbliżyliśmy się do miasta, zablokowali nam drogę swoimi łódkami – tuzinem albo i więcej – pełnymi wojowników. Najwyraźniej nie chcieli puścić nas dalej w górę rzeki, nie pozwalali także zejść na brzeg. Próbowaliśmy zyskać ich przychylność podarunkami, które rozkazałem umieścić na dziobie statku. Chcieli nas obrabować a może tylko przepędzić, dość, że zaczęła się walka. Zdobyliśmy trzy ich łodzie, ale też ponieśliśmy ciężkie straty, gdyż nie ustąpili pola. Ja sam dostałem włócznią w nogę, a potem rana zaczęła się paskudzić i dopadła mnie gorączka. – Wskazał na swoją zabandażowaną kończynę. – Wycofaliśmy się w dół rzeki wraz ze zdobycznymi łodziami, ale ścigano nas przez wiele mil. – Wskazał ręką widoczne przez odchylone płótno namiotu drewniane pirogi, które spoczywały wyciągnięte na brzeg. – Potem poziom wody zaczął się podnosić i zaprzestali pogoni. Przybyliśmy tutaj wiele dni temu i co rano musieliśmy przenosić obóz wyżej, gdyż rzeka przybiera niewiarygodnie – zadrżał,

najwyraźniej wyczerpany długą opowieścią. – Czekałem, aż zagoi mi się noga, i planowałem drugie podejście, a w razie gdyby wasza misja nie powiodła się, moglibyśmy połączyć siły.

– Ale teraz – uśmiechnął się Conan, klepiąc go po ramieniu – nie będzie takiej potrzeby. Czas nam do domu, do Baalur!

Spojrzał na spuchniętą, purpurową nogę oficera. Caspius prawdopodobnie powie Lampridiusowi, że będzie musiał ją stracić lub umrzeć. Szkoda. Ten człowiek nie był może wojskowym geniuszem, ale przynajmniej udało mu się ocalić wielu ludzi i drugi statek. Trzeba będzie zadbać o dobre warunki dla niego w czasie podróży powrotnej.

Wiele następnych dni zajęło im opuszczanie statków i ładunku do podnóża katarakty. Było to mimo wszystko znacznie łatwiejsze niż podróż, którą kiedyś musieli odbyć w górę, i na szczęście miejscowe szczepy kanibalów nie sprawiały za dużo kłopotów. Od czasu do czasu przyglądali się tylko z gąszczu pracującym Shemitom, czasem wyrzaskiwali coś do Hk'Cha. Ten jednak najwyraźniej nie miał ochoty powrócić do swych rodaków. Być może obawiał się ponownego uczestniczenia w ceremoniach religijnych i modłach do groźnego boga Jukali. A może nie chciał stanąć przed swym przerażającym wodzem Gwandulą i opowiadać mu, co wydarzyło się w górach. Wszystko wskazywało na to, że zamierzał podróżować dalej. Wyraził nawet życzenie powrotu do Baalur razem z ekspedycją niezależnie od tego, co jeszcze mogło go spotkać po drodze.

Wreszcie u podnóża grzmiącego, gigantycznego wodospadu dwa małe statki zostały załadowane i stały przygotowane do dalszej podróży przez dżunglę, która teraz miała ich połknąć na kilka najbliższych dni. Paczki z lotosem rozlokowano na obu, dzięki czemu pozostało więcej wolnej przestrzeni na pokładzie i więcej miejsca dla wioślarzy. Znalazło się nawet miejsce na prowizoryczne kabiny z namiotowego płótna, które dawały nieco ochrony przed deszczem, odpadkami rzucanymi przez małpy, zatrutymi strzałami i paroma innymi niedogodnościami.

Przez większą część drogi ze względu na szerokość rozlewiska mogli się trzymać z dala od dżungli. Przypominało to podróż na grzbiecie czarnego gigantycznego węża, który przeciskał swe cielsko przez las, krusząc wszystkie napotkane drzewa i siedziby ludzkie na swej drodze. Największymi przeszkodami, jakie spotykali, były czubki zatopionych krzaków i wielkie, wyrwane z korzeniami drzewa, które dryfowały w dół rzeki wraz z powodziową falą. Pod wodą znalazły się też porośnięte papirusową trzcina moczary. Pływające wyspy, stanowiące kiedyś taką trudną przeszkodę, teraz były rozerwane i rozmyte, a przed nimi rozciągała się szeroka przestrzeń jeziora wypełnionego błotnistą czarną wodą oraz dryfującymi kożuchami roślinności. Wkrótce też dotarli do jego przeciwległego brzegu, gdzie na skraju bagniska znajdowały się wioski zaprzyjaźnionych z nimi szczepów. Conan miał nadzieję, że zanim przybyła tak wielka, niespotykana przez wieki, fala powodziowa, mieszkańcy dżungli mieli wystarczająco czasu, by przenieść się wraz ze swym dobytkiem i bydłem wyżej na suchy grunt. W każdym razie podróżnicy nie widzieli ani śladu ludzi pomiędzy powalonymi drzewami i dryfującymi resztkami chat.

Potem zaś rzeka wychynęła ze zrujnowanego lasu i pojawiły się przed nimi zapomniane już dawno piaski pustyni. Zatrzymano się tutaj i uczyniono szybki rekonesans, aby zbadać, jak wygląda rzeka w pobliżu swego słynnego, głębokiego na milę, olbrzymiego kanionu. Zapuszczanie się w tę dolinę na prowizorycznych łodziach było prawdziwym igraniem ze śmiercią i mogli tylko mieć nadzieję, że stateczki wytrzymają taką podróż. Ale przejście ładem też wiązało się z niebezpieczeństwami, których nie można było lekceważyć. Zawsze mogli spotkać Zuagirsów, a próba przecięcia pustyni teraz, kiedy było ich znacznie mniej i nie mieli zwierząt jucznych, byłaby prawdziwym kuszeniem losu. Conan nie sądził też, by udało mu się zawrzeć pokój z nomadami. Sądził raczej, że jeźdźcy pustyni nie przepuściliby takiej okazji, by ich wymordować i zagrabić ich mienie.

– A więc musimy zawierzyć Styksowi? – lamentował Caspius. – Ufać, że poniesie nas przez wielki kanion wraz z naszymi cennymi ziołami. To wielkie ryzyko. – Starzec zmarszczył brwi i potrząsnął siwą głową. – Nie sądzę, by ktokolwiek przed nami przebył ten wąwóz czy choćby zbadał wszystkie niebezpieczeństwa, które tam czyhają. Może jeden albo dwóch ludzi spróbowałoby podjąć podróż we wzmocnionej łodzi, aby dotrzeć do głównego obozu Furio i wezwać pomoc.

– Tak, może – zgodził się Conan – ale nawet jeśli jest to dobry pomysł, lepiej, żeby poszli ładem.

Tak też się stało. Wybrano sześciu doświadczonych zwiadowców. Z nadejściem

nocy ruszyli wzdłuż skalnej półki, którą podróżnicy podążali w czasie drogi w górę rzeki. Dwa dni później połowa z nich wróciła, donosząc o skontaktowaniu się z jadącą na wschód karawaną. Karawana była eskortowana przez Shemitów z obozu Furio, którzy najwyraźniej dobrze wykonywali rozkazy, jakie wydał im Conan przed wyjazdem. Po następnych pięciu dniach wróciła reszta zwiadowców, na czele posiłków z dolnego obozu – dwóch setek uśmiechniętych od ucha do ucha i wrzeszczących głośno Shemitów. Wiedli konie i wystarczającą ilość wielbłądów, aby pomieścić paki z lotosem i spory zapas wody. Razem tworzyli siłę na tyle potężną, aby dać sobie radę z ewentualną próbą ataku Zuagirsów.

Wszystko wskazywało na to, że obóz kapitana doskonale prosperuje, chociaż ostatnia powódź uczyniła przeprawę przez rzekę dość niebezpieczną. Shemici znacznie powiększyli swój stan posiadania, jeśli chodzi o łodzie i zwierzęta, i w pełni kontrolowali handel na pustynnym szlaku. Zatrudnili nawet stygijskich wojowników z pogranicza, którzy eskortowali karawany. Zuagirsi musieli zrezygnować z rabunków w najbliższej okolicy i szukać ofiar dalej na wschodzie. Do obozu nie dotarła dotąd żadna wieść o losach Conana – ani z ust handlarzy, ani poprzez sny – ale Furio, tak przynajmniej twierdzili oficerowie wiodący posiłki, był wielce uradowany wieściami o sukcesie swego dowódcy i z niecierpliwością oczekiwał na spotkanie.

Następnego poranka podróżnicy dosiedli wierzchowców i skierowali się na północ poprzez pustynne wzgórza. Zuagirsi, tak jak się spodziewano, trzymali się z daleka, choć obserwowali przejeżdżających z odległych wydm. Po kilku dniach szybkiej jazdy obciążona paczkami z lotosem karawana osiągnęła wybrzeże rzeki, nieco poniżej fortu i przebyła rwący nurt na dahabijach, ubezpieczanych przez liny z przeciwległego brzegu.

– Dolne katarakty są zbyt zdradliwe, nigdy nikt tamtędy nie przypłynął. Musimy obejść je ładem i albo uda nam się przenieść dahabije, tak jak przedtem, albo kupimy nowe. – Furio spacerował po achterdeku centyremy i przemawiał pewnym siebie, rozkazującym tonem, do którego przywykł przez długie miesiące sprawowania niepodzielnej władzy. Chociaż nigdy nie dowodził statkiem i miał niewiele wspólnego z nawigacją lub locją, rozprawiał z irytującą pewnością siebie.

Conan zdecydował się przywołać do porządku swego podwładnego.

– Nonsens, bracie – przerwał mu – nawet twoi zwiadowcy twierdzą, że to jest możliwe. Tam w górze Styksu daliśmy sobie radę ze znacznie bystrzejszym nurtem, na mniejszych i słabszych łodziach. Ta powódź wyrównała koryto rzeki, zmniejszyła niebezpieczeństwo grożące ze strony skał i przeniesie nas bezpiecznie nad kataraktami.

Zabudowania rzeczno-fortu zostały za mmi i dowodzenie kapitana Furio skończyło się. W ciągu kilku dni cała ekspedycja załadowała na pokłady trzech dahabiji i centyremy broń, konie, zapasy i oczywiście paczki z lotosem, a także ekwipunek i złoto. Teraz zaś sunęli w dół rzeki. Wielbłądy i małe łodki służące do przewozu pozostawili swoim miejscowym współnikom, którzy mieli zamiar kontynuować rozpoczęte wspólnie przedsięwzięcie, chociaż, jak sądził Furio, wkrótce staną się zapewne bandytami gorszymi od Zuagirsów. Tymczasem dowódca ekspedycji przemawiał do zebranych na pokładzie oficerów.

– Niech Crom błogosławi tę powódź, kapitanie Furio. To dla nas wyjątkowy uśmiech losu. Umożliwi szybką podróż statkami, prosto przez katarakty.

Kapitan był nieco zaskoczony tak jasnym postawieniem sprawy wobec wszystkich zebranych oficerów. Przecież jeśli znajdą się w kanionie, nie będzie żadnej możliwości powrotu. Furio zdecydował się więc zmienić nieco sposób argumentacji, aby przekonać swego dowódcę.

– Komendancie, czy to naprawdę ma sens? Doprowadziłeś nas tak daleko w górę rzeki, sam przebyłeś jeszcze trudniejszą drogę i powróciłeś. Osiągnąłeś wielki sukces. Czy naprawdę warto ryzykować stratę naszego ładunku i życie naszych ludzi w tak bezsensownym przedsięwzięciu, kierując się tylko szybkością podróży? Wyprawa trwa już wiele miesięcy, czy więc musimy się tak bardzo spieszyć z powrotem?

Conan, pamiętając, jak wiele kłopotów sprawiał mu ten oficer, kwestionujący wszystkie jego rozkazy podczas podróży w górę Styksu, postanowił nie bawić się w oszczędzanie jego godności i przemówił doń rozkazująco przy wszystkich.

– Tak, kapitanie. Pośpiech ma znaczenie. Zwłaszcza jeśli weźmiesz pod uwagę, że tym razem wyznawcy Seta mogą nie być dla nas tak tolerancyjni. Ta suka

Zeriti, którą wszyscy znacie bardzo dobrze, przysięgła mi, że postara się zdobyć pomoc tych kapłanów i skierować ich przeciwko nam. – Zawiesił na chwilę głos, spoglądając po twarzach otaczających go oficerów, ciekaw, jaką reakcję wzbudzą jego słowa. – Jeżeli ty i parę setek Shemitów pojedziecie przez wzgórza, paradując z tymi pakunkami, a potem będziecie targować się przy zakupie łodzi, dacie im wystarczająco dużo czasu, aby zawnoczu dowiedzieli się o naszym przybyciu i dobrze przygotowali na nasze powitanie swoją flotę i armię. Zamiast statku pełnego tańczących kurtyzan tym razem poślą przeciwko nam prawdziwe okręty wojenne.

Po ostatnich słowach Conana zapadła cisza.

– Mamy jedną tylko przewagę: nie spodziewają się, że powrócimy tak szybko. Chyba że wykryją to za pomocą magii. – Spojrzał na szare niebo nad ich głowami. – Tym razem nie śledzą nas skrzydlaci szpiedzy Zeriti. Jeśli skorzystamy z fali powodziowej, być może uda nam się przemknąć przez Stygię, zanim przygotowują się do pochwylenia nas. Jeżeli jednak zamarudzimy tu zbyt długo, wierzcie mi, skończymy w ich sieciach.

Aby jednak zmniejszyć obciążenie statków, Conan zgodził się na pewien kompromis. Konie i co bardziej obawiający się wody Shemici, wraz z połową lotosu i częścią ekwipunku, zostali wysadzeni na brzeg przy ujściu rzeki wypływającej z górskiego jeziora. Ich podróż w górę tej odnogi miała być możliwie szybka i nie rzucająca się w oczy. Furio zamierzał poprowadzić ich mało uczęszczanym szlakiem na wschód od rzeki. Dahabije miały oczekiwać u stóp katarakt, jeśli bogowie pozwolą im przebyć je szczęśliwie. Jeżeli nie, ci, którzy podróżowali ładem, mieli próbować nabyć następne statki a gdyby to się nie powiodło, podać za kierunku Baalur przez pustynię.

Zanim wyruszyli, na rozkaz Conana wszystkie cztery statki zostały obłożone porządnie umocowanymi do kadłuba wiązkami papirusowej trzciny. Te czerwone trzcinowe bufory miały tworzyć dodatkową ochronę statków przed uderzeniami o skały, a także zwiększyć ich pływalność, co było ważne zwłaszcza w przypadku centyremy o dość niskich burtach. Po zabezpieczeniu wszystkiego, co znajdowało się na pokładach, i odmówieniu modlitw do Mitry i Dagona wyruszyli.

Początkowo spływ był prosty. Szybki, pozbawiony przeszkód nurt niósł ich pomiędzy porośniętymi lasem brzegami, nad niedużymi progami skalnymi. Prąd był miarowy i spokojny i tylko mijając jakieś złamane drzewo albo kępę krzewów, mogli się zorientować, z jaką niewiarygodną szybkością olbrzymia rzeka wiedzie ich naprzód ku nieznanemu przeznaczeniu.

Wkrótce Styks zaczął się wici między labiryntem granitowych raf, a jego czarne wody stały się zupełnie białe od piany. Nurt wodny, jakby rozgniewany na skały chcące zatrzymać go w biegu, wzbijał się prawdziwymi fontannami, przeskakiwał, przetaczał się nad ostrymi kłami skalnych progów. Opadał w dół grzmiącymi kaskadami, oslepiając bryzgami wody i ogłuszając hukiem, ku kolejnym, coraz niższym stopniom. Rozłuszczony tytan tłamsił i rzucał we wszystkie strony niższymi stateczkami. Przedzierali się przez grzmiące katarakty, zwalone pnie potężnych drzew niesione przez wodę, koliska olbrzymich wirów, których leje były tak głębokie, że widzieli fragmenty skalnych raf znajdujących się na ich dnie. Ale niezależnie od tego, jak wąski był przesmyk i w jak zdradzieckim miejscu się znaleźli, Conan prowadził statek pewną ręką, znajdując wyjście z każdej opresji. A system kolorowych flag sygnałowych – ryk wody był głośniejszy od każdego dźwięku, jaki mogłoby wydobyć ludzkie gardło, a nawet rogi – umożliwiał przekazywanie komend do kapitanów dalszych jednostek. Ci zaś manewrowali pomiędzy kolejnymi pułapkami rzeki albo, gdy było to niemożliwe, zdawali się na łaskę żywiołu, a ich statek wykonywał następny gwałtowny skok w dół z towarzyszeniem przerażonych wrzasków załogi, które cichły na moment, kiedy statek ponownie opadał z jękiem w rzeczne fale.

Na szczycie kolejnego, zbyt stromego i zdradzieckiego skalistego grzbietu Conan wydał rozkaz zatrzymania statków. Wioślarze naparli wstecz na wiosła całą siłą, na jaką ich było stać. Statek zanurkował w dół, okręcając się kilkakrotnie wokół własnej osi, następnie opadł jak wielki potwór rzeczny, tracąc zupełnie kontakt z powierzchnią wody, i zniknął w zdawałoby się pozbawionej dna czarnej otchłani w dole.

Wynurzył się powoli i zdryfował ku spokojniejszej zatoczce. Z jego pokładu flagi sygnałowe wciąż rozkazywały następnym statkom czekać. Krzepki Cymmerianin przesadził burtę, popłynął ku brzegowi, a następnie podjął wspinaczkę z powrotem na górę, pokonując śliskie głazy i ostre skały. Znalazł jakoś drogę do kolejnego

statku, dopłynął doń i wspiał się na pokład Tam chwycił za ster, wydając rozkazy wioślarzom, a potem dowodząc nimi w czasie piekielnej podróży w dół. Wyprowadzał statek ze śmiertelnej kipieli. Wiedział, że żaden inny oficer nie miał wystarczającego doświadczenia, by to uczynić, ale wszyscy oni patrzyli i uczyli się od swego dowódcy. Conan zaś powtarzał wspinaczkę i podróż w dół wodospadu na każdym z czterech statków, aż wszystkie wraz z centyremą znalazły się poniżej progu.

Po tym decydującym momencie niższe katarakty były już znacznie łatwiejsze. Kiedy przebyli ostatnią, już w szarówce zmierzchu, sfatygowane statki przemknęły bezszelestnie koło stygijskiego posterunku i zakotwiczyły cicho w bezpiecznej zatoczce. Tam dokonano niezbędnych napraw, oczekując na przybycie grupy podróżującej ładem.

Furio i jego konni zjawili się dwa dni później, zaś załadunek i reszta napraw skutniczych pochłonęły jeszcze jeden dzień.

Przed nimi rozciągało się teraz szerokie i płaskie rozlewisko dolnego Styksu, co nie znaczyło, iż niebezpieczeństwa się skończyły.

Powodziowa fala, która się rozlała szeroko na olbrzymiej przestrzeni ładu, poniosła ich ku miejscom, przez jakie nigdy chyba nie przepływałby statek, na którym znajdowałiby się ludzie w pełni władz umysłowych. Dryfowali poprzez wioski, ogrody, nadrzeczne miasta, częściowo zatopione wawozy, lasy masztów zalanych statków, które nie zdały uciec z przystani, rozbite zabudowania gospodarcze pełne rozkładających się zwłok ich dotychczasowych ludzkich lub zwierzęcych mieszkańców.

Potem zaś statki przetoczyły się przez szerokie aleje zatopionego kamiennego miasta, którego wygłodniali mieszkańcy wołali do podróżników z dachów zatopionych budynków i chciwie chwyтали wszelkie paczki z żywnością, jakie ci rzucali przez burtę.

Tak wiosłując i żeglując, w blasku słońca i świetle księżyca, Shemici mijali kolejne ruiny miast, czy to nawiedzonych przez duchy starożytnych i zapomnianych metropolii, czy też tych nowszych, obecnie również pełnych umarłych. Podróżowali przez nekropolie, mijali rozmyte przez rzekę olbrzymie grobowce, które były ostatnim domem świętych mumii co ważniejszych stygijskich lordów. A pewnego dnia wciąż nabierający siły wodny prąd omal nie wepchnął pierwszego ze statków wprost w kamienne, pokryte płaskorzeźbami wrota, którymi jeden z ryczących wściekle bocznych prądów rzeki wpadał w ciemną głębię jakiegoś gigantycznego podziemnego grobowca lub świątyni. Tylko dzięki desperackiemu wysiłkowi walczących o życie wioślarzy statek nie został wessany w głębinę.

Nieunikniona konfrontacja przyszła nagle i nieoczekiwanie. Spotkanie nastąpiło na szerokim rozlewisku południowej delty, gdzie olbrzymi Styks zdawał się prawdziwym bezkresnym morzem. Z trzech stron jak okiem sięgnąć aż po horyzont rozciągała się woda, jedynie na północy widzieli zaręsy wysokiego stromego urwiska. Ani jednego shemickiego portu z tamtej strony dostrzec nie zdołali, było więc jasne, że okręty wojenne, blokujące dalszą drogę należą do Stygijczyków. Było ich sześć. Średnie i ciężkie dromony ze standardowymi symbolami węża. Miały po sześćdziesiąt wiosł na każdej z burt, po dwóch lub trzech wioślarzy przy każdym, a więc średnio licząc koło trzech setek ludzi do prowadzenia okrętu i walki. Stali na kotwicach ustawieni burta do prądu rzecznoego, ale teraz na widok nadpływającej floty Conana zaczęli je podnosić. Najwyraźniej spodziewali się płynącej ku nim ekspedycji. Czy był to niosący wiadomość gołąb, czy proroczy sen, czy też mroczny magiczny obrzęd odprawiony w jakiejś ponurej krypcie, dość, że wyznawcy Seta usłyszeli wezwanie jakichś tajemniczych sił i posłusznie zmobilizowali statki oraz żołnierzy, których karność była wszak podstawą ich teokratycznej potęgi.

Conan wiedział wystarczająco wiele o Stygijczykach, by być pewnym, że woli ponieść z ich ręki śmierć niż zostać schwytyany żywcem. Jednak chociaż jego flota była mniej liczna i obsadzona mniejszą ilością ludzi, taka myśl przemknęła mu przez głowę tylko przez moment. Stał na achterdeku centyremy, gotów do wydawania rozkazów swej załodze, a za pośrednictwem flag sygnałowych także załogom pozostałych statków. Jego pierwszy rozkaz mógł wprawić w zdumienie niektórych oficerów.

– Stawiać żagle! – podał komendę sygnalista, a w tym czasie załoga centyremy rzuciła się do fałów.

Zazwyczaj idące do bitwy okręty opuszczały nie tylko żagle, ale często

również maszty, aby nie można ich było stracić, co całkowicie sparaliżowałoby pracę wiosłarzy oraz spowodowało utratę prędkości i manewrowości jednostki. Teraz jednak poranna bryza wiała z zachodu, pod prąd rzeki, więc natychmiastowym efektem uniesienia żagli byłoby spowolnienie statków w ich biegu i utrzymywanie ich z dala od przeciwnika. Natomiast pozbawione żagli dromony musiałyby walczyć z silnym prądem rzeki, aby dogonić Shemitów. Tak więc rozkaz Conana oznaczał początek długiej i wielce wyczerpującej pracy dla stygijskich wiosłarzy.

– Podać sygnał do wszystkich jednostek, by płynęły na północ ku lewemu brzegowi! Wiosła wstecz, ster na burtę! Żeglarze stanąć w pogotowiu i na mój rozkaz odciąć osłony z trzciny! Potrzebujemy pełnej swobody manewrowania.

– Ale Conanie – zaprotestował Caspius ze swego stanowiska w kokpicie – czy nie byłoby lepiej skierować się w stronę prawego brzegu? Południowy brzeg jest stygijski. Jeżeli osiadziemy tam na mieliźnie...

– Jeżeli osiadziemy na mieliźnie, przepadliśmy i tak. – Conan wzruszył ramionami. – Lepiej płynąć na lewo. Zobacz tam, statki na ich południowym skrzydle są mniejsze. – Wskazał palcem, chociaż wątpił, by stare oczy medyka mogły dostrzec różnicę w blasku wschodzącego słońca. – Dobra, chłopaki, na mój rozkaz odciąć wiązki trzciny... teraz!!!

Trzcinowe osłony przymocowane do kadłuba dla ochrony przydały się w podróży w dół rzeki, ale teraz stanowiły przeszkodę, gdyż powodowały wytracanie prędkości. Uwolnione roślinne pontony popłynęły gwałtownie z prądem rzeki, oddalając się od dokonującego zwrotu statku. Conan sprytnie wybrał moment ich wypuszczenia. Teraz dryfowały z dużą prędkością ku jednemu z wrogich dromonów, powodując zamieszanie wśród wiosłarzy i chwilowy dryf statku z prądem, zanim udało mu się powrócić na pozycję.

– Ster na burtę! Żagle na wiatr! Przetniemy ich linię! Uważać na pozostałe jednostki!

Teraz dopiero przydały się doświadczenie i karność jego ludzi. Płynący pod prąd statek zareagował natychmiast na położenie rumpla steru na lewą burtę, a jego dziób wykonał gwałtowny skręt w prawo. Cięższe i mniej zwrotne dahabije spływały zaś w dalszym ciągu z prądem rzeki i mieli je teraz po lewej burcie. Okręt Conana był więc teraz pomiędzy nimi a nadciągającymi jednostkami przeciwnika, ale wciąż miał przewagę siły prądu, którą mógł wykorzystać, wybrać cel uderzenia i następnie uciec w dół rzeki.

– Teraz zwiąć żagle! Bęben, prędkość bojowa! Sternik w dół rzeki! Na ten dromon, ten najbliższy! Zrobimy mu zaraz dziurę w burcie. I wiosłować żywo, owczarki strzegące stada! Musimy wspomóc prąd rzeki.

Uwolniona od pracujących wstecz żagli, ponaglana gwałtownymi uderzeniami wiosła centyrema mknęła szybko poprzez nurt rzeki. Zmierzała ku dwóm centralnie położonym dromonom. Bliższy był nieco bardziej na lewo od drugiego, który dopiero co skończył się wyplątywać z wiązek papirusowych trzciny. Dwa okręty po shemickiej stronie rzeki płynęły ciężko pod prąd, ale musiało minąć nieco czasu, zanim przybyłyby w punkt ich ataku. W tym czasie dromony znajdujące się bliżej stygijskiego brzegu zbliżyły się znacznie do uciekających dahabiji.

– Wiosłować, psy, aż wam oczy wyjdą na wierzch i popękają zaciśnięte zęby: Lżej na lewej burcie, nie chcemy się przecież nadziać na ich taran! Sternik, wpasuj na prosto pomiędzy te dwa demony! Przejeździemy im burta w burtę, znacie tę sztuczkę! Lewe wiosła...już!!!

Statki podążały ku sobie z olbrzymią szybkością. Zdawało się, że stygijski wąż namalowany na wysokim dziobie poluje na figurkę smoka umieszczoną na dziobie centyremy. W przypadku zderzenia czołowego cięższy dromon miałby zdecydowaną przewagę, statek Conana zostałby uszkodzony znacznie poważniej, może nawet rozszczępiony na dwie części, biorąc pod uwagę siłę prądu. Ale centyrema była znacznie zwrotniejsza, a ostry, metalowy brzeg jej burty wystarczająco silny, by po uczynieniu niewielkiego skrętu przejechać z niszczącą siłą i przeraźliwym zgrzytem po wiosłach i lewej burcie statku wroga. Drewniana powierzchnia została poważnie rozdarta, wiosła zaś połamane. Rozległy się też wrzaski rannych.

– Wiosła w dół! – Conan obserwował z zadowoleniem, jak Shemici siedzący na bakburcie sprawnie unieśli wiosła w jeden ociekający wodą drewniany szereg i żadne z nich nie zostało nawet uszkodzone, kiedy wśród trzasków łamanego drewna oba okręty przejechały po sobie burtami. Ten manewr był ćwiczony wielokrotnie, gdy musieli omijać płynące z prądem powyrywane drzewa. Ponadto wiosła centyremy, lżejsze i obsługiwane tylko przez jednego człowieka, były mimo wszystko znacznie łatwiejsze w obsłudze niż długie drzewca, którymi posługiwano się na dromonie, a

które teraz rozpadały się z cieszącym ucho łoskotem.

– Na razie wystarczy – zawołał Conan – schodzimy z kursu! Z wiosła, zanim my z kolei oberwiemy! Ruszać się i zwiększyć prędkość! Bęben podwójne tempo! Nadchodzi następny!

Reagując żywo na rozkazy swego dowódcy, wrzeszcząc głośno z radości i wyzywając wrogów pozostawionych w ich na wół zniszczonym okręcie, Shemici natarli ponownie na wiosła, by odzyskać pełną sterowność i manewrowość, ale było mało wolnej przestrzeni. Ledwie centyrema oderwała się od burty jednego z dromonów, przed nią był już następny, pędzący pełną prędkością pod prąd rzeki, by pomóc swym towarzyszom.

– Teraz wy, łazęgi na prawej burcie! Wasza kolej! Przygotować się do podniesienia wiosła! Powtarzamy manewr!

I znowu nastąpiła seria wstrząsów i zlały ich bryzgi wzburzonej wody. Rozległy się budzące mimowolne dreszcze dźwięki rozrywanego drewna, kiedy okręt Conan dosięgnął następnego wroga, ocierając się o przedni fragment jego prawej burty. Tym razem manewr nie był tak udany, jako że nie mieli wystarczającej prędkości, by w pełni wykorzystać jego niszcząca siłę. Mimo to, kiedy prąd pchnął centyremę naprzód, Shemici odetchnęli z ulgą i wydali okrzyk zwycięstwa, wypadając na otwartą wodę. Wprawdzie sukces nie był jeszcze pełny, jednak w tym przypadku dopisało im szczęście. Oba wrogie okręty, mając strzaskaną dużą część wiosła, wpadły na siebie, zanim ich załogi zdołały zapanować nad sytuacją. Dromon znajdujący się w górze rzeki, porwany wartkim nurtem, nadział się burta na taran swego sojusznika. Okręty huknęły o siebie z potężną siłą, pośród wrzasków i przekleństw, po których rozległy się odgłosy biczów, tłukących nagie plecy wiosłarzy. Teraz połączone ze sobą jednostki, z których jednej groziło całkowite utonięcie, gdyby druga oderwała się od niej, dryfowały bezradnie i pozbawione kontroli w dół rzeki.

Nie zważając na radosne okrzyki swojej załogi, Conan spojrział, jaki los spotkał w międzyczasie dahabije. Sytuacja wyglądała nieźle, jako że jeden z dromonów przeciwnika, usiłujący zaatakować taranem jeden z trzech żaglowców, znalazł się w beznadziejnej sytuacji. Grube snopy trzciny, których głównym zadaniem było wszak chronienie burty okrętu przed uderzeniami pływających pni i kłód, wytrzymały także uderzenie wrogiego tarana. Dziób wroga ugrzązł w nich na chwilę, a to wystarczyło znakomicie wyszkolonym Shemitom, aby przerzucić przez burtę haki i liny i dokonać abordażu.

W tym czasie dwa pozostałe shemickie statki zbliżyły się i przyłączyły do ataku. Zaatakowana załoga, znacznie mniej liczna od atakujących, właśnie się poddawała, gdyż większość wiosłarzy była prawdopodobnie zakutymi w łańcuchy, nie uzbrojonymi niewolnikami. Co więcej, drugi dromon z pary znajdującej się na południu, który zbliżył się z pomocą także stał się ofiarą abordażu. Conan słyszał wyraźnie dochodzące stamtąd wrzaski i szcęknięcie mieczy.

– Płyniemy im pomóc? – spytał Caspius. – Możemy z łatwością staranować i przedziurawić tego Stygijszka od strony rufy.

– Nie. – Conan potrząsnął głową. – Po co topić dobry statek, który właściwie należy już do nas? – Spojrział w przeciwnym kierunku. – Bardziej martwię się tymi tam, bo mogą z łatwością posłać nas na dno taranem a potem rozprawić się z resztą naszej floty.

Statki, o których wspominał, płynęły równo burta w burtę i zignorowały najwyraźniej swoich unieruchomionych w górze rzeki towarzyszy. Teraz zbliżały się ku centralnemu, bystremu nurtowi.

– Z nimi możemy nie mieć tyle szczęścia – powiedział Conan. – Spójrz na ich rozmiary. Lepiej trzymać się od nich z daleka. Hej, Shemici! – wrzasnął po chwili, najwyraźniej tknięty jakąś myślą. – Szykować katapultę!

Ciężki kamień, który wylądował na pokładzie stygijskiego okrętu flagowego, nieco zmniejszył zapal ścigających i dał Conanowi chwilę cennego czasu. Centyrema zbliżyła się do pozostałych shemickich statków, które przecięły już wszystkie liny abordażowe łączące je ze zdobytymi okrętami stygijskimi. Zgodnie z rozkazami Conana, ocalałych Stygijszyków pozostawiono na większym dromonie, bez wiosła i broni, zaś ich niewolnicy z obu statków siedli za wiosła mniejszej jednostki i rażno zabrali się do wiosłowania, z kilkunastoma Shemitami na pokładzie jako ewentualną grupą abordażową. Teraz flota zwiększona do pięciu okrętów, mogła kontynuować ucieczkę w dół rzeki, zbliżając się do stygijskiego wybrzeża.

– Niech ktoś biegnie na oko i przygotuje sondy! – rozkazał Conan. – I

przekazać rozkaz do wszystkich jednostek! Żeby żaden statek nie utknął na mieliźnie.

– Tak – zgodził się Caspius – zwłaszcza że stygijska armia tylko czeka, byśmy zapędzili się zbyt blisko brzegu.

Była to prawda. Na południowym wybrzeżu rozlewiska stały gotowe oddziały jazdy i piechoty, które teraz, widząc wynik morskiej bitwy, ruszyły w dół rzeki, a promienie słońca odbijały się od ich hełmów i metalowych ostrzy włóczyń.

– Imponujący pokaz, ale mały z nich będzie pożytek – stwierdził Conan. – Jeśli tylko uciekniemy z prądem, musieliby lecieć na skrzydłach, aby dogonić nas brzegiem.

Problem jednak polegał na tym, że nie mogli jeszcze uciekać, gdyż dwa największe okręty wroga wciąż znajdowały się między nimi a głównym nurtem Styksu. Shemici, płynący blisko brzegu, sondowali dno wykrzykując głośno wyniki pomiarów. Centyrema Conana, za którą podążył zdobyty dromon, przesunęła się nieco w kierunku środka rzeki, aby osłaniać dahabije. Jednak niosące symbole węża okręty imperium, popychane pełną siłą licznych wiosłarzy, zbliżały się coraz bardziej. Obserwujący je z pokładu centyremy Cymerianin myślał gorączkowo, ale nie przychodziła mu do głowy żadna sztuczka. Oba dromony, trzymając się blisko, chroniły się nawzajem. Gdyby Conan zawrócił swój statek i starał się staranować lub przejechać po burcie jednego z nich, drugi dopadłby go z przeciwnej burty. A w razie abordażu połączone załogi stygijskie miałyby zdecydowaną przewagę. Zdobyty statek wyrównywał liczbę taranów po obu stronach – to prawda, ale nie należało oczekiwać, że stygijscy niewolnicy będą walczyć równie sprawnie i dzielnie jak Shemici. Nie mógł na nich polegać – to byłoby błędem.

– Dowódco, rzeka jest coraz płytsza! – wrzasnął człowiek sondujący dno z dziobu statku. – Zaledwie dwa łokcie! I robi się coraz płycej, a zaraz dopadną nas ci z ładu!

Mężczyzna wskazał na brzeg, gdzie pierwszy szereg żołnierzy zaczynał szykować się do ataku na wolno dryfujące dahabije.

– Trzymać kurs! – warknął Conan w odpowiedzi. – Mamy zanurzenie mniejsze niż dwa łokcie, nawet z pełnym przeciążeniem. A jeśli będzie trzeba, wyskoczmy na brzeg i pokażemy tym Stygijczykom drogę do domu.

– Conanie, okręty się zbliżają!!! – Caspius, obserwujący jednostki wroga, chwycił go za ramię z widocznym przerażeniem w oczach.

Oba dromony, wciąż płynące burta w burtę, przecinały teraz fale rzeki z prędkością bojową; dochodziły ich wyraźne odgłosy walącego w szybkim tempie bębna i strzelających biczy. Wrogie okręty rwały szybko do przodu, celując w sam środek burty centyremy i zdobycznego okrętu, który za nią podążał. Czarni niewolnicy wiosłowali niez mordowanie i widać było tylko ich pochylające się w potwornym wysiłku plecy, ale na wąskim pokładzie dziobowym tłoczyli się już stygijscy marynarze uzbrojeni w długie włócznie, gotowi do boju.

– Zejdźmy im z drogi! Obróćmy się!!! Zróbmy coś!!! – krzyczał Caspius. – Udało nam się pokonać już dwa takie!

– Mam zostawić dahabije z lotosem na ich łasce? – zapytał Conan medyka. – Lepiej zostać tu, gdzie jesteśmy. Hej, wiosła stop! Stać w pogotowiu i ruszać z całych sił, kiedy wydam rozkaz!

Przerażeni wiosłarze patrzyli pełni strachu, podobnie jak Caspius, na dwa statki wroga gnające wprost na nich. Złoczone figurki węży na ich dziobach błyszczały w słońcu i wznosiły się wysoko, gdy potężne dzioby przecinały czarna powierzchnię wody. Mknące przez mroczne fale okręty unosiły się i opadały z każdym rytmicznym uderzeniem wiosła, przywodząc na myśl dwa węże morskie ciągnące rydwan boga morza Dagona. Nagle dromony zachwiały się, wzbijając olbrzymie masy mułu ku powierzchni wody. Odziani w zbroje żołnierze, przygotowani na ostateczny atak na dziobie i burtach statków, polecili na twarze lub też pospadali za burtę. Oba okręty zaryły się w mulistym dnie i zahamowały raptownie, z ostrogami taranów wystającymi teraz nad powierzchnię wody. Równocześnie ci, którzy znajdowali się na dole – wiosłarze i oficerowie, polecili na pokład, zbici z nóg lub straceni ze swych ław, a ciężkie wiosła zawisły beznadziejnie w powietrzu.

– No, nareszcie, moje wilki! Te wielkie, przeładowane pudła musiały osiąść na mieliźnie! – zawołał Conan do swej wrzeszczącej załogi. – Moglibyśmy tu zostać i zdobyć te statki albo podziurawić je zdrowo taranem, ale musimy się stąd wynosić.

Kiedy mówił, dwa jego okręty wojenne kontynuowały podróż w ślad za dahabijami, które jako płaskodenne, nie musiały obawiać się zdradliwych płycizn. Przed sobą widział lądowe oddziały przeciwnika, wolno i niezdarnie przedzierające się przez bagnisty brzeg rzeki.

– Kurs na centralny nurt! Sterniku, wynośmy się z tych mielizn! Tam jest bystry prąd, który poniesie nas do domu!

Obejrzawszy się do tyłu, Conan zobaczył, jak stygijscy wiosłarze, pod gradem spadających na nich razów bicia, używali tyk i wiosła, starając się zepchnąć statki z mulistej płycizny. Cymmerianin ocenił, że nieprędko im to się uda, chyba że woda dalej będzie gwałtownie przybierać.

– Wiecie co – krzyknął do rozradowanych, wiwatujących żołnierzy – ta powódź jest najlepszym sprzymierzeńcem, jakiego moglibyśmy mieć! Jest darem bogów, życiem dla tutejszych chłopów, ale dla nas także jest prawdziwym błogosławieństwem starego Seta!

XXIV

WIEŻA AKHIROMA

Asgalun powitało powracającą baalurską flotę owacjami i niekłamany podziwem. Mieszkańcy miasta tłumnie zgromadzili się w porcie, by obserwować wpływające okręty, a na murach cytadeli Mazdaka pojawiły się uroczyste proporce. Kiedy wreszcie wszystkie jednostki zarzuciły kotwice przy skalistym nadbrzeżu, król osobiście udał się do portu, żeby powitać powracających, a towarzyszyła mu liczna świta wielmożów – wszyscy dostojnicy pałacowi, którzy byli akurat obecni na dworze.

– Chwała bohaterom – zawołał Mazdak – a zwłaszcza Conanowi, królowi czarnej rzeki! Gratuluję wypełnienia misji i szczęśliwego powrotu do naszego miasta. Przygotowałbym huczną ceremonię, gdybyś przesłał choć słówko o tym, że się zbliżacie.

– Dziękuję, przyjacielu. – Conan przypieczętował te słowa mocnym uściskiem dłoni. Uniósł dłoń pozdrawiając wiwatujących żołnierzy tłoczących się przy burtach statków. – Podczas tych kilku tysięcy mil starałem się cały czas, by żadne wieści nie wyprzedzały mojej wyprawy, i tak już pozostało. – Przywołał gestem dłoni Caspiusa, który zbliżył się, by podać rękę królowi. Za jego plecami chował się, rozglądający się wokół szeroko rozszerzonymi oczyma, półnagi kanibal Hk'Cha.

– Spotkaliśmy na swej drodze wiele niebezpieczeństw, ale podróż jeszcze sienie skończyła, wolę więc zachować ostrożność.

W czasie gdy dworacy pozdrawiali oficerów Conana, a jego żołnierzy ugoszczono gorącą kąpielą i ciepłą strawą, król odciągnął najdostojniejszych gości na stronę.

– Wybacz mi, przyjacielu, postępek mego perfidnego sługi, Guliazara. Słyszałem od pojmanych piratów, co się wydarzyło. Gdybym wiedział, że zamierzał cię wydać w ich ręce i że mnie także okradał, nigdy nie dożyłby do tej wyprawy...

– Daj spokój, Mazdaku – przerwał Conan swemu gospodarzowi. – Pomoc, której mi udzieliłeś, znacznie przewyższa tę przykrą niespodziankę. Zresztą plan Guliazara nie był najwyższych lotów, a moi ludzie okazali hart ducha. – Odwróciwszy się w stronę portu, wskazał dłonią kołyszące się na falach jednostki. – Widzisz, przywiódłem z powrotem twoje statki, w każdym razie, większość i to w niezłym stanie. I mam nadzieję, że podoba ci się ten stygijski dromon, tam na końcu. Jest twój, jako wyraz mojej wdzięczności, razem z załogą, którą uwolniłem z niewoli Stygijczyków.

Mazdak był zdumiony tak bogatym podarunkiem.

– Cudownie. Twoje wozy i woły wciąż tu są, a będzie więcej, jeśli będziesz potrzebował. Mogę też dostarczyć koni, jeśli okażą się niezbędne, oraz eskorty przez ziemie tych złodziei z Nedrezzar. Najpierw jednak festyn na waszą cześć! Tu w Asgalun!

– Hm... królu – wtrącił nieśmiało Caspius – wciąż jednak zależy nam na czasie...

– To fakt – potwierdził Conan – nie możemy przedłużać pobytu w Asgalun. Musimy dotrzeć do Baalar z naszą zdobyczą.

– Rozumiem. To konieczne, chociaż dla mnie przykre – zmartwił się nieco król. – Wiem jednak, że wasze miasto wciąż jest ciężko doświadczane przez zły czar. Będą potrzebowali twych usług, medyku.

– Lotos cudownie działa – odparł starzec. – Wiem z własnego doświadczenia.

Niedawno jeszcze sam popadłem w szaleństwo. Gdybyśmy tylko mogli być pewni, że to lekarstwo faktycznie leczy chorobę, a nie tylko łagodzi jej przebieg. – Potrząsnął w zadumie siwą głową. – Demon zwany Zeriti wciąż gdzieś się czai, w tej lub innej sferze egzystencji, i dopóki praktykuje czarną magię, dopóty niebezpieczeństwo wisi nad Baalur.

– Gdybym tylko mógł zacisnąć ręce na tej smukłej szyi... – Conan złączył swe potężne dłonie. – Ale ona jest teraz duchem, chyba poza zasięgiem śmiertelników.

Gdy kroczyli szeroką ogrodową aleją ku pałacowi, Hk'Cha nie odezwał się ani słowem, choć niewątpliwie wiedział, o czym rozmawiają. Jego uwagę pochłaniał jednak całkowicie nieznaną krajobraz i dziwna architektura miasta, której przyglądał się z podziwem zmieszonym z zabobonnym lękiem.

Po obfitym posiłku i żywej dyskusji o cudach, jakie widzieli podczas podróży, Conan i jego oficerowie zażywali odpoczynku w Szmaragdowej Sali. Towarzyszył im Mazdak i dworscy dostojnicy. Niechętnie myśleli o powstaniu od suto zastawionego stołu – oznaczało to całonocne przygotowania do dalszej podróży. W pałacowych komnatach i ogrodach poniżej żołnierze Conana byli karmieni i zabawiani przez służbę Mazdaka, a także przez jego harem, jak przypuszczał Cymmerianin, słysząc śmiechy kobiet i muzykę fletów, dobiegające przez szerokie okno. Tylko jeden członek wyprawy zdawał się nie podzielać tego pogodnego nastroju. Hk'Cha stał nieruchomo w oknie owiewany przez wieczorną bryzę i patrzył na dachy domostw oraz obronne blanki cytadeli. Jego wzrok przyciągała zwłaszcza jedna samotna wieża – wysoki strzelisty budynek, ponura pamiątka po szaleństwie i śmierci starego króla Akhiroma.

Powstawszy gwałtownie ze swego miejsca przy stole, Conan zbliżył się ku dzikusowi i stanął za jego plecami.

– O co chodzi? Czy wyczuwasz w powietrzu coś niepokojącego? Czemu wpatrujesz się właśnie tam?

Odpowiedzią było tylko jedno słowo, wymamrotane cicho przez kanibala. Imię tej, którą znał tak dobrze i której się bał.

– Zeriti... – powiedział, wskazując pełnymi strachu oczami samotną wieżę.

Mazdak, który miał zwyczaj uważnie obserwować wszystko co dzieje się na jego dworze, stał tuż za plecami Conana.

– Ta wieża jest pusta i zapieczętowana odkąd król-mag z niej wyskoczył – zaprotestował teraz. – Spójrz na nią, ona niemal się rozsypuje! Nie sądzisz chyba...

– Jeśli dotąd nie sądziłem – warknął Conan – to znaczy, że mój umysł był pod działaniem czaru. – Jego wielka dłoń opadła na rękojeść miecza. – Być może tam nic nie ma, ale nic się nie stanie, jeśli to sprawdzimy – mówiąc to, odwrócił się ku szerokim pałacowym schodom.

– Zaczekaj – próbował powstrzymać go Mazdak – wezwę z tuzin strażników. Mogą dokładnie przeczesać wieżę.

– Czy ich miecze poradzą sobie z czarną magią lepiej niż mój? – zapytał Conan schodząc zdecydowanym krokiem po marmurowych schodach. – Wolę sam to sprawdzić.

Caspus stanął u szczytu stopni i krzyknął w ślad za Conanem:

– Jeśli to ona, szukaj jakiegoś talizmanu, który musi być źródłem jej mocy. Zniszcz go, a wróci do swej naturalnej postaci, czyli, jeśli Mitra pozwoli, będzie rozkładającymi się zwłokami.

Za biegnącym przez ogrodowe aleje Conanem podążył tłum zaintrygowanych gapiów. Nikt go jednak nie wyprzedził, a większość cofnęła się, gdy stanął u podnóża chylącej się ku upadkowi wieży. Jej fasadę porastał gąszcz krzewów i zarośli ciągnących się od kanału, a ciężkie drewniane drzwi były zatrzaśnięte i wzmocnione przerdzewiałą żelazną sztabą umocowaną pomiędzy kamiennymi framugami.

Chwyciwszy sztabę obiema dłońmi, Conan szarpnął jaku sobie z całej siły, zapierając się kolanami o drzwi. Metal zgiął się, zatrzeszczał niepokojąco, wreszcie puścił...

– Idę z tobą – za plecami Conana zadudnił głos Mazdaka. – Jeśli taka ohyda dzieje się w moim królestwie, przynosi mi to wstyd i mam obowiązek temu zaradzić.

Bez słowa, Conan wepchnął wyrwaną sztabę między starożytne odrzwia a framugę i napał na drzwi. Zaprotestowały donośnym skrzypieniem, ale z oporem zaczęły się odchyłać. Gdy otwór wiodący w ciemność był wystarczająco szeroki, Cymmerianin wślizgnął się weń płynnym ruchem i zniknął z oczu Mazdaka.

– Widzisz, nic tu nie ma – powiedział ten ostatni, gdy z niechęcią podążył za Conanem – Fu, ależ tu śmierdzi. Zgniłe drewno i nietoperze. Z pewnością nie było

tu nikogo co najmniej od dziesięciu lat. Chyba możemy dać sobie spokój.

W odpowiedzi dobiegły go odgłosy ostrożnych stąpień, a spadające na jego głowę śmiecie dowodziły, że Cymmerianin zaczął wspinaczkę po schodach.

– Nie pchałbym się tam na twoim miejscu – ostrzegł go Mazdak. – Wilgoć z kanału mocno zaszkodziła tej budowli. Wieża może przewrócić się w każdej chwili albo zarwie się część podłogi.

Mimo swych własnych ostrzeżeń Mazdak także wkroczył na stopnie i podążył na górę. Drewniana kłapa w suficie i kolej na mroczną przestrzeń, i następne schody. O ile król dobrze pamiętał, takich poziomów było co najmniej tuzin, i o ile dobrze pamiętał, każde okno było dokładnie zapieczętowane. Nie mogli liczyć na najmniejszy promyczek słońca. Tknięty tą myślą, przystanął i ponownie zawołał do Conana.

– Zatrzymaj się na moment. Poślę ludzi po pochodnie. Bez światła to szaleństwo!

Conan wspiał się na siódmy poziom wieży i zdało mu się, że widzi blask światła. Było odległe i blade i wkrótce zniknęło w dymie, który podrażnił mu oczy i wtargnął głęboko do płuc. Już od kilku pięter smród we wnętrzu wieży zmienił charakter – zamiast gnijącego mokrego drewna zaczął przeważać odór świeżych odchodów nietoperzy i ostry zapach ich samych. Już na poprzednim poziomie podłogę zaścielały nieznanego pochodzenia małe kości i gnijące resztki jakichś zwierząt, które chrzęściły nieprzyjemnie pod stopami. Tutaj zaś dołączył się jeszcze jeden zapach – magii. Unoszący się w dół dym o tej właśnie woni bezbłędnie dowodził, że wieża ma mieszkańca.

Conan zaklął cicho. Kto by przypuszczał, że taka wieża kryje we wnętrzu zapach, który znalazł wyjątkowo ze starożytnych świątyń lub katakumb? Ruszył przed siebie wśród kłębow duszącego dymu. Nie widział nic poza delikatnym światełkiem, które znów zamigotało w oddali... chociaż zdawało mu się, że poczuł także ciepły prąd powietrza.

I wtedy dym rozrzedził się nieco, a spomiędzy oparów wyjrzało nań czyjeś oblicze. To była groteskowa, na wpół ludzka twarz, a jej właściciel odziany był w zbroję sporządzoną z kości. Jednak mimo unoszącego się wokół oparu, Conan dostrzegł w tej twarzy jakieś znajome rysy... Jukala!!!

W mgnieniu oka uderzył w bestię trzymaną w dłoni żelazną sztabą a postać wroga zniknęła znów w kłębach białej mgły. Tłukł jednak raz za razem, w głowę, ramiona, tors, aż wreszcie zrozumiał, że atakuje kamienną figurę, bezsilną kariatydę rozsypującą się pod jego ciosami. Podtrzymywała ona jednak najwyraźniej sufit, bo gdy wreszcie upadła u jego stóp, z góry dobiegły niepokojące zgrzyty i trzaski. Szeroki fragment murowanego sklepienia runął w dół, ogłuszając na moment Conana.

Dym rozwiął się. Przed nim, o kilka kroków stała Zeriti. Stała przy dymiącym stosie ofiarnym u stóp ołtarza, a jej blade ciało okrywały czarne szaty. Odprawiała jakiś mroczny rytuał...

Na widok Conana zasyczała jak gotowa kasać żmija i uniosła dłoń, by rzucić zaklęcie... Podłoga zadrżała i cała komnata zadygotała silnie, a wieża szalonego króla runęła w czarne wody kanału.

Spośród gapiów zebranych wokół, czy nawet tych, którzy znajdowali się w dolnych partiach wieży, nikt nie ucierpiał. Sam król Mazdak też wychynął z mrocznych czeluści budowli prawie natychmiast po wypadku. Wieża złamała się wyżej, dolna jej część wciąż stała na swoim miejscu. Obserwujący uważnie wody kanału tłum doświadczył jedynie silnego, powodującego nudności uderzenia smrodu. Woda zabulgotała silnie, a potem pośrodku kanału pojawiła się ozdobiona ciemną czupryną głowa, osadzona na barczystych ramionach.

– Conanie, ty wielki, niszczący wszystko, głupcze! – wrzasnął radośnie Mazdak. – Ostrzegałem, że może runąć! – Nie zważając na królewską godność, wbiegł do kotłującej się wody i wyciągnął dłoń ku pływakowi. – I co? – zapytał już ciszej – co tam znalazłeś?

Stając na nogi w płytszej wodzie, Conan zaczął brodzić w kierunku brzegu, na którym zbierał się już tłum Shemitów. Dostrzegł pomiędzy nimi Caspiusa i Hk'Cha.

– Cokolwiek to było – zwrócił się do wszystkich, wskazując na kanał za swymi plecami, gdzie woda już opadała – myślę, że zdechło. I z pomocą Croma, zostanie tam na wieki.

EPILOG

W pałacowych ogrodach Baalur król Aphrates wraz z królową podejmowali Conana i Caspiusa. Zebrani siedzieli przy chalcedono – wym stoliku i sączyli ze złotych czarek herbatę z lotosu. Poranek był pogodny. Świeciło słońce, a ptaki wyśpiewywały swe zwykłe poranne trele. Nie czuło się już w powietrzu swądu palonych do niedawna przez całe noce pochodni, zniknęły z ulic widma ślaniających się na nogach ludzi. Czwórka biesiadników wyglądała na zdrowych i wypoczętych. Jakoż faktycznie od powrotu ekspedycji znad źródeł Styksu minęło kilka dni i odpływały już w niebyt zarówno związane z powrotem emocje, jak i ślady plagi złych snów.

– Lotos to potężne lekarstwo. Wiem, co mówię – ozwał się Caspius. – Jeśli tylko pozwolą mi na to obowiązki na dworze, mam zamiar poświęcić te kilka lat życia, które mi jeszcze pozostały, na badania nad jego uzdrowicielską mocą. Przywiozłem wystarczająco wiele nasion, by pomyśleć nawet nad uprawami.

– Poświęcisz na to tyle czasu, ile tylko chcesz, stary przyjacielu – odparł Aphrates. – Dotychczasową pracą dla nas zasłużyłeś na więcej niż tylko trochę wolnego czasu. Chociaż muszę ci powiedzieć, że plaga snów osłabła znacznie, jeszcze zanim powróciliście ze swą ceną zdobyczą.

– Plaga ustąpiła wraz ze zniszczeniem Zeriti – powiedział Caspius, rzucając przy tym pełne podziwu spojrzenie na Conana – ale mimo to srebrny lotos udowodnił swe cenne właściwości przy leczeniu niektórych jej skutków i tych kilku cięższych przypadków obłędu, które jeszcze trwają. Ja sam też odczułem jego leczniczą moc i wiem, że przyda nam się jeszcze przy wielu różnych dolegliwościach.

– Jest dość wątły – włączył się Conan, siorbiąc napar – w porównaniu z innymi gatunkami lotosu, jakie widziałem. – Ale i tak dało się wyczuć jego ożywczy wpływ na atmosferę w Baalur.

– Twoja odwaga i zdolności przywódcze nigdy nie znajdują wystarczających słów uznania. – Głos królowej Rufii zdrzął z nie ukrywanej emocji. – To, że zdołałeś zniszczyć Zeriti podczas drogi powrotnej, było niewątpliwie błogosławieństwem Mitry, który działał twymi rękami. Natomiast twoja podróż ku źródłom Styksu stanie się legendą, twym nieśmiertelnym triumfem. Każdy, kto powrócił, i każdy, kto tam zginął, będzie bohaterem na zawsze żywym w naszej pamięci.

– Jestem szczęśliwy – zaznaczył Conan – że udało mi się przywieść z powrotem większość żołnierzy.

– Ci żołnierze będą w przyszłości bardzo przydatni – powiedział Aphrates. – Wypróbowani, zahartowani przez trudy ludzkie godnie zastąpią tych, których zabrała zaraza, nawet na najwyższych stanowiskach. Odbudują nasze miasto i powiodą nas ku szczęśliwszym czasom.

– Ci, którzy odeszli, też byli ponoć wypróbowani – Conan nie oparł się lekkiej złośliwości – a zawiedli, że wspomnę Shalmanezera.

– To prawda – skomentowała Rufia – generał został zabity w świątyni Mitry, gdy uległa zagładzie Wschodnia Dzielnica, a jego sprawa nie była czysta...

– Czysta? – przerwał żonie Aphrates. – Cała świątynia była pełna wyznawców węża, a Shalmanezer i jego towarzysze zamierzali sprzedać nas Stygijczykowi! Kapłan Bandar-Hek także został zamordowany. Nie wątpię, że cała ta zdradziecka świątynia zawaliła się z woli Mitry. – Król nerwowym ruchem odsunął od siebie filiżankę. – Najważniejsze, że najlepsi spośród nas wrócili i mogą zastąpić zdrajców.

– Kapitan Furio zasługuje na awans – zauważył Conan. – Byłby dobrym następcą Shalmanezera.

– To może być – odparła królowa – jeśli ty nie zechcesz tego stanowiska...

– Nie Rufio, raczej nie. – Conan postawił na stole pustą czarkę. – Poznałem dobrze Shemitów i byłbym dumny, gdybym mógł kiedyś znów powieść ich na wyprawę wojenną. Myślę jednak, że w czasie pokoju nudziłbym się setnie w waszym pięknym mieście, zwłaszcza po tym, czego doświadczyłem na wyprawie do źródeł Styksu...

– Chciałbym coś wyjaśnić. – Milczący przez dłuższy czas Caspius, włączył się nieoczekiwanie do rozmowy, ale jakby z zawstydzeniem. – Przejrzałem jeszcze raz mapy i zwoje. Kiedy robiłem to po raz pierwszy, przed wyprawą, byłem, jak wiecie, pod wpływem plagi snów, a to znacznie osłabiło sprawność mojego umysłu. – Mędrzec zawiesił głos, gładząc nerwowymi ruchami swą siwą brodę. – Gdy ponownie odcyfrowywałem antyczne teksty, natrafiłem na pewną niejasność co do biegu rzeki... możliwe, że popełniliśmy pomyłkę...

Conan roześmiał się gromko.

– O co ci chodzi, człowieku? Wiosłowałeś wraz ze mną, a potem też szedłeś tak

daleko, jak tylko się dało. Widziałeś ten sam przeklęty kraj, który leży u źródła... chyba że chcesz powiedzieć...

– Otóż to właśnie – rzekł Caspius miękko. – Chodzi o rozgałęzienie rzeki powyżej wielkiej katarakty. Są pewne wątpliwości, czy wschodnia czy zachodnia odnoga jest tą właściwą...

– O czy ty mówisz? Nie ma wątpliwości! Na Croma, ty trzęsący się stary oszuście... – Conan uniósł się z krzesła, zaciskając pięści, ale po chwili opanował gniew. Dotychczas nie wspomniał królewskiej parze o słabości Caspiusa, o klątwie Zeriti i o tym, że medyk omal ich nie zdradził. Starzec w końcu się opamiętał... ale teraz, na bogów, Conan czuł się przezeń oszukany. Oparł się ciężko o ozdobny stolik i spojrzał prosto w spokojne oczy starca. – Czy chcesz powiedzieć, że rzeka, wzdłuż której podążaliśmy, to nie był Styks, tylko jakiś nędzny boczny dopływ? Że nie jesteśmy żadnymi bohaterami tylko wystrychniętymi na dudka głupcami?

– Zadam to pytanie prościej – włączył się równie zaintrygowany Aphrates. – Czy rzeka, którą opisywaliście, nie jest głównym nurtem? Czy to możliwe, że Styks dociera jeszcze dalej na południe i płynie przez jeszcze bardziej tajemnicze i złowrogie krainy? Czy, krótko mówiąc, starożytna tajemnica wciąż czeka na rozwiązanie?

– Panowie, Pani, czy życzyście sobie jeszcze herbaty? Przerwał im młody, nieśmiały głos osoby, która najzupełniej nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia ich dyskusji. Była to służąca, która właśnie przyniosła następny czajniczek parującego, wonnego napoju. Tyle tylko, że służącą była księżniczka Ismaia we własnej osobie; wyprosiła sobie u rodziców ten zaszczyt. Dziecko, dumne ze swej roli, odziane w ozdobioną licznymi falbankami sukienkę i fartuszek, obsługiwało ich zgrabnie i z widoczną przyjemnością. Na młodej twarzy nie było już śladów choroby ani też mrocznego cienia po pobycie w krainie snów. Orzeźwiający napój został przez wszystkich przyjęty z wdzięcznością.

– Ostatecznie – powiedział Conan – nieważne, jaką rzekę widzieliśmy i co mówią jakieś zapomniane mapy. Wypełniliśmy nasze zadanie – stwierdził dobitnie, unosząc ku ustom filiżankę – i tylko to się liczy.